

TOM CCLVI

De. II 1

ROK 64

SERYA 9

ZESZYT 768

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PAŹDZIERNIK.

1904.

TOM IV. — ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1904.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
1. JEAN LAHOR. (Dr Henry Cazalis), — przez Adama Krasieńskiego	1
2. PRZEMIANY. Powieść współczesna (dalszy ciąg), — przez Kazimierza Zdziechowskiego	32
3. NAD TYBREM, — przez Stanisława Smolkę	65
4. PROCES KRYMINALNY KAROLA SZAJNOCHY, — przez d-ra Bronisława Łozińskiego	112
5. STANISŁAW WITKIEWICZ JAKO BUDOWNICZY POLSKI, — przez Kazimierza Mokłowskiego	130
6. DRAMAT I OPERA, — przez W. Bogusławskiego	143
7. PIŚMIENNICTWO:	
DR WACŁAW SOBIESKI: Szkice historyczne. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1904. Str. 11 + 317. — przez A. R.	161
FERDYNAND HOESICK: Julian Klaczko. Rys życia i prac (1825 — 1904). 1904, — przez A. R.	169
MEMOIRES MILITAIRES du Maréchal Jourdan (Guerre d'Espagne), écrits par lui même, publiées d'après le manuscrit original par le vicomte de Grouchy, — przez A. R.	173
ANTONI GUSTAW BEM: Studya i szkice literackie. Wydanie pośmiertne, ze słowem wstępem Ign. Chrzanowskiego. Warszawa, 1904. Nakładem Księgarni Naukowej i przedpłacicieli, 8-o, str. 316 + II, — przez Henryka Gallego	176
JÓZEF ZAGRZEJEWSKI: Jedność sił w przyrodzie. Piotrków, 1904, 8-o, str. 125, — przez J. Kowalczyka	179
8. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Po sezonie. — Wyższe kursy wakacyjne w Zakopanem. — Kasy sagowe. — W sprawie „echów“. — „Dobra matka“. — Nominacya prof. Kallenbaeha. — Wyjaśnienie prof. Romana Plenkiewicza. — Ś. p. Wacław Taczanowski. — Ś. p. Michał Józefowicz. — Ś. p. Włodzimierz Biesiekierski	182
9. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	201

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

LIBRARY OF THE UNIVERSITY OF TORONTO

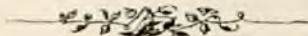
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 256.



BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1904. — Tom IV.



WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 5.

—
1904.



De. II 1

Дозволено Цензурою.

Варшава 16 Сентября 1904 года.

JEAN LAHOR.

(Dr. Henry Cazalis).

I.

Consacrant tout ton être à l'Idéal suprême
Combats sans nul espoir ni souci de toi même,
Vaincu—garde toujours la fierté de tes yeux,
Car tu fais oeuvre sainte et remplaces les Dieux.

(Quatrains d'Alghazali str. 72—2).

Il faut par la pensée se résigner à tout
et dans l'action ne se résigner jamais --- lutter
toujours comme si l'on devait vaincre, vivre
comme si l'on ne pouvait mourir.

(Jean Lahor. „*La gloire du néant*“ str. 63).

L a h o r e. Śni się wielkie miasto różanokamiennie, tonące
w świetle. Śnią się w ogrodach szalonych kwieciami — olbrzymie,
ciche chramy bóstw, pagody wiekowe, zda się wieczyste, kadzidłem
i myrrą wonne, złocistymi posągi w cieniu tajemnic połyskujące, mo-
dlitw i marzeń, jak wiszącego aromatu, pełne; w swej ciemnej toni
zadumane.

Śni się w prastarej ziemi Pendżabu miasto rozłożyste — błogo-
sławione.

Słońce pożera ogniem, żarzy się jasność na murach, a sine cienie
umknęły jak ścigana ofiara i przytuliły się w dziedzińce świątyni.
Tam, nieruchomi, wrosli w mury siedzą ludzie, którzy mają w dobyt-
ku biały turban i przepasanie bioder, kij sękaty i sakwy pielgrzymie,
a mają we władaniu wielkość i znikomość wszechrzeczy — oglądający
w myśli światy, niosący w myśli królewską pogardę i litość człowie-

czą dla życia. W duszy ich wygasły żądze a trwa cisza i są oni ci, których mądrość kocha, porównie dolę i niedolę — i o nich perski pieśniarz Hafis powiada:

— A jeśliś świata posiadał posiadanie,
 Nie ciesz się — nicość Cię gości;
 A jeśliś stracił świat w mroku nastanie,
 Nie smuć się — nicość załości;
 Przemina światy — jak słońca konanie,
 Przejdź mimo świata nicości — !

Przewalczyli żar wyobraźni i żar pożądania. W krainie tej życiem wspaniałej, gdzie każdy kwiat, każde stworzenie świeci barwą chępliwą, pyszną, rozkoszną, pieszcząc się i radując sobą, widzieli wzrokiem dalekim śmierć ciemnoskrzydłą, która nad żywymi zawisała. I wzrok ich odwrócił się od promiennej świetności i odszedł zadumany, aby poglądać w dusze. To ogromno życie niosło śmierć przyrosłą, jak jeźdźca-upiora niesie koń w puszczy nocą.

Śmierć widniała wszędzie — uściskiem ze życiem złączona, jak drzewa bliźnie z jednego pnia bytu wyrosłe. Śmierć dla motyla, który kołysze się lekko modrem skrzydłem nad ziołami i dla Maharadży, wracającego ze zwycięskiej drogi na słońcu złocistą krytym oponą, w kurzawie konnych zastępów, w błyskach zbroic sadzonych kamieniami, w białych piór strusich w wielkich wachlarzy powiewie. I śmierć dla miasta wrogów, palącego się gdzieś daleko zwycięską luną, i dla radosnego miasta, które wybiegło pana swego powitać, i dla ziemi co dnia rozbudzanej świtem i dla słońca, które co dnia w ciemności się nurza, i dla gwiazd wieczoru i dla szafiru przestworza i dla bogów, którzy w tych światłach rozpalili sobie chwałę i którzy w tej chwale żyją.

Przemina światy — jak słońca konanie,
 Przejdź mimo świata nicości.

Kto w pieśni życia zasłyszał muzykę śmierci, temu nie staną za szczęście ani piękności, ani bogactwa zmysłami widziane — czary Maji — bogini uludy i całe widowisko rzeczy, ani wszelka rozkosz czynów nie upoi. Kto tę muzykę usłyszał, temu snem będzie świt i wieczór codzienny, a prawda tak od jawy życia odbieży.

Cyt — to gra śmierć...
 Wstrzymajmy rękę, wstrzymajmy krok,
 Cyt — to gra śmierć przez blade zmrok —
 Płynie muzyka z dali, z dali...
 Wstrzymajmy oddech — wszelki ruch,
 Abyśmy nie nie postradali
 Z tej pieśni, co nam koi słuch, —
 Abyśmy nie nie uronili
 Z tej pieśni, co nam serce leczy, —
 Abyśmy w jednej, krótkiej chwili
 Wetchnęli byt pozaczłowieczy...
 Nie będzie długo grać!

.
 W przelotne — wietrzne mgły się wcieli,
 Zniknie jak obłok — jako cień, —
 Pomnimy, żeśmy mieli dzień,
 Gdyśmy grającą śmierć słyszeli,
 Pomnimy taki dzień! . . 1)

Poeta o sercu smutnem wsłuchał się w tętno życia i zadumał. Poeta Słowianin. Ale przecie jest nadto jeszcze człowiekiem północnej ziemi i chrześcijańskich dziejów. Jemu śmierć „nie będzie długo grać — dlatego boi się on, by nie z tej pieśni nie uronić, by w jednej, krótkiej chwili byt światów wetchnąć dalekich. Hinduski „yoghi“ słyszy tę pieśń nieustannym hymnem rozśpiewaną, wsłuchuje się i duszą pogrąża.

Wszystko niszczącej przemianie, poddane a przeto nie warte, aby trwało oczekując nagrody swej wytrwałości. Niemasz nagrody nad uczucie, którem świadczy sobie człowiek o sercu czystem, że czynił dobrze. Nie spodziewanie, że odplaconem mu będzie jakimś zapowiedzianem szczęściem, ale pewność, że w każdej godzinie powie-

1) Kazim. Tetmajer. Serya V-ta poezyj.

dzieć sobie może: nie pragnę więcej, bom ze wszystkim i we wszystkim współczujący — i pewność, że mu smutek nie rozpaczą a radość nie szaleństwem, że krzywdy nie czynił, nie żywiąc pożądania, że umiłował litością braterską Stworzenie całe i za bliźnie poczytał wspólnością cierpienia i przeznaczeń, że może się radośnie uśmiechać w każdej doli — ta pewność daje mu odwagę pogodną na dni żywota, pogodną, jak błękit niewyczerpany. Dusza jego zatopiona w zaświaty, w znikome nie spieszy się życie.

Tej ciszy szczęsnej, zazdrości nieszczęsna, udręczona myśl naszych czasów, zazdrości dusza nasza szamocąca się pasowaniem bolesnem wiary i niewiary. Gdyż nasza niewiara, wiary się wyzbyć nie zdoła, za silnie nią przepojona od wieków — ani wiara nasza nie zdoła kwitnąć, jak w czasach dziecięcej ufności. Żyjemy na rozdrożu czasów — na rozdrożu myśli. Dlatego tęskniący słuchamy — chłonąc słowa pełne poddania się, zatopienia, zagłady — która daje ciszę ducha, która jest zarazem ducha wniebowzięciem. Słowa starych Ved indyjskich i mądrość wyrzeczenia się woli — mądrość Budyjską. A słuchając stawać się przeto innymi nie potrafimy, bośmy nie z zaprzeczenia woli wyrosli.

Zachowaliśmy w słowiańskiej duszy pobratymczą ze Wschodem zadumę. Jest w nas leniwy, litościwy, szeroki myślą, nie zwalczony cierpieniem, lecz nie zdobywczy życiem, nie przewidujący wolą — bramin zadumany. Dlatego mamy taką prawdziwą i tak wielką poezję uczucia — obok poezyi kształtów i poezyi czynu.

Aleśmy nie cali zrodzeni z tej macierzy.

Myśmy żywot nowy z łacińskiej myśli wzięli i z prawdy chrześcijańskiej, — a żyć nam przyszło nie w krainach gdzie złotem topi się słońce nad Gangesem, ale w stygłych, w śniegi przez długą zimę obłóczonych ziemicach. Umysł łaciński wyrósł na dziejach ludu, który umiał nadewszystko chcieć i pragnął sprowadzać myśl i wolę ku jasnej świadomości Bóstwo graniczne dwugłowe, stawiane słupem na rozdrożach i miedzach posiadłości, znamiennem stało symbolem rzymskiej woli i rzymskiej prawdy dążącej, by ująć każdą rzeczywistość w kształty i granice wyraziste a niezmiennie. To Bóstwo znaczy Kres i ścisłość Granice rzeczom kreślić i znać — to ducha łacińskiego dążność i siła wrodzona, dlatego wiedzę prawa, która jest wiedzą zakresu ludzkich wzajemnych obowiązków i swobody, uświęcił Rzym nauką podstawową — mistrzowską po wieki. Ale wola, by widomie przedstawiać myśli zrodzone w duchu — by je wcielać w kształty

a zarazem zdobywco sięgać czynem ku rozwieleniu życia, — wola, by na podobieństwo Boga tworzyć, ta wyższa moc nad określanie, nad ścisłość ładu strzegącą, nad karność i nad prawo, ta wola sięga dalej niż rzymskiej ojczyzny i tę dała światu Grecya. Grecya w poezyi i filozofii, w mytach i wierzeniach — wszędzie — chciała wywyższyć człowieka demiurga, budującego życie. Grecki duch — to myt Deukaliona i myt Prometeusza. Pioruny niebu wydierać, aby tworzyć samemu i ludzką piękność swoją i moc uczynić niezapomnianą. To myt Herkulesowy, dzieje przepotężnych pożądań, ale i prac przepotężnych i wiary w siły bohaterskie człowieka.

„Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze — młodzieńcem zdusi centaury!“

Dlatego geniusz grecki — odjął śmierci nieskończoność jutra — i wieczność czynom ludzkim dał, by stała na straży sławie i na straży życia.

Bogowie Grecy nie są jak niedościgłe a niszczące Moce Wschodu, wobec których proch-człowiek korzy się lub gubi w zachwycie — ale są jako starsi bracia ludzi, potężniejsi, krzepcy bardziej we wszystkim a tak podobni — tak blizcy. To też gdy Achilles z Ateną stoi na wozie a Hektora Afrodyte broni, nie poznać, kto bóg a kto bohater. Gdy Ares krzykiem strasznym napelnia pobojowisko, gdy Hefajstos młotem kowa zbroję — to są ludzie ogromni mocą, ogromni odwagą, rozbłysli w aureoli swych czynów, ale nie Istoty wielkie niepojęcie, przed którymi rozum upada i wola. Spojrzmy na straszne Bóstwa Wschodu wielorękie, wielonogie — przygniatające ilością rytmów, Moce uczucia i nastroju, a obok nich postawmy Jowisza piorun miotającego, Poseidona, który dzierży trójzab — germańskiego Thora z młotem w dłoni — potęgi czynu, określone, wyraziste, ludzkie. W uczuciu Greka żyje człowiek z wycięzającą i wszystkie światła piękności dziełem rąk i umysłu ludzi-bogów i ludzi-bohaterów. Dlatego Grek tak kocha i tak patrzeć umie na rzeczy, gdyż mówią mu one ciągle o mocy i sile człowieka.

Rzymianin przejął to uczucie, odjął mu wiele piękna, gdyż nie był takim artystą, dodał wiele miłości własnej, gdyż był twardszej i upartszej woli. Ale porównie obydwaj, Grek i Rzymianin, w głębi swej duszy żywią chęć opanowania życia, gdyż wierzą w swą ludzką potęgę, z której wszystko — świat cały — nawet i bogów swych wywiedli. Nie są to duchy poddające się tęsknocie, dalekich zapowiedzi wyczekujące, odczuwaniem wrażliwe i szczere, ale dziedzice Prometeusza, zuchwałą myślą świetne. Jest w nich więcej sztuki niż poezyi — , a w poezyi będą miłować widome, cieszyć się twór-

czą kształtującą siłą raczej, niż wybiegać w dal nieznaną, w krańcę jutra.

Na tej cywilizacji wyrosłe i z tej przeszłości poczęte umysły zachodnie mają świadomość zdobywczą pracą wieków wyostrzoną, widzącą każdej myśli kształt lepiej i pewniej od naszej słowiańskiej wyobraźni. Myśl ścina i skupia się im krystalicznie, mowa i słowo nie-topliwe ani mętne, ale przejrzyste są i odstępami nie dowolnie znaczone. Dla tego wszelki opis kształtów, wszelka akcja, nawiązana w słowach, będzie w czynie myśli zachodniej wyrazistsze miała linie, niż w umysłowości słowiańskiej. Dramat i powieść u narodów łacińskich będą nieporównanie lepiej zbudowane i formie posłuszne. Ale będzie im nieraz niedostawało tego, czego wypowiedzieć trudno, co się ująć, uchwycić w ścisłe słowa nie da, ani żadnym układem wyrazów ovladnąć, będzie im niedostawało — duszy. Nie tej duszy, która u j a r z m i a, lecz tej, która oddaje się, porwać pozwala i ponieść uczuciu — tej, która zna z a c h w y c e n i e i n a t c h n i e n i e. Dlatego umysł łaciński nie będzie twórczym w poezji wielkiej w tej mierze, w jakim jest twórczym w prozie.

Nie będzie, gdyż to, co mocą jest ludzką, nieraz ma w sobie zadatek i klątwę niemocy, a miara, spełna prawdy, najtrudniejszą. Tem samym prawem niedoskonałości dzieje się, że myśl, zastanowiona linią, barwą, całą widocznością i uzmysłowieniem przedmiotu, zapatrzona w postaci rzeczy, idzie w niewolę kształtów. Traci wówczas pożądanie rzeczy odległych, ową wizję dali, wycutej tęsknotą za czemś, co przyjść musi, o czem się wie w nierozeznanej głębi uczuć, wie całą mocą pragnień, co jest porówną prawdą jak oglądane dzieje, a większą nieraz pięknoscią, co jest brzaskiem jutra, co się żarzy w sercu, co się w duszy rozpamiętywa, lub żywi nadzieją. Niema w łacińskich językach wyrazu na słowo — z a d u m a. Jest rozmyślanie i zamysł, jedno ogląda i waży przeszłość, drugie waży przyszłość i gotuje, ale wyrazistą, rozpoznaną. Jedna zaduma wybiega ku nieskończoności.

A bez tego wybiegania w dal bezmierną nie masz wielkości prawdziwej, bo nam dana dusza wyczekująca i spragniona, która wszystkiego nie wie o sobie. Wokoło nas wszędzie tajemnica bytu i dal bezmierna. I może widnieć w tęskiej pieśni pastuszka, porównie jak w pytaniu mędrca. To, co skończone w sobie, nie ma, nie może mieć nieskończonej pięknosci, która jest zawsze za krańcami dnia, zawsze jako jutro, witane jutrzenką. Myśl łacińska odczuwać zdolna prawdę chwili z niesłychaną subtelnością, nie lubi ani umie wyteżać długo wzroku i trwać z oczami, w oddal zwróconemi. Odwróci się i odwrócić się musi, gdyż ją nowe porywają chwile i nowe kształty wabia, a ona

nadewszystko żadna panować poznawaniem. Ta żądza nie dopuści zadumy, onej religii myśli, onego uczuć sakramentu.

Ale dlatego porównie łaciński umysł mniej cierpi. Umie oczy ku nowym kierować widnokręgom i w świecie bogini Maji ciągle sobie stwarzać rozkosze. I smutek nie ogarnie duszy wszechwładnie, i nie pogrąży woli. Dlatego wszelka rozpacz myśli będzie dla łacińskiego ducha mniej trującą. Nasze myśli stwarzają rychło z poznanych pojęć wyznawanie, stwarzają wiary, z czego umysł zachodni czerpie jeno światomości, i co, jako rozumowanie, rozsądza. Nasze słowiańskie myśli gotowe nieraz wiarą czynić nieutwierdzoną, zaledwie nieco rozjaśnioną możliwość, cierpią tak często cierpieniem bezpłodnem, Nielitosnem, uczepionem do marnych sądów, ale szczerem. Nie nosimy w sobie tej ciszy błogiej, która płynie z poddania się zupełnego losom, z miłościwej a cierpliwej obojętności buddyjskiej, ani żywimy zwyciężającej mocy i hartownej stałości w czynach myśli, mamy filozofię ducha niezestrojoną, słabą, która błąka się wśród mgławic uczucia, jesteśmy z różnych pierwiastków niezespoleni w harmonijnem złączeniu. I jest w tem nasza słabość, ale i nasza siła. Słabość, psująca ład słowa i zwięzłą prostotę, słabość, która sprawia, że tak mało nieraz przejrzystości i stroju w naszych myślach, że się uczucia, jak żywioły chaosu pasują, a przytem siła i możność rozumienia i odczucia tyłu i tak różnych pojęć, siła instynktowna, ogromna. I pomnimy godziny, kiedy myśl wybiega w takie dale, ku którym nie nadąży, kto zwraca oczy na prawo i lewo, i przed każdym zjawiskiem kroki odmierzając przystaje—i godziny, w których prosta wyrwa się z duszy pieśń, nie pytająca o wyrazy, ujarzmiona uczuciem, które w piersi wezbrało.

Mimo, że tak często daremny trud rycerza złotej baśni — trzeba, by wierząc szedł a nie oglądał się za siebie, ani patrzył na dziwy, które mu zastępują drogę; trzeba, aby przejechał mimo cudownych oczu, mimo głosów rozśpiewanych w zaczarowanej dolinie i mimo przeraźliwych potworów—niepowstrzymany, by dotrzeć do świętego Gralu. Trzeba, by nas uczucie prawdą swą opanowało i mówiło za siebie, trzeba, byśmy porwani przez nie, niewolnikami mu byli choć na chwilkę. Tak rodzi się i piosenka wieśniacza i najwyższa pieśń ducha. A tego ułożyć żaden kunszt nie potrafi. Nie mają dzieje myśli łacińskiej, ani improwizacyi Konrada, ani skargi biednej Gretchen, nie mają pieśni, któraby zawarła w sobie zakłątą tęsknotę ducha.

Jest tęsknota dusz słabych, a jest i tęsknota dusz silnych. Nie wolno każdą melancholię nazywać słabością uczucia. Gdy Abel Hermant w studyum swem o Maupassancie (w „Renaissance latine“ numer

z 15 marca 1904), bardzo z wielu względów dobrem, powiada o uczuciu poetyckiem, że jeżeli prawdziwe, bezpośrednie i szczere, dowodzi jedno młodości rasy i człowieka — nie jest w prawdzie. „Poezya szczerą“ — mówi on — „musi być odczuta, a ten przywilej odczuwania polega na tem, aby to, co innym martwym się zdaje, poeta jako żywe pojmował. Poeta nie udaje, ale czuje to życie, czuje, jak własne swoje, gdyż obcuje z przyrodą jak dziecko, długo po urodzeniu nierozłączone zupełnie od matki. Dlatego poezya szczerą żyje u ludów pierwotnych i u dzieci... Dzieci wszystkie są poetami nawet jeżeli ukryta w ich duszy poezya nie objawia się formą literacką... i wszyscy poeci umierają młodo, nawet jeżeli sztuczną retoryką przedłużyć pragną swą moc poetycką“ (str. 431). Nie masz tu prawdy zupełnej, jest częściowa. Młodość daje uczucie poezyi, gdyż żywi wiary i nadzieje nienasycone. Nie z obcowania z naturą jedynie, ale z głodu duszy, z głodu uczuć i nie ginących spodziewań się szczęścia, rodzi się poezya, dlatego przetrwa ona młodość, jeżeli wiek męski wiary nie wystudzi. Wobec wielkiej przyszłości, do której modli się wierząc dusza, jesteśmy zawsze dziećmi, choćby doświadczenia życia przyniosły nam siwiznę. Poetą był młody Shelley i Byron, ale poeta i ślepy Milton, Schiller młody i młody Goethe, ale i Goethe sędziwy, i nasi wielcy do końca życia. Czyż mniej poezyi w Mickiewiczu w pełni lat męskich, gdy pisał „Pana Tadeusza“, niż w Mickiewiczu wileńskim? Nie dzieci, ani młodzieńcy jedynie mają to wołanie duszy, zakłęte w poezyę, która nienawidzi „literatury“, bo nie szuka, ani porównuje, ale siebie głosi. Przepysznen jest wezwanie do młodości w prologu Fausta, gdy poeta prosi się, by mu wróciły czasy, w których pieśń, jako woda źródłana tryskała, w których mgła świat oprzędła daleki, a każdy kwiatu pączek cuda obiecywał:

Jam nie miał nic — a jednak mi starczyło:
 Żądza ku prawdzie, jasna radość złud.
 Nieujarzmione wróć serce, co biło,
 Głębokie szczęście, w którym ból i trud,
 Moc nienawiści, wraz z miłości siłą —
 O wróć mi młodość, wróć mi wiosny cud!

Goethe, gdy pisał te wiersze, nie był już młodym, ale był w najwyższym rozkwicie, w pełni swej poetyckiej mocy, i czuł najsilniej i najprawdziej. Gdyż jeżeli danem jest młodości to uczucie bezpo-

średnie i silne, nie jest jej wyłącznym przywilejem, i znowu słowami Fausta mówiąc:

Wrodzone każdy żywi w ducha toni,
 Że mu uczucie wybiega ku dali,
 Gdy po nad nami na błękitu fali
 Skowronek pieśń swą głoszącą się dzwoni;
 Gdy nad wyżyną ostrych świerków płynie
 Orzeł i skrzydły waży się wielkimi,
 A nad wodami, nad doliną ziemi,
 Żóraw ku swojej powraca krainie...

Ale, by poezya lata młodości przetrwała, nie gasić nam nadziei, ani wystudzać serca, ale mieć serce, ogarniające smutki i nadzieje wielu, mieć duszę, wsłuchaną w inne dusze, aby z nich siły brała. Poeta nie sobą jedynie, lecz światem całym żyć może, gdy ma nie wystygłą wrażliwość i niezamarłe pragnienia, gdy mu się rodzą wizye szczęścia większego, większego piękna, promienniejszej przyszłości, kiedy ma oczy w ten sen zatopione. Trzeba, jak Ulysses na wyspie Kalypso, poglądać w dal i tęsknić za czemś, czego życie nie dało. I nie szukać jedynie piękna, które wziąć można w dłoń i pojąć oczami, aby było chwilą rozkoszy, a potem jak kamyk cisnąć na obojętną falę. Nie być jedynie artystą, ale mieć miłość i pożądanie, większe od artyzmu.

Nie mów mi o srebrnych wrzosach, ani o kwiatów woni,
 Ni o strumieniu, Kalypso, co płynie z chłodnych grot,
 Mnie dziś oczy w oddal wybiegły i myśl chmurami goni,
 Jak mewa się pluszcze na fali i skrzydłem chwyta lot...
 O daj się napatrzeć do woli, daj się napatrzeć jeszcze,
 Nie wiesz, czy nam jutro pozwoli nad sinem morzem stać,
 A gdy wrócą oczy pijane — falą, co piła deszcze,
 Będziesz z nich, Kalypso, czerpała, będziesz z nich morze brać!

Poezya ma w sobie zaklętą wiarę i nadzieję jutra, i każe się ponosić uczuciu. Gdy odtrącić tę myśl, wybiegającą w dal i tęskną, gdy

się poezya ku ziemskim kształtom przywiąże jedynie, może być wielką sztuką pojmowania i patrzenia, ale duszy nie obejmie prawdziwie. Ci, którzy za Horacym mówią: Ty się nie pytaj, jakie mnie i tobie Bogowie wieczni przeznaczyli losy — i nawołują: „Carpe diem quam minime credula postero“ — mogą opowiadać piękność przedziwnie, ale nie zrywa się im w myślach ptak niespokojny, bijący wielkiem skrzydłem, które zapragnęło przestworza. Wszystko im do kształtów i do miary się ściąga, wszystko stawa się kunsztem, tej mierze podległym, wszystko rytmem drobnych wrażeń żyje, coraz bardziej ujęte w prawa formy, artystyczne a gladiatorские zarazem.

Zachód łaciński umie przepysznie widzieć rzeczy opanowane, wiedzieć je i opowiadać. Wschód mocen zapatrzyć się w panujące i zatonać dumaniem bezbrzeżnem, w którym się gubi życie. Nasze słowiańskie dusze bliższe Wschodowi są, ale przez religię i dzieło dziejów dobyte z panteistycznej zadumy, ku tęsknocie za Bożem jutrem chrześcijańskiej. Dlatego nasza poezya tak pełna zapowiedzi, pełna wzlotów nadziei, marzeń, skarg, smutków, pożądań wielkich, pełna pragnącej modlitwy. I nie jest jedynie mistrzynią słów, a bierze „w pierś magnetycznie“ natchnienie.

*

*

*

Niezwykłe złożony umysł — dusza w której zda się tyle niełacińskiego pierwiastku, choć myśl łacińskiej bystrości pełna — człowiek, który się przejąć potrafił zadumą wschodu a zachował bujną siłę czynu i wytrwałą, który stracił wiele wierzeń, a przecież wiarą wypełnione ma serce — bramin i rycerz z ducha — oto Jean Lahor, autor „Chwały nicości“.

Jean Lahor jest Francuzem, nazwisko jego dr. Henry Cazalis.

Dr Cazalis urodził się w r. 1840 w Carmilles en Parisis, należy więc do generacji naszych ojców, do pokolenia, dojrzałego już przed wojną 1870 r. Młodość wiąże mu się z ostatnimi latami romantyzmu, wiek męski z czasami, w których myśl pozytywistyczna opanowała filozofię i sztukę. Nie wchodził przeto w myśl tę, jak młodsze pokolenie, od lat dzieciństwa karmione zapewnieniem, że wiedza wszystkim jest i wszystko dać może a niczego nie stało coby nie było jej dziedzictwem, nie miał tej wiosny szarej, wystudzonej, w której jedynie entuzjazm laboratoryjny rozumiano, a na inne pa-

trzano z politowaniem. To przestudzenie młodzieńczego zapału w re-tortach wiedzy ścisłej, zabiło później wszelką wiarę, nawet wiarę w potęgę, i moc zbawczą wiedzy, gdyż wiara żyje w nieustannym po-rywie myśli, a pozytywizm suchy, określony, systemizujący każde uczucie, przeczył prawdzie tej równie bezlitośnie, jak fałszywie. Jak w mennicy pragnął wszystko ważyć i stemplować znakiem — nie-przejednany wróg tego co żywe, a przecież inaczej jak uczuciem prawdziwie niepochwytnie. Młody Cazalis nie miał piętna rozczaro-wania od lat najmłodszych, ale przeciwnie, był z tych, którzy ze szcze-rej wiary i zapału ku wiedzy tworzyli teorię „naukowego zbawie-nia“. Apostołowie wiedzy głosili ewangelię swą z całą mocą twórczego przekonania, i z całą wiarą, jaką mają rodzice myśli, a własną młodość, pragnieniem bogatą, oddali w służbę idei. W na-stępnem pokoleniu idea ta niweczyła pragnienia.

Jest w tem tragedia myśli ludzkiej, że wiary swoje przekuwa nieraz na niewiary dla drugich, że to, cośmy życiem jako przekona-nie zdobyli, gdy się stawa źródłem, skąd czerpać mają młodzi, już nie jest dla nich tem samem. My nigdy całych siebie i wszystkich dać nie możemy, i siły naszej młodości przekazać, a te pewniki, którym odda-liśmy wiarę, niewytłomaczone, niepojęte nigdy tak samo, jak je na-sze życie pojęło. A tak pozytywiści, którzy wywiedli zasadę, i ci, którzy ją w spuściznie przejęli, różni są bardzo i niepodobni do sie-bie. Iluż było z pokolenia, które dziś ustępuje z życia, entuzjastów po-zytywizmu, a ileż tej wiary posiadli synowie! Tamci z biciem serca szukali prawdy, zdało im się, że odkrywają drogę, że znajdują jedyną, bezpieczną. Nie wahali się żądać prawdy, wyciągając myśli, ani przeto nie porzucali niepewności. Ci młodzi przyszli w godzinę, gdy się roz-budowa dzieła kończyła i wysiłki tężały w system, obumierały w dog-mat. Nie dbali o dalszą dzielność ducha, przyjęli dogmat ten bez rozprawy. Nie mieli gorącej wiary i otuchy ojców i starszej braci, ani rozpędu myśli życiodajnego; przyjęli zaś z wątpienia i pewnością, że się skończyło filozoficznemu życiu, że nic dorzucić się nie da, że nie war-to, że obojętnem i nie prowadzącem do niczego balast ten cały podej-mować i wskrzeszać żmudnem, bez żadnej korzyści rozumowaniem. Pessimizm, który w starszych rósł z troski świadomej, przejęli mło-dzi bez rozprawy duchowej — odziedziczoną prawdą, niezdobytą. Nie chcieli już przemierzać drogi własnem wiosłem, rozpinać żagli na mo-rzu szerokiem. Zwinęli żagle, zaprzeczyli wyciążeniu myśli nie tyle z przekonania, ile z usposobienia. Już się w nich nie budziły poryw y wola ostygła.

„Mało żywili“ — mówi Abel Hermant w swem studyum — „po-jęć ogólnoludzkich, mało ich sprawa społeczna obchodziła... Obo-

jętność ich na filozoficzne zagadnienia dziwi nas i obrusza... Niewiele zajmowali się pojęciami ogólnymi, a zresztą, nie wiele z tego rozumieli... Pozytywizm był im pod tym względem bardzo wygodną filozofią; pytam się nawet, czy nie był raczej wygodą ducha, niż filozofią. Umysłowość naukową przejęli wpływem, ale się wcale do niej nie zapalali; nie widziało się ludzi niespecjalistów w dziedzinie nauk, którzyby, jak to w XVIII wieku było, dorzucali cegielkę do zasobu wiedzy. Czysto teoretyczne konsekwencye odkryć wcale ich nie zajmowały, a jeżeli jaką mieli ciekawość, to dla dotykalnych, materialnych rezultatów". „Mówiłem“ — dodaje dalej — „że nie mieli pojęć ogólnych — myślę się. Każdy je ma, choćby nie wiem jak był przeciwnym, lub do uogólnienia niezdolnym. Sądzę nawet, że nie można żyć bez systemu, przynajmniej w utajonej, nieświadomej myśli, bez filozofii życia, choć nierozwiniętej. Ludzie tego pokolenia mieli przecież jakąś filozofię, ale w braku współdziałania rozumu, poddaną i stworzoną przez temperament, przez usposobienie. Bliżsi niż my naturze, i jeżeli tak powiedzieć mogę, w obcowaniu z nią bardziej cielesnem, odczuli silniej od nas nieubłagany ucisk jej prawa. Poddali się uciskowi temu z rezygnacją bezwładną i zgorzkniałą, która nie jest stoicyzmem, oswobadzającym ducha. Nie mieli w sobie dosyć świadomości sądzącej, aby bez zawrotu poglądać na ciągły bieg rzeczy. Byli zanedo wylącznie zajęci życiem i używaniem, aby co chwila nie odczuć posmaku śmierci. I nie powiem, że doszli do konkluzji pesymizmu, gdyż nie wnioskowali wcale, wystarczyło im przecie iść za naturalną skłonnością i popędem, by w taką popaść wiarę; a ten pesymizm, który nazwę zmysłowym, jest może ostatnim wyrazem prostego rozsądku, porównnie jak transcendentalny pesymizm ostatnim wyrazem rozumu“ (La Renaissance latine, z 15 marca 1904 r., str. 423 — 424, o Maupassancie).

Przytoczyłem z umysłu dłuższy ustęp z pracy Abel Hermanta, uważając sąd ten o ludziach z przed ćwierć wieku za prawdziwy i jasny. Pokolenie, które może najlepiej wyraził i wypowiedział Maupassant, było znamienne różnem od starszej generacji, nawet od starszych braci, inne przede wszystkim brakiem wiary w siebie i zaniem filozoficznego myślenia. Nasze najmłodsze pokolenie wnosi znów nowe, odmienne cechy myśli.

Jean Lahor należy jeszcze do tych, którzy o dogmat wiedzy walczyli, którzy pragnęli wiedzieć o sobie i o życiu, i sięgać myślą w otchłanie.

Pochodzi Cazalis po ojcu ze starej hugenockiej rodziny z Languedoc, która bojowała przez wieki za prawa swobody sumienia i wolności człowieka. Musieli to być ludzie wytrwali, niezrażającej się od-

wagi, ścisłej, silnej myśli, gotowi na poświęcenie i walkę. Matka była katoliczką. I syn za matką wiarę przejął. Młody, gorącego serca i postanowień śmiałych, rwał się ku nauce lekarskiej. Natura ojca, przed wysiłkiem i trudem nieodbiegająca, i usposobienie matki, wierzące bardziej po katolicku, a więc nie szczerzej, ale serdeczniej łączyły się, by dać młodzieńcowi piękny zadatek wiary w życie. Rozpoczął za wolą ojca, który sam lekarzem był, nauki prawne, ale myślą nie był z tym kierunkiem studyów. Po śmierci matki przerzucił się na medycynę, i jako lekarz, już brał udział w wojnie z Prusami.

Wiedza lekarska jest wielką nauką życia. Mówi o smutkach bytu, o nędzy człowieka przepastnej, i o zbawieniu, o ratunku. W niej czerpać można melancholię i żal, żeśmy tak niedołęzni, opuszczeni, słabi na drodze życia, ale można porównie hartować odwagę, broniącą piędź za piędź szczęścia ludzkiego przed losem.

I dusza Cazalisa poddała się wpływowi obydwom, rozdziwiła się w sobie na smutek i na otuchę. Wiedza, najbardziej ratująca, a przecież dająca tyle niepokoju serdecznego, odebrała mu wiarę, na dogmatach budowaną, ale nie potrafiła odjąć religii duszy. I przeciwnie, zdawała się umacniać i pogłębiać. Heuryk Cazalis jest religijnym człowiekiem. Uczucie, z którym wchodził w życie, nie zginęło, innem jest pozornie, ale się nie wyrzekło nadziei. Rozdziwienie to niesłychanie jest psychologicznie ciekawem.

Pozytywizm, w najszlachetniejszym znaczeniu, wierzący w lepszą przyszłość, w szczęście ludzkie, zdobyte pracą, wywalczone na losie. Wiara, odwagi pełna i entuzjazmu, silna i rzymska, która po nad trud się wzbija i po nad przeciwność, i po nad niepewności. *Contra spem spes*, wiara, mówiąca: „si fractus illabatur mundus impavidum ferient ruinae“. Z niej wytrwały, nieustawający, zawsze młody czyn. A na-przeciw tej energii pewność. przejęta w myśli, że wszystko znikome i niszczącemu poddane przeznaczeniu. I jedno tylko poznawalne, pewne, nieuniknione, wszędobecne: Śmierć. Lekarz bliżej, niż ktokolwiek inny, widzi ją zazajoną, nieubłaganą. R o z k ł a d i Ś m i e r ć. Koniec, z którego rodzi się nowy początek, i tak nieskończenie, i tak ciągle od zarania Stworzenia. Po co trwa wszystko? Kimże jest Stwórca? Co za myśl przewodniczyła tej Zgubie nieustawającej? Czemuż ten korowód powszechnej śmierci? Oto pytania, dręczące duszę ludzką. Nie chce przed nimi uchodzić umysł Cazalisa, kryć się w bezpieczne formułki niewiedzy i obojętności. On pragnie wiedzieć—dlatego cierpi. On obojętnym nie jest—dlatego pyta. I myśl, nad temi pytaniami pracująca, zwróciła się jak ku cudownej krynicy, ku filozofii Wschodu, i poznała prawdy starych Ved, skarbnice odległej tak, a tak blizkiej nau-

ki, i pesymizm szlachetny, pełen serdecznej miłości ku bliźniemu, pesymizm Buddy.

Rzadką u francuskich umysłów troską filozoficzną wytrwały, nie odjął się Henryk Cazalis temu dążeniu, które każe myśl poznawczą sądzić pytaniem o jutro, nie zadowolnił się wyznaniem łatwym a nieszczerem myśli, wygodnej na dzisiaj, formułą, z bystrych a czcnych słów ułożoną. Szedł głębiej i dalej. Odważna sumiennosc zmuszała go do tego, a również przymuszało uczucie żywe, pragnące. Zbratały się w tym umyśle dwie różne wizye, dwa odmienne poczucia życiowe, czujny, czynom skory duch, i serdeczna, zamysłona dusza. Filozofia i energia, pierwiastek męski i żeński pożądanja. Słowianin byłby ważył myśli, nie działał może, a gdyby tylko łacińska myśl to pojmwowanie wychowała, nie miałyby tyle poezyi w sobie. Tak więc żyją tu, jakoby dwaj ludzie zbratani, z których jeden z oczami, w przestwór zwróconemi, chciałby rytm świata odgadnąć, i smutnym wzrokiem ogląda wieczyste wschody i zachody, dni, zgony i narodzenia rzeczy. A drugi w dzieł i prac wirze nieustannie natęża siły ku pomocy bliźnim i pocieszeniu.

Tak złożona i bogata natura musiała się wypowiedzieć. Gdyby nie mogła, nie byłaby tak bogatą. I tu znów rozdwojenie człowieka. Jest dr Henryk Cazalis, lekarz, filantrop, pracownik niestrudzony, i jest Jean Lahor — poeta, myśliciel, zadumany w Stworzeniu.

Rozpoczyna szereg prac swoich zbiorciem panteistycznych wierszy, nazwanych: „Melancholia“. Wychodzą te wiersze około 1873 r. Potem: „Pieśni miłości z Włoch i Szwajcaryi“ utwory młodzieńcze, których dziś nikt może nie odnajdzie, których sam autor nie posiada w zbiorze.

Z kolei następują najważniejsze dzieła Lahora: *l' Illusion*, wiersze, już w nastroju indyjskiej nauki życia, a którym takie położył nazwania: śpiewy miłości i śmierci, śpiewy panteistyczne, chwala nicości, ciemne godziny, a wreszcie wiersze stoickie i wiersze złocene. Równolegle do tych poezyj, mówiących nam godziny myśli, wypowiada wiarę swą w księdze, której dał tytuł: *Chwała nicości* (*la Gloire du Néant*), a którą podzielił na rozdziały: pod północnem niebem, na wschodzie, *l' Illusion*, i *Kosmos*.

Obok tej księgi spowiedzi swojej duszy, pisze *Historję literatury indyjskiej*, pragnąc dać w krótkim zarysie dzieje wyobraźni i teoryj wyhodowanych na starej ziemi Aryjskiej, dzieje umysłowe i religijne prastarych czasów, tak pokrewne przecie pesymizmowi życia, który nas opanowyywa i ogarnia. Książkę tę poświęca Pawłowi Bourgetowi.

Za nią wydaje nowe wiersze: „Czar Sivy“, wreszcie zbiór krótkich rymów, naśladowanych formą z czterowierszy Kheyama, a przypisanych Abu-Hamed Mohamed ibn Achmet Al-Ghazalemu, filozofowi arabskiemu z roku 450 hegiry (r. 1058). Zbiorek ten nosi tytuł: *Les Quatrains d' Al-Ghazali*. Wreszcie dodać należy do tego wyliczenia dzieł Lahora tłumaczenie: *Pieśni nad pieśniami*.

Młody, spoglądający na świat z umiłowaniem życia, z umiłowaniem czynu, jest Lahor poeta, który zrazu upojonym wzrokiem objął czarowną piękność stworzenia i kształtów piękność różnolitą, bujną i strojną. Śławi światło, śpiewa niebo i morze. Cieszy się, patrząc na kołysaną falę i mówi o niej:

Danseuse bizarre dont l'Âme
Change d'humeur à tout moment,
La Méditerranée est femme
Et je suis l'un de ses amants!

(L'illusion, str. 65).

Ale ułuda nie położyła mu na oczach dłoni uwodzicielek. Jeżeli modra toń morza tancerką mu się być zdaje, pyta: czemu dusza tancerki jest nielitościwa i kłamiąca? Czemu służy, co w sobie żywi przestwór morza i ziemi? I myśl dąży mu ku dali niespokojna, nieukojoną. Nie starczy jej z a c h w y t p i ę k n o ś c i, pragnie, pożąda z a c h w y t u p r a w d y. To jest myśl silna, która garnąć może w siebie wiele smutku i wiele nadziei, i nie przytula się do nikłego szczęścia, to jest myśl szczerą i skora, która nie czyni lenistwu obrony. Więc się i przerażeń nie lęka i wchodzi w okrąg straszliwy pytając, czem Przeznaczenie, poznając Ś m i e r é.

„Nieskończoność nad głową moją, pod stopami znowu nieskończoność, a w pośrodku tego rozgwar ulic, mężczyźni, kobiety, całe to błoto.... Jakiż to sen, i czy sen? Czy mój, mego skołatanego mózgu czy też i mózgu Nieskończoności, schorzałego porównie mojemu“ (Chwała nicości, str. 3).

Temi słowy rozpoczyna książkę o „Chwale nicości“. Czemże jest dusza? Tancerką ułudy, i dla czegoż to, co trwa, trwa dalej, gdy wszystko w rum się sypie niepowrotnie i żywi w sobie zagładę.

W swych wielkich, czarnych oczach Peri
 Chowa kłamstwo kobieta czarownego ciała,
 Dla chwili, jak sen nieszczerej,
 W miłości, jak sen krótkiej, tysiące pojmą.
 O Allah, Allah, tyś niesyte,
 Dał jej oczy, a memu sereu żądy bicie,
 Panie, co władztwo dzierzysz skryte,
 Czemuż śmierć żywisz w źródle, kędy tryska życie?

(L'Illusion. Chants de l'Amour et de la Mort, str. 79)

Za to wszystko nieszczęsne, nikczemne, za to wszystko złe, które się pełni naokół — napełnia duszę poety, smutek nieprzebrany. „Najmniejszy występki, najmniejsza brzydota, najmniejsze niezasłużone cierpienie (a zbrodni, brzydoty i cierpienie niezasłużonych, nie brakło od początku czasów), przeczą optymizmowi, który wzdryga się przyznać wiecznie chaotyczny stan świata; bowiem każda z tych zbrodni, każda z tych brzydot i z cierpienie tych każde wynika z dalekiego powiązania przyczyn i skutków, które dotychczas nie były w stanie stworzyć czegoś innego i wprowadzić w świat, czego by się miało prawo spodziewać, ładu, piękności, sprawiedliwości. Owóż te przyczyny podległe czyż nie zdają się świadczyć ujemnie o Przyczynie pierwszej Wszecrzeczy?“ (Chwała nicości, str. 4).

Dusza czysta i serdeczna Lahora, która z radością życia młodzieńczą wybiegła ku poznawaniu, wzdrygnęła się, zdjęta bólem rzeczywistości. Tyle złego, tyle okrutnego złego! Po co to wszystko i dla kogo? Oburzyło się i załękło serce sprawiedliwe. Porównaniem pospolitą a brutalnie szczerem powiada: „ze starego papieru robią nowy, a ze zmarłych żywych, i tak do końca czasów wieczyście. Jeżeli więc tak jest, nicość dla nicości, czyż nie lepszą byłaby nicość cicha? (tamże, str. 5).

I myśl poety stanęła u progu *N i r v a n y*. Nicość cicha, nicość ukojona, błoga, to niebyt, bezdeń ciszy, to nieistnienie. Czemu myśl goni za drogami gwiazd, czemu wybiega na niebo?

„Na placu, kędy świecił księżyc, biedny, obdarty człowiek pokazywał gwiazdy za kilka susów, i w kropli wody pokazywał świat dziwny infuzoryów. Widziało się gwiazdy, przechodzące jak królowe, a jak pospólstwo, zwierzęta w kropli wody, które się wzajem trącały. Od nieskończenie wielkich, do nieskończenie drobnych, biegła, zdziwiona temi dwiema przepaściami, myśl, przerażona tą ciszą dwóch

światów, gdy ucho łowiło gwar uliczny i krzyki brudnego, obdartego człowieka. Jemu nieskończoności dawały parę susów zarobku... A takim jest poeta, któremu widok rzeczy daje chwilami zdobyczkę kilku myśli, lub marzeń kilku" (tamże).

A to wszystko, co się roztacza przed wzrokiem naszym niezrozumiałe w piękności swej i w potworności niepojętej? Podobniśmy mrówkom, patrzącym na zachód słońca purpurowy.

Zachodziło w czerwieni olbrzymie, wspaniałe
Słońce — u nóg mych w trawie szły owady małe,
I przy tym ludku, który u mego podnoża
Dążył do lasu wielkich kłosów zboża,
Dusza moja pragnęła widzieć zamysłona,
Jaki kształt w drobnych mózgach ma ogrom, co kona,
I przestрах, i zdziwienie zwierzątek brać w siebie,
Patrzących, jak w krwi pławi się potwór na niebie.

(L'illusion, str. 270, l'âme des bêtes).

„Więc pocóż cieszyć się życiem? Dla kogoż ten świat? dla nas? Ależ ledwieśmy weszli w życie, myśleliśmy tylko, jak się rozerać, jak się wyrwać ciężkiej nudzie żywota, przygnębieniu godzin monotonicznych. Dla Boga? Ale jakiegoż Boga ten widok uwesela?“ (Chwała nicości, str. 7).

I poeta woła z głębi serca:

„Dieu du Ciel ne souffres tu pas de voir toujours l'homme traverser ton rêve!“

Zdało się duszy cierpiącej, że poznała kres swojej drogi i prawdę rzeczy w straszliwym prawie Natury, które wszystko podległemu zniszczeniu uczyniło; świadomość, żeśmy jak nędzne, ślepe robaki ziemi, losom, porównie ślepym wydane, że nic na przestworzach Nieba nie świta, ale wszystko wieczystym jest chaosem. Przerazająca myśl uietrwałości, wobec której wszystko jest złudą i omamieniem zmysłów, ogarnęła umysł Lahora i przejęła pesymizmem, nie z uczucia jedynie, ale z najgłębszego przekonania zrodzonym. A tu zderzyły się walką dwie siły tej duszy, dwa tego umysłu dążenia, aby zwycięstwo zostało przy nadziei. W przedmowie do książki swojej tak mówi Cazalis o sobie:

„Świat ten zdał mi się prawie równym nicości, a na tej głębi nicości ułuda stwarzała wyobrażenia jestestw. A wówczas przeraziłem

się. Ludzkość nie doszła jeszcze do tego stopnia świadomości, ale dojść może, a śpieszyć się trzeba tym, którzy jej tej strasznej obawy oszczędzić pragną i ocalić w niej życie i siłę moralną człowieka“.

Tu, naprzeciw zamyślonogo filozofa, staje szlachetny, dzielny człowiek. Stawia sobie pytanie, na które dwie są odpowiedzi: rozpacz i bohaterstwo.

„Jakżeż może pesymista“ — pyta — „zachować radości serca, zachować i mnożyć energię, nie tracąc konsekwencji przekonania“. Odpowiedź wybrał dawno, nie mógł dać innej, gdyż ta była mu przyrodzoną dzielnością, i powiada: „że ludzkość z tej pesymistycznej wiedzy, jak z dogmatu i założenia myśli wychodząc, winna dążyć ku odbudowie moralności swej i wiary, wiary w siebie, jeżeli nie w Boga“ (Przedmowa do Chwały nicości, str. III).

Dla Lahora świętem jest przekonanie, że moce zbawcze ludzkości żyją i działają w niej na przekór wszelkiej przeciwności. Moce te, to pożądanie szczęścia i twórczość. Nie spoczywa duch ludzki ani w smutku, ani w szczęśliwości, ale ma w sobie wieczne źródło pożądania, a z pożądania rodzi się i rośnie dążenie. Mimo złe, mimo nędze istnienia, mimo zniszczenie, czyhające na każde dzieło życia, nie ustawa człowiek w żądzy bytu, ani ustawa w dążeniu, nawet mimo że wie o bezlitosnym kresie wszystkiego.

„Jak kochanek“ — mówi Lahor — „choć nie wierzy, kocha i kocha, chociaż wątpi, chociaż czasem pogardza, tak myśmy, zakochani w piękności, otaczającej nas i złudnej, i zakochani w czynie myśli naszej, a przeto winniśmy, w tej chwili życia, która nam dana, objąć i uchwycić, jeżeli to możliwem, nieskończoność miłości, snów, myśli, uchwycić, jak światło skupia się w dyamencie, jak blask nieba, w kropli wody zaklęty“ (tamże, str. IV — V).

Nie z optymizmu tedy, który głosi zadowolenie, ale z bezgranicznej pewności pesymizmu winniśmy czerpać siły do walki z nikczemnem, upadającym złem życia. Widzimy wokoło marność i brzydotę — rwijmy się ku wyższemu, piękniejszemu celom. Kochajmy piękno w naturze, a jeżeli wszelkiej piękności nie da nam natura skąpa, stwarzajmy ją w okół, stwarzajmy ją z siebie. Czyż to, co czcimy jako dobre, szlachetne, szczytne, czyż to nam danem było, a nie raczej wywalczonem przez ludzkość w długich dziejach wysiłków i pracy nieustawającej, czyż te zdobycze stuleci, te zapewnienia bohaterskie, te zwycięstwa na lepsze dni, na to, by się ich wyzbyć, porzucić i rozproszyć na marne? Nie — po stokroć nie! To moc, dająca nowe moce, to skarb siły na szczęście lepszego jutra. My zdobywamy świat

my zdobywamy życie. Przeobrażamy ziemię i przeobrażamy siebie. Budowniczymi jesteśmy, wynosząc prawa moralne i dzieła, panujące jak gmachy wspaniałe, jak tryumfalne łuki, pod którymi przechodzą przysze pokolenia. Z czynów naszych przyszłość, wiara i Bóstwo dla świata. Nie wyrzekać się więc trudu, ale wyteżać. My iskry wyrwaliśmy Niebu, aby ogień ziemski rozniecić!

Widzimy jak myśl poety wyrywa się z kręgu zwątpienia, opuszcza szlak smętnej zadumy a dąży prometejską drogą. Ozwało się uczucie, które się żarzy w piersi odważnej — uczucie woli nieujarzmionej wyzywające los do walki. Mamyż zdobycze ducha zatracić? „Przez wieki w tej nędznej i upodlonej ludzkości“ mówi Lahor „wytwarzała się arystokracja ducha i trzeba nam każdemu być z nią albo nie być razem. Zaiste ideał narzuca się nam obowiązkiem i obowiązkiem przywiązuje — jak obowiązkiem jest odkąd powstała różnica między bestyą a człowiekiem — człowiekiem być, a nie zwierzęciem“ (str. VII).

Obowiązkiem ducha! *N o b l e s s e o b l i g e* — oto hasło i wskazania, które w uczuciu poety z pesymizmu wyrosło — oto rdzeń, podstawa moralności i religii społecznej. Skoro bowiem człowiek wie — i poznając świat przenikliwym spojrzeniem rozróżnia złe, przeto siebie ode złego oddziela i tworzy własny świat dobra. Z rozeznania, że siła brutalna nikczemną jest, stwarza pojęcie prawa — z współczucia cierpieniu stwarza religię litości i miłosierdzia. I w słowach pełnych wiary w czyn ludzkości święci Lahor powołanie szlachetnego pesymizmu, który ludziom wykazał niedolę — a wzywa do wywalenia życia lepszego i wyższego. Myśli tej służy lekarz i uczone zwyciężając ułomności fizyczne — „zmuszając Naturę, tworząc jak ona tworzy, by przezwyciężyć niebawem Śmierć, a przynajmniej ukrócić to, co by można nazwać *m o r d e r s t w a m i ś m i e r c i*, jej porównie artyści i poeci oddani strojem w rostroju wśród kształtów nieładu i pospolitości będący — ona to budzi i przyzywa bohaterów i świętych życie swe za bliźniego oddawających, wznoszących się nad peziomy, wierzących, że jednostka wówczas jedynie jest silną i trwanie ma w sobie, jeżeli żywot swój połączy z ojczyzną lub ludzkością, a wówczas udział ma w szerszym bycie, w dłuższym trwaniu ludzkości i ojczyzny“ (tamże str. X).

Tak pojęty — taki pesymizm — pełnym stoickiej cnoty jest i wzywa do bohaterstwa nie do omdlewania woli... Wieści zorzę przyszłości promiennej. Poeta myśliciel wierzy: że „jeżeli przyszła nauka nie odnajdzie Boga, który winien być w świecie żywą sprawiedliwością — my bez Boga stworzymy co *B o s k i e* i z chaotycznej nocy wzbudzimy światło: *e r i m u s s i c u t D e u s* (tamże str. XI).

„I założymy religię, związek dusz ludzkich, która będzie miała moc niecenia zapału, religię zrozpaczonych może, ale zrozpaczonych bohatercko, religię która zbliżałaby się trochę do Stoicyzmu — a zwłaszcza do nauki pierwszych Buddystów.

„Tak, — sądzymy z prawdziwą buddyjską nauką, że wola i czyn przeszłości stworzyły teraźniejszość, że przyszłe życie ojczyzny lub rodzaju dziś i w każdej dobie budujemy z błędów jak i z cnót, ze słabości jak i z energii naszej. A taka walka między nikczemnie małą wolą człowieka a koniecznościami losu, które co chwila grożą jej i przytłaczają — taka walka choćby jak ciężką była, ma w sobie piękność, która nas kusi — z walki tej bowiem męska się rodzi dumą“ (tamże str. XII).

I poeta temi słowy kończy przedmowę swoją: „Może teraz lepiej zrozumianą będzie ta książka, pełna wzruszeń, niepewności, radości i smutków, entuzjazmu i rozpacz, a na końcu jej akt wiary, finał poważny i religijny — historia animæ meæ“ (tamże, str. XII).

Odwracamy karty książki, czytamy ją z myślą, ujętą szczerością, porównie jak szlachetnością duszy, która szuka, za prawdą duszy, mimo niewiary religijnej, odczuwającej tak silnie ból i smutek życia, tak współczesnej, i tak pokrewnej naszemu słowiańskiemu, naszemu polskiemu uczuciu, a odważnej, mimo żaloby. Jean Lahor pojrzał oczyma wyteżonemi w przepaści życia, nie zwątpił przecie, ale wolę przeciwną wstał niedoli.

Nie tak świetny słowy, nie tak genialny rozumowaniem, ani tak konsekwentny, jest on przecież poczuciem prawdy wyższym od dwóch arcy mistrzów pesymizmu, Nietzschego i Schopenhauera, nie wspomnę już o Hartmanie. Wyższym, gdyż zachował ufność w moc dobrego, chrześcijańską godność świętego czynu. Zachował wiarę do brej woli.

Zwyciężyła w nim logika szlachetności, która rodowód swój czerpie z wiekowej kultury chrześcijańskiego ducha, Lahora filozofa zwyciężył człowiek Cazalis, wyższy tem utajonem poczuciem, o którym Pan we Fauście mówi do szatana: „Ein guter Mensch in seinem dunkeln Drange ist sich des rechten Weges wohl bewusst“!

Ścisłe rozumowanie na inne wiedzie szlaki. Jeżeli przyznamy za prawdę zasadniczą, że w stworzeniu niemasz Bóstwa to jest górującej, świadomej siebie i celowej Mocy, musimy przyjąć dwie alternatywy: albo ubóstwieć nieokreśloną siłą wszechbytu, co równem jest zaprawdę ubóstwieniu Nicości, gdyż ta siła niema ani Istoty, ani celu świadomego, ubóstwieć zatem ślepą Przemoc, albo ubóstwieć

człowieka. Na tym krańcu widnieje kult własnej siły, własnego prawa i piękna, zatem kult samowoli i najwyższego egoizmu. To Nadczłowieczeństwo, Nietzscheanizm. Na tamtym kult bezmyślny Potęgi, której igraszką żywoty jestestw ginące i rodzące się bez liku. Wszelkie więc życie błędnym jest ognikiem na moczarach, a świadomość tego nieszczęściem duszy, której jedynym prawdziwym szczęściem niewiedza, spłynięcie się z Wszechiłą — Nirvana.

Ku tym dwom krańcom dąży wszelkie rozumowanie pesymizmu odmawiające światu światła Bożego. Albo trzeba rozniecić płomień ludzkiej prawdy, albo uznać panowanie ciemności. Ale ludzka prawda, uczyniona prawem wyłącznym, prowadzi na bezdroża. Gdzież jest granica, która jasno i sprawiedliwie oddziela ludzką prawdę od mojej prawdy? Zrozumiał to doskonale Nietzsche i — potępił moralność chrześcijańską. Nie ostoi się ona bowiem, skoro z niej Chrystusa wygnamy, gdyż mimo, że jarzmo Krzyża lekkie, jest ono narzuconem nam jarzmem. Narzucić je zaś dozwoliliśmy sobie jedynie przez wiarę, nie przez zgodę. I tu jest błąd filozofii Lahora, która jeszcze wierzy, że człowiek bez przymusu ducha mógł dobyć ze siebie tyle szlachetności i zechciał rozdawać się bliźnim. Gdyby tak było, rosłaby moralność świata sama ze siebie w piękno coraz to wynioślejsze. Nie widzimy tego, ale widzimy przeciwnie, że wszystkie wielkie nauki moralne krzewiły się z wiary, a wiara ta narzucaną była ludziom. I czy duch władca nazywał się Mojżeszem czy Buddą, Mahometem, czy jak świat chrześcijański wierzy, Chrystusem, Synem Bożym, wszędzie tak samo opanowywał wolę i sumienie żądaniem wiary. Przekreślić to uczucie, a mieć ufność jedynie, że coś być może, to porównanie rozbięciu woli. Stoicyzm wyratuje nieliczne jednostki uszlachetnione rasą, tradycją, wychowaniem — rzesza w pesymizmie znajdzie zagładę. Załogi statków muszą wierzyć, że po drugiej stronie morza — ład czeka. Przeszacowanie wartości w uczuciu wiary, to zabicie tego uznania.

Ale — powiada Lahor — jest utajona myśl życia, jest rytm ukryty wszędzie — żywy, drgający — jakieś pulsujące tętno wszechświata, które świadczy o sobie i w instynkcie najniższych zwierząt i w myśli ludzkiej najwyższej.

„Rytm jest wszędzie i we wszystkim — rytm, który już życiem jest w sobie, wszędzie czy w płynnej komórce w sferę doskonałą jak gwiazda zakłutej, czy w kryształach gradu, śniegu, lodu, które na szczybach naszych w magiczne rozrastają się paprocie. I rytm jest w chemicznym związku ciał — metali czy metaloidów, łączących się według liczby i właściwego stosunku — i jest w tych wirach, w których krąży ziemia, księżyc i słońca i w tem, że morze wznosi się ku gwiaz-

dom i w falowaniu, w prądach tego morza i w kolisku, którem przelewają się wiecznie wody z morza w powietrze, z powietrza w płaszczyzny i góry, z gór i płaszczyzny powrotnie do morza. Ale przede wszystkim w najwyższym stopniu jest rytm w tym cudownym świecie roślinnym, gdzie wszystko muzyką jest — czarem dla oczu i w świecie zwierzęcym, w przepysznej jego anatomii. „I można pojąć“ mówi z przekonaniem silnem „że starożytni ubóstwili ludzi, którzy nosili w sobie potęgę — c z a r r y t m u, stwarzali sztukę, piękno, prawo moralne — (prawo moralne — rytm w sferze czynów ludzkich) i ubóstwili ich jako mających ten dar prawdziwie boski wyczucia i wypowiedzenia rytmu widomego czy utajonego zakłętego w istnienia, tworzącego w nich życie, ład — piękno bez skazy. (Chwała Niemości str. 249).

Czemże więc jest ów rytm-instynkt życiodajny? Lahor na końcu swojej książki, a zarazem swojej spowiedzi — pyta się sam siebie, niepewny a szczery, i przyznaje, że instynkt najniższych istot Stworzenia — w podziw wprawia i mąci rozumowanie a zmusza prawie by uznać istnienie kierowniczej Myśli — choćby nieświadomą siebie była — istnienie myśli tej we wszystkich jestestwach, we wszystkich częściach substancji (tamże str. 248).

Tem wyznaniem przenosi rodzicielstwo i najgłębszą przyczynę prawdy z woli człowieka na Moc tajemniczą, którą człowiek odgadnąć i wyrozumieć się stara. Zatem ludzie, którzy piękno na ziemi stwarzają, nie ze siebie, nie z własnej mocy je wywiedli. Oni je wyczuli — oni je wyczytali w Stworzeniu. A jeżeli wyczytali to że napisaniem było — utajonem może ale nie dla wszystkich ani na wieki, — ale objawiającem się i objawionem. I tu jest przeciwstawienie z Nietzschem — różnica myśli zasadnicza, głęboka. Religia, nazwijmy ją tak, będzie u Lahora arystokratyczną — u Nietzschego despotyczną. Pierwszy powiąże społecznie człowieka z ludzkością, ludzkość z całym stworzeniem — drugi nić braterstwa zerwie, a da człowiekowi więzy, aby krępował życie bliźnim ku swojej chwale. U Lahora człowiek budowniczym będzie dla społeczeństwa, u Nietzschego sam sobie stawia ołtarze. Lahor nie tylko uzna sumienie, tę dobrą wiedzę i dobrą wolę skierowaną ku bliźnim, ale uczyni je prawem — Nietzsche wywyższy jedynie wolę, która służy sobie samolubnie „poza krańcami dobrego i złego“. Lahor będzie chrześcijaninem w duchu — Nietzsche chrześcijaństwo odepchnie.

Ale skoro raz przyjmiemy dogmat zupełnego pesymizmu — wydaje nam się konsekwentniejszym moralne stanowisko Nietzschego — któremu przeciwstawić można logicznie, nie wychodząc po za wytyczną zasadę — pogardę życia Hinduską, zaprzeczenie

woli bytu. Schopenhauer lub Nietzsche — negacya mojej woli wobec przemagającej, bezwiednej, ślepej woli Universum — p a s s y w n a konsekwencya pesymizmu, lub przeciwnie, woli mojej afirmacya najwyższa i bezwzględna, wyniesiona prawem wobec bezwiednego życia — non datur tertium. Pośrednie i zbieżne ku chrześcijaństwu pragnienie, aby ratować dla świata jakąś Opatrzność — chociażby ludzką, z ludzkich prac i wyteżeń zrodzoną, O p a t r z n o ś ć p r o m e t e j s k ą — uczuciem jedynie można obronić, jeśli się wierzy w pesymizm. Gdyż Prometeusz nie mógłby być pomyslanym bez Zeusa. Dlatego pesymizm absolutny — jest religią straceńców. I Budda Gautama, boski Sakhya Mouni, jeżeli głosił c z y n m i ł o s i e r d z i a a nie jedynie u c z u c i e l i t o ś c i, czynem tym wybiegał po za swej nauki pesymizm, — utwierdzał prawo i nadzieje życia. Wolno nam przeto twierdzić, że wiara Lahora większą jest od głoszonej nauki i że ma w sobie niezamarłe siły chrześcijańskiej nadziei, która mimo zapewnień pesymizmu — e p p u r' s i m u o v e — w człowieku. I w tem poczuciu rozumiemy rozdźwięk między filozoficzną tezą — a pytaniem dręczącym, kto Twórcą i kto Panem rytmu w przyrodzie. A tak patrząc na człowieka tego i myśl jego oceniając, nie dziwne, że uznajemy szlachetność i szczerłość tej duszy — nie uznajemy rozmowy teoryi. Wyznanie jej brzmi:

„Wierzę w człowieka wszechpotężnego, który stworzył Niebo i stworzy na nowo ziemię, który cierpiał jak Jezus i jak On ukrzyżowanym jest, żył w otchłaniach, a który dziś zmartwychpowstał i świecić będzie w chwale swojej i sprowadzi panowanie Sprawiedliwości i niebawem sądzić będzie żywych i umarłych. Wierzę w Ducha — w Wiedzę i niezadługo sił tych panowanie. Wierzę w jeden Święty Kościół powszechny, w obcowanie bohaterów i świętych w dziele zaślubienia — odnowienie miłości, która trwa z wieków na wieki. Wierzę w odpuszczenie wielu grzechów, w pogodzenie Ducha i Ciała, w życie idealne, wzniosłe i w nieśmiertelność moją w żywocie wiecznym mego Rodzaju i Świata,„ (Chwała Nicości str. 250).

Wyznaniem tem nie zakończył swej książki — nie mógł — był za szczerem ze sobą. To co w nim żyło i było więcej nad udowodnione sobie pojęcia, wyrывało się z głębi ducha i musiało się wypowiedzieć. Napisał więc Jean Lahor jeszcze:

„A ostatniem słowem jest: Cóż wiem — cóż wiem? — jeżeli nie to, że są cnoty i piękności, które kochać, boleści, którym ulgę nieść trzeba, zło które trzeba leczyć, illuzye, którym cześć oddawać zawsze — i że są promienne widoki nieba i ziemi, cudowne jutrenki, zachody słońca pełne czaru, rajskie noce letnie i słodkie usta, które się łączą i miłości okrutne i rozkoszne lub miłość szalona, której imię

samo każe drzeć sercu memu, istoty dobre i święte istoty, i chwilami boskie radości zmieszane z tą ludzką niedolą... A w niedościgłej głębinie — daleko, o! tak, boleśnie daleko w tej chwili od oczu moich i od mej duszy, nieznaną Stwórca rytmu, rytmu nierozłącznego z życiem — zdawającego się treścią życia samego — Bóg — Bóg, którego odnajdziemy może! —“ (str. 251 tamże).

Że to powiedział — a z głębi serca powiedział, dał świadectwo nie tylko rozumnej ale pokornej duszy, która wiedzieć pragnie, ale się waha przesądzać. I dlatego piękniejszym jest od filozofów niemieckich, choć im nie sprostał myśli rozprawą.

Lahor szczerym jest wobec siebie do końca. Książka jego ma wartość prawdziwej spowiedzi i przywiązuje do siebie. Jest w niej mnóstwo spostrzeżeń głębokich, powiedzeń pięknych, myśli bystrych i uczucia przejmującego. Nie będziemy mówić o nich, ani oceniać wartości, sama książka niech przemawia za siebie. Czytać ją warto i zaprawdę więcej mieści w sobie dobrego od wielu głośniejszych sławą i plon z niej lepszy niż ze słów Zarathustry. Ludzkie głosi bohaterstwo a nie nadludzkie ani nieludzkie. W czasach tak niewiernych, jak nasze, dobrze czytać słowa niewierzącego, który jak Lahor nie odłączył się od dziedzictwa miłości bliźniego i tak mówi o człowieku: „Czyż nie ten bohaterem, kto życie swoje ciasne o krótkim dnia trwaniu, życie miłości własnej — zamieni na życie Ojczyzny swej lub rasy, który zamiera w sobie, aby odżyć we wszystkich — oddaje życie, aby je pomnożyć. I czegoż porównie pragnie artysta i prawdziwy poeta, jeżeli nie wcielić się chwilami w olbrzymią Naturę — łączyć się duszą z duszą jej znikomą, marzeniem swem z jej się zrównać marzeniami, a może je czasem przewyższyć. Zaprawdę, najsilniejszym fundamentem moralności będzie przeświadczenie, że życie jednostki wielkiem i silnem być może jedynie jako cząstka całości i że ciasny, egoistyczny żywot nie jest według słów Buddy — jak tylko stanem ciemnoty i niewiedzy“. (Chwała Nicości str. 151 — 52).

Panteizm indyjski wyznawców Buddy rychło jednak tę prawdę zapoznał, a nie odwagę życiową, ale pogardę przejął po mistrzu objawicieli, który zgłębił cierpienie żywota. Dlatego żywota nie pragnie, rdzonnej woli istnienia zaprzecza. Ale Lahor nie chce być „rischim“ hinduskim zapatrzonym nieruchomością oczu — i choćby chciał, nim nie będzie. Wszystkie twórcze moce żywotne, cały Hellenizm, całe Chrześcijaństwo wołają w nim: życia i światła! „Wie on“ — mówi w krytyce swej książki Lahora Gaston Déchamps (artykuł w Temps, rocznik 1893) „wie z Platonem, że dążyć trzeba do prawdy całą“

m o c ą duszy. Lecz Bóg, którego wielbi, nie mieszka już w teologicznem empyreum, ale w głębinach moralnego sumienia“. A Henry Berenger pisząc o „Chwale Nicości“ mówi o poecie, że dziedzictwo rasy, wykształcenie klasyczne i tradycja Rewolucyi od dzieciństwa kształciły w nim umysł na zgoła inną modłę niż geniusz hindusów. „Wenus z Milo i żołnierz Salamiński utrwaliły w tym mózgu niezapomniany obraz piękna i energii. Deklaracja praw człowieka i kontrakt społeczny nauczyły go symbolów nowych wolności i równości. Żaden współczesny człowiek nie może tej podwójnej wyrzec się spuścizny. Buddyzm niewypełnione pozostawia pole — na polu tem zda się grecki geniusz panować — wypełnił je w dziejach. Tem jest poczucie społecznej hierarchii, zbudowane na dzielności jednostki. Buddyzm nigdy nie głosił konieczności bohaterstwa kierownictwa społeczeństw. (Revue bleue, Decembre 1896).

A Jean Lahor obrał za dewizę dumne w cierpliwości, nieugięte w wytrwaniu słowa Wielkiego Wilhelma Orańskiego, który był „Milczącym“ zwan. Mąż znoszący niedole losów w odpornem cierpieniu, a cichem — aby ten los przewalczyć. Słowa te spiżowej siły — w których się duch człowieka przegląda — „co gmach swój stawiał z niczego—powoli“ — mówią: nie potrzeba żywić nadziei, aby zwyciężyć, ani zwyciężać trzeba, aby wytrwać.

Ale w tych słowach cierpliwej potęgi — jest zarazem pewność siebie i nadzieja, — która z czynów się rodzi i żyje czynami. A choć pozornie zbieżne z wyznaniem Buddy — biorą rodowód z wręcz innej siły ducha — z najwyższej żądz bytu. Jean Lahor jest mimo wszelkich pesymizmów entuzjastą życia. Poeta - myśliciel, obejmujący dalekie widnokręgi, artysta którego wiersz ma nieraz duże piękności i dorównuje nierzadko Heredii — nie wyczerpał ani dziełem myśli, ani hymnem uczuć sił swego ducha — jak to stać się mogło, stałoby się, gdyby miał wrażliwość większą od dzielności, słowiańską bardziej miękkość i lubość odczuwania.

Ale miał zaprawę hartowną czynu. Dlatego Jean Lahor nie przewyciężył — uzupełnia raczej d-ra Cazalisa. Nie zniszczył w sobie nigdy zapału i „ze śmiałej syntezy geniuszu helleńskiego z geniuszem aryjskiego Wschodu, dobył prawdę wykazującą konieczność tej arystokracji ducha, konieczność, którą prawie wszyscy uznają myśliciele“ (Berenger — Artykuł w Revue Bleue).

*

*

*

Doktór Cazalis prawdziwym jest „arystokratą ducha“, ojczyznę swoją, społeczeństwo i ludzkość gorąco i szczerze kochającym. Dla ojczyzny nie wyrzekął się ludzkości, dla ludzkości nie poniżył ojczyzny, a wszędzie i zawsze obierał pole działania płodne, świadcząc dobrze i kochając czynem obywatelskim. Dlatego nie rzucił się w wir walki w procesie, szarpiącym dobre imię i sławę Francji, jak to uczynił Zola, ale objął zamiarem i dążeniem kraj cały w pracy poza i ponad partyjnymi swary. Jako lekarz, jako obywatel, poświęcił się dziełu wielkiemu, dążąc, by urzeczywistnić w życiu niezamożnej ludności łącznię idealną sztuki, zdrowia i moralności. Program pracy tej obejmuje porównie zwalczanie śmiertelności, zapobieganie epidemiom, wpajanie w nieoświecone dostatecznie masy najważniejszych pewników wiedzy w sprawie zdrowia, wpływanie na decydujące czynniki rządowe, by wprowadzały jak najwięcej ulepszeń w tym zakresie, by pomagały materialnie i moralnie w dziele krzewienia zasad higieny, jak z drugiej strony, dbały o stronę artystyczną życia, o wprowadzanie i zaszczepianie pojęcia piękna tam, gdzie pojęcie to w ludzie zamiera, a utrzymanie i pieczołowitą troskę o rozwój tam, gdzie się krzewi rodzime i żywe.

Zasługi d-ra Cazalisa już dziś na tych polach nie male. Z Fournierem pospołu zakłada Towarzystwo „de la prophylaxie sanitaire et morale“, pisze książkę: „*La science et le mariage*“, wyjednywa, aby w służbowych książkach rekrutów pomieszczono szereg uwag lekarskich. Tak samo żąda i pracuje nad zaprowadzeniem prawnych i obowiązkowych przepisów w dziedzinie higieny dziecięcej, któreby pouczały wstępujące w związki małżeńskie dziewczyny z kardynalnymi wiadomościami o pielęgnowaniu i karmieniu niemowląt; rozdawnictwo w gminnych zarządach odpowiednich drukowanych instrukcyj pragnie wprowadzić, jako rozporządzenie administracyjne dla wszystkich gmin Francji, stara się, zabiega i nieustaje w gorliwym rozposzechnianiu tej myśli, powołując współpracownictwo, mnożąc usiłowania.

A obok tego szerokiego zadania, żywotną, szczerą myślą rozdaje siebie we wszystkim, co pracą jest ku podniesieniu poziomu sztuki w społeczeństwie. Jak u nas Stanisław Witkiewicz, budzi Henry Cazalis i nawołuje ku pielęgnowaniu sztuki ludowej, a łączy wszędzie

troskę o piękno z troską o zdrowie, o wszelkie warunki, zapewniające najwyższą korzyść dla życia. Rzuca myśl założenia wielkiego międzynarodowego towarzystwa Sztuki i higieny ludowej. Pod hasłem „l' Art à tous en tout et partout“ pisze szereg broszur, myśl tę krzewiących.

Idąc za wpływem Ruskina, następnie Morrisa, na niego się powołuje przede wszystkim, i wydaje w Genewie pracę o tym twórczym duchu angielskim, pod tytułem: „W. Morris i nowy ruch w sztuce dekoratywnej“ (Eggiman w Genewie). Za pracą tą idą w ślad: „Sztuka nowa, jej dzieje, sztuka nowa na wystawie, sztuka nowa pod względem społecznym“ (wydane u Lemerre'a), „Sztuka dla ludu, w braku sztuki ludowej“, dedykowana poecie i przyjacielowi, p. Jean Revel (autor „Testamentu człowieka współczesnego“, „Dyalogów między żywymi“ „Życia wielorakiego“ (multiple vie) i „U przodków naszych“.); wreszcie: „Mieszkania tanie i sztuka dla ludu“, które to dzieło poświęca Jerzemu Picot, prezesowi towarzystwa, des habitations à bon marché (wydane u Larousse'a).

Broszury te podpisuje, jako Jean Lahor, ale to czyni Cazalis, a jeżeli Lahora, wówczas czyni, które „wstają gdy zginęły pieśni“. Gdy niedowierzając, przekonany jakiś pesymista zarzucił mu, że usiłowania te nie mogą mieć powodzenia, tak w obronie odpowiada Cazalis: „Pan L. Solvay, umysł niepośledni, pesymista, sądzi w jednym z belgijskich dzienników, że podobne naszemu przedsięwzięciu nie są pomyślnością wieńczone, ależ ja sam przecie jestem pesymistą, a mimo tego działałam i to, że właśnie nim jestem, a czegoś chcę, wymaga aby rzeczy inne były niż to, co zbyt często, i zbyt powszechnie obrzydliwym jest“, i dodaje: „Słusznie mu odpowiedział p. Jean Ardenne: — że nie chodzi tu o to, aby sens estetyczny wbijać w popoLite mózgi, które go nie przyjmą. Cel, ku któremu dążymy jest innym: chodzi o wysiłek zewsząd podjęty, aby brudy, niezdrowie, brzydotę, które to koniecznościami się zdają dla ludu pracującego a biednego, zastąpić tworam i rzeczywistego piękna, bowiem piękno to z prostoty i logiki wyniknie. Jeżeli wykształcenie estetyczne ludu na tem zyska, jeżeli zysk ten, — co możliwym się zdaje — przyjdzie po nadto, tem lepiej! (Habitations à bon marché, appendice, str. 96)

Działalność międzynarodowego stowarzyszenia sztuki i higieny ludowej, chciałby Cazalis na jaknajszerszym oprzeć programie.

„Trzeba“ — wzywa — „by sztuka — nowa sztuka, odpowiadała potrzebom i postępowi naszych nowoczesnych demokracji. Trzeba po-

budzić, lub zbudzić w masach ludowych potrzebę piękna tak, jak potrzebę higieny i komfortu, których to potrzeb nie mają, a które niemniej równemi są politycznym i społecznym dla człowieka naszych i wszelkich czasów, dla kraju naszego, tak demokratycznego, i dla wszystkich krajów* (program stowarzyszenia sztuki i higieny ludowej).

Władztwo ludu, które nastąpiło po przeszłości arystokratycznej i królewskiej, objawiło się, mówi Cazalis dotychczas barbarzyństwem artystycznym. Od stu lat niema ani w budownictwie, ani w sprzętach domowych, żadnego stylu, lud żyje w brudzie i zaniedbaniu. Otóż celem naszym niech będzie wydobyć go z tego marazmu. Każdy ma prawo do piękna, a „dobrodziejstwo piękna“ każdemu winno być dostępne.

Z tej przewodniej myśli rozwija Lahor - Cazalis program stowarzyszenia. Zwrócić się ono winno do artystów przede wszystkim „którzy mają poczucie architektury i zdobnictwa prostego, o liniach szczerych, logicznych, w związku z przeznaczeniem przedmiotu, a zbliżających się o ile można najbardziej, we Francyi jak gdzieindziej, do narodowej i miejscowej tradycyi, (tamże).

Tę tradycję pojąć trzeba i rozwinąć. W tym celu zakładać zbiorę, gromadzić tam gdzie żywem jeszcze poczucie, jak najwięcej wzorów w prowincjonalnych muzeach. Nie dążyć, broń Boże, do centralizacji, piętno lokalne zachowywać wszędzie. W Paryżu natomiast, stworzyć duże Muzeum sztuki ludowej, gdzieby był skład przeznaczonych do sprzedaży, na rozpo w s z e c h n i e n i e modeli czy to naśladowanych z dawnych czasów, czy nowych w pomyśle, a przez odpowiednie Jury przyjętych.

Troszczyć się; o wystawy planów, szkiców, projektów tanich mieszkań, sprzętów, a zarazem usilnie ku temu dążyć, aby budowle, stawiane dla ludu, jak szkoły, ochrony, urzęda gminne, szpitale, dworce, domy ludowe szlachetniejszy miały wygląd, by, zastosowując w nich wszelkie higieniczne urządzenia, nie pominęto, a uwzględniano sztukę. Przy tych budowach dawać wskazówki i plany, a wszędzie i systematycznie, i stale dążyć do wypierania modeli złego smaku, które ludowi narzuca dzisiejsze miasto. Powiązać wreszcie wszystkie bratnie te usiłowania w celu skupienia jak największego sił, a dając regionalnym i różnokrajowym towarzystwom jak największą swobodę działania, zaważać je zarazem do wspólnego dzieła w wielkiej Międzynarodowej wystawie. Aby zaś stała łączność w związku utrzymać, wydawać pismo w trzech językach: angielskim, francuskim i niemieckim i zwoływać w różnych miastach i krajach kongresy — zadzierzgując przytem stosunki z wszystkimi pokrew-

nemi stowarzyszeniami, które mają na celu ochronę życia i ochronę piękna — a więc towarzystwa higieniczne „które mnożąc lub utrzymując energię jednostki, mnożą i utrzymują siłę rasy” — towarzystwa ubezpieczeń wobec śmierci, choroby, starości i braku zarobku, — towarzystwa wykształcenia i wychowania ludu etc. etc. Nic by nie było obcem Stowarzyszeniu — woła Cazalis — nic z tego „co ludzkim jest” — a zwłaszcza ludowem.

I wzywa do dzieła nie tylko artystów, ale uczonych, ekonomistów, lekarzy, inżynierów, pracowników dobrej woli z wszelkich zawodów, wzywa kobiety, wzywa ludzi z wszystkich warstw i środowisk.

Program szeroki, ogromny. Ale wie o tem człowiek, który zagrzewa do czynu.

„Praca Herkulesowa, powiadacie” — tak kończy swoje wezwanie — „zgoda, i może więcej, niż się zdaje, gdyż zamierzone tu przedsięwzięcie, dosyć podobne do jednej z prac tych wielkich, i my też chcemy czyścić te stajnie Augiasza, gdzie ciągle jeszcze żyje, gdzie się żyć zgadza część ludzkości. Herkules był półbogiem, i to prawda, ale do tej ciężkiej pracy stanął sam jeden, nas zaś będzie wielu, będziemy liczni, będziemy może legionem, i rozdzielając sobie zadania, nie wątpimy, że wypełnimy je całe, choć jakby nie było rozległem, pełni nadziei w ostateczne zwycięstwo...” (tamże).

Na wezwanie odpowiedziały żywe chęci i najlepsze umysły. Cały szereg wybitnych ludzi z różnych dziedzin życia zapewnił d-ra Cazalisa o współpracownictwie. Dosyć wymienić z artystów pendzla nazwiska: Besnarda, Carrière'a, Hennera, Lévy Dhurmera i Ménarda, z artystów dłuta: Bouche-ra, Lenoira, Merciera, Roche'a etc., z mistrzów sztuki dekoratywnej: Charpentiera, Cheveta, Gallé, Lalique'a, H. Riviere'a, Thesmara i wielu innych, z muzyków Masseneta, z lekarzy: Pozzi'ego, P. Richer'a, Ch. Richet'a i innych. Stowarzyszenie stawa się rzeczywistością, a myśl rzucona śmiało, rozwinać się może w czyn doniosły ¹⁾.

Obok tego związku, zakłada Henry Cazalis, wspólnie z blizkimi sobie dążeniem i przekonaniem, Towarzystwo ochrony widoków we Francji (Société pour la protection du paysage en France), chcąc ratować od zagłady piękno natury, tak często przez brutalność przemysłową człowieka zagrożone.

¹⁾ Zapisy przyjmują: p. Gustave Soulies, directeur de l'Art décoratif, rue St. Augustin 24; M. Ducier, sekretarz du Bulletin de l'Art, 11 rue de Tournelles i Towarzystwo tanich mieszkań, rue Lavoisier 4.

Prace liczne, w których się nie oszczędza i nie ustaje myśl czynna, żadna wszędzie wnosić więcej światła i dobra, oddana sprawie obywatelskiej. Prace te zajęły w ostatnich latach wyłącznie prawie twórczość umysłu Cazalisa. Jean Lahor nie filozofuje i rzadko pióro poety uchwyli. Nie mniej przeto w żywym obcowaniu i związku blizkim żyje z tem, co w świecie myśli wybitne, co światłem i chlubą Francyi.

— Ach mój drogi—mówił mi, gdyśmy się żegnali przed ministeryam, dokąd śpieszył w sprawie nowych starań dla higieny ludowej — niema to, jak godziny, wytężeniem ścigane. Ta zdobycz, jaką nowy dzień przynosi, ta radość serca, że się czegoś dopięło, postawiło nowy krok na drodze ku lepszej przyszłości — to jedyne, prawdziwe wartości i rzeczywistości. Jeżeli mi się uda wprowadzić moje przepisy, jako rozporządzenie prawne, to tysiące istot rocznie uratujemy we Francyi. Do widzenia!

Uśmiechnął się i oczy błysły mu żywo. Szeroka twarz o krótkiej, strzyżonej brodzie, o siwiejących, szpakowatych włosach, spojrziała na pożegnanie życzliwym, szczerym wzrokiem. I pochylony nieco, barczysty, wszedł szybkim krokiem do ministeryum.

Oto dr Cazalis — Jean Lahor, „heroiczny pessimista“!

Można o nim powiedzieć, że jeżeli nie był chorążym w szeregach, ani wodzem, był tym lekarzem pułku, który wie o wszystkich, zna ich siły i słabość, ufność w siebie i zwątpienia. W myśli jego wrażliwej odbiło się dążenie całego pokolenia, sny i nadzieje doby, troska serdeczna ludzi, którzy widzieli wielkie zdobycze wiedzy, a równocześnie krajowe klęski, i znów po latach wiedzy tej, niepewności i złudy. Z Maupassantem przyjaźnią złączony, pielęgnował w ostatnich chwilach życia genialnego pisarza, Pawła Bourgeta liczy do grona swych blizkich, wszystkich prawie wybitnych z pośród rówieśników swoich zna dobrze, wielu z młodszych, do niejednego z najmłodszych zbliżył się dobrą radą i serdecznie. Szerokiem, serdecznem poczuciem otwarł na oścież podwoje duszy, przejął się niepokojem serce, dążeniem myśli, pojął i zbratał się z czasem, w którym żył, z ludźmi, których czas ten wychował. Jest z tych, którzy zwątpili, ale jest z tych, którzy czynem przewyciężyli zwątpienie, a w tem znów synem prawdziwym narodu, któremu dano w szczodrej, niezwyčajnej mierze doświadczać wiele, przechodzić przez wszystkie raje i czyścce myśli, i zdobywać walką zapewnienie lepszego jutra dla ludzkości.

Na rozdrożu czasów, na granicy wieków, naród ten ciężkie przechodził i przechodzi próby i doświadczenia, a z nim przechodzi świat

nasz starej cywilizacji. Dlatego dusza poety, który poznał smutków tych przepastną krainę i wypowiedział szczerością zupełną, tak prawdziwie jest duszą współczesnego człowieka.

Kto z nas nie myślał, nie marzył, kto nie płakał i serca nie ranił słowy, podobnemi do tych, jakimi mówi do nas Lahor, kto z nas nie wołał: „O Boże, pragnę ku Tobie dążyć... i ciągle, jak Fausta, w biegu szalonym trwożą mnie krzyki tratowanych i zgniecionych istot, skarga ludzka trwoży mnie, przeraża, powstrzymuje... Mamże, jak on, przejść, nic nie słysząc, nic nie widząc?“ (Chwała nicości, str. 56).

I kto nie współczuje duszy, która się temi słowy spowiada: „Przez ileż ciemności przeszedłem, przez ileż przerażeń i cierpień! A jednak, mimo wszystko, mimo mocy otchłani, wróciłem na światło z głębiny, ujrzałem znów uśmiech dziecka, czystość dziewiczą, świętość matki, wielkość bohaterów, promienne dzieła geniuszu, wszystkie jasności duszy ludzkiej, i począłem wątpić o Wszechmocy Złego tak, jak zwątpiłem kiedyś o Wszechmocy Bożej, o czystości dobroci w stworzeniu“ (tamże, str. 47).

Czytając słowa poety, siebie tak często czytamy....

ADAM KRASIŃSKI.

KONIEC PIERWSZEJ CZĘŚCI.

PRZEMIANY.¹⁾

Powieść współczesna.

VII.

Pani Anna Opolska wyjechała, jak zamierzała, następnego dnia z mężem, panną służącą, z lokajem, a bez kufrów. Stefan nie był przy odjeździe i nawet nie poszedł się pożegnać. Umyślnie wybrał się do najdalszego folwarku, stamtąd do jakiegoś zaścianka, gdzie właściwie nie było nic do roboty. Ale wymiarkował tak, że gdy wrócił, już państwa nie było. Popełnił najwyższą niegrzeczność — nie chciał i nie mógł inaczej.

Na prostym jego z niemalowanej sosny stole, leżał za to list.

„Nie mogąc osobiście — była treść jego — żegnam na piśmie. Czy na długo, nie wiem, bo mąż mój znowu narzeka. Mam złe przeczucie i boję się, iż wrócimy z Warszawy. W każdym razie polecam panu n a s z e (podkreślone) kochane gospodarstwo. Wiem, że nie potrzebuję polecać. Do widzenia...”.

Te słowa brzmiały tak, jak gdyby nie zaszło nigdy nic. Były serdeczne i proste, nie zawierały i cienia zdziwienia z powodu jego dziwnego, impertynenckiego zachowania się.

Należał więc do „figur“, z których postępками nawet nie rachowano się.

1) Patrz zeszyt sierpniowy, str. 213; — wrześniowy, str. 449.

I co znaczyło to „nasze kochane gospodarstwo...“. Dźwięk bez treści... Już całun leżał na tamtem wszystkim... Minęło...

Stefan zasiadł do pracy. Przeglądał księgi kasowe, w których niektóre cyfry były podkreślone jej ręką, albo obwiedzione czerwonym kółkiem, potem grubą księgę rolniczą, przyjmował interesantów, załatwiał korespondencję. Odpisał do brata serdecznie i długo (po kilkumiesięcznej przerwie), oraz do prezesa Krakowskiej Ligi Naprawy, który wyrzucał mu obojętność dla ich wspólnych spraw i natarczywie prosił o współpracownictwo. Stefan obiecał przybyć na coroczny zjazd w wrześniowy członków Ligi, przygotować kilka popularnych dziełek rolniczych, wypracować wzór dla kółek włościańskich na podstawie już istniejących za granicą, które zwiedzał niegdyś w lepszych czasach. (Ten wyraz: „lepszy“ wcisnął się pod pióro niepostrzeżenie).

Wieczorem zabrał się nawet do rozprawy swojej, porzuconej chyba od roku, i zaczął nowy rozdział. Ale w trakcie pisania odwrócił kilka kartek i zawadził o wstęp, skreślony jeszcze w Krakowie, tego lata, gdy opuszczał uniwersytet. Nie poznawał stylu i autora. Był to czyjś obcy zapach, czyjaś nieznana wiara... Ktoś może mógłby nazwać ten styl szumnym i napuszczonym, ale z wysokiego szczytu świeciło wówczas jego miłujące serce. Już sam tytuł zdradzał ogrom nadziei i kochania, tytuł stary, skradziony szczęśliwszej epoce: „O skutecznym rad sposobie“.

Powoli i sucho rozwijał dalej myśl rozpoczętego przed chwilą rozdziału, ale niebawem odłożył pióro. Jeśli nie żyły w nim już zapach i wiara, albo miał prawo pisać? Prościej i uczciwiej powiedzieć sobie samemu, że już nie może, że gorący płomień dogasł... Czuł w sobie rzeczywiście obojętny chaos i przeraził się.

Zerwał się od stołu. Od pałacu, przez ciemny park, po alej, wysypanej żwirem, pod sklepieniem drzew, szła męka... Wstępuje na schody, już jest w przedpokoju, poziera ku niemu z czarnej przestrzni...

Wczoraj o tej samej godzinie stoczył był walkę. Spojrzał odważnie prawdzie w oczy, nakazał sobie milczenie i moc — i zwyciężył, znał siebie i liczył na siebie. Pamiętał przeszłość swoją, tę przeszłość dzielną i górną, w której przecież siedł z mężnem wyparciem się siebie, w której znał radość tylko poza rubieżą egoistycznego istnienia... Przez długi szereg lat żył działalnością społeczną, poświęceniem dla kolegów i spraw, gwarem młodzieńczych zebrań, zapalem dysput, użyteczną ruchawką... Zdarzały się chwile rozdźwięku, a jednak tamten zgiełk i tłok zapełniał mu lata. Miał ideał...

A gdy w poważnej potrzebie przywołał ten ideał do pomocy, okazał się wątłym!.. Bo zniechęcenie, jak choroba, trawi mu siły, bo nuda, jak chmura, zasłania przed nim świat... „Więc jakże żyć, co to jest żyć?“ — szamotał się biedny, znękaný człowiek — więc chodził dotychczas jakby po sztucznym pomoście, przyglądał się samym tylko złudzeniom i nosił w sercu kłamany pozór uczuć szlachełnych, powszechnych... A może jest jakiś cel wyższy, większy, niż tamte cele, jest prawda, której nie pojmował? Więć oto cierpienie...

— Nie znałeś jeszcze cierpienia — odpowiadał mu głos niewiadomy.

*

*

*

I nazajutrz, i następnych dni, Stefan był czynnym, sumiennym administratorem rozległych dóbr peplowskich. Zwiedzał szpitale i ochronki, szkołę tkactwa, która zawsze zajmowała go prawie najbardziej, włóczył się po polach, oborach i stajniach. Praca wrzała, machina była w pełnym biegu, więc oglądał każde jej kółko, każdy tryb, każdą śrubę dokładnie, tak, jak dawniej. Zmienił się tylko w stosunku do podwładnych. Mówny zwykle, przyjacielski, żartobliwy, z dobrem słowem dla każdego na ustach — teraz patrzył w milczeniu, ganił w krótkich wyrazach, nie chwalił nikogo. Chorych odsyłał do miejscowego doktora, albo do apteki, nie pozwalając im wygadać się, naznaczał kary, niecierpliwie marszczył brwi, gdy starzy słudzy, tak zwani faworycy pani, pozwalali sobie czynić wielomówne uwagi.

Mijając pałac pieszko, albo konno, mierzył go długiem, chłodnem, suchem wejrzeniem. Liczył może szereg jego zamkniętych, martwych okien. Był to już dom zupełnie obcy i obojętny, jak gdyby jaka kamienica w nieznanem mieście, jedna z wielu, dom, w którym chyba on nie będzie więcej... Służba wynosiła meble, dywany, trzepała kurze, napełniając dziedziniec wesołym hałasem, jak przed Wielkanocą...

Raz nawet kamerdyner zaprosił go do salonu, gdzie należało powiesić nowe z wystawy krakowskiej obrazy.

— Pani kapryśna — poufale tłumaczył kamerdyner — a jak pan doradzi, to pewno nie zgani...

Ale Stefan oszczędził sobie tej przyjemności. Któregoś popołudnia w upał jechał przez żyto, żeby się przekonać o stopniu dojrzało-

ści ziarna. Z obydwu stron zboża już dostałe, więc złote, chyliły swoje ciężko urodzajne kłosy. Błękitny żar dyszał nad nimi.

Zeskoczył z konia i, zerwawszy kłos, łamał ziarno w palcach. Przekonał się, że można już przystąpić do żniwa. Więc pójdą żnieje i żniwiarki (nawet jedna nowa, zapisana aż z Ameryki, na którą oczekiwali z zaciekawieniem, miała na tejś lada dzień), będzie obliczał, potem będzie doglądał zwózki, żeby pełne były śpichlerze Opolskich... W allegoryach Nowego Testamentu żniwo jest symbolem sądu, a także nagrody i radości.

Nie chciało mu się gramolić na kulbakę, więc szedł piechotą wążką miedzą. Wysokie żyto sięgało mu wyżej głowy i miał teraz nad sobą sklepienie błękitne i kłosy złociste, niby rój nieruchomych o wadów.

W pewnej chwili przysiadł na twardym, omszonym grzbiecie olbrzymiego kamienia, i puściwszy konia, który strzygł trawę, pograżył się w zadumie. Było coś obezwładniającego w tej zadumie, a towarzyszyła jej siostrzyca zdradziecka — niemoc. Bronił się przez tyle czasu, milczał, obecnie zgodził się uleść — i czekał. Ale nie stało się nic nadzwyczajnego. Tylko z serca wyrывało się jedno, jedyne, nieukozone pragnienie... Pojechał dalej, szybko, jak gdyby do określonego celu, miedzą, potem przez łąki, już skoszone, i znowu wążką drożyną aż do lasu i w las. Tam, na polanie, wśród boru, zatrzymał się. Wysokie sosny kąpały nieruchome wierzchołki w słonecznym lazurze gorącego nieba, rozsnuwała się rzeźka woń smołowa w powietrzu, szemrał czomber u spodu swoim tęsknym zapachem... Nic tu się nie zmieniło... I zdawało mu się, iż tamta chwila niezapomniana duma tu w ciszy i patrzy się w niego spokojnemi, niezglębionemi oczami.

Co było w tych oczach? Wyrzut, uśmiech zamyslenia mądrego, skarga? Jakie to oczy? Czyje? Przed tygodniem, czy przed dwoma, byli tu we dwoje, zboczywszy z drogi, dla wybrania miejsca na przyszłą szkółkę leśną, i stali długo, upojeni pięknem ustronia, w milczeniu, a mówiąc trochę, dla zachowania pozorów, o owej szkółce... Bór szumiał o zachodzie, różane chmurki ciekły skroś niebieskich obszarów... mijaly, napływały inne; pogasły szkarłatne przepaski na pniach, bór szumiał...

Teraz trwała cisza. Wysokie, różowe sosny pławią w odmęcie lazurowym rozmarzone, szczęsne wierzchołki, żar, pachną żywica i czomber, błękit gorący.

Środkiem polany biegną dwa ślady przez nieskoszoną, bujną
 trawę, niby dwie smugi, ślady dwojga ludzi, którzy szli obok siebie...
 Na świecie jest błękitne milczenie upału, milczenie szczęścia...
 Tamte dwa ślady...

VIII.

W kilka dni po pożarze Marcin wybrał się do Skibowskich, pod
 pozorem wyrażenia tak zwanej kondolencyi. Przyjęli go ojciec i córka
 na werandzie, gdzie pan Seweryn spędzał teraz, wszystkie godziny,
 gdyż stąd otwierał się widok na ogród, na spokojne, wysokie aleje,
 a ani zgliszcz, ani wogóle gospodarstwa widać nie było. (Nie znosił
 teraz widoku gospodarstwa).

— Witam kochanego pana — zwrócił się życzliwie do Marcina,
 którego lubił pomimo wszystkiego, pomimo największej sprzeczności
 przekonań, pomimo dwu dysput, tak zawziętych, że Turowski wyje-
 chał po nich bez pożegnania. On też jeden ze wszystkich obywateli
 miejscowych, prócz pani Opolskiej, gdzie bywali wszyscy, przyjmo-
 wał Marcina.

Gość uklonił się w milczeniu niezgrabnie i sztywnie, i stanął
 koło jednego ze słupów, wspierających dach werandy.

— Pan przyjechał konno? — zimno pytała panna, nie patrząc na
 niego.

— Jak zwykle.

— Matka pana zdrowa?

— Także jak zwykle.

Uśmiech nieokreślony zabłąkał się na jego szarej, gęsto i czarno
 obrośniętej twarzy.

Zapadło milczenie. Pszczoły brzęczały w lipach i co jakąś chwi-
 lę spływał na werandę złotawy okwiat.

Hanka spostrzegła, że gość ma zapruszoną nim czuprynę, spo-
 strzegła także, po raz pierwszy, siwe pasemka pomiędzy ciemnymi je-
 go włosami. „Oto co robi z ludźmi cierpienie — pomyślała z żalem —
 toż młody jeszcze człowiek!”

— Czy pan już dobrze sypia?

— Nie tęgo, chyba jak się bardzo zmęczę na koniu.

— Nerwy — szorstko wtrącił pan Seweryn.

— Nerwy — powtórzył Turowski.

— I myśli — szepnęła Hanka.

Teraz podniósł na nią pochmurne, uważne spojrzenie. Wydała mu się bledszą, niż zwykle. Zgaszonymi oczami spoglądała w przestrzeń, w zielone, brzęczące, obfite, miodne gąszcze lip, znużenie i smutek trapiły tę cichą, białą, dziewiczą twarz, jej drobne, dziecięce prawie dłonie leżały na sukni.

Miękko, tkliwie niemal wzięłby jedną z tych rąk... Nie broniłaby mu...

— Za moich czasów nie było ani nerwów, ani myśli niezdrowych — odezwał się gospodarz. — Myśli niezdrowe są jak pajęczyna i nachodzą się w zaniedbanem domostwie.

Turowski przestąpił z nogi na nogę, olbrzymią dłonią cierpliwie odpędził dokuczliwą, zabłąkaną pszczołę — i nie podniósł rzuconej rękawicy.

— Wyczerpujcie się — cierpko kazał pan Seweryn — w jednym czynie, który jest obłądem, gorączką, grzechem, a potem — klapa. Młodzież winna uczyć się fechtunku, ale nie cisnąć się do walki, bo z pierwszej bitwy wraca skontuzjowana i już do końca nie opuszcza szpitala. Życie to nie fajerwerk.

— Ale wesoła biesiada — mruknął Turowski.

— Ładnie! — sarknął gospodarz. — Ładne zasady. Życie to trud, miłująca praca.

— Praca dla siebie i miłość siebie.

— Może. Ale lepsze to, niż próżniactwo, niż hultajstwo, jałowa krytyka i nieobecność. Dawniej tylko arystokrację zaliczano do kategorii nieobecnych, dziś młodzież równie chlubnie wynosi się za granicę pracy społecznej. Niech tylko każdy ma jasną latarkę w ręku — huczał Skibowski — a widniej będzie w całej okolicy!.. A wy nic... Śmiech, ironia, szumne frazesy wszechludzkie... Wszystko wam źle i wszystko za mało! Rolnictwo i przemysł dyabła warte, bo to materializm, wyzysk i burżuazya; ksiądz jest kłamnym Kalchase; lekarz i adwokat — na usługach burżuazji; w sztuce — filistrzy. Więc cóż u licha zostaje? — unosił się pan Seweryn. — Wskażcie mi jaką pracę realną, któraby w waszem przekonaniu była użyteczną. Nie chcę programów i frazesów, chcę wskazówki praktycznej.

— Tyleśmy już dysputowali — wymijająco odpowiedział Turowski.

Pan Seweryn zmierzył go gniewnym z pod krzaczastych, ciemnych brwi spojrzeniem i zamilkł.

— Może pójdziecie do ogrodu — rzekł po chwili. — Jestem zmęczony i za wiele mówię.

Hanka wstała posłusznie.

— Papa dobrodziej nie nazbyt mnie kocha — odezwał się Marcin, gdy odsunęli się od domu.

Zadrasnął ją jego lekceważący, szyderczy ton — nie odpowiedziała nic.

— Dziwi mnie, że nie wyrzucił mnie jeszcze za drzwi — dodał Turowski.

— Tatusz potrzebuje towarzystwa... Gdy jest sam, milczy ponuro.

Marcin skubnął gałąź lipową.

— Lipy kwitną.

— Lipiec...

Chwytała ją niewiadoma trwoga. Oddalali się coraz bardziej od domu, a wyraźny rozkaz ojca, którego bała się jeszcze więcej, niż Turowskiego, nie pozwalał zawrócić. Jakiś wiersz tłukł się jej po głowie.

— Lubię to drzewo — mówił Marcin, podając jej gałązkę lipową -- i lubię ten kwiat... „Ale ja tych lip nie miałem...”. Zna pani ten ustęp z jakiegoś autora?

— Nie.

— Powiem go pani. Krótki jest: „Gdzie są te lipy ciemne, wonne, wysokie, w których cieniu zbiegły drogie, jasne, szczęśliwe lata mego dzieciństwa... Tych lip niema, tych lip nie było nigdy...”.

Słuchała zdziwiona, poetycznym bowiem nie widziała go nigdy.

— „Tych lip nie było nigdy” — powtórzył raz jeszcze powoli.

— To bardzo ładne... Z jakiego to autora?

— Nie pamiętam.

Szli już teraz aleją świerkową, niby mrocznym kurytarzem. Powietrze było skwarne i wilgotne, dokoła nich rozlewały się cisza i nawpół senny smutek. W górze, ponad wierzchołkami, niebo, którego szukały marzące oczy Hanka, wisiało głębokie, ciemne i ciepłe, u samego szczytu wykwitł w tej chwili obłok śnieżny na lazurowym tle i mijał powoli, powoli... Czasami pod nogą którego z nich zachrząsała duża, brunatna szyszka, i nastąpiona, odskakiwała elastycznie; siwe, grube pnie stały z dwu stron w surowym szeregu.

— Zazdroszczę pani tych lip — zaczął Turowski — pod którym płynęło jasne dzieciństwo pani.

— A pan? przecież także na wsi — pytała Hanka, zajęta tym obłokiem, który już przemijał.

Lazur teraz świecił bez skazy i dusza zanurzała się, grążyła się, wsiąkała w jego głębie.

— Nie, pani. Urodziłem się, proszę pani, w kamienicy, na ulicy Boleść — rzekł zjadliwie — w kamienicy. To ma znaczenie całkiem

nowożytnie. Przed laty nie było ani lokatorów, ani kamieniczników, nie było suteryn i poddaszy, nie płacono jeszcze za powietrze, słońce i wodę... Tak, pani, miałem zaszczyt przyjść na świat w kamienicy, którą z czasem matka moja za lichwiarskie procenty, brane od sąsiadów, nabyła na własność.

Patrzył przed siebie i zgryźliwie skubał swoją brodę.

— Urodziłem się w trzech ciasnych pokojach od podwórza, więc nad wstrętną studnią, i nie pamiętam, żeby do mieszkania tego wglądało słońce... Za to z krzykiem i płaczem wpadały sąsiadki, którym matka groziła komornikiem — były kłótnie... Pamiętam to, i dziś jeszcze powtórzę wszystkie przekleństwa — drgnął mu głos. — Bawiłem się nad ściekami i na śmietnikach, a w duszę takiego dziecka, może, kto wie, wciskają się wyziewy...

Zatrzymał się, zeszkrobał palcem trochę żywicy z błękitnawosiwego pnia świerkowego, roztarł ją w dłoni i powąchał:

— Jak to pachnie!

Hanka słuchała z zajęciem i do rdzenia przenikała ją piekąca gorycz słów Turowskiego. Zaczynał przedstawiać się jej z innej strony.

— I w cieniu lip bywają godziny bolesne — szepnęła.

— Wiem o tem — rzekł żywo — to też pani...

— Co pan myśli o pani Annie Opolskiej? — przerwała mu szybko.

Spojrzał na nią uważnie.

— Mówiliśmy o niej już nieraz — odparł ze znużeniem.

— A jej działalność społeczna?

— Pani myśli, że mnie te wszystkie ideje cokolwiek obchodzą? — zgrzytnął szyderczo i zamilkł.

Miał już dosyć rozmowy społecznej, którą traktowała go zawsze, niby herbatą. W głowie paliły mu się myśli, z którymi przyjechał tak, jak przyjeżdża się czasem z mową, napisaną na ćwiartce w zandrze, i rzecz szczególna, brakło mu po raz pierwszy w życiu słów i odwagi. To też brało go coraz większe zniecierpliwienie. Dotykał ją mocnym, władnym, zuchwałym, rozkazującym spojrzeniem, postąpił ku niej, jak tam, przy pożarze, ale mówić nie mógł... Od wielu dni, przez wiele godzin, w swoim ponurym Musinowieckim pokoju, pieścił chorobliwe marzenie, niby jaki kwiat sztuczny, i wodził po nim okiem tak, jak więzień wodzi okiem po smudze słonecznej, która, raz na dzień, krótko, o tej samej minucie, igra na spleśniałym murze; przywykł do niego, wierzył... Miał już nawet pieniądze od Stefana.

Patrzył w nią. Hanka poczęła drżeć.

Dotarli do kopca z krzyżem, który był kresem ogrodu. Dalej ciągnęły się pola; dosychały w słońcu bielejące zboża, drżały w promiennym uśmiechu pogodnego dnia, wołała dal błękitna i świetlista.

Dokoła krzyża rosły młode brzozy. Przedziwnie paliły się w słońcu ich delikatne, swawolne liście, przedziwnie śmiały się ich białe pnie, przedziwnie w lazurze, niby w radości, kąpały się ich zielone, kędzierzawe, wiotkie postaci... „Andrzej Skibowski, ur. 11 października roku... zasnął w Panu... zgasła młodość orłowa...” — rzucił się Hance w oczy znany napis.

— Może wrócimy już do domu — poprosiła cicho.

— Nie, pani. Pani nie pójdzie stąd — stanowczo zaprzeczył Marcin. — Pani zostanie i wysłucha mnie.

Drgnęła, nisko pochyliła głowę, odwróciła się od niego — ale została.

On zaś przez chwilę nie mówił nic.

— Pani cierpi — zaczął zcicha — pani jest nieszczęśliwa... Widzę to i mam lekarstwo... Chce pani?

Milczała. Więc prawił dalej tak samo cicho, miękkiem głosem:

— Żałuję pani, pani gaśnie. Taki dom — więzienie, więzienie ducha. Nie wolno tu pani mieć ani własnych uczuć, ani własnych myśli, ani czynów. Widzę to oddawna. Czekałem sposobnej chwili... Człowiek, wolny człowiek skowycze w pani — jeszcze czas, przeminie młodość i stanie się pani lichym, wątłym, służalczym cieniem. Jeszcze czas — mówił coraz głośniejszym głosem — poddawać się i znosić — nie wolno! Rezygnacya — to jęk tchórzów, szpitalników i dewotek... odzywam się do pani jak wolny człowiek do wolnego człowieka, wyciągam braterską dłoń, podaję puchar, ualany młodością i życiem... Pani — pytał znowu, napróżno pałającymi oczami szukając jej spojrzenia.

Hanka milczała z pochyłoną głową, odwrócona. Gorące słowa jego brzmiały zimno, obco, niezrozumiale.

— Stoję przed panią z pucharem — wołał coraz donośniej, coraz potężniej Turowski — w pucharze pieni się młodość i życie. Proszę wybierać: tu więzienie, pokora, uwiad, tam, dokąd chcę prowadzić panią — bujny rozkwit, wolny lot życia... Ja wiem, że pani usłucha mnie. Od dzieciństwa kaleczono duszę pani, trapiąc ją zmyśloną marą, wycieńczając ją w walce z prawem życia. Obowiązek, posłuszeństwo, zaparcie się siebie stawiano przed panią, dobrze — a obowiązek wobec samego siebie, a godność człowiecza, a prawo życia...

Głos jego grzmiał bojowo tak jakby ciskał tym buntowniczym słowem w tłumy. Był ogromny, czarne oczy gorzały, na szarej zwykłej twarzy kwitły rumieńce. Stał tuż koło niej i palił ją płonąącym wejrzeniem.

— Pójdziemy pani — wzywał — mam wszystko... Jutro już będziemy daleko stąd... Bo i ja, jak w więzieniu... Zobaczy pani!... Świat, życie, walka...

Hance trzęsły się splecione na piersi ręce. Teraz każdy wyraz jego sprawiał nieznośny ból... Gdybyż już ucichł... Świat i życie... nie dla niej!... Z nim?! Gdybyż tak mówił kto inny, nie ten, krzykliwy, samochwalczy, bezwzględny człowiek! Gdyby kto inny...

Czuła w sercu płacz, niby kamień...

— Nie skarżyłam się nigdy — powiedziała wolno — nie prosiłam pana o pomoc.

Długo było milczenie. Jakiś ptak nucił w liściach brzozy, potem frunął. Hanka widziała jak cicho chwiała się w błękitie gałąź, z której odleciał ptak... Te brzozy były jak uśmiechy szczęścia.

— Pokochałem panią — zmienionym głosem rzekł Marcin — Pani wie o tem... I wydało mię, że oto otwiera się w więzieniu mojem okno na szczęście... Widziałem, że pani jest źle w domu, widziałem, iż poniewierają człowieczą duszę pani, chciałem wyzwolić panią... Myślałem, że razem...

Urwał. Zgaszonym wzrokiem mówił coś do niej... Całował jej wątle, dziecięce prawie dłonie, splecione na piersi, bladą dziewczęcą twarz, popielate, ubogie, o przedziwnym odcieniu włosów, czoło przecięte cienką linią brwi, spuszczone powieki, usta wydatne, kapryśnie wysunięte, trochę kapryśne, które nigdy, nigdy...

I w nagłym porywie chwycił ją w ramiona, cisnął do piersi, wpił się chciwemi wargami w twarz...

Wymknęła mu się, odepchnęła go ze wstrętem — przez chwilę stała w miejscu. Na drżących ustach był jakiś wyraz... Potem powoli odeszła do domu. Pobiegł za nią straszny, drwiący śmiech Marcina... Szła coraz prędzej. Tłumiła łzy.

— A gdzie Turowski? — zapytał ojciec, gdy wchodziła na ganek.

— Odjechał do domu.

— Śpieszy mu się... Gorący czas... Nie wspominał ci, czy zwieźli już koniczyne?

— Nie.

— Prawda. To jego nie nie zajmuje... A jednak... Ładnieby się oni mieli, ci „miejscy inteligenci“, gdybyśmy i my wieśniacy ich nie zwyli... A zatruwają nam atmosferę i zakłócają spokój.

Hanka nie podtrzymała rozmowy. Ojciec spojrział na nią raz po raz podejrzliwie, wreszcie rzekł:

— Coś dziwnie wyglądasz... Turowski musiał oświadczyć się, he? Przeczuwałem to...

— Nie, ojcze — wyszeptwała.
 — Po co te sekrety! — sarknął.
 — Kiedy zaręczam, papę, że nie...
 — A przyjąłabyś go? — spytał po chwili.
 — Za nic... Nigdy! — wyrwało się z niej, jak krzyk.
 Milczeli oboje.

— Lubię tego człowieka, chociaż nikt mnie tak nie drażni jak on — zagadał pan Seweryn — Ma „szusta“ w głowie i to nie jednego... Ale byłbym o ciebie spokojny.

— Nigdy, ojcze nigdy!! — przeczyła błagalnie.

— Więc cóż! Królewicz nie przyjedzie, bo życie to nie bajka. Masz już lat 25, pora wyjść za mąż. Na karnawały wozic nie będę, posagu nie dam, bo nie mam — coraz gniewniej napadał p. Seweryn — piękną nie jesteś...

— Alboż nie mogę zostać w domu — przez łzy prosiła Hanka — alboż przeszkadzam komu!...

— Nie zawadzasz nikomu, ale zadaniem kobiety jest wyjść za mąż, założyć dom, spełniać obowiązki żony i matki, pracować..

— To pójdę, ojcze, gdziekolwiek... myślałam już o tem... wszędzie jest praca.

— Ty i praca! Ciekawym jaką to pracę panna obmyśliła dla siebie? Liczenie chmur, cedzenie promieni gwiazd przez sito?! O jakiej pracy ty mówisz? Jaką pracę możesz sobie zakreślić, skoro nawet w domu nie umiesz spełniać swoich obowiązków... Alboż ja nie widzę, że cała praca ugina teraz barki Krystyny, że ona robi teraz za siebie, za ciebie, za mnie...

Hanka szlochała, ale Skibowski rozdrażniony oporem gromił dalej.

— Nie masz chyba serca, jeśli pozwalasz matce dźwigać po nad siły... Ona i tak sterana... Zabraknie mnie i jej — kto wówczas zao piekuje się temi małemi? Nakarmisz je poezią, filozofią, rozmyślaniem, co? Jakże ty je uczysz? Niechętnie, niedbale, ot tak, byle zbyć i chodzisz z nią wiecznej męczennicy... Nie widzę w tobie serca, ot co! Miłość nie brzmi słowami i nie składa się z pocałunków, — miłość to czyn, to poświęcenie, to cicha, chętna ofiara... Patrz na matkę! ta nigdy nie myślała o sobie, a wy młodzi tylko siebie stawiacie na ołtarzu... Wrażeń ci potrzeba, rozrywek, nudzisz się i stąd twoje męczeństwo! Piszesz wierszyki, bo to ci dogadza, bo to jest łatwiej, niż dopomagać matce... A i wiersze! Ciekawym, czy sama je rozumiesz.

Umilkł, bo już żałował swego uniesienia. Zwiesił głowę i oddychał ciężko. Hanka siedziała martwa. Czynił się wieczór. Po przez

zielone tłumy ogrodu przeświecały purpury i złoto zachodniej żarnicy; obłoki, rozsiane na drogach niebieskich, zaróżowiły się, zatrzymane w wędrowce. Wrony krakały gdzieś po za domem.

— Hanko, daj mi pled — cicho poprosił Skibowski. A gdy otulała mu nogi, położył na chwilę rękę na jej wątłych popielatych włosach. Przepraszał ją w ten sposób. Córka zdjęła tę rękę i dotknęła ją zimnemi wargami. Na więcej nie mogła się zdobyć. Chciała odejść, ale on ją zatrzymał.

Usiadła posłusznie w dalekim kącie werandy, niema, zmartwiała, chłodna. Milczenie wisiało między nimi. Ten okropny dzień nie miał końca.

*

*

*

I długo jeszcze Hanka nie mogła znaleźć samotności i ciszy. Mieszkała razem z siostrami w jednym dużym o trzech oknach i niebielonych ścianach pokoju, i siostry wieczoru tego gwarzyły przed zaśnięciem dłużej niż kiedy. Na czterech prostych, żelaznych łóżkach, na brzuchatych siennikach, przykryte jednakowemi kołdrami gawędziły z sobą, zaczępiały Hanke, deklamowały jakieś wiersze, nuciły, śmiały się, spierały się. Niewiadomo, dlaczego ogarnęła je taka wesołość...

— Ten pożar przyczynił tatce straty na milion a może i więcej — mówiła jedna.

— Nieprawda, to za dużo! pół miliona...

— Sama słyszałam, jak mama mówiła komuś, że kilkanaście tysięcy.

— Hanko, ile tatuś stracił w tym pożarze?

— Nie wiem — odpowiedziała, nie odwracając się.

Siedziała przy swoim stoliku, koło otwartego okna, niby nad jakąś książką, z oczami utkwionemi w początkowem zdaniu XIII-go rozdziału.

„A była wielka cisza. Tłum bił się w piersi, duch czuwał..“ czytała po raz setny, nie posuwając się dalej.

— Turowski przyjechał i stał bezczynny — gadały siostry.

— Gapił się...

— Baba.

— Pan Stefan — to wcale co innego. To mężczyzna!

- Hanko, dlaczego Turowski nie ratował?
- Nie wiem... Śpijcie, dzieci, już późno...
- „Duch czuwał i szedł na gwiazdy“ — czytała znowu.
- Gdybym była mężczyzną, gospodarowałabym jak tatuś...
- A ja poszłabym na uniwersytet i budowałabym mosty przez rzeki.
- Już lepiej tunele.
- Tunele — straszno...
- Ja bym była hetmanem...
- Kiedy już niema hetmanów.
- Prawda...
- Ale i my nie jesteśmy i nie będziemy mężczyznami.

Śmiały się.

Potem, w pewnej chwili wszystkie cztery ukłękły na swoich łóżkach, wszystkie z warkoczami na białych z grubego płótna koszulach, zapiętych pod szyją i poziewając odmawiały pacierze. Potem pokładły się i przykryły głowy kołdrami. Miały już spać, ale przez okno otwarte wleciał do światła nietoperz i krążył pod sufitem ogromnego pokoju, rzucając na białe ściany szybkie, lotne cienie. I wszczęła się wrzawa. Dziewczynki jeszcze głębiej ukryły głowy z przerażenia, potem zerwały się z pościeli i jęły uganiać się za nietoperzem, kłapiąc bosemi nóżkami po podłodze, roześmiane, rozswawolone... Ten wesoły szczebiot młodości działał na Hankę tak jak blask światła działa na chore i zmęczone oczy. Wreszcie nastąpiła cisza, upragniona, do której tęskniła jak do litościwej osoby. Ale nie wiedziała teraz co czynić z sobą. Nie mogła czytać. Płomień świecy trzepotał się na przeciągu — drażniło to i nękało... Zgasła światło i wychyliła się przez okno. Słuchała i patrzyła.

W duszy płakał cały ból życia.

„Oto jestem — mówiło dalekie, wiekiuste, usiane gwiazdami niebo — oto jestem, byłem i będę... Przemieniesz...“ Nie być, nie istnieć, och nie być — modliła się do tych niebios.

„Oto jesteśmy — cicho, zaledwie chwiejąc gałęzmi, szemrały lipy — przetrwałyśmy czasów wiele. Małą dziewczynką siadywałaś u naszych odziewków, śmiałaś się... Jesienią sypałyśmy na ciebie złotym deszczem, złotym szeleszczącym deszczem... Przebierałaś rączkami w liściach, śmiałaś się... Potem przychodziłaś z książką dumać w dnie letnie... Nad nami było błękitne szczęście nieba... Przetrawałyśmy burz wiele i czasów wiele...“

Słuchała ogarnięta daremną męką, w szeleście liści były głosy chwil dawnych, słodkich, uśmiechniętych, dziecięcych chwil, brzmiały ciche westchnienia tęsknoty...

Boże — szeptała teraz z goryczą — po co ja się rodziłam! Dla kogo, komu? Bo nie dla siebie samej. Dałeś mi życie, a ja je trzymam bezradnie niby gałąź obumarłą... Po nad siły moje, po nad możność moją utrapiłeś mnie, Panie, pomimo chęci moich, dałeś mi życie, niby gałąź obumarłą, i nie wiem, co z niem uczynić...

„Serca nie masz!” przypomniały się jej raniące słowa ojca, które utkwily w niej niby kość w przelyku. Surowy i ostry był sąd ojca, ale czy słuszny!? Z jakąś bezbrzezną goryczą liczyła długie, szare i smutne lata swojej młodości, przebyte w pracy, w znoju obowiązków. Miała dobrą wolę. Gdy ojciec zapadł na zdrowiu, próbowała objąć na siebie zarząd majątku — i zawiodła się. Potem usiłowała wyręczać matkę — i także bez skutku. Wreszcie przystąpiła do lekcyi, do bakałarstwa cierpliwie, sumiennie... I oto co usłyszała!

Z jakąś bezbrzezną goryczą liczyła długie, szare i smutne lata swojej młodości...

Zabiła w sobie pragnienia, zgasila marzenia, porwała na strzępy złoty sen życia, z całych sił starała się być cierpliwą, spokojną, posłuszną i użyteczną — i na każdym kroku, każdego dnia, czuła niedolę swoją... W duszy wrzały bolesne płomienie, pełno było łkań, wołań i skarg... W świat leciały tęsknoty... A była w niej wiara i dumna moc, czuła się większą niż codzienne obowiązki, niż zgryźliwe rozkazy ojca, wyższą nad to życie, którem kazano jej żyć. Dumne samotne godziny spędzała na szczytach, daleka od zgiełku i krzątaniny powszedniego dnia, wpatrzona w blask precudny, w przepiękny kształt... Czuła wówczas tę dumną moc swoją, stygmat pomazania na czole i prawa swoje, wszystkie prawa swoje... Wówczas śniąca chodziła śród zabudowań gospodarczych, pełniąc jakieś niezrozumiałe obowiązki, śniąca słuchała gderliwych wskazówek ojca... Wieczorami w tajemnicy pisała... Przedziwne sny brały ją w objęcia, tuliły ją, całowały ją w usta, kładły jej senną głowę na słodkiem wezgłowie... słuchała ich promiennego szeptania i w strofy zamykała ich mowę... Ojciec sztydził...

A jednak czuje, wie o mocy swojej — i domaga się praw swoich... I woła teraz o życie... Duch budzi się i mówi wielkim krzykiem. Więc pójdzie stąd!. Dość już długo wędła w ciemnicy, pełzała w prochu codziennej nudy, poniewierała samą siebie, kłamała sobie... Spełnia się marzenie lat... Pójdzie stąd:..

Ogarnął ją dreszcz zachwyty.

Przez tyle dni tęskniła w daremnem, małoduszcznem oczekiwaniu, iż przyjdzie wyzwolenie. Samo nie przyjdzie! Oto w jej ręku jest klucz, którym otworzy przybytek. Jak wszyscy silni i możni weźmie

lot o własnych siłach... Będą cierpienia, może nędza — ale i życie, prawdziwe życie...

Strzeliło ku niej płomienne wezwanie Turowskiego.

„Jeszcze w uszach brzmiał zuchwały, grzmiący głos jego... Od-sunęła to przypomnienie z odrazą...”

Alboż koniecznie z nim? Pójdzie sama. Świat jest szeroki, ogromne miasta wrą, wołają do niej stamtąd także stęsknione, spragnione, płonące serca...

Szumiały lipy. Cichy szelest, niby chłodna fala, płynął jej przez duszę.

Szumiały lipy... Porzuci je na zawsze, odejdzie daleko i nigdy w ich szemrzącym cieniu...

A tamten?... A tamten?... — zawołało w niej serce.

Wychyliła się jeszcze głębiej przez okno, dotknęła bżowego krzaku, wilgotnego od rosy, i wiodła po nim długo ręką, ruchem pie-szczoty, ruchem miłości...

— Niech pani czyta „Naśladowanie“ w chwilach najcięższych, w chwilach upadku — powiedział do niej niegdyś.

Zapaliła świecę i, rozwarłszy małą, wytartą od codziennego użytku książkę, na chybi trafi czytała:

„Opuść siebie, a znajdziesz mnie... Nie miej nic swego ani nawet woli swojej... Inaczej jakżebyś mógł być moim a ja twoim, jeśli-byś nie wyzuł się zupełnie ze wszelkiej własnej woli wewnątrz i ze-wnątrz...”

Krótkie, proste zdania przemówiły do niej. Nie zawsze rozu-miała ich znaczenie, słuchała tylko, jak mówiły do niej głosem zna-nym, drogim... I zdawało się jej, iż stoi koło niej i szepce jej surowe pociechy, że mu jaśnieje dobrocią oblicze, że splata się między nim oddalonym i nią węzeł tajemnego, wiecznego braterstwa.

Wiedziała już, że zostanie... Potem w nocy wbił się w jej ser-ce grot bolesnej myśli: oto słaba jestem — powtarzała sobie — oto nic we mnie niema i wszystko jest złudzeniem... Gdyby była moc istotna, uczyniłabym jak wszyscy i poszłabym, sięgnęłabym po życie... Żaden z nich (stawały w pamięci dzieje drogich twór-ców) nie dźwigał posłusznie łańcucha powszednich obowiązków... Zrywał i szedł... Turowski słusznie mówił o silnych... Zostają i bę-dę trwać... I nigdy nie...

Plakała.

IX.

Po nagłym zniknięciu dwu niespodziewanych gości Paweł przez chwilę patrzył w złowrogą drżącą jasność na horyzoncie, poczem cofnął się do swego pokoju. Był już ciemny wieczór i należało zawołać na lokaja, ażeby ten wniósł lampę, ale Paweł ociągał się. Czuł gdzieś w okolicy serca, może na „podniebieniu“ serca gryzący niesmak od rozmowy ze Stefanem i, nawykły do sumiennego a badawczego obcowania z samym sobą (nazywał to obcowanie „rachunkiem myśli“) wziął pod ścisły rozbiór swój niedawny postępek. Czy dobrze uczynił odmawiając? z jakich źródeł wypłynęło postanowienie odmowy, z osobistej niechęci albo też z zasad? Jeśli to drugie było, jako przyczyna i powód, w takim razie był w zupełnym porządku z sobą... Ale Turowski uraził go do żywego w Musinowcach, więc może skorzystał z łatwej sposobności wywarcia zemsty? A człowiekowi choremu wypadało dopomódz... Tylko, że szkodliwe poglądy... i może szkodliwy użytek... — Pocieszał siebie. Ale wciąż trapił go niesmak i mocny fundament zasad uginał się. Przechadzał się po mrocznych pokojach. Przez okna widać było daleką lunę; świeciła nad lasem i na jej tle rysowała się wyraźnie łamana, śpiczasta linia wierzchołków.

Po uśpionem podwórzu biegł w wesółych podskokach takt jakiegoś tańca, wygrywanego na skrzypcach, gdzieś na folwarku.

Skrzypce były liche, ale grajek ochoczy i dźwięki płynęły ciągle te same, bez końca, wiły się po nocy, ślizgały się, trącały swawolnie o ponurą ruinę byłego pałacu, łaskotały ciszę i ciemność, radowały się, mizdżyły się do kogoś niewidzialnego, zalecały się...

W Pawle pasmo poważnych rozmyślań prysło raz i drugi, usiadł w salonie, zwiesił głowę... W pamięci wyłaniały się jakieś chwile dalekie, cicho na palcach zbliżała się postać posepna. Wiał od niej smutek. Paweł znał ją... To było życie jego. Stało posepne, sztywne i chłodne, otulone w powszednią opończę, bez ozdób, bez sztandarów, bez opaski, z urzędowym tytułem na czole...

Paweł zmarszczył się, ale z uległością nastawił uszu na to, co opowiadała ta postać.

— Skrzywdzili mnie — mówiło życie — początek mój był w pokoju dużym i posepnym, z oknami od zachodu, gdzie słońce ukazywało się tylko w ostatniej godzinie dnia; stał tam stół z książkami, uło-

żonemi systematycznie, z kałamarzem, z zeszytami; brzydkie, nudne książki! każda była niby ogniwo kajdan... między stronicami tych książek leżą wszystkie dnie moje ówczesne, jak zawiędłe, zasuszone, zakurzone, bezużyteczne kwiaty... wszystkie można je tam odnaleźć... Oto co uczynili ze mnie... A mogłem być jak radość, jak chmura, która o południu złocistym uśmiechem śmieje się do słońca... Skrzywdzili mnie!.. Pamiętasz, do wieczora były lekcye z nauczycielami, potem uczyłeś się sam, chodząc po pokoju z książką przed wzrokiem, powoli, z ręką założoną za plecy (zostało ci to przyzwyczajenie), powoli, jak starzec... W ogrodzie, po drzewach szemrał wiosenny wiatr, szumiały wiosenne wody, tajały śniegi, na mokrych, rudych trawnikach budziły się błękitne kwiaty i wątle, zielone listki... pamiętasz?

Ojciec przegrywał w karty i robił pieniądze, gryzł się; śmiechu i pieśni nie było w całym domu. Bałeś się ojca... pamiętasz jego pochmurną, czarną twarz? Ojciec umarł, we trzy lata potem matka... Zabrakło cieplej, pieściotliwej, słodkiej ręki... Skrzywdzili mnie.

Potem byłem w wielkiem mieście. Weź, odszukaj tamten stos książek, pokreślonych, podkreślonych, poznaczonych krzyżykami; na podobieństwo martwych piór, wyrwanych żywemu ptakowi, leżą tam między kartkami dni moje... świetne cenzury!.. Drogim kosztem, drogim kosztem. .

Chodziłeś do szkoły, wracałeś ze szkoły, chodziłeś na spacer, na tę samą ulicę, uczyłeś się, snując po pokoju z ręką założoną za plecy, powoli jak starzec, pisałeś... gdybyż choć czyje drogie serce kładło ciepłe blaski na pustkę tej celi!

Pamiętasz, po salonie krążyły młode pary. Tancerze w mundurach ze srebrnymi guzikami, tancerki z warkoczami. Szlochała z wesela muzyka, w zdyszanych piersiach gwarzyły serca, śmiały się do siebie oczy... Stałeś we drzwiach samotny, samotny od początku do końca... Za tobą szeptało dwoje... Pamiętasz?

Potem byłem w innem mieście. Stań i patrz: Oto wążkie zakratowane okno ciemnicy, oto za niem bezmiar gwiazdzistego nieba. Co widzisz przez to okno?

Uczyłeś się. Wykłady, profesorowie — starzy ludzie w okularach, biblioteki. W ogromnej sali biblioteki, przy małym, złotym stoliku szperałeś co wieczór w księgach. Naprzeciwko, także przy złotym stoliku, czytała młoda panienka. I podnosiła oczy, patrzyła w ciebie; te dziwne, fijołkowe, ciepłe oczy patrzyły... Szperałeś w księgach...

Pamiętasz bulwar nad rzeką w wiosenne wieczory? Na drzewach rój młodych liści, gwizd statków, blado-niebieski uśmiech bladego nieba, plusk nurtu... Wędrowały pary... Wracając z biblio-

teki powtarzałeś w zmęczonym mózgu treść dwu ostatnich rozdziałów... Pamiętasz?

Skrzywdziłeś mnie.

Paweł próbował bronić się. Nie dotykając czasów minionych, mówił sobie o przyszłości. Oto w Naborowie będzie nowe życie. Jest ziemianinem, rozpoczął działalność, w szufladzie odczyt czeka na tę chwilę, gdy stanie między ludźmi z nowym słowem, jako twórca być może nowej epoki. Ile jest wsi rozsypanych po tym kraju, tyle jest punktów, w które uderzy jego czyn... Bo nędza tych wsi jest ciężka, a niedola i ciemnota wsi to niedola i ciemnota kraju. Pod jego przewodem, dokoła niego zrzeszą się ziemianie w nowym usiłowaniu... Że też nikt dotychczas, nawet Lew Mierzejewski, nie rzucił tego hasła? On to uczyni...

I od tych myśli rozwidniło się przed nim.

Ustał gorzki szept. W świecącym stroju, ze sztandarem, z błyszczącym godłem na opasce stało życie...

Jeżeli była pustka i samotność, to wszakże tak żyją ludzie idei. Każdy kto służy górnemu powołaniu — dumal — w zaparciu się i zaniedbaniu powszednich uciech idzie przez świat. Na granitowym podłożu zasad nie kwitną róże. I Lew Mierzejewski...

Chciałby już raz spotkać tego człowieka, do którego w duchu porównywał siebie. Dużo mu o nim przy kolacyi opowiadał Stefan. Milionowy asceta, spartanin, samotny starzec, niezmordowanie czynny, najpierwsze stanowisko, najpierwsze imię na Litwie... A teraz, jak mówił Stefan, zachwiany, przemieniony pod dziwnym, niespodzianym wpływem hrabiego Tobiasza, młodego jeszcze odludka i dziwaka, na którego on, Paweł, w gimnazyum spoglądał z góry... Jakież tajemniczy wpływ i tajemnicza metamorfoza! Co oni mogą mieć wspólnego? Lew Mierzejewski, taki Lew Mierzejewski, głośny społeczny człowiek i młody, melancholijny hrabia Tobiasz? Wycofać się z działalności, zaprzeczać sobie samemu!

On, Paweł będzie szedł do końca własną drogą... Więc tembardziej w porę wypadł tu jego przyjazd.

Na podwórzu swawoliły dźwięki skrzypiec, ale Paweł ich już nie słyszał. Pochłonięty był projektami na przyszłość i nadziejami na przyszłość. Do późna pierwej łąw ciemności, potem przy lampie, rozmyślał, przeglądał odczyt, pisał, rysował... Następnego rana wybrał się do Kamienieckich przez Nowiny stryja Michała.

*

*

*

I nie mógł przyjechać do Nowin bardziej w porę. Trafił bowiem na jeden z t. zw. „pokutniczych“ dni, w których p. Michał cieszył się szczerze każdemu gościowi, jako niosącemu ulgę i wytchnienie, a często i kres w ciężkiej rozterce duchowej. Te dni „pokutnicze“ przychodziły każdego miesiąca, czasami każdego tygodnia, jak migrena albo jak chmura („miałem wczoraj chmurę“ pisał w dzienniku pan Michał, gdy mijały). Brzydło mu wówczas życie, ogarniała go niezwalczona apatya, brzydł sobie samemu aż do wstrętu. Bezczynny w zwykłym znaczeniu tego wyrazu t. j. niezajęty ani gospodarstwem, ani groszorbstwem ani wogóle żadną ze spraw, którą ludzie chrzczą mianem pracy, w dnie takie stawał się poprostu chodzącym manekinem. Książki wysuwały mu się z palców, pióro nieumiało nakreślić ani jednego wyrazu w pamiętniku czyli w „smętnicy“, który prowadził z zamiłowaniem, przelewając weń najgłębsze niepokoje ducha, oczy patrzyły obojętnie i sennie w przyrodę, którą przecież kochał. Poziwiał, wałęsał się z kąta w kąt, unikając ludzi a najbardziej pani Tekli (nazywał ją w myśli w takich chwilach z rosyjska „Fiołką“), nie zachodził do swojej t. zw. „kaplicy boleści i ducha“, gdzie ze ścian patrzyły na niego najdroższe, umiłowane oblicza wielkich „smętników“ świata, gdzie spędzał zwykle wiele godzin z jakimś dziełem w rękę, w zamyśleniach i rozpamiętywaniu, zasłaniał jakąś gazetą pewną fotografię na biurku w żałobnych ramach, na której dumiała słodka i cicha dziewczęca twarz... Kładł się w trawach ogrodu, których nie pozwalał kosić, pod drzewami, twarzą ku ziemi i leżał bez ruchu — z jednym pragnieniem w duszy, żeby ziemia rozwarła pod nim swoje wilgotne, mroczne łono i żeby już poszedł na dno wiekuiściej ciszy.

Potem przychodził jęk, (przypominało mu się Słowackiego: „dobrze mi jest z jękiem ptaka w piersi“) którym bez litości nad nim wołało całe jego jestestwo i wił się w gorzkim jak piołun żalu, we wspomnieniu, w tęsknocie...

Rzecz dziwna, mijały lata, zmarszczki starości gromadziły się dokola czystych, spokojnych oczu jego, a cierpiał jak niegdyś w trzech stolicach świata, jak zwłaszcza tam, gdzie pogrzebał świetlany sen serca, i jeszcze uciskała go „boleść świata“. Nie był filistrem—i napelniało go to dumą.

„Wiecznym jestem studentem, jestem zgrzybiałym podlotkiem i cierpię jak student — mawiał o sobie żartobliwie — i na trumnie mojej połóżcie mi palmę“. W dniach „pokutniczych“, gdy „chmura“ nasuwała się na duszę, wzdychał jednak do spokoju. Ale ów jęk był bez litości.

„Zszedłeś z dwu jedyuych dróg doli ludzkiej — wołał — nie ująłeś, nie danem ci było ująć w dłonie szczęścia, nie potrafiłeś żyć podług ideałów ducha — i dlatego taki marny, taki podły, taki jałowy i błotny jest twój koniec. Poco z uległością tehórzowską wleciesz się aż do kresu? Czekasz jeszcze na co? Osiągniesz co? Umrzyj!.. Pan Michał nie umiał spełnić tego rozkazu i jeszcze bardziej zlorzeczył sobie. Ale wieczór, nocne wytchnienie, czasami jakieś nowe wrażenie, rozganiały „chmurę“ — i wracał do życia mówny, ruchliwy, czynny po swojemu, jasny, uległy losowi, wracał do pamiętnika — smętnicy, do rozmów z Bogiem, do swojej kaplicy, do przyrody, do tamtej twarzy zaświatowo zamysłonej na biurku, wracał z dobrodusznym uśmiechem do swojej Tekli, którą nazywał już nie Piokłą ale Teklunią... I dalej płynęło życie, jak rzeka, szybkie i znikome, płynęło tydzień, miesiąc, znowu rozlewało się w mętną sadzawkę, zatrzymane szluzami analizy, i znowu płynęło...

Właśnie jednego z takich „pokutniczych“ dni, gdy pan Michał nie mógł sobie znaleźć miejsca i snuł ze swoją „chmurą“ po pokojach, w samą „porę“ przyjechał Paweł.

Zlazł z bryczki, zmieszany, bojąc się pierwszego zetknięcia z ową „damą“, niepewny czy dobrze postępuje, zaszczycając swoją bytnością dom, splamiony „karygodną liaison“ (tak nazywała to kuzynka Kamieniecka), niepewny jak zachowa się stryj, gdy on sztywnem obejściem z „damą“ zaznaczy swoje surowe zasady.

Mówił coś o złej drodze, o krótkości czasu, który może spędzić w Nowinach, o długotrwałej suszy, rozglądał się przytem niespokojnie i ciekawie, czekał, pragnąc jaknajrychlej dać dowód odwagi zasad.

Ale pani Tekla w epokach, w których stawiała się „Piokłą“, umiała ukryć się na długo, zagrzebać się w jakiejś budowli przy dozowaniu robót gospodarskich — i nie ukazywała się przez żadne z czworga drzwi salouu. Znać tylko było i w tym pokoju, pełnym staroświeckich najkosztowniejszych sprzętów, i w domu — tak rozumował Paweł, badając otoczenie — jej umiejętną, zapewne pracowitą i przyjazną rękę. Nigdzie kurzu ani pajęczyn, nigdzie zapachów, których on dotychczas nie mógł pozbyć się w Naborowie, nigdzie zaniedbania i chłodu (w znaczeniu moralnem) nieuniknionych w domach starokawalerskich.

Pan Michał lubo szczerze rad z gością, ale nie całkowicie jeszcze uleczony z „chmury“, nie wpadał jakoś w ton serdecznego rozgadania i obaj cedzili przez zęby bezbarwne uwagi o cennych gratach, którym przyglądali się chodząc po kilku pokojach (ani do gabinetu, ani tembardziej do swojej „kaplicy“ nie zaprowadził bratanka), a z których niejeden przypominał Pawłowi dawne lata dzieciinne. Zwłaszcza ten parawan w czeczotkowych ramach, z zielonej tektury, naklejonej przeróżnemi rycinami, które niegdyś, niegdyś wydawały się cudnemi a teraz, teraz... także mają swoją wartość, swoją cenę... są wyborne głowy i sceny jakby ze sztychów, tak, może istotnie ze sztychów...

Mój Boże! Stał (ten parawan) dawniej (jak to już dawno!) w jego pokoju przy łóżku i oczy dziecka zanim przyszły książki, suche książki, stopnie, pochwały za stopnie, rywalizacya, ambicya, miłość własna, patrzyły, miłowały, cieszyły się, czytały z niego, snuły jakieś długie, długie opowieści... Jakże to już dawno! Matka, szczęście i to wszystko... — kołatało się w sercu, zalanym falą nieznaną, niezwykłą, nieśmiałą...

— Zabrałem wam ten parawan — odezwał się stryj — z Borka. Myślałem, że już nikomu się nie przyda a ładny jest... Może ci go oddać?

— Chciałbym, stryju, dziękuję — sucho odparł Paweł i znowu patrzył.

— Jakże tam w Borku? — zapytał po chwili.

— W Borku?... Ruina, kompletna ruina. Dom jeszcze istnieje, ale pokoje w okropnym stanie. Może ekonom będzie więcej dbał niż dzierżawca... Szkoda, żeś nie zamieszkał w Borku — dla wspomnień.

Paweł zamyślił się. Znowu chodzili, mówiąc o stylach (p. Michał był znawcą) obojętnie i ze znużeniem dotykając bronzów i luster. Stare zegary na konsolkach i szafach cykały nudne, długie minuty.

— Jesteś głodny, Pawełku? — odezwał się pan Michał, ozywając się nagle.

— Nie.

— No, to chodźmy gdzie na słońce. Do obiadu jeszcze daleko... Tu wszystkie te graty, jak pająki, rozsnuły w pokoju jakąś melancholijną pajęczynę. Idźmy na łąki, pokażę ci cudne łąki... Let's go!.. dear fellow!..

Ciągnął go, biorąc za rękę.

Minęli podwórze, gdzie dwa psy zgrzytały wściekle na łańcuchach, cuchnące błoto, wymięsione racicami bydła wśród obór, groble i szli już dalej szczerem polem w słońcu.

Sunęły tą drogą fury, naładowane nawozem, który rzucał w gorące powietrze swój jędrny zapach, zaprzężone w liche konie. Nad szkapami wywijali biczykami chłopcy bosi, albo dziewczęta, także bose, ze spódnicami, podkasanymi wysoko nad ęgami, ubabranymi w gnoju, łydkami, i poganiali krzykliwie. Nieustający krzyk i wrzawa brzmiała na gościńcu.

Pan Michał zboczył.

— Nie lubię próżnować wszem wobec, a nie lubię także tej roboty — tłumaczył bratankowi — i dwie rzeczy gniewają mnie na wszechświecie: że precudne rośliny potrzebują tak niechlujnego posiłku i że człowiek przychodzi na świat... nie pod krzakiem róży...

Paweł uśmiechnął się i kroczyli dalej żwawo po czarnym, zachwaszczonym a wydeptanym przez stado ugorze, potem zanurzyli się w wonnym cieniu iglastego zagajnika. Młode sosenki spierały się tu o przestrzeń ze świerkiem i uczynił się tłok gęsty i prawie nie do przebycia. Cisza, tęgi zapach leśny, aksamity mchów zdobiły swoim czarem to dzikie ustronie. Ze złotych mchów, ścielących się u odziemków sosen i z zielonych, u korzeni świerkowych, podnosiła się wilgoć, powleczone pleśnią, w którą, niby gorące krople ukropu, kapąło tchnienie żywicy, tającej tam, u góry, na różowych pędach wiosennych. Dzięcioł stukał, bijąc mocnym dziobem w suchy sęk, czasami, znudzony robotą, rzucał swój śpiewny odzew... Odpowiedział mu drugi... Czasami obłok znikomy zasnuwał słońce i wówczas stawało się tu po prostu ponuro — przemijał i błękit jaśniał znowu głęboki i gorący, a złote smugi wędrowały po mchach, brzęczały dokoła pni, jak struny promienne, pieściły jakąś smutną kępę trawy, rosnącą tu z przypadku w suchotniczemu wyniszczeniu. Posuwali się ścieżką wąską, pieszą, depcząc z trzaskiem uschłe gałęzie, przedzierając się przez gąszcze, bacząc, żeby trącona gałąź nie uderzyła boleśnie towarzysza po twarzy. Chwilami stawali umęczeni, a wówczas ponad głowami ich wiało ciche, słodkie szemranie, które zawsze jest w lesie, nawet w czas, najbardziej bezwietrzny. Wreszcie poprzez pnie poczał przeświecać obszar słoneczny, drzewa rzedniały, tu i owdzie, jak zwykle na skraju lasu, ukazały się, ciesząc się ich niespodzianem, precudnie uśmiechniętem zjawiskiem, albo smukła brzoza, albo trwożna ośsina, albo dębczak zdrowy i tęgi, o ciemno-zielonym, mocnym listowiu — aż zawołała do nich pełnią szczęścia pełnią blasku, gładka i równa łąka.

Przez sam środek jej świetlistego rozłogu, kurytarzem olszowym, wiała się rzeczka; w znacznych odstępach dosychały wywrócone kopce siana, kładąc na jasne tło trawy mętne plamy, rzekłbyś jakiegoś wzbawianionego rozlewu, napełniając powietrze wonią niewysłowioną, wonią siana. Nie wybierając wybrednie miejsca, usiedli gdzieś najbliżej w zaciszu i w cieniu, nad wodą.

— Warto było iść aż tutaj! — rzekł pan Michał i rozciągnął się na wznak.

— Warto — znużonym głosem potwierdził Paweł.

I dosyć długo odpoczywali, nie mówiąc nic.

Pachło wędnące siano i zdawało się, że to pachnie żar słońca. szepotały zaledwie widocznem drzeuiem liście wierzby i olchy, ciemne i brzydkie, toczone robactwem liście olchowe, lśniące, długie liście wierzby, gwarzyła gwarem niestrudzonym, gwarem płynnym rzeka.. Paweł wodził okiem to po grubym, krzywym, dziuplastym, szarym, pociągniętym delikatnym, złotawym meszkiem puiu wierzbin, to po szybkim, zwierciadlanym nurcie, po którym chyżo ślizgały się wodne pająki, ogarnięty nieświadomym a zwykłym w dniu letnie i nad uciekającą rzeką uczuciem, że nie odejdzie stąd nigdy, że niechby tak godzina po godzinie, rok po roku upłynęło mu tutaj razem z uciekającą wodą życie...

— Boże! jak pachnie siano... i ten szmer nurtu!.. Czujesz i słyszysz, Pawełku? — cicho odezwał się pan Michał.

— Dobrze jest — krótko odparł Paweł.

— Dobrze, dobrze .. — powtórzył stryj — i źle, sam nie wiem dla czego, ale i źle ..

I budziły się w nim, zbudzone wonią siana, wspomnienia dawnych, zaświatowych prawie lat, które tak przeszły, tak przeszły... Wspomnienia młodości, wspomnienia wspomnień, wspomnienia marzeń i same marzenia, wspomnienia tęsknot i same tęsknoty... Chodził niegdyś po łąkach, po takich samych wonnych, upalnych łąkach, młody, zakochany w sobie, rozkochany w życiu, które było jak łąka — i co? co teraz?

Wszystko minęło, on sam jest jak suche drzewo na moczarach, a łąki już niema, łąki życia...

Została tylko woń, Boże, ta woń niewysłowiona!..

— Człowiek jest szczęśliwy jedynie wówczas, gdy jest zakochany w sobie, gdy może być zakochanym w sobie — przemówił.

— Stryju! — zaprzeczył Paweł.

— Tak.

Obu, nawet i Pawłowi, nie chciało się rozumować.

A gwar wody i woń siana łączyły się w jeden czar i płynęły p. Michałowi wciąż w duszy, w samym sercu duszy melodyą przedziwną, słodką i bolesną, melodyą bez treści, melodyą, która była jak widmo, jak mara, jak cień jakiejś melodyi, przebrzmiałej oddawna, oddawna... Gdzie on jej słuchał? kiedy? czy słuchał? Może to były sny, to wszystko, tam, na łące życia? Och, nie sen!.. I wraca ten wielki, ten jedyny sen życia, ten pogrzebany sen... Brała go coraz większa ochota mówienia.

— Wspominasz? — zapytał nagle Pawła (nie patrzył mu dziś zupełnie w oczy) — lubisz wspominać? Spoglądasz w przeszłość? Żałujesz? Odzywa się w tobie niezmierny żal za tem, co było, i jeszcze większy za tem, czego nie było, co mogło być?

— Nie wiem, stryju.

— Prawda, młody jesteś... prawda! -- zamyślił się. — Spokojne jego oczy tonęły spojrzeniem we własnej duszy. — Nie zazdroszczę ci — mówił po chwili powoli i jakby do siebie — myślisz może, iż ci zazdroszczę. Ale tak nie jest. Nie potrafiłbym zacząć od nowa... Nie udźwignąłbym! Tylko tego żal, co było, tego, że nie było, że nic nie było... — zamyślił się.

— Wolałbym nie przychodzić tu z tobą — dodał cicho — bo mnie rozbiera. A w takich chwilach mówię za wiele, otwieram serce, tak, dosłownie otwieram serce. Jeśli chcesz, nachyl się i patrz...

I podniósł na bratanka swoje spokojne, czyste, dziwne oczy, w których świeciła dusza.

— Stryj nie należy do ludzi szczęśliwych — rzekł Paweł, strząsnąwszy z siebie ociężałość, trochę zaciekawiony.

— Mylisz się — powoli zaprzeczył pan Michał, goniąc wzrokiem za mknącym nurtem — mylisz się!.. Wam się wydaje, że jak kto nie jest prezesem, nie ma żony, córek na wydaniu i synów inżynierów, że już nie może być szczęśliwym... Jeżeli i ty tak mierzysz szczęście?.. Tak, nie mam ani żony, ani córek, ani stanowiska. Każdy człowiek, zapytany od siebie samego, czem jest, znajdzie odpowiedź—ja nie. Bo i czemu ja jestem? Niczem.

— Otóż tu właśnie zaczyna się nieszczęście — mądrze wstawił Paweł.

Pan Michał nie odpowiedział. Zerwał kilka liści, cisnął je na wodę, ścigał ich bieg — dumał. Potem mówił dalej, wciąż jakby do siebie.

— Szczęście jest jedno, tak, jak serce jest jedno, i szczęście jest, jak wzrok. Człowiek ślepy nie widzi i w najjaśniejszy dzień. Wszyscy dokoła niego widzą — on nie. A tam, gdzie dla ślepych jest mrok, oczy zdrowe patrzą w jasność... Prawda? Wasze zaś stanowiska,

urzędy, prace — to wszystko zewnętrzne, tak, zewnętrzne. Jedna chwila szczęścia wystarcza nieraz na całe życie... Nieszczęście przychodzi i trawi, ale i ogrom niedoli, to ogrom szczęścia... Im większa rzeka, tem większe są te góry, z których ona płynie, w których bierze początek. Lepiej mieć i tęsknić, niż nigdy nie zaznać...

— Zawsze trzeba dążyć naprzód — odezwał się Paweł.

— Mnie było danem potrzytać w dłoniach — cicho opowiadał stryj, nie dosłyszawszy nawet uwagi bratanka — na jedną chwilę, tak, jak, zdaje mi się, świętemu Antoniemu, Boże Dziecię; bluźnię, ale to porównanie ciśnie mi się na usta, takie szczęście, iż już niczego temi rękami dotknąć nie mogłem, nigdy i niczego, i ta chwila wystarczyła mi na cały żywot, na wszystkie lata, na wieczność... A wyście chcieli...

Zakrył twarz w dłoniach i mówił znowu cicho, bez intonacji, wpatrzony w przestrzeń.

— Kochałem. Nie pytaj mnie nigdy, kto ona była, kiedy to było i gdzie... Nie wiem, nie pamiętam, sam nie myślę o tem nigdy... Sam z sobą nigdy o tem nie mówię... Po co?.. Było i był można mówić o tem, co znika, o sukni, która się znasza, o drzewie, które spróchniało, może o gwiazdach, które zgasły, jeżeli są takie... Ja wiem, że tamto jest, że tamto trwa i trwać będzie nigdy nieprzerwane, wiekuiście żywe... Wiem tak samo, jak wiem, że ja istnieję, że zawsze istnieć będę w nieśmiertelności Boga.

Urwał i znowu zasłonił sobie oczy dłonią.

— Poznałem ją — zaczął po chwili — jak zwykle i wszędzie na świecie, może na jakimś balu, może w ogrodzie, nie wiem, nie pamiętam... widywałem rzadko i krótko... — urwał — Ale po co to? Po co ja to wspominam!.. Widywałem rzadko i krótko, ale dosyć, żeby promień jej ducha padł na mnie, żebym się ukorzył przed nią, żebym ukląkł i czcił... Miłowałem ją... nie kochałem nigdy ani przez chwilę... miłowałem... — głos mu się łamał i drżał — szedłem za nią, byłem przy niej jak cień i wiem, że nigdy już i nigdzie, chyba tam znowu, nie powtórzy się szczęście tych chwil... Ona może nie wiedziała nawet... tak, nie wiedziała, bo nie po ludzku, nie po ludzku... Ile było tych chwil! — I począł rwać, niewiedomo dlaczego, trzęsącemi się palcami zioła i cisnął je sobie do warg.

— Jak biały sen w białym, zaczarowanym lesie, jakby marzenie szczęścia, które marzy, na łące słonecznej, jak gdyby na gwiazdach... To się skończyło według waszego ludzkiego rozumienia..

— W wagonie z zielonemi kanapami widziałem ją po raz ostatni... Pociąg odchodził z wielkiego dworca najpierwszej stolicy, gwizdały lokomotywy, słały się dymy, skry... Był świt, różowa zorza,

jak brama nadziei i jasności, płonęła nad miastem, pomiędzy chmurami, na toni blado-zielonej, lkała gwiazda... I nie widziałem jej więcej. Nie pytaj mnie dlaczego, jakie spadło nieszczęście, bo nie wiem, bo nie chcę pamiętać, bo nigdy sam z sobą o tem nie mówię... Po co? O takie rzeczy pytają tylko ci, którym doczesne oczy przytłacza piasek ziemi...

— Nie pytam, nie mówię, nie myślę, nie pamiętam — powtarzał gwałtownym szeptem — nie wiem! tylko nie pojmuję, tylko pojąć nie mogę, czemu Bóg nie chciał, żeby świeciła przez życie?..

I jakby zabrakło mu tchu, przestał mówić. I z jedną ręką na oczach, drugą cisnął do ust pachnące zioła... Po chwili dodał jeszcze.

— A wiem, że takie duchy schodzą na dolinę życia po to, żeby zajaśniała tu miłość Boża, żeby nad nocą niedoli i złego promieniały gwiazdy obietnic, żeby słodziej było dźwigać brzemię aż do wyzwolenia... I uwierzyłem. Nie stałem się lepszym, grzeszyłem, upadałem, upadam, ale duszę swoją na całą wieczność oddałem jej, a ona kiedyś może, kiedyś, złoży ją na łonie Boga... Oddałem jej duszę, nie odebrałem...

Nie dokończył. Odwrócił się od Pawła i nisko pochylił głowę.

Rzeka gwarzyła, nad łąką drgało skwarne, słoneczne powietrze, po skoszonej, kolącej trawie pstrzykały koniki polne, pachło siano...

Pan Michał nie widział i nie słyszał nic. Z przed oczu zniknął mu ten, zalany wesołą jasnością, upalny, zielony świat i śniąca dusza grążyła się coraz głębiej w nurcie letejskim, w błękitnym nurcie zapomnienia... I szła na tamten brzeg; na błonie świetlane, i wyzwolona, chyliła się cicho, klękała miłośnie przed zjawą promienną, jaśniała... Potem otrzeźwiał.

— Pawle, nie jesteś jeszcze głodny? — zapytał, ciągle unikając wzroku jego.

— Nie — skłamał Paweł.

— To zostanmy tu jeszcze długo — poprosił.

I błądy wciąż, patrzył w rzekę, która gwarzyła, biegła, płynęła, przelewała w słońcu złote, migotliwe paciorki.

Paweł, porwany w pierwszej chwili wewnętrznem, tajemniczem drżeniem opowieści, teraz rozpatrywał ją po swojemu. I nie rozumiał stryja. Te wynurzenia, rzucone z takim gwałtem pamięci i serca, nazwałby majaczeniem wyobraźni, marzeniem, chorobliwie wypieszczonem, egzaltacją... złamane życie! Byłże to powód istotny i ważny? Zresztą, człowiek silny i dzielny nie daje się złamać... A stryj nawet

jakby się szczycił tem, że przetęsknił życie, że błakał się bezczynnie, że nie zaprząkł się do żadnej pracy!.. Jakąż korzyść przyniósł społeczeństwu tem, że siedział w swoich Nowinach trzydzieści lat z tą damą? Zbierał graty, tęsknił i marzył!.. To nie wystarcza. Bo zanim nadejdzie ta zaświatowa wieczność, do której on się wyrывa, trzeba tu na ziemi zdobywać i dążyć, i kroczyć w niezmordowanym trudzie. Tak. Wieczność?..

Paweł, pochłonięty zdobywaniem, nigdy ani jej, ani związanych z nią zagadnień nie zgłębiał. Myślał o wieczności tyle, ile chłop na przednówku, gdy nie ma czem przekarmić krowy, myśli o dalekiej stolicy... Może i jest kędyś, ale daleko... Nie widział jej nigdy... czy zobaczy?..

Mimo, że badawczy i sumienny w każdej sprawie, Paweł wiarę stracił łatwo. Nie wiedział nawet kiedy i jak. Zapewne nie wpojona a zaszczerpiona powierzchownie, skruszyła się w nim, gdy tylko poszedł w świat. Matkę stracił dzieckiem i nikt go nie żegnał znakiem krzyża przed drogą, nikt się za niego i przy nim nie modlił... Potem były książki, które porywał chciwie w dwu ostatnich klasach, potem uniwersytet, socyologia, antropologia, antropometria... Wierzył w naukę, wyhodował w sobie ideał społeczny, ambicya gromkiem wołaniem zagrzewała do czynu, droga życiowa jeżyła się trudnościami—żył... Ale w epoce studyów ekonomicznych, gdy przeraziły go zdobycze skrajnych stronnictw, doszedł do przekonania, iż zanik uczuć religijnych w masach grozi poważnem niebezpieczeństwem ustrojowi, zrozumiał znaczenie Kościoła, jako instytucyi, i zaciągnął się do jego szeregów, jako polityczny stronnik. Dalej wszakże nie posunął się i teraz, gdy myśl trąciła o wieczność, popadł w leniwą apatyę.

Było gorąco, dolegał głód...

— Może pójdziemy już, stryju?..

-- Za chwilę.

— Chciałbym przed wieczorem dojechać do Kamieńczyc.

— Dobrze... zaraz... — ustąpił stryj.

Ale jeszcze długa chwila upłynęła, zanim p. Michał wstał i nie mówiąc nic, wolnym, zamyślonym krokiem ruszył do domu.

X.

Pan Michał nie tknąłjadła ani przy przekąsce, po której Paweł odjechał, ani przy obiedzie, jakkolwiek ten składał się codziennie z samych tylko „ulubionych“ potraw, i nie rzuciwszy ani jednego spojrzenia w stronę pani Tekli, schronił się do ogrodu, żeby uciszyć wewnętrzny żal, wewnętrzne płkanie. Bolała go niewymownie ta spowiedź, którą uczynił przed Pawłem, obnażył serce, obnażył duszę i nie wiedział teraz czem je przebłagać. Będzie już milczał do końca. Nigdy już i przed nikim nie podniesie żałobnej zasłony, nigdy! — powtarzał sobie.

A grzech ten popełnił drugi raz w życiu: raz w wagonie, gdzieś daleko przed nieznanym podróżnym, przed jakimś Francuzem z opaską na chorym oku, dziś przed bratankiem najlepszym może chłopcem... Francuz, żeby się odwzajemnić zwierzeniem za zwierzenie, jał opowiadać mu ze łzami i ze śmiechem swoje przejście z jakąś maitresse, która go zdradziła, a Paweł?..

Po co on mówił, po co?

Chmury pęłzały po niebie ciężkie i nabrzmiące, podobne do brzydkich, spuchniętych twarzy, gromadziły się w jeden zwał i wkrótce zasłoniły słońce. Już tylko rąbek błękitu jaśniał blade w północnej stronie niby rzeka wśród posepnych brzegów, którą biegły ostatnie wody lazuru... Trwożne szelesty odezwały się w drzewach. Grzmiało. Duszny upał wisiał nad ziemią jakby nieszczęście, z którego niema wyjścia, zamarała pierś ziemi bez tchu — szła już ostatnia chwila... Ale wstał wichur, zakotłowało się, świat poruszył się w posadach. Trzeszczały, huczały i gięły się drzewa, leciały liście, kładły się i zrywały się wysokie trawy ogrodu, deszcz spadł dużemi, rzadkimi kroplami — burza poszła na suche lasy. I znowu wśród czystego, splukanego błękitu świeciło słońce. Zabrzmiały wonie niby głosy dziękczynne, cicho z cichych drzew spływały krople... Pan Michał dopiero późnym wieczorem wrócił do domu i ze świecą udał się do swojej „kaplicy boleści i ducha“, jak szumnie i żartobliwie nazywał podłużny pokój z szafami biblioteki i portretami wielkich ludzi na ścianach. Spędzał tu zwykle długie godziny. Chodził od szafy do szafy, brał jakiś tom, przewracał karty. Oczy zatrzymywały się na ustępach zaznaczonych ołówkiem, wspominał, marzył, smakował, lubował się i cieszył. Słuchał... Pośrodku stało krzesło, na którym siady-

wał, z którego wodził okiem po tamtych twarzach. Słuchał... Zajął teraz swoje zwykłe miejsce. Szeregi portretów w jasnych z dębu ramach, zacierały się w cieniu i tylko dwa oblicza, na pół wyraźne, mierzyły go znanem wejrzeniem: Goethe i Szekspir, piękny, klasyczny, wiekiście zimny i spokojny w swojej mądrej wiedzy Goethe i brodaty Szekspir, który w migotliwym oświetleniu zdawał się śmiać śmiechem szyderczym, pełnym zgrzytania... Panu Michałowi uczyniło się ciężko, pod przenikliwym badaniem tych rozumnych źrenic, i z lichtarzem w rękę począł chodzić wzdłuż ścian. Szukał czegoś... Dante i Bajron, Mickiewicz i Heine, Słowacki i szopenowska twarz młodego smyka, Beethoven i Pascal... Szukał czegoś.

Wszystkie oblicza milczały, pogrążone w martwej zadumie, w wiekiustym, obojętnym na życie, na wszystko, co tutaj spokoju, i chłód wiał od tych białych, gładkich, nietkniętych żadną marszczką ziemskiego cierpienia czoł... Dziś po raz pierwszy, rzecz szczególnie, uderzyła go ta zimna cisza i gładkość jakby śmiertelna czoł...

Z westchnieniem przeszedł do pokoju jadalnego. Nad dużym dębowym stołem, zasłanym wytartą ceratą z nudnym wzorem, paliła się wisząca lampa, samowar, zastawa wieczorowa i poczta czekały na niego.

Rozerwał opaskę dziennika i przejrzał telegramy bez zwykłego zajęcia.

...Wilhelm przedsięwziął nową podróż, jakaś królowa powiła syna czy córkę, jakieś ministerium upadło...

W innem usposobieniu połykał wszystkie wiadomości, od deski do deski, przeglądał nawet kronikę wypadków warszawskich, ogłoszenia — i była dla niego, od lat wielu otoczonego głuchą ciszą odludnego zakątka, ta gazeta jak barwna panorama świata, jak ciekawy kalejdoskop życia, jak olbrzymi gościeńiec ludzkości. Umiał czytać i rozumieć dzienniki. Z drobnego ogłoszenia *petitem*, albo zdarzenia ulicznego, wyobraźnia i serce wysnuwały mieszane obrazy niedoli i nędzy, obrazy walki o byt, głodów wielkomiejskich i żądź, tragedye zaułków i suteryn, bolesne istnienia nizin.

Widział to wszystko i przeżywał, prowadził swoją własną statystykę, wysnuwał wnioski, swoje własne wnioski, które mówił rzadko komu, czasami śmiał się cicho, szyderczo, boleśnie.

Ale dzisiaj nudził go dziennik i zadzwonił staroświeckim ze stojącym Napoleonem, zamiast rączki dzwonkiem (elektryczności pod żadną postacią nie uznawał), na kolację.

Dymiący półmisek przyniosła sama pani Tekla. Nałożyła mu na talerz kalafiorów, nalala herbatę i usiadła na przeciwko.

— Jakaś choroba? — zapytał, zauważywszy, iż miała twarz podwiązaną chustką.

— Fluksya.

— Może posłać po doktora, albo do apteki po terpentynę? — doradził, nie patrząc na nią.

— Terpentyna nic tu nie pomoże — uśmiechnęła się (p. Michał był wysoce niepraktyczny), boleśnie wykrzywając usta i oczy jej zapaliły się blaskiem — przejdzie. Dobre kalafiory?

— Dobre.

Nastąpiła cisza. Staroświecki zegar szemrał długim, mosiężnym, z szerokim u końca kołem, w którym świecił płomyk lampy, wahadłem, psy, spuszczone z łańcucha ujadaly na podwórzu.

Pan Michał nerwowo nie znosił szczekania i w zasadzie nie zgadzał się na trzymanie złych psów (jeszcze onegdaj poszarpały włościankę Bogu ducha winną, przypomniało mu się) i podskoczył na krześle.

— Poco te psy? — mruknął.

— Bo taniej kosztują niż stróże — odparła łagodnie i nieśmiało — okolica pełna złodziei.

I chciała jeszcze coś dodać, ale wstrzymała się. Na jej dobrotliwej, zwiędłej, ale ładnej jeszcze twarzy, zwłaszcza gdy oczy jaśniały blaskiem, przesunął się cień cierpienia, może fizycznego z powodu fluksyi, podparła głowę zaniedbaną, spracowaną ręką i nie zdejmowała uważnego czy troskliwego wzroku z pana Michała.

W inne wieczory, brała robotę i słuchała chciwie, jak opowiadał jej coś z gazet, nie zawsze i nie wszystko rozumiejąc, zwłaszcza, jeśli unosił się, albo sama mówiła mu o swoich drobnych, powszednich, przykrych może, ale mimo to miłych kłopotach dnia. Dziś bała się.

— Dlaczego to pan Paweł nie został na noc? — odezwała się, nie mogąc stłumić chęci do gawędy i ciekawości.

— Nie mógł.

— A Skibowski, czy poradzi sobie po tych pożarach? Nie daj Boże! — westchnęła.

— Trzeba coś obmyśleć...

Nie próbując już dalej zawiązać rozmowy, wstała i szepnąwszy dobranoc, wysunęła się z pokoju. Gdy wychodziła, miała już zgaszone, stroskane oczy i zmęczony wyraz.

Pan Michał rad był, iż zostawiła go w samotności. Wodził spojrzeniem za poblyskującym, szemrzącym wahadłem — myślał. Smutne i gorzkie myśli trapiły mu duszę... Tyle już wieczorów spędził przy tej lampie, przy szemraniu tego zegara, w tej głuszy... Czem

było takie życie? Służył idei? Służył sobie samemu, to jest zajał szczęście, niby pożywną potrawę. Więc co było w tem życiu? Dlaczego z wysoka spogląda na innych ludzi, na ich zabiegi, urojenia, złudzenia i kłamstwa? Jakże ma do tego prawa? Nie byłoby lepiej choć drobną jaką rzecz sklecić pracowitemi palcami i zostawić po sobie? Śmiał się zwykle cicho, szyderczo, boleśnie... Co po tem śmiechu? Szczycił się i szczyci się, iż nie podupadł, że nie wytoczył się w nim filister, a kto wie czy dzięki tym właśnie filistrom nie trzyma się życie? Oto filistrzy w tych stronach zakładają jakieś kółka i towarzystwa, dźwigają majątki, może dźwigają kraj... Paweł...

Ale onby nie potrafił! Na rzęsach jeszcze wisi mu ta łza... Pamięta dwa sny, jeden cichy, sen serca, drugi ogromny, sen krwawy... Nie może! Niech inni za siebie i za niego... Nie nauczył się nowych prawd.., A zresztą może zanadto spojrział aż do dna, zanadto w dal wypuścił wzrok... Bo dokoła jest egoizm, obłudny frazes i groszorbstwo, ubrane w szaty kurulne i cynizm użycia, a z innej strony wieje wiatr i nowe łądy wyłoniły się u schyłku stulecia... Na tych łądach setki rąk kładą cegły... Więc wierzy...

*

*

*

Światło zapalki, wyszukanej poomacku w sypialni, oświeciło mu, jak codzień od tyłu już lat, te same znane przedmioty: dywanik kanwowy z dużym psem białym w czarne łaty nad łóżkiem (robotą pani Tekli) poduszkę i koszulę nocną, symetrycznie na niej rozpostartą zawsze w ten sam sposób (przez panią Teklę), stolik, książkę, przełożoną nożem (przez panią Teklę) w miejscu, gdzie zatrzymał się wilią, pled, którym okrywał nogi, zawsze lodowate... Ale rewolweru nie było. Spostrzegł to odrazu. Zapaliwszy świecę, przeszukał raz jeszcze na stoliku, pod łóżkiem, pod poduszką, wszędzie... Chwycił go niepojęty strach, przeczucie dziwaczne i bezpodstawne, śmieszne, i nie mógł nad niem zapanować. Zdało mu się, że zaraz będzie nieszczęście... Zarysowały się przesłanki rzekomo pewne, snuły się wnioski, śmieszne przypuszczenie przybrało rozmiary olbrzymie... Pobiegł do pani Tekli.

Czuwała jeszcze. Przy stole z prostą lampą bez klosza, a w papierowym ciemniku, z maszyną do szycia, z kwiatami w szklance, Bogu ducha winna, haftowała, szybko, pracowicie połyskując igłą.

— Gdzie rewolwer? — zapytał gwałtownie.

— Rewolwer? — odrzekła spokojnie („z udanym spokojem“ — myślał) podnosząc zmęczone robotą spojrzenie — koło łóżka, na stoliku.

— Niema.

— Może spadł.

— Właśnie że nie, przetrząsałem wszystko.

Nie pytała dalej. I znowu wydało mu się podejrzanem, że drobiazgowo porządna, dbała o każdą najmniejszą rzecz, tak obojętnie przyjęła tę wiadomość.

— Nie brałaś go?

— Ja? A po co?..

Dziwaczne, bezpodstawne, nieprawdopodobne, śmieszne przypuszczenie tkwiło w znerwowanym mózgu już jako pewnik niezbity i nie wiedział, co czynić. Dziś, w nocy, za godzinę, skoro tylko odejdzie stąd — ona odbierze sobie życie... Dobrze, litościwe serce wymawiało mu gorzko... Deptał po niej, po jej miłości własnej i godności przez całe życie, przyjął ofiary największych poświęceń i nie dał jej nic w zamian, chyba złe humory, w których odwraca się do niej plecami.

Przebiegł kilka razy po pokoju.

— Może schowałaś? mów prawdę — prosił, stojąc koło niej.

— Ależ nie! Mówiłam, że nie — zaprzeczyła apatycznie.

— Niepokoję się — urwał i dalej mierzył pokój nerwowymi krokami.

Pani Tekla pochyliła się nad robotą, westchnęła, i znowu pracowała. Igła migiała szybko w jej wprawnych palcach.

— Poco się męczysz? Chora jesteś, to niepotrzebne... — rzekł miękko, biorąc ją za rękę.

— Chciałabym już skończyć.

— To dla mnie? — zapytał jeszcze.

Skinęła głową.

Tak — myślał, przetrzymując jej szorstką, opaloną, spracowaną rękę — przez tyle lat te ręce krzątały się, uwijały się, trudziły się koło niego i dla niego... Pamiętał tę twarz i te ręce, gdy były młode i świeże... Była piękną... Postarzała się przy nim, z nim i dla niego... Dla niego, przez niego są te zmarszczki i fałdy, nakłócia na palcach, srebrne pasma we włosach... Tyle lat!... I zawsze wierna, pokorna, pełna kochania, pracowita... A on! co jej dał w zamian?

— Był list od Tadzia — rzekła cicho.

— Cóż on pisze?

Kończy egzamin i prędko przyjedzie.

— Tadziki! powtórzył, i radość dobra, najlepsza może z radości życia, rozpromieniła mu serce.

Ale ona westchnęła — i znał doskonale przyczynę tego smutku.

Był to przedmiot bolesny i trudny.

(D. e. n.).

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

NAD TYBREM.

Lubię bardzo, w słoneczny dzień wiosenny, w popołudniowej porze, błąkać się swobodnie, bez celu, po ciasnych zaułkach *Trastevere*. Inny tu świat, niżli po lewym brzegu żółtego Tybru; inne jakoś przedmioty ogarniają tu myśl przechodnia, roztaczając się mimowoli po pogodnym jej widnokregu. Najmniej tu może starta patyna czasu z trastewerańskiej dzielnicy; kogokolwiek spotka się na ulicy, każdy Trasteweranin, każda Trasteweranka — to typowi prawowici Rzymianie; nie przyniosła ich tu fala nowszych wydarzeń z północy czy z południa. Gdyby można zestawić rodowód rozbawionych chłopaków, co w hałaśliwych grupach wesoło puszczają orła na wązkich uliczkach *Trastevere*, dosięgłoby się nieraz w długim szeregu pokoleń — może czasów Cesarstwa albo i Republiki rzymskiej, nie spotykając nigdzie żadnej przymieszki obcej, nierzymskiej krwi. Jak ci chłopcy, tak ich ojcowie, dziadowie i pradziadowie, aż może gdzieś do czasów Cezara i przed Cezarem — tak samo pacholętami puszczali orła w ciasnych nadtybrzańskich zaułkach; później pałali namiętym żarem do smagłych Trasteweranek; przez całe życie pracowali w poście czoła na utrzymanie rodzin; krzepili siły w odwiecznych trastewerańskich tavernach; wywieszali tabliczki z odwiecznym a zawsze zrozumiałem *Est locanda*¹⁾; umierali i nowym pokoleniom Trasteweranów ustępowali miejsca, nie spostrzegając się nawet, jakie przewroty i zmiany dokonywały się dokoła w ciągu stuleci, bo w pasmie osobistego, monotonnego życia każdego pokolenia nie znać było odmiany; jesień nastawała po skwarnym lecie, wiosna po zimie, a żółty Tyber płynął jednako u podnóżu *Montis Ianiculi, del Gianicolo*; nieznac-

¹⁾ Znaczy po łacinie: „Do wynajęcia“. Tabliczki takie spotyka się właśnie wywieszane na najbiedniejszych mieszkaniach, między ludnością, która ani słowa nie umie po łacinie. Siłą przyzwyczajenia utrzymało się to wyrażenie od rzymskich czasów.

nie — i tego nie dostrzegało żadne z tych kilkudziesięciu pokoleń — powoli przeistaczała się nazwa tej góry, przeistoczył się cały ich język z starej łaciny w dzisiejszą trastewerańską gwarę.

Nieraz zdawało mi się, że na *Trastevere* pogodniej jakoś i swobodniej, niżli na drugim brzegu; nie ciśnie tu się tyle wspomnień, wielkich, olbrzymich, podniecających wprawdzie, ale zarazem przyniatających i myśl i wyobraźnię. *Ianiculus* stał zawsze na szarym końcu w rządzie siedmiu pagórków, choć go już przecież Ancus Marcius wcielił do Miasta, *non inopia loci, sed ne quando ea arx hostium esset* (Liv. I. 33). To też nie dziw, że Kopciuszkim pozostał prawy brzeg Tybru, oddalony od starych ognisk dziejowego życia, na to tylko wcielony do Rzymu, żeby nie dać możności nieprzyjacielowi rozłożyć się warownym obozem na obronnych z natury stokach *Montis Ianiculi* nad Tybrem, naprzeciw Awentynu i stoków Kapitolu. Tak, gdy na lewym brzegu rzeki coraz raźniej i pełniej tętnił puls dziejów, przeistaczając Rzym w pana całego świata — prawy brzeg Tybru przez długie wieki drzemał w odo-obnieniu, nie tknięty ani jednym donioślejszem, głośnieńm zdarzeniem. Tu, za czasów Augusta i Tyberyusza, przytuliła się żydowska kolonia stolicy, po której pozostał niedawno odkryty, nie starty zębem czasu, ślad w starożytnem żydowskiem cmentarzysku na Gianicolo; tu też, pośród ziomek, daleko od ojczyzny rzuconych, zamieszkał ubogi rybak z nad tyberjadzkiego jeziora, Cephas-Opoka, na której to Opoce Chrystus zbudował Kościół: *San Pietro in Montorio* — to wedle starej tradycyi miejsce uświęcone skromnym przytułkiem, gdzie Książę Apostołów znalazł w Rzymie gościnę. Niedaleko stąd zieleniały rozkoszne ogrody watykańskie opodal Neronowego Cyrku; na lewym brzegu Tybru, przed pożarem Nerona, brakło już miejsca na budowę nowych cyrków i na nowe ogrody; tu św. Piotr był unęczony, tu płonęły żywe pochodnie Nerona.

Kopciuszek starożytnego Rzymu stał się drogim chrześcijańskiemu sercu, długo jednak prawy brzeg Tybru był po dawnemu przedmieściem Wiecznego Miasta i nigdy lewemu, starszemu bratu, nie odbierał pierwszeństwa; nawet miejsce męczeństwa św. Piotra i wzgórze Watykańskie długo pozostawały w cieniu, w chrześcijańskiej nawet tradycyi przyćmione blaskiem mnóstwa wspomnień wiążących się z lewym brzegiem; tam katakumby zawsze, tam Colosseum, tam Lateran z rezydencyą papieży, pociągał pobożne rzesze średniowiecznych pielgrzymów. Trudno rzeczywiście uwierzyć — co jednak wobec niedawnych odkryć jest rzeczą dowiedzioną — że jeszcze w samym końcu IV wieku na wzgórzu watykańskiem, opodal grobu św. Piotra, znajdowało się główne choć już tajne ognisko kultu Mithry i Matki

Cybeli, *Magnae Matris Deorum*. Od stu lat blisko nad zwłokami Książca Apostołów rozpięty był wyniosły strop bazyliki Konstantego Wielkiego, a opodal, na miejsca uświęconem męką „żywych pochodni“, gromadzili się jeszcze *coraces, cyphii milites, perses, heliodromi* i *patres*, tajemniczy członkowie sześciu stopni misteriów Mithry. Ostatnie wiadomości o watykańskim Mithraeum sięgają końca IV wieku; że to jednak już wówczas były *misteria* w najściślejszym znaczeniu, kto wie, jak długo jeszcze przeciągały się tutaj tajemnicze *Taurobolia* i *Criobolia*, choć niebawem stanęły na watykańskim wzgórzu *Episcopia*, pierwszy związek papieskiej rezydencji na Watykanie. Początek jej wiąże się z osobą Symmachusa, który od 498 do 514 r. zajmował stolicę św. Piotra i tu, na prawy brzeg Tybru, chronić się musiał przed swoimi rzymskimi nieprzyjaciółmi. Rzadko jednak, w wyjątkowych tylko okolicznościach przebywali papieże *apud S. Petrum*, w skromnym zrazu pałacu watykańskim; do początku XIV stulecia zawsze Lateran był główną rezydencją papieską, dopiero po powrocie z Awenionu, ruina laterańskiej siedziby zniewoliła ich przenieść się na Watykan, który odtąd rozbudowany i upiększany, stał się z czasem dzisiejszym Watykanem¹⁾.

Stare *Transtiberim Regio XIV*, zacieśnione między Tybrem a stromymi stokami janikulskiego wzgórza, nie miało się gdzie rozszerzać; wzgórza pokryte były od wieków ogrodami, których możni panowie nie sprzedawali na budowlane parcele. Była to zatem najwięcej zabudowana dzielnica starego Rzymu, pokryta mnóstwem niepokąźnych domostw wzdłuż lub dokoła *Via Aurelia* i *Septimiana*, zasiana mieszkaniem rybaków nadtybrzańskich, kupców lub spedytorów, których magazyny rozciągały się na prawym brzegu rzeki. Brak było miejsca; świątyń tu nie stawiano; tyle mostów łączyło *Transtiberim* z lewym brzegiem, najeżonym setkami świątyń; tam chodzili starzy Transtyberanie bogom składać ofiary. To też brak tu jakich-

¹⁾ Por. *Grisar, Geschichte Roms und der Päpste im Mittelalter*, (1901), I. §§ 8, 142, 143, 177, 178, 191, 244, 416. Jak wyglądały takie *sanctuaria* Mithry, poznać można z odkrytej w r. 1870 grotty pod bazyliką *San Clemente*. Bazylikę tę zbudowano w IV wieku na gruzach prywatnego pałacu, którego mury ceglane zachowały się dotąd pod fundamentami dolnego kościoła. Pod tymi zaś murami odkryto groty w skale wykutą, w której odbywały się misteria Mithry: zachowana zupełnie dobrze, zawiera sześć ław kamiennych dla sześciu stopni tajemniczonych; w pośrodku zaś kamień ofiarniczy, który służył do tauroboliów. Ob. rysunek w *Mullooly, Saint Clement, Pope and Martyr and his basilica in Rome* 217.

kolwiek pozostałości i pamiątek pogańskich kultów; nie czuć pogaństwa na *Trastevere*. Nie brak natomiast starożytnych pomników chrześcijaństwa, od miejsc związanych tradycją z pobytem św. Piotra aż do świątyń, które tu stały w IV stuleciu a zapewne już i w III wieku służyły prześladowanym wyznawcom Chrystusa za tajne miejsce zebrań, modlitwy i nauki. Z 25 najstarszych kościołów Rzymu, *Tituli*, trzy „tytularne“ kościoły stanowią chlubę trastewerańskiej dzielnicy; pośród wszystkich 14 *Regiones Urbis* jedna tylko *Regio III, Isis et Serapis*, górowała nad Czternastą, *Transtiberim*, z swymi czeremem *Tituli*. A między tymi trzema odwiecznymi kościołami *Trastevere* — nie najwspanialszy, nie najpiękniejszy z rzymskich kościołów, według mnie jednak wszystkie inne przewyższający niewypowiedzianym urokiem: *Santa Cecilia*, przekształcony z pałacu tej wielkiej damy rzymskiej, umęczonej za Marka Aureliusza. Począwszy od *atrium* patrycjuszowskiego mieszkania, od jońskich kolumn *Vestibulum* aż do zachowanych resztek wytwornej niegdyś łazienki z pozostałościami rur wodociągu kąpielowego — wszystko tu tchnie wspomnieniami świętego życia i męczeństwa patrycjuszki, której pełną niewysłowionego wdzięku postać ma się tu przed oczyma na każdym kroku, jak ją odtworzyło dłuto Maderny w podobiznie nienaruszonych zwłok męczennicy, gdy je odkryto w r. 1599. Wszystko to składa się na wymowny symbol nieskażonego, prawego Rzymu, Rzymu Scypionów, Cyncynatów i Cecyliuszów, zwycięscy Wschodu i Zachodu, nietkniętego żarzącym oddechem zwyciężonych, a podbitego przez naukę Chrystusa i przez nią uświęconego. Kto w tych murach nie rozmyślał samotnie, kto tu nie słuchał muzyki, 22 listopada, w święto męczennicy-patronki organów i pobożnej pieśni — ten nie zaznał wielkiego dobra na ziemi, o jakim się nie śniło Rzymowi Domicjana i Marka Aureliusza, takiemu nieprześcignionemu mistrzowi w sztuce używania...

Ma *Trastevere* i późniejsze pamiątki, nie tak wzniosłe, nie święte: świadki to i pomniki jedyne w dziejach momentu, kiedy kult Piękna, uzacniony chrześcijańską myślą, stworzył tyle arcydzieł, iż nieprzebrany skarb ich starczy dotąd, na przekór tyłu powrotnym fałom wyjałowienia lub obłąkania smaku, tylekroć go dźwiga z upadku i spełnia istotne, najwyższe zadanie Sztuki, uzacniając życie człowieka, podnosząc z poziomu brudów, napawając czystym oddechem. Z prawym brzegiem Tybru związana nierozzerwalnie pamięć Rafaela i Tassa. Pomijając nawet Watykan, *Stanze* i *Loggie*, na samem *Trastevere* zachował się ten klejnot w którym twórca tyłu nieporównanych Madonn wyśpiewał pędzlem — *sit venia verbo* — cudny poemat uroczej Psyche i skrzydlatego Amora, jedno z najczystszych na-

technień tak czystej a zarazem tak ludzkiej sztuki Odrodzenia. *Farnesina* z tym cyklem niezrównanego wdzięku i z Galateą, *Borjo Nuovo* z ostatniem podobno mieszkaniem Rafaela, świadkiem ostatnich natchnień jego młodego życia; nawet i legendarne okno jego *Fornariny* — wszystko to w pobliżu *Stanz* i *Loggia*, wprowadzaczłowieka w taki nastrój, jakby na prawym brzegu Tybru oddychał Rafaelem i Odrodzeniem. A Tasso! Pełno go wszędzie, w *Sant' Onofrio*, jakby jeszcze nie zamknął powiek w cichej celi tego klasztoru, w przededniu swego tryumfu na Kapitolu; wszędzie, w ulubionej jego Madonnie Leonarda da Vinci, opodal miejsca, gdzie on żegnał się z życiem doczesnem; pod sklepieniami krużganków klasztornego *Cortile* czy w cieniu tego sławnego dębu, *querciu di Tasso*, skąd poeta tylekroć patrzył na wspaniałą, jedyną panoramę Rzymu. Wszędzie tu żyje Tasso, więcej niżli w Sorrento, w Ferrarze i w *Villa d' Este*; i grób, gdzie dziś zwłoki jego złożone, i ten dawny nagrobek z ślicznym, wzruszającym napisem, wszystko pełne piewcy *Gerusalemme liberata*; „tu on kazał się wynieść“ — powiada napis — „aby na tem wyniosłem wzgórz, jak sam powtarzał, i w obcowaniu z tutejszymi Ojcami rozpocząć obcowanie z Niebem“.

Canto l'armi pietose e il Capitano
Che il gran sepolcro liberò di Christo —

Jak maska pośmiertna poety, uwieńczona wawrzynem i z pietyzmem przechowana przez zakonników, nie schodzi przychodniowi z oczu w murach *Sant' Onofrio*, tak w uszach brzmi mu ustawicznie ten wiersz, ten język, tak uszlachetniony przez Tassa, ten sam giętki, dźwięczny materyał, z którego w trzysta lat po nim wyciosał Carducci:

Te invoco, o Satana,
Rè del convito —

I „oni“ umieli urządzać „biesiadę“ życia, ci wielcy synowie Italii XVI stulecia, choć obchodzili się bez jej zjednoczenia z stolicą w Rzymie, bez kultu *Madre Natura*, bez wzywania Szatana na króla tej „biesiady“. Umieili, i lepiej to umieili od dzisiejszych *coraces*, *liedromi* i *putres*, z bogatej zastawy biesiadnego stołu unieść tyle roz-

kosznych kwiatów i owoców, że wyciśnięty z nich sok krzepi drogocennym kordiałem dziesięć pokoleń i dziesiątki ich będzie pokrzepiać, dźwigać, godzić z ziemią a podnosić ku Niebu, ozłacając Naturę promieniem Łaski, darem *del Geova dei Sacerdoti*¹⁾. Oni i niepożyte ich dzieła — to po wszystkie czasy niezaprzeczonego własności całego świata, a tem samem wieczna chwała ich własnego narodu, skarb ich włoskiej ojczyzny, tak niepodobnej do tych Włoch, zjednoczonych na apenińskim półwyspie, ześrodkowanych nad Tybrem, najeżonych setkami tysięcy karabinów w nieustającej obawie o tę Netykałną Stolicę, a tak wyjałowionych, mimo nienaruszonej spuścizny Michelangelów i Rafaelów, Tassów, Ariostów...

Takie myśli narzucają się człowiekowi gwałtem pod sędziwym dębem Torquata Tassa, w obliczu najwspanialszej, jaką znam, panoramy. Może dla oka wspanialszy od niej widok Konstantynopola z Bosforu — nie znam go. I Neapol od strony morza więcej upaja oko, silniej działa na „ludzkie“ poczucie piękna. Niema jednak na całym świecie drugiej panoramy, któraby z taką siłą przemawiała i do oka i do wyobraźni zarazem, a przez te wiadukty do myśli ludzkiej. Dziwna plastyka w tej bogatej rzeźbie Wiecznego Miasta, tak wyraziście uwydatnionej na wypukłościach sześciu historycznych pagórków; z siódmego człowiek patrzy. Wszystko, czem ten Rzym sła-

¹⁾ Tak kończy się słynny Hymn do Szatana głośniego Carducci:

Salute, o Satana,
 O ribellione,
 O forza vindice
 Della ragione!
 Sacri a te salgano
 L'incensi e i voti!
 Hai vinto il Geova
 De i sacerdoti.

Słynny ten poemat, *Inno a Satana*, główny tytuł chwały najślawniejszego dziś włoskiego poety, napisany w r. 1865, na dwa lata przed bitwą pod Mentaną, gdzie go śpiewali ochotnicy, walczący z wojskami papieskimi. Przytoczone powyżej końcowe zwrotki brzmią w dosłownem tłumaczeniu: „Witaj nam Szatanie, witaj zbuntowana, mściwa siło Rozumu! Niech się ku Tobie wznoszą ofiary, które Ci składamy! Tobie ślubujem! Zwyciężyłeś Jehowę księży!“

wny, czem był wielkim i sławnym przez półtrzecia tysiąca lat — wszystko to rzuca się w oczy, tu skąpane w złocistych efektach światła, tam znów przyćmione cieniem załomów i dolin, rozdzielających pagórki; wszystko to, znikąd nie widzialne w takim blasku i w tak nieporównanych liniach, jak z różnych punktów *Trastevere*: z pod dębu Tassa, z pod dzisiejszego pomnika Garibaldego, od *Arqua Paola* albo z *Villa Doria Pamfili*. Tak było, jest, i tak będzie. Już *Martialis* — za *Wespazjana* i *Tytusa* — tu prowadził oszołomionego *Wiecznem Miastem* przybysza, by mu ze wzgórza *Transtiberim* ukazać wielkość *Rzymu* w całym blasku i wspaniałości.

Byłem raz świadkiem zajmującej rozmowy, którą podniecał i podsyczał widok rozkosznej tej panoramy, złoconej promieniami skłaniającego się ku zachodowi kwietniowego słońca, jak soczysta kłoda smolnego drzewa podsycająca jasny płomień jarzącego się na kominie ogniska. Zaczęło się od interesujących uwag *Artysty*, który był szczególnym miłośnikiem *trastewerańskiego pejzażu*. *Profesor* zaczytował epigram *Martialisa*:

Iuli ingera pauca *Martialis*
 Hortis Hesperidum beatiora
 Longo Ianiculi iugo recumbunt:
 Hinc septem dominos videre montes
 Et totam licet aestimare *Romam*
 Albanos quoque *Tusculosque colles...*¹⁾

Literat tłómaczył damom łacińskie wiersze, *Matce* i *Córcce*; tymczasem *Senator* — nie włoski, całe towarzystwo składało się z *Polaków* — sprowadził powoli na grunt polityczny rozmowę, która dotąd przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, estetycznych przeważnie dotykając wrażeń i spostrzeżeń.

— Nie chce się prawie wierzyć, że ten imponujący *Rzym* o tyle mniejszy od *Warszawy*. W r. 1831 *Warszawa* liczyła coś około 130 tysięcy mieszkańców; o tę zaś samą mniej więcej liczbę ma ich dziś więcej od stolicy zjednoczonej *Italii*. A na obszar terytorium miejskiego, dzisiejsza *Warszawa* o jedną trzecią rozleglejsza od *Rzymu*...

¹⁾ M. Val. *Martialis Epigrammatum Lib. IV. 64.*

— Czy się też pan nie myli? — wtrąciła młodsza dama — mnieby się wydawało, że ten Rzym, tak okazałe rozparty przed naszymi oczyma, przynajmniej dwa razy większy od Warszawy.

— Dlatego, że pani nigdy swojej Warszawy nie ogarnęła w całej rozciągłości rosnącego tak szybko miasta. Co prawda, i mnie trudno było uwierzyć, dopóki nie sprawdziłem po kilka razy znanych z pamięci cyfr. Tak, pani, kilka Rzymów pomieściłoby się wygodnie w majątku narzeczonego pani. Dwadzieścia wiorst kwadratowych, nie więcej: tak mały kawałek ziemi — a źródło nieustającej troski dzisiejszych jego panów, ta *Roma intangibile*, źródło słabości Włoch, kula u nogi państwa, nieszczęście tak sławnego, zasłużonego narodu, najsympatyczniejszego ze wszystkich narodów, jakie kula ziemską dźwiga na swej skorupie.

— Wie pan — rzekł literat — że nie podzielam pańskich sympatyj dla Włochów; nieraz już mówiliśmy o tem. Co do Włoch jednak, nie zgodzę się także z panem, *Onorevole* — tak pod włoskiem niebem mówiono żartem do senatora — żeby to dla państwa włoskiego była taka kula u nogi. Gdybym miał nieszczęście być Włochem, nie przyjmowałbym pańskich kondolencyj z tego powodu. Nie taka to znów okropność, że od czasu do czasu dyplomacya włoska miewa trochę kłopotu z rewizytą tego lub owego monarchy czy księcia krwi, który zjedzie do Rzymu i nie z Kwirynału ale z palacu swojej ambasady wyjeżdża do Watykanu. I to nie długo potrwa; niech wymrze pokolenie, które pamięta papieskie czasy w Rzymie, a i te przeżytki drażliwości przejdą powoli do historii.

Panowie i Panie spojrzeli mimowoli po sobie; nikt nie odpowiedział literatowi. Chwilowe milczenie przerwał znowu profesor:

— Nie wiem, czy państwo znają prześliczny napis na grobowcu Nacji Germańskiej w Padwie; na mnie on wielkie wrażenie wywarł, gdy go odczytałem niespodziewanie za pierwszą tam bytnością; nigdy jednak nie spotkałem się z nim w literaturze i nie wiem, czy nań wogóle zwrócono uwagę. *Germanium Italia, Italiam Coelo mutarunt* — to o studentach niemieckich mowa, którzy poumierali w Padwie; dosłownie — dodał, zwracając się do pań — Niemcy z a m i e n i l i n a W ł o c h y, W ł o c h y n a N i e b o. Jakie stopniowanie! Zawsze przypomina mi się ten napis, ile razy w drodze do Włoch mijam Pontebbę albo kiedy statek, płynący z Fiume, zbliża się do Ankony...

— Niechże Pan Bóg pozwoli Szanownemu profesorowi odłożyć w najpóźniejsze przynajmniej lata to ostatnie *déplacment* — odezwała się żywo starsza dama, literat zaś — młody człowiek, więc choć literat, nie zupełnie jeszcze w rozbracie z łaciną, dorzucił z Horacego i przetłómaczył paniom:

Serus in Coelum redeas diuque
Laetus intersis populo Quirini ¹⁾

— Dziękuję za życzenia, godne prawdziwie tego miejsca. Nie wiem, kto z nas większy przyjaciel i Włoch i Włochów, możebym jednak ten rekord wygrał, *Onorevole*...

— Taki sport, jak i inne, nie gorszy i nie lepszy.

— Niepoprawny pan jesteś — zawołała panna Z. — i tylko w nagrodę za tak zręczny cytat będziemy pana tolerowały w naszym towarzystwie.

— Dla nas, ludzi północnych, Włochy mogą stać się łatwo stacją po drodze do Nieba lub do Piekła, rozstrzygającą o dalszym kierunku drogi. To zależy od indywidualum — mówił dalej profesor. Wszystko tu na to się składa, i przyroda kraju i równie bogata przeszłość, która z każdego zakątka tak żywo przemawia do wyobraźni, że człowiek o tyle pełniejszym życiem tutaj żyje niż za Alpami; włoska ziemia i włoskie niebo, i kamienie i ludzie tego kraju wydobędą z tego samego gruntu psychicznego bez porównania więcej, niżliby na nim wydało żniwo w zwykłych, za Alpami, warunkach. Tu zawsze żniwo obfite; jakie? — to od ziarna zależy i od uprawy.

— Przyznaj pan — wtrąciła półgłosem młodsza dama do literata — że pan nad Wisłą ani tak dobranych cytatów nie przytaczasz z rzymskich klasyków, ani nie umiesz być tak złośliwym, a przynajmniej z takim powodzeniem...

— Już to — odgryzł się zaczepiony przy wesołym wtórze śmiechu całego towarzystwa — trudno o lepszego sprzymierzeńca od pani. Ja sam zaczynam wierzyć w tezę profesora, widząc panią tak okrutnie „złą“ pod włoskim niebem; widać jednak, jeżeli teza prawdziwa, że pani i w domu „zła“, tylko ta „złość“, drzemiąca i bezwładna, *une méchanceté latente*, tu budzi się dopiero z uspienia i dokazuje z taką żywotnością.

— Tak — rzekł senator — tutaj i zbrodnie większe i jasne strony ludzkiej natury uwydatniają się silniej, z pełniejszą żywotnością. Ze Włochy górują liczbą zbrodni i potwornością — to wiadomo; ale nawet i w potworności zbrodni spotkasz się tu z pewną klasyczną

¹⁾ Carminum Liber I, Ode II. Ad Caesarem Augustum 45: Jak najpóźniej wracaj do Niebios i długo jeszcze wesół przebywaj wśród narodu Kwiryna (wśród Rzymian).

miarą, której syn tej odwiecznej kultury nie potrafi przekroczyć; zbrodnia Włocha, chociażby jak monstrualna, nie dosięgnie nigdy tej ohydy, tego wstrętnego skrzywienia ludzkiej natury, która cechuje tyle zbrodni, popełnianych w Berlinie lub w Londynie, czy to wśród szumowin społecznych, czy na towarzyskich wyżynach.

— Prawda — odezwał się artysta — znam Włochów lepiej, co najmniej dłużej, niżli ktokolwiek z państwa, i najzupełniej panu przyznaję słusność. Co pan jednak sądzi o terażniejszej sztuce włoskiej, o jej strasznej, suchotniczym wyjałowieniu? Co z nią będzie? Czy nad nią zabrzniął jakiś fatalny wyrok: *Der Mohr hat seine schuldigkeit gethan*.. Czy ona już nigdy nie podźwignie się, nie odżyje?

— Tak, albo nie — nie wiem. Tylko to dla mnie pewne, że przyszłość włoskiej sztuki, jak wogóle przyszłość Włoch, zawisła głównie od przyszłości tych dwudziestu wiorst kwadratowych, których widokiem państwo nie możecie się nasycić..

— Trudno prawdziwie pojąć, jak ten naród, tak pod każdym względem bogato obdarzony, taką wyposażony tradycją, z taką krwią w żyłach, krwią wielkich mistrzów XVI stulecia, jak ci ludzie, patrzący codzien na arcydzieła, do których my zdaleka pielgrzymujemy, nie mogą dzisiaj nic z siebie wydać, coby wystrzeliło ponad poziom mierności..

— Wstydzę się odezwać z tem zdaniem — wtrąciła starsza dama — zwłaszcza przed takimi sędziami; mnie się jednak wydaje, że właśnie wielkie rzeczy, oglądane nieustannie od samego dzieciństwa, opatrzone, spożywane codziennie jak chleb powszedni, przestają działać, albo przynajmniej nie działają tak silnie, nie budzą tej twórczości, co w nas, „pielgrzymach“, przybywających do Włoch już i z pewnym przygotowaniem i w uroczystszy, niecodziennym nastroju, który potęguje wrażliwość i zarazem twórczość podnieca..

— Bardzo słusznie — ozwało się parę głosów.

— Ja zaś — przeczył senator — nie zgodziłbym się z panią, a raczej ośmieliłbym się ograniczyć ogólne zastosowanie tego zdania. Gdyby tak było, tak być musiało, wszelka spuścizna wielkiej przeszłości byłaby niezmiernie wątpliwem dobrodziejstwem, a raczej inwentarzem, z którego każdy naród powinienby się otrząsnąć, jeżeli nie chce zmarnieć. Tak smutno nie jest, nie.

— Smutno, czy też wesoło, to rzeczy nie rozstrzyga — przerwał literat. — Dla mnie niema najmniejszej wątpliwości, że dzisiejsza epoka, to czas upadku wszystkich romańskich narodów, z włoskim naturalnie na czele, jako najstarszym, więc najbardziej przeżytym. Ja dokończę tylko: *der Mohr kann gehen*..

— To jego rzecz, czy zechce słuchać pańskiej komendy. Zresztą, przyznaj pan, jeśli łaska, że pan tę niemiłą komendę powtarzasz tylko, nie myśląc nawet o tem, za a u t o r y t e t e m, przed którym w ogólności nie bijesz chętnie czołem. To przecież wysnute najlogiczniej z mądrości, prawiącej o „zgniłym zachodzie“.

Literat chciał się bronić; pani Z. jednak, prezydentka Trybunału, odłożyła jego sprawę do następnej kadencji, prosząc natomiast senatora o wyjaśnienie, dlaczego „tych dwadzieścia wiorst kwadratowych“, jak się wyraził przed chwilą, to takie „nieszczęście Włoch“, które gubi ten naród? Nie odejźmy — dodała — z tego miejsca, skąd te „wiorsty“ tak uroczo się przedstawiają, dopóki nas nieprzejednany, widać, w r ó g R z y m u — tego nigdy nie przypuszczaliśmy w panu — nie przekona, albo broni nie złoży.

— Owszem. Nie Rzym, ale k w e s t y a r z y m s k a gubi Włochy. Gdybym był Włochem, byłbym pewnie równie gorącym zwolennikiem włoskiej jedności, jak wszyscy ci panowie z Monte Citorio, czy z Palazzo Madama. A jedność—to ten Moloch, który połknął państwo papieskie i bez niego nie może żyć. Musiał go połknąć, musiał tego dokonać w spółce z wrogami papieżstwa, których jedność Włoch nic a nic nie obchodziła, albo bardzo mało, a na dobitkę ideał jedności dokonał się w tym samym momencie, kiedy losy katolicyzmu zrosły się, jak nigdy w ciągu wieków, nierozdzielnie z papieżstwem: w dwa miesiące po watykańskim Soborze. Włoch może być tylko katolikiem, albo bezwyznaniowcem, i to, na nieszczęście, nie bezwyznaniowcem w rodzaju poczciwych Warszawiaków, co to jednak i z Arcybiskupem dobrze, i z Kahałem, i z Łożą; Włoch, jeżeli nie jest katolikiem, i to twardym, nie może być kim innym, jak wojującym bezwyznaniowcem, zawziętym, nieprzejednanym wrogiem papieżstwa, Kościoła i katolickiej religii; protestantem nie będzie. Dar-mo Metodyści rozbili namioty w Rzymie po r. 1870; liczyli na łatwy, obfity połów wobec religijnych potrzeb włoskiej natury i przepaści, jaka rozwarła się między papieżstwem a zjednoczoną Italią. Tak, ten naród, skazany dziś na panowanie elementów, których dziełem i zasługą jest spełnienie ideału narodowego. To panowanie gubi go i gubić będzie coraz bardziej; im pełniejsza żywotność włoskiej natury, im silniejsze w niej światła i cienie, tem szybszy a nieuchronny upadek na pochyłości, na której, nie wiem, jaka siła mogłaby go powstrzymać. Żadna bowiem strona nie ustąpi i ustąpić nie może. Szkoda byłaby Rzymu, dla Sztuki, i więcej, niż dla Sztuki, dla Cywilizacji — szkoda nieobliczona; gdyby jednak jakiś kataklizm pochłonął te „kilometry“, tych dwadzieścia, lub, powiedzmy: pięćdziesięć wiorst kwadratowych — Włochy byłyby odrazu uratowane, a Stolica Apo-

stolska mogłaby jaśnieć w całej potędze na jakiegokolwiek wyspie: *ubi Petrus ibi Ecclesia*.

Lekki okrzyk wyrwał się z ust dam. Ktoś zapytał:

— Jeżeli tak, czemuż bez kataklizmu Stolica Apostolska nie może przenieść swej siedziby na Elbę, na Capri?

— Nie może. „Dla świętego spokoju“ niejedną wiele zrobi; ks. Pecci ¹⁾, czy ks. X., mogliby i gotowi wiele zrobić dla dobra, dla ratunku własnej ojczyzny; Papież nie może opuścić grobu św. Piotra, no i św. Pawła, póki ich ziemia nie pochłonęła, a Martwe jakieś morze nad nimi nie faluje; nie opuści ich ani dla wspomnień Napoleona, ani dla pamięci Tyberyusza. ani dla jakiegokolwiek, choćby najdogodniejszej siedziby, bez żadnej tradycyi.

— Dobrze — odparła dama — jakież są jednak powody, które nie pozwalają drugiej stronie ustąpić? Rozumiem dobrze, że nie na to zabrano Rzym, żeby po kilku latach z niego wymaszerować; dziś już jednak wymarło, albo wymiera pokolenie, którego ambicya, honor, związały się tak silnie z posiadaniem Rzymu... Mnie się zdaje, że jednak z każdym rokiem trudności raczej zmniejszają się, nie zwiększają.

— Z drugiej strony jednak rośnie siła przyzwyczajenia; na całej linii oswojono się z Rzymem królewskim; oswojono się z jednej strony i z drugiej, co ujęło niezawodnie wiele ostrości całej sprawie, ale bynajmniej nie usunęło jej zasadniczych trudności. Jak zresztą wyobrazić sobie sam przebieg tak kapitalnego złożenia broni przez Zjednoczone Włochy, bez innego, jak moralnego przymusu; na taki zaś fizyczny przymus ani zgola się nie zanosi w obecnych okolicznościach, co swoją drogą nie zwalnia Włoch od nieustającej obawy o „kosztowną“ stolicę; ani też w jakichkolwiek okolicznościach niepodobna sobie wyobrazić ustąpienia Włoch z Rzymu pod obcym naciskiem, bez niesłychanego, okropnie jątrzącego upokorzenia honoru narodowego. Tak zaś naród włoski, pozbawiony swej dzisiejszej stolicy, nie przestałby być nieprzejednanym wrogiem Papiestwa. Nieby się na tem nie zyskało; zwiększyłaby się tylko pochyłość, na której Włochy staczają się ku upadkowi, a *20 settembre*, i to w poprawnym, niebezpieczniejszem wydaniu, byłby znów tylko kwestyą czasu.

— Z tem wszystkim trudności dzisiaj mniejsze, bez porównania mniejsze, niż przed dwudziestu, przed kilkunastu laty — odezwał się profesor. Najlepszy znak, że dziś mówi się o R z y m i e, o k w e s t y i r z y m s k i e j; dawniej mówiono nie o niej, lecz o pań-

¹⁾ Rozmowa toczyła się naturalnie jeszcze za pontyfikatu Leona XIII

stwie papieskim. To postępowanie olbrzymie, wielka wygrana. Poznałem Rzym w szesnaście lat po zaborze. I wówczas jeszcze nie mówiono w Rzymie o kwestyi rzymskiej, ani po jednej stronie, ani po drugiej. Jednych byłbyś śmiertelnie uraził i doprowadził do wściekłości, gdybyś ośmielił się najdelikatniej nawet dotknąć tej kwestyi, według nich raz na zawsze załatwionej bezwarunkowo; wówczas to właśnie wyszły z ust króla Humberta słowa, jego, czy też jemu w usta włożone: *Roma intangibile*, panaceum na zażegnanie wszelkich antydynastycznych dążeń. Nie lepiej zaś byłbyś wyszedł, gdybyś któremukolwiek Monsignorowi poważyl się mówić o Rzymie papieskim; raz w raz słyszało się o tem, że rychlej, czy później muszą przyjść obce wojska — jakie? nikt nie wspominał — i przywrócić porządek, co miało równać się, naturalnie, odbudowaniu państwa papieskiego w granicach z r. 1860. I, według mnie, wielkie szczęście, za które dziękować Bogu, że takich wojsk i takich państw, któreby wysłały te wojska, nie było za Alpami; trzeba ich było szukać na księżycu.

— Znałem dobrze tych Monsignorów i nie-Monsignorów — prze-rwał artysta. — Przypominali mi zawsze naszych weteranów z 1831 r., którzy do końca życia z każdą wiosną wyczekiwali europejskiej wojny i tryumfalnego powrotu z emigracyi. I, bądź co bądź, nie można zaprzeczyć, że gwałt z r. 1860, w niczem nie lepszy od gwałtu z r. 1870.

— To inna sprawa; nie mówimy o odpowiedzialności moralnej; stoimy na gruncie faktów spełnionych. Inna też rzecz, że Pius IX nie mógł ratować papieskiego Rzymu, ani w r. 1860 wyrzeczeniem się 40,000 kilometrów kwadratowych, ani w dziesięć lat później odstąpieniem pozostałych 12,000 i Państwo papieskie znikło; znikło, lub znika pokolenie, które je pamiętało; oswojono się z tem, że go niema, przestano go żałować. Rzym stoi i dopóki stać będzie, dopóki, jak pozwoiliem sobie powiedzieć, nie będą nad nim falo-wały nurty jakiegoś Martwego morza, dopóty Stolica Apostolska będzie się o ten Rzym dopominała. Świat katolicki zaś nie przestanie uważać zaboru Rzymu za uzurpacyę, która musi ustać i ustanie, nie dziś, to jutro, jak tyle takich uzurpacyj papieskiego Rzymu przeszło w historyi i tak zapadło w niepamięć, że historia tyłu nieudanych pokuszeń nie jest, jakby być mogła, powinna — nauką dla współczesnych zaborców i władców Wiecznego Miasta.

— Przyznasz pan jednak — wtrącił literat — że we wszystkich tych reklamacyach mówi się wyraźnie o świeckiej władzy, a więc o dawnym państwie kościelnym, do przywrócenia którego sam profesor, widać, mimo swych katolickich przekonań, nie bardzo

wzdycha. Tak, świeckiej władzy nie może zrzec się ani Leon XIII, ani żaden jego następca: świeckiej władzy, która będzie rękojmią jego niezależności i swobody w decyzjach; czy ta władza będzie się rozciągała nad obszarem 400, czy 40,000 kilometrów kwadratowych, to może być rzeczą nieobojętną w tej, lub owej epoce; raz obszar 40,000-czny będzie uchodził słusznie za niezbędną rękojmię niezależnej swobody ruchów, kiedyindziej stanie się tylko krępującą zawadą a natomiast 400, czy 4,000 wystarczy najzupełniej do zabezpieczenia niezbędnego stopnia zależności. Nie znam matematycznego zrównania, któreby mogło służyć do znalezienia tej cyfry; to zależy od mnóstwa imponderabiliów politycznych i kulturalnych, które nie dadzą się wyrazić w cyfrach; państwo sami niezawodnie najlepiej je odczuwacie.

— W ten sposób—rzekł literat—nie bylibyśmy chyba daleko od włoskiego Prawa Gwarancyi, które przecież zapewnia Papieżowi pełną udzielność i niezależność w obrębie Watykanu i paru innych punktów. Może dziś Papieżowi trudno uznać to prawo, odrzucone i potępione przez Piusa IX; tem większa, ze stanowiska panów, szkoda, że nieugiętość Piusa IX tak zaogniła sprawę i zawiłała zarazem.

— Myli się pan stanowczo; to, co ja uważam za *minimum* w rękojmiach, rzeczywiście w takich rękojmiach niezależności Stolicy Apostolskiej, choćby przy najszczuplejszym rozmiarze miniaturowego państwa papieskiego, to nieskończenie dalekie od osławionych Gwarancyj, które miały zrobić z Papieża nic innego, jak włoskiego biskupa, otoczonego pewnym nimbem na większą chwałę Zjednoczonych Włoch, a dla zamydlenia oczu katolików całego świata. Mniej-sza o to, że Prawo Gwarancyj było włoską ustawą, uchwaloną jednostronnie przez parlament, a nie międzynarodowym traktatem.

— Gdyby jednak nie odporne bezwzględnie stanowisko Piusa IX przed zaborem Rzymu i bezpośrednio po zaborze, Gwarancye można było oblec w formę traktatu, ubezpieczonego poważną rzeczywistością gwarancyą mocarstw europejskich; zresztą i sama ich osnowa mogła uleść rozlicznym zmianom, gdyby Pius IX nie był odrzucał zasadniczo wszelkiego porozumienia. Słowem: w r. 1870 było bądź co bądź niedaleko od tego, co panowie uważacie za rzecz tak pożądaną zarówno dla Papiestwa, jak i w interesie zjednoczonej Italii.

— Przypominam sobie jedną nowelę włoską, którą kiedyś czytałam; rzecz dzieje się gdzieś w głębokim zakątku prowincji, w północnych Włoszech, we wrześniu 1870 r., w wierzącym, katolickim domu, w którym z nerwowem napięciem wyczekują odpowiedzi Piusa IX na propozycyę Wiktora Emanuela; rodzina rozchodzi się wieczorem; w nocy ojcu rodziny śni się szczęśliwe rozwiązanie kwestyi rzymskiej:

papież godzi się na propozycje króla, radość Rzymu i całych Włoch, przepyszne widnokreśli odsłaniają się przed oczyma sennego katolika-patrioty; rano — czyta w dziennikach telegramy o zajęciu Rzymu przez włoskie wojska.... Ładna nowelka, pisana z prawdziwie włoską fugą, czy nie Castelnova; czytając ją, myślałam, że tak samo byłabym czuła w r. 1870, gdybym była Włoszką.

— Bez wątpienia, miliony włochów czuły tak samo w r. 1870; dużo było jednak takich, co z równem naprężeniem wyczekiwali odzrucenia królewskich propozycji, wzdychając dawno do zaboru Rzymu, do wypędzenia Piusa IX, nawet do przekształcenia bazyliki św. Piotra w świątynię *Prawdziwego Bóstwa*. Rozumniejsi pomiędzy nimi śmieli się z fanatycznych *enfants terribles* albo i nie śmieli się wcale, lękając się nie bez racji, by ich dzieciństwa nie zatopiły łodzi, na której *Sprawa* przybijała szczęśliwie do przystani; byli *moderati, proprio buoni cattolici* i — układali *Prawo Gwarancji*, na które Pius IX już dla tego samego, i przedewszystkiem dla tego jedną tylko miał odpowiedź: *Non possumus*. Tak moi państwo, nie wiem, czy było kiedykolwiek w historii większe niebezpieczeństwo dla Papiestwa i dla katolicyzmu. Wyobraźmy sobie: widoma Głowa Kościoła, przeobrażona w włoskiego biskupa, na utrzymaniu królestwa, opanowanego zupełnie przez massonów czy też niebezpieczniejsze jeszcze dla kościoła sekty; i to w chwili takiego fermentu, jaki wrzał w samem łonie Kościoła po Watykańskim Soborze. Jeżeli kiedyś przyjdzie do upragnionego *modus vivendi*, kto wie, czy jego podstawy nie będą się krótkowidzom wydawały czemś nie tak daleko odbiegającym od *Gwarancji* z r. 1871. Niejeden nawet artykuł tej ustawy, w dosłownem brzmieniu lub niewiele zmieniony, straciłby po 30 albo 40 latach całe swe niebezpieczne ostrze; tak urosła w tym czasie powaga i siła Stolicy Apostolskiej na wewnątrz i na zewnątrz, w Kościele i wobec całego świata.

— W takim razie — odezwał się znów literat — warto będzie po utwierdzeniu *modus vivendi*, przenieść pomnik Garibaldiiego, niedaleko, na plac św. Piotra, a następcę, przypuśćmy, Leona XIII — poświęci pomnik Wiktora Emanuela na *Araucobi*. Bo przecież, według samego profesora, Państwo Kościelne — to dla Stolicy Apostolskiej najfatalniejszy balast, co najmniej, w dzisiejszych okolicznościach; bez Wiktora Emanuela, no i bez Garibaldiiego, nie byłoby nigdy przyszło do uwolnienia Papiestwa od tego nieszczęścia; jeżeli zaś i w tem jeszcze wygrana — jak uważacie — że jakiś *modus vivendi* nastanie może kiedyś w XX wieku, a nie przyszedł do skutku w r. 1870, to przecież już jedyna zasługa *Venti Settembre*....

— Darujcie państwo — wtrąciła pani Z. — ze przerwę na chwilę, leczkę tak ciekawą dyskusyę. Przed kilkunastu laty byłam raz w *Val di Pompei*, państwo wiecie, w tym olbrzymim przytułku dla dzieci uwieczonych zbrodniarzy, który powstał z centymowej jałmużny pielgrzymów do cudownego miejsca. Przybył tam właśnie nowy wychowanek, dziki, nie umiejący pacierza chłopak, syn galernika; ojciec jego zamordował żonę, zszedłszy ją na schadzce z kochankiem. Myślałam sobie, co też będzie z tego nieszczęśliwego stworzenia; tego roku właśnie pytałam o jego losy. Jest dzisiaj znanym adwokatem, jednym z filarów *Circolo Cattolico* w rodzinnem mieście; czemu by był, gdyby nie ta straszna tragedia, która go zawiodła do Pompei i oddała pod opiekę Madonny — łatwo dośpiewać. Słyszałam, że na miejscu morderstwa wystawił kaplicę dla Madonny; nikt jednak nie będzie myślał o uczczeniu pamięci rodziców dzisiejszego adwokata, ani uwodziciela jego biednej matki.

— Pani dobrodziejka rozstrzygnęła stanowczo kwestyę poruszoną przez pana Antoniego — rzekł senator — bez apelacyi; wszak na to zgoda? Mogę zatem powrócić do tego, co przed chwilą mówił profesor, i słusznie zupełnie mówił, że kwestya o b s z a r u, r o z m i a r u tego terytoryum, nad którem musi być oddane Papieżowi niezależne i niepodzielne z nikim władanie, zawisła od rozmaitych, nie stałych, zmiennych okoliczności politycznych. Tak, od okoliczności politycznych, i to politycznych *sans phrase*; profesor wspominał także o jakichś kulturalnych imponderabiliach, których znaczenia w tej sprawie — przyznaję -- ja przynajmniej nie mógłbym się dopatrzeć. To dla mnie kwestya wyłącznie i ściśle polityczna....

— Nie znam politycznej sprawy, któraby nie miała podkładu kulturalnego....

— Mniejsza o to. Mówił ktoś, że Pius IX nie mógł ratować papieskiego Rzymu wyrzeczeniem się Państwa Kościelnego w granicach czy to r. 1860 czy też 1870. Słusznie. Nie wchodzę zgola w psychologią monarchy, który nie odda nieprzyjacielowi trzech czwartych państwa, czy też pozostawionej mu jeszcze resztki, dopóki pozostaje jakaś jeszcze nadzieja ratunku. Nie o to tutaj chodzi. Ja twierdzę bez wahania, że żaden najbystrzejszy nawet polityk — cóż mówić o Piusie i Antonellim — nie mógł absolutnie przewidzieć w r. 1860 ani 1870 tego niesłychanego przeobrażenia międzynarodowych stosunków, jakie dokonało się niebawem w Europie; w tem zaś przeobrażeniu -- ja je uważam za większe i donioślejsze od przeobrażeń Napoleońskiej epoki — właśnie rok 1860 i rok 1870 były etapami pierwszorzędneho znaczenia.

— Dzieła Cavoura i Bismarcka: Włochy i Cesarstwo niemieckie.

— Jedno nie da się bez drugiego pomyśleć. „Dzieło Bismarcka“. Metternich mówił: *Der Mensch fängt mit dem Baron an*. Dziełem Bismarcka jest przede wszystkim to, że dziś prawdziwe „państwo“ tam się dopiero zaczyna, gdzie jest obszar około pół miliona kilometrów kwadratowych, ludność około 50 milionów; armia, na stopie pokojowej, ile możności, niedaleko od pół miliona, na stopie wojennej w niewypróbowanych jeszcze milionowych cyfrach; budżet od półtora do trzech miliardów marek, no i kilkanaście do dwudziestu kilku miliardów długów. Gdzie do tych cyfr daleko, to nie „państwo“, to konglomerat, skazany na najkłopotliwszą zależność od któregośkolwiek prawdziwego państwa, albo, co gorzej, od wszystkich razem. *Che triste figura farebbe*, tak zwane Państwo Kościelne z 40,000 kilom. kwadr. i coś ponad 5 milionami mieszkańców dzisiejszych prowincyj włoskich, które składały państwo papieskie przed r. 1860. A nie byłaby to przecież jakaś Belgia, albo Szwajcarya, która nie może, ale też i nie potrzebuje bynajmniej wchodzić w jakiegokolwiek kolizyę z rządami prawdziwych, „rzeczywistych“ państw po-bismarckowskiej epoki. Byłoby to bądź co bądź państwo, którego władca, jako widoma Głowa powszechnego Kościoła, musi kierować zawiłą niezmiernie machiną dyplomacyi w stosunku do tych wszystkich kolosów o milionowych armiach i miliardowych budżetach, bo na łonie każdego z nich miliony i dziesiątki milionów własnych poddanych.

— Zapewne, smutno wyglądałaby wojna Piusa IX, lub Leona XIII z cesarzem Wilhelmem o kultorkampf; co prawda jednak, i dawniejsi papieże nie prowadzili wojen o podobne sprawy, i dobrze, że takich wojen historia nie zapisała. Jeżeli zaś prowadzili wojny, to nie jako papieże, lecz jako władcy tego nieszczęśliwego Państwa Kościelnego, które w ten sposób zawsze było dla Apostolskiej Stolicy „kulą u nogi“. Jakaż zatem jego „racya bytu“ w dawniejszych czasach?

— Przede wszystkim — odparł znowu senator — Państwo Kościelne było przez długie czasy jedyną niemal, a w każdym razie główną podstawą materyalnego stanowiska Głowy Kościoła. To darmo. Namiestnik Chrystusowy jest Namiestnikiem na ziemi, i dla tego bez ziemskich materyalnych środków nie może się ani obejść, ani takiej, jakiej potrzeba, działalności rozwinąć. Póki więc państwo nie było niczem innym, jak własnością, majątkiem, przedsiębiorstwem panującego, Państwo Kościelne spełniało funkcję źródła dochodów, służących do odpowiedniego utrzymania Głowy Kościoła i opędzania kosztów jego naczelnej administracyi. Ze wzrostem zadań

państwa wobec społeczeństwa, ze zmianą pojęć politycznych, w całym świecie cywilizowanym, państwo przestało być majątkiem, uposażeniem panującego, a opędza tylko jego potrzeby ze swoich dochodów. Inaczej było ostatniemi czasy w Państwie Kościelnem: ostatni jego budżet obliczał dochody na niespełna 29 milionów lir, wydatki na blisko 74 milionów; deficyt, po odtrąceniu sumy, którą płaciły Włochy (tytułem spłaty długów przypadających na wcielone do Królestwa prowincye), wynosił około 18 milionów; pokrywano go z świętopietrza. Dobrze z tem było Rzymianinowi, który płacił mało podatków; w każdym razie Państwo Kościelne, jako materyalna podstawa stanowiska Papiestwa, straciło wszelką rację bytu dawno przed r. 1870.

— Tak — dodał profesor — jako materyalna podstawa, jako źródło utrzymywania Papieża i jego dworu, ale nie jako rękojmia politycznej niezależności Stolicy Apostolskiej. Póki na apenińskim półwyspie było 5 albo 8 państw, trzy — według ówczesnych pojęć wielkie, jedno średnie, a dwa czy cztery małe, nadto zaś równa większym państwom co do obszaru austryacka prowincya — stanowisko Papieża byłoby wprost rozpaczliwe, gdyby zarazem nie był władcą jednego z tych właśnie „większych“ państw włoskich. Sytuacya zmieniła się zupełnie po r. 1860; zjednoczenie Włoch pozbawiło wprawdzie Papieża świeckiej władzy, ale równocześnie położyło koniec stosunkom, w których Państwo Kościelne było przez długie wieki nieodzowną dla niego koniecznością.

— Jeżeli tak — wtrącił literat — to raczcież mi panowie powiedzieć, kiedy mniej więcej, jak sądzicie, nastanie znowu taka konstelacya, że Papież będzie po dawnemu potrzebował, nie samego już tylko Rzymu, który nie przestajecie dla niego reklamować, ale i całego państwa, co się zowie państwa? Dla Włoch — łatwo to pojąć — sytuacya nie do pozazdroszczenia, nie mieć nigdy pewności, jaka część ich państwowego obszaru będzie, w miarę każdorazowych okoliczności, nieodzownie potrzebna następcy św. Piotra!

— Co do mnie — rzekł profesor — nigdyby mi to snu nie popsuło, choćbym był najgorętszym włoskim szowinistą. Taka konfiguracya polityczna naszej Europy, w którejby dawne Państwo Kościelne mogło być rzeczywistą rękojmią niezależności Stolicy Apostolskiej — to już niezaprzeczona własność historii, która chyba nigdy się nie powtórzy. Idziemy raczej ku temu, że wnucom naszym te dzisiejsze kolosy — tak, z wyjątkiem Rosyi i Wielkiej Brytanii — te europejskie kolosy będą się wydawać karłami w porównaniu z tem, na co oni może będą patrzyli i w czem żyć będą: w porównaniu z państwami-kontynentami, wśród których starej Europie, jeżeli nie ostatnia, to w każdym razie nie pierwsza rola dostanie się w udziale. W takiej

zaś Europie nie będzie miejsca na Państwo Kościelne o 40,000 kilom. kw.; byłoby to śmieszne, nic więcej. Tem większa natomiast będzie w takim razie konieczność niezależnego terytorium nad Tybrem, ze swobodnym do morza przystępem, z którego następcą św. Piotra sprawować będzie swoje rządy duchowne nad setkami milionów katolików na obydwu półkulach, w takiej samej niezależności od Europy, zjednoczonej i niepodzielnej, jak od Ameryki i innych kontynentów.

— Brawo — odezwał się literat — nasze panie powinny profesorowi przyznać pierwszą nagrodę za szczęśliwe rozwiązanie zawilej kwestyi rzymskiej. Natomiast co do poprzedniego rekordu, o którym była mowa, na arenie miłości Włoch i Włochów, to pan tak się zagalopował w swoich pięknych fantazyach, żeś go pan przegrał niespostrzeżenie i to przegrał z kretesem. Wszak Włoch wcale nie będzie w tym pańskim Złotym Wieku, no i nas też nie będzie, rozumie się. Prawda, oszczędzasz im pan boleści wymaszerowania z ukochanej Stolicy, bo nieboszczyki i w pańskim Złotym Wieku nie będą maszerowali...

— Przestań pan, kochany panie Antoni — rzekł Senator. Ja nie poraz pierwszy słyszę te rzekome „fantazyje“ profesora i biorę je najzupełniej na seryo; nie myślę tylko, żebym miał w n u k ó w tak długowiecznych, którzyby się doczekali tych przeobrażeń. „Zjednoczone Stany Europy“, czy jakby je tam nazwać, prawda — to dawne marzenie niepoprawnych utopistów i przez to tak zdyskredytowane, że i dziś z daleka trąci zapachem utopii. A ja w nie wierzę, i silnie wierzę, choć nie mam przecież opinii marzyciela; wierzę, choć nie jestem bynajmniej zwolennikiem republikańskiej formy rządu i uważam ją zawsze — nie o Szwajcaryi tu naturalnie myślę — za krótszy albo dłuższy czas przejściowy, prowadzący nieuchronnie do upadku — lub do imperyalizmu. I te przyszłe Zjednoczone Stany Europy wyobrażam też sobie jako monarchią, tak, prawdopodobnie może nawet z którąkolwiek z panujących dzisiaj dynastyj; *qui vivra verra*, a może rychlej jeszcze doczeka się dzisiejszych Zjednoczonych Stanów amerykańskich, przekształconych w Cesarstwo, jeżeli tendencye imperyalistyczne będą się w tem samem, jak dziś, tempie rozwijały za Atlantykiem.

-- Ciekawe horoskopy... Może jednak rzeczywiście bliżej w Ameryce do Cesarstwa, niż w Europie do Stanów Zjednoczonych...

— Zapewne. Dlatego wydają się one dziś jeszcze (panu Antoniemu naprzykład) fantazyą i utopią, tak odległą od twardej „europejskiej“ rzeczywistości, z wyśrubowanym do ostatecznych granic militaryzmem, z rujnującym wszystko zbrojnym pokojem, tem błęd-

nem kołem naszej epoki, z antagonistami podsycanymi szowinizmem narodowym, jakiego w historii nie było i nie będzie; z uciskiem słabszego przez silniejszych, dla tego tylko, że jest słabszym, słowem z całą tą w swoim rodzaju bogatą a niewesołą spuścizną Bismarcka i jego dzieła, że powtórzę to wyrażenie. I nie widziałbym wyjścia z tego błędnego koła, wyjścia jako tako pożądanego — bo otwarta na oścież brama społecznego przewrotu nikomu się nie uśmiecha, nikomu z nas przynajmniej tutaj obecnych — nie widziałbym żadnego wyjścia, gdyby nie jeden czynnik, i to ten właśnie, który, według mnie, zawsze i wszędzie ma ostatnie słowo w rozwiązywaniu nierozwikłanych na pozór problemów. W tem znów nie zgadzam się z szanownym profesorem. Człowiek obejdzie się bez swobody, której mamidło zawiodło go do najcięższej niewoli; obejdzie się bez szczęścia osobistego i domowego, które spuścizna „dzieł Bismarcka“ coraz bardziej zatrzuwa i umieszcza w muzeum niezrozumiałych dziś już prawie przeżytków; obejdzie się bez wszelkich takich dóbr idealnych, których wartość tyle stanowi o wartości życia ludzkiego; bez pożywienia się nie obejdzie, bez chleba powszedniego. I ta właśnie coraz bardziej „piekąca“, tak, „piekąca“ kwestya chleba powszedniego, zmusi Europę rozbroić się na wewnątrz, a uzbroić na zewnątrz, odesłać do lamusu historii narodowe antagonizmy, prześladowanie i nienawiść cudzych języków, czy też szczepów, stanąć ręką w rękę przeciw „rzeczywistym“ nieprzyjaciółom, tym, którzy jej odbierają chleb powszedni, odbierają już dzisiaj i w przyszłości będą jeszcze więcej odbierali, którzy ją na śmierć głodową skazują.... Z każdym dziesiątkiem lat będzie coraz gorzej i coraz groźniej, w miarę coraz większego udoskonalenia środków produkcji i środków komunikacji.

— A przyszłość Włoch?

— Przyszłość Włoch — odparł senator — zależy od k w e s t y i r z y m s k i e j; mówilem to i powtarzam: od szczęśliwego jej rozwiązania póki czas, albo takiego zabagnienia, że będzie już za późno.

— „Póki czas“ i „Za późno“? Nie rozumiem....

— K w e s t y a r z y m s k a rozwarła przepaść między Włochami a Papiestwem, oddała Włochy pod panowanie sekciarzy lub doktrynerów, przez to odwraca naród od religii, rzuca na pastwę żywiołów rewolucyjnych i gorszej może od nich jeszcze, niebezpieczniejszej gangreny kulturalnej; jeśli ona zatruje swoim jadem organizm narodowy, rozkład będzie postępował tak szybko, że przyszłe pokolenie, wychowane w dzisiejszych szkołach, zepsute „ideałem“ D'Annunzia, zniszczone używaniem, nie zdobędzie się na ratunek, będzie za późno. Szczęśliwe rozwiązanie nieszczęsnej kwestyi rzymskiej — to moje głębokie przekonanie — jest niezawodnie rzeczą stokroć

ważniejszą i żywotniejszą dla Włoch niż dla Papieństwa. Ono wyjdzie cało z tej walki; nie opieram tego mniemania na przepowiedni ewangelicznej, bo w ogóle rzeczy nadprzyrodzonych nie lubię wciągać w dyskusję; mnie wystarczy najzupełniej nauka, jaką czerpię z 19 wieków historii. Czy jednak Włochy podniosą się z upadku, do którego dążą tak szybkim krokiem, a jeśli się nie podniosą, co czeka ten kraj, jaka jego przyszłość? Na to niema odpowiedzi.

— Znajdzie się — rzekł profesor — dość zdrowych sił w tym narodzie, by powstrzymać upadek. A trzeba sobie tego życzyć nie tylko z przyjaźni dla Włoch, ale także i w interesie sprawy katolickiej. Bądź co bądź, Rzym jest we Włoszech i nikt go stąd nie ruszy, z Rzymem zaś związany Biskup rzymski, Głowa Kościoła.

— Czy jednak ten ścisły związek Stolicy Apostolskiej z Włochami, nie ze Zjednoczoną Italią, rozumie się, ale z krajem, z narodem, nie będzie się z biegiem czasu coraz bardziej rozluźniał, choćby w miarę rozszerzania się katolicyzmu i rozrastania Kościoła na innych kontynentach, zwłaszcza w Ameryce?

— Będzie, albo nie będzie; to właśnie, zdaje mi się, zależy przede wszystkim od kwestyi rzymskiej. Naturalnie, jeśli Włochy będą brnęły coraz bardziej w antychrześcijańskie dążnościach. Rzym papieski stawać się będzie z konieczności coraz więcej katolickim Cosmopolis, i z czasem może utracić tradycyjne znamiona włoskie, których dotąd jeszcze nie stracił. Tak włoska *Roma intangibile* doprowadzi do tego, że w samej stolicy Włoch wytworzy się obce ciało, które dziś jeszcze obcem nie jest, mimo całej swej powszechności, a przez tak długi szereg wieków stanowiło chlubę, klejnot Włoch, najcenniejszy ich skarb, dźwignię włoskiej cywilizacji. Zawsze włoski i na wskroś włoski Rzym może stać się obcym, może z czasem wyłonić się z Italii przez to tylko, że jest dziś jej stolicą. Przeciwnie, w razie szczęśliwego rozwiązania dzisiejszej kwestyi rzymskiej, Rzym papieski będzie i nadal włoskim, będzie po dawnemu chlubą, ozdobą Włoch, dźwignią ich znaczenia wobec całego świata, w wyższym nawet stopniu, niż kiedykolwiek...

— Tego przewidywania, tego ostatecznego mianowicie, przyznaję się, nie rozumiem, a przynajmniej nie mogę, zdaje mi się, wejść w właściwą myśl profesora. Przyznaję, że Rzym papieski był włoskim przez długi szereg wieków, że był nim w całej pełni jeszcze w r. 1870, mimo francuskiej załogi i cudzoziemców w papieskim wojsku. Co jednak, usprawiedliwiało zawsze w moich oczach poniekąd zabór Rzymu, ze stanowiska włoskiego, rozumie się, narodowego: to właśnie zrozumiała obawa, że się tak wyrażę, postępującego wynarodowienia Rzymu, z którym można było liczyć się już za Piu-

sa IX, tem więcej, że nieuchronny jego wzrost zapowiadał się po Watykańskim Soborze.

— „Tak, tego nikt nie zaprzeczy“. — „Słusznie“. — „To pewne“ — odezwało się parę głosów.

Profesor chciał się bronić, senator przerwał:

— Mój profesorze, daruj, bronisz straconej sprawy. Gdybyś miał rację, nie byłaby kwestya rzymska tak trudną do rozwiązania. Wiesz dobrze, jak pragnę jej rozwiązania; *tu* jednak właśnie i głównie *tu*, w grożącym bezwątpienia i coraz bardziej z natury rzeczy grożącym zobczeniu Rzymu, w wynarodowieniu jego pod panowaniem Papieża, widzę największą trudność, której nikt nie usunie. To węzeł, którego nie rozwiążesz, ani nie przetniesz; nim zaś sam się rozluźni, będzie, jak mówiłem, za późno...

— Proszę zatem o głos...

— Pozwól mi skończyć. Żyjemy, bądź co bądź, pod znakiem nacjonalizmu; to darmo, tego nie zmienisz i znak ten nie zejdzie jeszcze tak rychło z widnokręgu epoki; z czasem zejdzie, to rzecz inna, w tem znowu się zgadzamy. Jeżeli zatem dziś żądasz od Włochów, czy też od kogokolwiek, by sobie dał wykroić z żywego ciała jeden z najcenniejszych organów, który funkcjonuje normalnie i do życia mu jest potrzebny; jeżeli żądasz, by go po wykrojeniu — *comparatio claudicat* — przeznaczyć na użytek publiczny: powiedzą ci: *Nossignore*. Prawda, odkąd Włochy Włochami, t. j. odkąd przestały być przedmieściem starożytnego Rzymu, Rzym papieski był zawsze chlubą, jak powiedziałaś, klejnotem ich i skarbem. Był nim przez to, że był właśnie papieskim — i to przynaję; przez to stał się najcenniejszym klejnotem, cenniejszym od Wenecyi, Florencyi i Neapolu. I mógł pozostać włoskim, choć w nim Papież panował — powiedzmy, tak, mniej więcej do połowy XIX wieku. W wieku pary jednak i elektryczności rzecz się zmieniła; z łatwością komunikacyi zesza się niebywała ekspansya Kościoła katolickiego, którego centrum w papieskim Rzymie. Dziś stolica świata katolickiego musi stawać się coraz więcej kosmopolityczną, musi wynarodowić się zupełnie; para i elektryczność czynią ją z każdym rokiem coraz wyraźniej własnością całego świata, usuwając z drogi cały balast tych zapór czasu i przestrzeni, którym Włochy przez tyle wieków zawdzięczały włoski charakter Papiestwa, Kuryi rzymskiej i papieskiego Rzymu. To już należy do historii. Inaczej — jakież ferment wywołałyby w Kościele te rzymskie, a raczej włoskie właściwości, które zawsze przysparzały Papiestwu przeciwników w samem łonie Kościoła, skupiając ich pod popularnym sztandarem walki ze znienawidzonym ultramontanizmem, dziś — pamiętajmy o tem — nie cho-

działoby już o ultramontanizm tylko, ale — *sit venia verbo* — i o ultramarynizm. Tak, profesorze, ty tak samo, jak ja, wierzysz w wielką przyszłość katolicyzmu w Ameryce; odkąd za Atlantykiem istnieje 14 arcybiskupstw, 74 stolic biskupich i 10 katolickich uniwersytetów, odkąd Australia ma swego kardynała, a w Goa jest patriarchyat, minęły czasy, kiedy Kościołem mogli rządzić Włosi, a Rzym mógł nie być katolickim Cosmopolis.

— Ani myślę się poddać — rzekł poważnie profesor — to rzecz, nad którą się zastanawiałem nieraz i dobrze ją przemyślałem. Proszę zwążyć, że ultramarynizm mniej straszny od dawnego ultramontanizmu, odkąd na przejazd Atlantyku nie tyle potrzeba czasu, co niegdyś na przebycie Alp, nie mówiąc już o Alpach z Karpatami w dodatku. I Włosi, rządzący Kościołem z Rzymu, nie będą dla zaalpejskich katolików takimi ultramontanami, odkąd coraz żywsza jest i łatwiejsza wymiana nie idei tylko, ale i ludzi, po tej i po tamtej stronie nie tylko Alp, ale i Atlantyku. Prawda, już dziś liczba kardynałów nie-Włochów większa, niż kiedykolwiek w dawniejszych czasach; nie przeczę, że ten stosunek zmienić się może z czasem jeszcze więcej na korzyść „cudzoziemców“. Są jednak pewne granice, które nigdy nie będą przekroczone. Większość Kolegium kardynalskiego musi stale rezydować w Rzymie; inaczej spadłoby kardynałstwo do wartości strzępka purpury. Może, co prawda, jeden lub drugi kardynał-„cudzoziemiec“ zamieszkać w Rzymie, czuwając tu nad kościelnymi interesami swojej ojczyzny, służąc za cenne źródło informacji o odrębnościach spraw i stosunków odległych krajów. Miejscowy element będzie miał jednak zawsze z natury rzeczy przewagę na najwyższych szczeblach, a cóż dopiero na niższych, hierarchii rzymskiej, tem samem zaś i w naczelnej administracji Kościoła. I, powtarzam, tem mniej to będzie raziło, im więcej rzymscy kuryaliści włoskiej narodowości, będą — nie dość już dziś powiedzieć: „europejskimi“ ludźmi: im rozleglejszy, na obie półkule rozpostarty będą mieli horyzont, nie przestając przez to być bynajmniej Włochami, i to z tą specyficzną rzymską cechą, którą sobie każdy Włoch tak szybko w Rzymie przyswaja. Jedno może Papiestwu, Kuryi, Rzymowi odebrać odwieczną włoską cechę: taki postęp „odchrześcijanienia“ Włoch, iżby coraz więcej brakło Włochów-katolików, godnych zajmować wybitne stanowiska w Kuryi. To — nie przeczę — rzeczywiste, nieurojone niebezpieczeństwo. Mimo żywej akcji katolickich stowarzyszeń we Włoszech, postęp „odchrześcijanienia“ Włoch widoczny, i będzie coraz gorzej, jeżeli nie przyjdzie do rozwiązania kwestyi rzymskiej; niech Papież będzie znów panem Rzymu, a Włochy będą katolickie.

— I znów rozpocznie się to samo *da capo*, tylko obrażona duma narodowa będzie źródłem tem większej zaciekleści...

— Ja też mówię o rozwiązaniu kwestyi rzymskiej, tj. o takim rozwiązaniu, iżby po niem w duszy żadnego Włocha nie pozostały jakiegokolwiek męty niechęci do Apostolskiej Stolicy, z włoskiego, rozumie się stanowiska; sekciarze zawsze zostaną sekciarzami. I o tem jednak jestem przekonany, że już w dziesięć, w kilkanaście lat po pojednaniu Papieża z dynastją i z rządem włoskim przedrzydziłyby się niezmiernie szeregi masoneryi we Włoszech i wszelkiego rodzaju sekciarzy. Włoch zwyciężyłby w nich masona; w tem znów byłoby dodatnie działanie nacjonalizmu, pod którego znakiem żyjemy, jak mówi nasz senator.

— To pewne — rzekł senator — ustałoby panowanie sekciarzy, w państwie i w szkole inny kierunek przybrałoby z czasem wychowanie przyszłego pokolenia, a przedewszystkiem nie byłoby tego zespolenia masoneryi z patryotyzmem, który gubi dzisiejsze Włochy. Wogóle, muszę przyznać profesorowi, że przedstawiasz tę kwestyę z takiej strony, z jakiej nie rozważałem jej nigdy...

— Ja jeszcze nie skończyłem. Powtarzam: patryota zabiłby we Włochu sekciarza; tak widoczne byłoby błogosławieństwo tego pojednania, spływającego obficie na cały naród, któryby wysuwał się szybko naprzód na torze współczesnych dziejów...

— To już — wtrącił literat — zakrawa wyraźnie na mistycyzm.

— Przepraszam; mówię „błogosławieństwo“, a myślę o pomyślności, o świetnym rozwoju kulturalnym, o stanowisku państwa i narodu na zewnątrz; wszystko to widzę w najściślejszym związku logicznym z szczęśliwym rozwiązaniem nieszczęsnej kwestyi rzymskiej...

— Daruj mi profesorze — przerwał znowu senator — teraz już bronisz pozycyi tak pewnej i bezpiecznej, że Twój zapał — wybac — tylko szkodzi obronie. Gotów jesteś — lękam się — przedstawić nam w tak złocistych barwach horoskop pojednania Watykanu z Włochami i następstw tego pojednania, że nam się wyda jakąś złudną fatamorganą i sam fakt tak pożądanym i to, czego można się po nim spodziewać, biorąc rzecz jaknajtrzeźwiej. Na to jednak zgoda najzupełniej, że przedewszystkiem błogosławieństwa ugody dałyby się odczuć na polu ekonomicznym. Nie ma w Europie państwa, któreby miało tak szczęśliwe naturalne granice, jak zjednoczone Włochy. Jeśli kto, to Włochy mogłyby sobie pozwolić na znaczną, co najmniej redukcję budżetu wojskowego, która zwolna prowadziłaby do częściowego przynajmniej rozbrojenia. Włochy mogłyby dać Europie pierwszy jego na seryo przykład, gdyby nie kwestya rzymska, która je od sa-

mego początku zniewoliła najeżyć się baguetami, wbrew zaiste tradycyi narodowej, a po wstąpieniu na tę drogę, wyciąga z nich wszystkie soki żywotne w ofierze dla Molocha militaryzmu...

— Czyż jednak — rzekł artysta — można na seryo myśleć o jakiejś interwencyi mocarstw na rzecz przywrócenia świeckiej władzy Papieża? Po r. 1860, rozumiem; sam pobyt francuskiej załogi w Rzymie był pewnego rodzaju *memento*; któż mógł przewidzieć, czy Napoleon III, dla utrzymania Napoleońskiego *prestige*, nie będzie w danych okolicznościach zniewolony podjąć kwestyi anektowanych Legacyj i Delegacyj; Napoleoński Sfinx mógł z konieczności przemienić się w Saturna, któryby musiał pożreć lub przynajmniej pokąsać *l'Italia Unita*, nie mając nawet przyjemności pozywienia się własnem dzieckiem. Po zaborze Rzymu, gdy wszystko się udało nawet bez żadnego protestu — rozumiem, przez jakiś jeszcze czas: czapka gore na złodzieju. Dziś jednak...

— „Czapka gore na złodzieju“ — i nie przestaje gorzeć. Czyż widmo kwestyi rzymskiej nie było w rękach Bismarcka nieocenionym atutem, którym włoskiego partnera zapędził w sieci poniżającego wassalstwa, choć nawet i po Kulturkampfe trudno było przypuszczać, żeby Cesarz Niemiecki otrąbił *Romfahrt* w interesie świeckiej władzy Papieża. Któż wie zresztą? Dziś zasady tak mało ważą w polityce, że nie trzeba na to bardzo bujnej fantazyi, aby wyobrazić sobie choćby i masońską Francję, jak jedną ręką zrywa stosunki z Watykanem a drugą podnosi sztandar krucyaty, niechby tylko dyplomatycznej, zawsze dla Włoch kłopotliwej, przeciwko włoskiej *Roma intangibile*. Niechby tylko Włochy zbyt śmiało pozwalały sobie czegokolwiek w sprawach Tunisu, a masońskie sumienie nie odwiodłoby Francyi od tego kroku...

— Sam Tunisi starczy jednak za dowód, że nie jedna kwestya rzymska zmusza Włochy do wtóru w ogólnym koncercie rujnującego, zbrojnego pokoju. A kolonialna polityka?

— To farsa, kosztowna farsa, której dla większej jeszcze ruiny kraju pozwoliły sobie uzbrojone już od stóp do głów Włochy, a uzbrojone z powodu otwartej zawsze kwestyi rzymskiej. Na rozpoczynanie polityki kolonialnej nie pora w końcu XIX wieku. Wątpię nawet, czy trzeźwe Niemcy zdobyłyby się na tak kosztowną zabawkę, gdyby nie bogata kuzynka i sąsiadka, pobratymcza Holandya, której kolonie zajmują przeszło dwa miliony kilometrów kw.; to stanowi wprawdzie tylko trzecią część dzisiejszego obszaru francuskich kolonij, ale aż cztery razy przewyższa terytorjum Niemieckiego Cesarstwa. Prawdopodobieństwo takiej sukcesyi nakłada pewne obowiązki; domniemanemu sukcesorowi warto zawczasu się przygotować...

— Więc pan myśli na seryo, że Włochy mogłyby istotnie przystąpić do rozbrojenia, gdyby ugoda z Watykanem przyszła do skutku?

— Zwolna, stopniowo; w każdym razie jednak tempo rozbrojenia mogłoby być dość szybkie, żeby naród, ginący pod brzemieniem duszącego fiskalizmu, odetchnął, odżył wkrótce i zwrócił się z pełną żywotnością tak bogatej natury — do tego, co było po wszystkie czasy jego chlubą i zarazem siłą w przeszłości, w czem cała jego przyszłość: do zadań kulturalnych. Tu on może przodować, bo ma za sobą tyle, że mu trudno dorównać: w sztuce, w literaturze, w nauce, a zwłaszcza w niektórych jej gałęziach...

— Teraz proszę o głos. — przerwał profesor — Milczałem, bo nie chciałem przeszkadzać dyskusyi; nie byłbym zresztą potrafił doprowadzić jej tak przekonującymi argumentami do rezultatów, dających mi właśnie wodę na mój młyn. Pozwólcie mi jednak państwo teraz powrócić do tego młyna.

— Prosimy; czy się zgadzamy czy różnimy, zawsześmy wszyscy łakomi na mąkę z tą marką fabryczną.

— Wszak wszyscy państwo umieją nienajgorzej po włosku? lepiej lub gorzej? rozumiecie przynajmniej i bez trudności możecie się rozmówić?

Nikt nie zaprzeczył; pan Antoni zastrzegł się tylko przeciw dalszej rozmowie w włoskim języku. Rozumie wprawdzie, o codziennych przedmiotach rozmówi się jako tako, czyta bez trudności, nie tylko *La Tribuna*, nawet D'Annunzia czytywał już bez słownika, ale nie wszystko jeszcze rozumie, słuchając włoskiej konwersacji, w towarzystwie czy też w teatrze. Co prawda — jak doszedł do tej znajomości języka, sam sobie dobrze nie zdaje sprawy, bo nigdy go się właściwie nie uczył; raz poświęcił parę tygodni deklinacyi, konjugacyi i czasownikom nieregularnym; zresztą oswoił się z językiem przez praktykę, podróżując po Włoszech, czytając, gdy mu to już nie sprawiało trudności. Gdyby miał trochę więcej cierpliwości, gdyby wieczorami nie był tak leniwy i nie lękał się natężenia w teatrze, niewieleby go trudu kosztowało dopędzić profesora; teatr to doskonały środek; ale co za satysfakcyja uatężać się, słuch i uwagę wyteżać na komedyi, lub na dramacie; we Włoszech chodzi się tylko na operę, albo na operetkę.

— Czy jest na świecie drugi język, któryby w tym stopniu posiadać można takim łatwym sposobem? Prawda, pan Antoni cytował nam Horacego, a po francusku mówi od dziecka. Ale starsi — tu do senatora zwrócił się i do artysty — pamiętają dobrze naszych Mazurów i Rusinów, którzy w wojsku, w Wenecyi i Lombardyi, w lot mo-

gli się rozmówić kaleczoną włoszczyzną, a ze Styrii albo z Tyrolu przywozili ledwie jakiś mizerny zapas niemieckich wokabuł...

— To już zasługa Wenecyanek...

— Mniejsza o to, i bądź co bądź dowód, jak łatwonauczyć się po włosku, ani po francusku nie mówiąc, ani też nie znając łaciny. Z łaciną zaś, to poprostu zabawka. Znałem takich, którym się wydawało, w jakie 20 lat po maturze, że *rosa-ae* nie potrafią odmieniać, a mimo to po tygodniowym pobycie w Wenecyi gawędzili z gondolierami. I nie dziw; to przecież nic innego, jak łacina żyjąca, łacina, która i przed 20 wiekami nie była mową Cyclerona i Wergiliusza, jak język Maćków i Bartków nie jest językiem Sienkiewicza, ale za to z żywą muchą dzieli ten nieoceniony przywilej, że nie jest zdechłym — przepraszam: m a r t w y m lwem.

— Ostrożnie, profesorze! Nie rozwijaj dalej takiego niebezpiecznego porównania, bo gotowo Ci wypaść, że *H i s t o r y a* to *p o s p o l i t a P l o t k a*, skoro z tej *M u c h y* zrobiła *S ł o n i a*. Jużej, do Słonia językowi włoskiemu dość daleko, jeśli łacina lwem, ale równie chyba daleko odbiegł od Muchy; coś w pośrodku...

— A był Muchą i kto wie, czy jeszcze nie urośnie do rozmiarów Słonia. Żart na bok; ja to uważam za bardzo prawdopodobne, że włoski język, przy sprzyjających warunkach, stanie się językiem uniwersalnym, nie jak nim był do pewnego stopnia francuski...

— Żart na bok? mówi profesor? Od francuskiego chyba rzeczywiście berło odjęte. Jeżeli jaki jednak język zdobędzie sobie to berło i pewniej, bezpieczniej je utrzyma, to najbliżej do tego przecież angielskiemu, którym już dzisiaj mówi sto milionów, 15-ta część całego ziemskiego zaludnienia; a z każdym rokiem rośnie ta liczba w progresyi tak nierównej rozszerzaniu się innych języków, wskutek niezmiernego rozrostu Ameryki Północnej...

— Już nawet i hiszpański, także dziecko łaciny, ma na liczbę więcej niż dwa razy tyle poddanych co włoski, a na obszar — Ameryka Południowa — równać się może prawie z obszarem angielskiego...

— Żaden jednak — rzekł z naciskiem profesor — nie jest żywą łaciną, hiszpański także nie jest; i — *last not least* — nie jest językiem Rzymu, tego Rzymu, który ma pod sobą 225 milionów katolików, we wszystkich pięciu częściach świata, siódmą część zaludnienia naszego globu. Przy tem nie należy zapominać o wzroście katolicyzmu na terytorium angielskiego języka, tj. w Ameryce Północnej; to wzrost prawdziwie amerykański postępujący w geometrycznej progresyi.

— Przypuszcza pan zatem, że język włoski może stać się językiem świata katolickiego?

— To nie, ale przez wielkie rozpowszechnienie w świecie katolickim może stać się językiem uniwersalnym, innymi słowy: językiem, na całej kuli ziemskiej najwięcej rozpowszechnionym a tem samem najbardziej przydatnym do międzynarodowego porozumienia. Martwa łacina będzie torowała drogę żywej, włoskiej; ten martwy — że powrócę do porównania, które państwo tak łaskawie przyjęli — martwy a taką siłą żywotną wyposażony Lew, którego żadna siła nie zmiecie z powierzchni ziemi, bo już dziś 225 milionów słyszy go nieustannie w liturgii. Tam bezpieczne jego schronienie, a pod ochroną liturgii także i w rzymskiej literaturze, o której świat nigdy nie zapomni, choćby mu coraz więcej brakło czasu na naukę klasycznych języków, bo języka liturgicznego setek milionów nie wyrzuci się pomiędzy niepotrzebne rupiecie. Przestał być językiem nauki, którym był przez tak długi szereg stuleci. I tam już nie odzyska utraconego monopolu, bo nauka zrosła się ściśle z życiem i żywego potrzebuje narzędzia, stosującego się z giętkością żywego organizmu do zmiennych potrzeb życia, łączącego — jak wszystkie żywe języki — pewną stałość, na której strażą tradycya, ze zdolnością do zmiany i do rozwoju. Nietylko nauka ale wogóle całe piśmiennictwo nowożytne potrzebuje narzędzia, nie tak skomplikowanego, jak klasyczne języki, prostszego, bo startego nieustannem użyciem, jak żywe, nowożytne; potrzebuje większej swobody ruchów w wyrażeniu niezliczonych odcieni indywidualizmu uczuć i myśli. Te potrzeby i jeszcze jedno następstwo ściślejszego zespolenia piśmiennictwa z życiem, potrzeba piśmiennictwa dla wielkich mas narodu — to czynniki, które raz na zawsze wyparły Martwego Lwa z dziedzin nauki i współczesnej literatury. Mimo to i w naukowym świecie i w literackim i wszędzie odzywa się niewczesna tęsknota za porzuconymi misami łacińskiej piśmienniczej biesiady, przy której tak wygodnie było naszym pradziadom — z jedną łaciną. Do niej nie pora wracać; stąd Volapük, Esperantos i to żywe zainteresowanie poważnych nawet kół tymi dziecinnymi wymysłami, godne prawdziwie lepszej sprawy — i świadczące, bądź co bądź, o żywotnej potrzebie jakiegoś dogodnego narzędzia w międzynarodowym porozumieniu. *Sieh, das Gute liegt so nah!*: obok Martwego Lwa — Żywy, On sam, lecz odmłodzony, tak doskonale uzdolniony do pełnienia tych wszystkich zadań, które dla Martwego od dawna już niedostępne. To zaś wiercie mi państwo — sami wreszcie doświadczyliście tego — że język włoski niemal równie łatwy do nauczenia się jak Esperantos; w każdym razie ma nad nim taką samą wyższość, co żywa osoba nad manekinem.

— Wygrałbyś sprawę, szanowny profesorze, gdyby to od nas zależało — tu dzisiaj na Trastevere zgromadzonych — przyznać językowi włoskiemu te wszystkie tak cenne i tak rozległe prawa, o które się upominasz dla swego ulubieńca. Cóż, kiedy egzekutywy nie mamy; ten krnąbrny świat, choćby Ci przyznał racją w teorii — to Ci się w każdym razie należy — nie zechce się zastosować do naszego trastewerańskiego wyroku.

— Przeciwnie — odparł żywo profesor — o teorią nikt nie dba^o niechby jednak tylko przyszło do ugody między Włochami a Watykanem, widzieliobyście państwo, jak szybkim krokiem zbliżałby się do urzeczywistnienia mój horoskop świetnej przyszłości włoskiego języka i piśmiennictwa...

— *Sempre lo stesso!*

— Każdy przecież musi to przyznać, że jeszcze nigdy, jak Włochy Włochami, język włoski nie był tak rozpowszechniony jak w naszych czasach, od Watykańskiego Soboru, dzięki papieskiemu Rzymowi. Im bardziej ścieśnia się węzeł, łączący z Stolicą Apostolską episkopat całego świata i cały wogóle świat katolicki, tem większa w s z ę d z i e potrzeba, bezpośrednia, praktyczna, znajomości żywego języka Ojca św., Kuryi rzymskiej, ludności tego miasta, które jest i będzie rezydencją Papieża. Tego dawniej nie było; w naszych czasach potrzeba ta wzmacnia się z każdym rokiem i wzmacniać się będzie nieustannie, bo niezawodnie stosunki katolików z Rzymem będą coraz żywsze i częstsze, staną się w całym tego słowa znaczeniu chlebem powszednim katolickiego życia. *C'est le Pape qui nous forme, mais à condition, que nous l'informions*, powiedział ktoś dowcipnie a trafnie jeszcze podczas Watykańskiego Soboru. Stanowisko Stolicy Apostolskiej, jak je dogmat nieomyślności ostatecznie utwierdził w stosunku do Kościoła i do całego świata katolickiego — a z drugiej strony to, co z dogmatem nieomyślności nie ma nic wspólnego: wielkie zdobycze techniki nowoczesnej, para i elektryczność, zniesienie zapór, które czas i przestrzeń przez XVIII wieków stawiały między członkami Kościoła a jego Głową — to dwa czynniki, tak różne, tak dalekie od siebie i niezależne, które więcej niż kiedykolwiek w dziejach i coraz więcej czynią z Rzymu drugą ojczyznę każdego wierzącego katolika, a tem samem zbliżają go do Włoch i do włoskiego narodu.

— Nie widać jednak tego zbliżenia. Nasz kochany profesor żyje ciągle w świecie teoryj i syllogizmów. Przyznaj przynajmniej, że to nie obserwacja, ale martwy rezultat logicznej dedukcyi z real-

nych — nie przeczę tego — przesłanek, którego rzeczywistość nie wytrzymuje próby doświadczenia i spostrzeżenia.

— Tak nie jest. Raczej dziwić się można, że w danych okolicznościach rzeczywistość energiczniej nie zadaje kłamu temu... nie przeczę, na dziś raczej horoskopowi niż spostrzeżeniu. Mylicie się państwo: to nie urojenie moje... logiczne; jest w całym świecie katolickim coś, coby nazwał *une sympathie latente*, ale pełna sił żywotnych sympatya do Włoch, do języka włoskiego i do włoskiej kultury; tłum ją tylko i nie da jej się rozwinąć dzisiejsza antychrześcijańska Italia. Znajomość włoskiego języka większa dzisiaj — powtarzam — niż kiedykolwiek, i to nie dzięki Buchholzom z ich *cocchiere e costeletta alla Milanese*; gdzie dziś znaleźć biskupa — a jest ich obecnie, diecezjalnych, we wszystkich częściach świata coś około 1200 — gdzie dzisiaj taki biskup, któryby nie trzymał choćby *Osservatore, Vocce*, często dziś już i *Orviltà*. Czyta on, czyta i jego otoczenie, bo nie może się obejść bez bieżących wiadomości z Watykanu i z Rzymu po lewym brzegu Tybru. I czytaliby więcej bez porównania, nie tylko biskupi i radcy konsystorza, gdyby — było co czytać. Dante — to lektura wybranych; Tassa, Ariosta czytać będzie ta sama garstka, co u nas po maturze czasem do Kochanowskiego zagląda; kto zaś bierze dzisiaj do ręki Corneille'a, Krasickiego albo Alfieriego czy Metastasia? D'Annunzio zatem i mistrz jego, piewca Szatana i bohaterów z bojów pod Castelfidardo i z pod Mentany, i całe, mniej lub więcej tym samym duchem owiane, współczesne włoskie piśmiennictwo... Każdy biskup, każdy kapłan wybitniejszy powinien znać tę literaturę, przynajmniej w jej znamiennych okazach, jako *signum temporis* i jako emanacya tego samego Wroga, z którym i po tamtej stronie Alp toczy się bój nieustannie, który tam jednak rzadko zdobywa się na tak doskonałe w swoim rodzaju narzędzia walki. Znać powinien, by swoich, ile możności, ustrzedz od czytania takiej literatury...

— Spodziewasz się zatem, szanowny profesorze, że w danym razie ugoda Włoch z Watykanem różczką czarodziejską odmieni D'Annunzia na „budującego“ pisarza...

Tu senator przybył na sukurs przyjacielowi. Rozwinął swoje zapatrywanie na niezawodne, jego zdaniem, etyczne i społeczne odrodzenie Włoch w razie stanowczego upadku kliki, pod której rządami Włochy znajdują się od lat czterdziestu. I na polu literatury, rychlej może nawet, niżli na innych, możnaby się spodziewać takiego odrodzenia. Jakież bowiem środowisko dostarcza, z natury rzeczy, najwięcej sił literackich każdemu społeczeństwu, we Włoszech czy gdzie indziej? Talenta rozwijają się najłatwiej na glebie wyposażonej pew-

ną tradycją kulturalną; atawizm ma w tej dziedzinie większe może niż gdzieindziej znaczenie i uprawnienie. Ta zaś warstwa społeczna, która talenta literackie najobficiej wydaje, warstwa średnia, we Włoszech — co prawda, nietylko tutaj — we Włoszech może jednak w szczególniejszy sposób związana z obecnym stanem rzeczy, opętana siecią *sui generis* uprzedzeń i rzekomo „postępowych“ przesądów; te przesady bywają gorsze, upartsze i trudniejsze do wykorzenia od innych, bo oparte na ślepej wierze w zwodniczą markę ochronną t. z. „najnowszego stanowiska nauki“, które prawdziwa rzetelna wiedza złożyła nieraz dawno do składu muzealnych rupieci. Nigdzie nie jest łatwo wyplątać się z tej sieci; cóż dopiero we Włoszech, gdzie ją zaplątano węzłem gordyjskim, na którym położono pieczęć z napisem: *Roma intangibile*. Ktoby ważył się pomyśleć o naruszeniu tej pieczęci, uznanej za świętość narodową — to zdrajca ojczyzny, przestępca! A Włoch, w konspiracji bohater, na odwagę cywilną nie łatwo się zdobędzie; dlatego trudniej tu nietylko o jawną manifestację uczuć, przekonań katolickich, ale i o ich wewnętrzne nawet uświadomienie; *elles sont latentes*, powiedziałby profesor, nieprawdaż? Ale one istnieją, mniej lub więcej uspięne lub też uświadomione we wszystkich warstwach włoskiego społeczeństwa; mogą się obudzić, a raz rozbudzone i z narodowym ideałem zestrojone w zgodną harmonię, mogą w niedługim czasie — najzupełniej w tem zgadzam się z profesorem — dać światu zapomniane od dawna widowisko: widowisko bujnego, świetnego rozwoju kulturalnego, tkwiącego głęboko korzeniami w gruncie chrześcijańskich idei. To wszystko jest możliwe, prawdopodobne nawet, jeśli raz pęknie pieczęć z napisem *Roma intangibile* na tym nieszczęsnym węzle gordyjskim, krępującym Włochy w ich naturalnym, z narodową tradycją zgodnym rozwoju.

— Jakież piękne, wspaniałe perspektywy odsłaniacie panowie— odezwała się starsza dama.

— I nie tak dalekie od nas — dodał profesor — jak się wydaje; to moje głębokie przekonanie. Niech mi będzie zatem wolno zapytać, czy nie mam racji, jeżeli twierdzę, że restauracja tak głęboko dziś podminowanego katolicyzmu w narodzie włoskim postępowałaby szybkim krokiem, gdyby raz tylko padła sztuczna zaporą, którą kwestya rzymska wzniosła między Włochami a sprawą katolicką. Rozumieją to doskonale zabójcy Włoch, włoskich dusz i ducha włoskiego, i dlatego z taką zaciętością bronią swojej pozycji. Czy się myślę, jeżeli twierdzę, że patriota zabije w Włochu sekciarza, gdy w lot po ugodzie Włoch z Watykanem ujawniać się poczną wszystkie jej nieobliczone błogosławieństwa. Dziś może to się Włochowi

wydawać obojętnem, że w świecie katolickim włoskiego króla uważają za przywłaszczyciela, że od Włoch, od państwa włoskiego z odrazą się odwracają. Niechaj jednak miejsce tej odrazy zajmie żywa sympatya, nie platoniczna tylko ale siłą faktów przemawiająca i cyframi — a dość będzie jednego pokolenia, by — jak mówię — Włoch przytłumił sekciarza w włoskim obywatelu. Będzie to zaś potężna wymowa cyfr i faktów, jeżeli pisma włoskie odbijać się będą w dwójnasób większej liczbie egzemplarzy, a z czasem jeszcze większej, bo coraz obficiej rość będzie ich konsumpcya po za Włochami, za Alpami, za Atlantykiem, w Australii i na Oceanie Spokojnym, wszędzie gdzie katolicyzm zatknął sztandary; wszędzie on tam stanie się tym dobrym przewodnikiem, po którym język Dantego rozprzestrzeniać się będzie po obydwu półkulach. A jeżeli z czasem dojdzie do tego — o czem nie wątpię — że Włoch w każdym katolickim kraju tak samo będzie się czuł u siebie, jak katolik ma sobie brzegi Tybru jakby za coś w rodzaju drugiej ojczyzny — w takim razie łatwo mu to przyjdzie przeboleć, że prawdopodobnie wypadnie Erytreę wpisać na konto strat, gdy już raz ugoda z Watykanem zwolni Włochy od zabójczych ofiar na ołtarzu Militarizmu.

Słońce zaszło, zaczynało się nagle ściemniać, jak bywa na południu, gdzie przejście z jasnego dnia do zmroku o wiele szybsze niż za Alpami. Całe towarzystwo powstało; zaczęło schodzić ku *Ponte Sisto*. Wśród rozmowy, z takim widokiem przed oczyma, nie spostrzeżono, że już było tak późno; trzeba było spieszyć na obiad. Nawinęła się przejeżdżająca dorożka. Panie wsiadły; przy pożegnaniu pani Z. prosiła do siebie na herbatę.

— Koniecznie... Panowie musicie nam wyjaśnić, jak można sobie wyobrazić rozwiązanie tej kwestyi rzymskiej, którą dzięki panom, dzisiejsze popołudnie tak barwnie nam oświetliło...

-- I słońcu zachodzącemu trzeba przyznać trochę zasługi. Będziemy służyli.

-- Będziemy niezawodnie.

— Czekamy o dziewiątej. A proszę się nie spóźnić.

Tylko pan Antoni nie mógł korzystać z zaproszenia, miał już wieczór zajęty.

*

*

*

To samo towarzystwo zebrało się wieczorem w saloniku pani Z., z wyjątkiem pana Antoniego; natomiast zjawili się dwaj panowie, którzy popołudniu nie byli na Trastavere: hrabia Tytus, obywatel z Królestwa, i pan Kazimierz, młody radca ministeryalny z Wiednia, panie starały się odrazu związać rozmowę z tematem popołudniowym, tam mianowicie, gdzie wątek jego przerwał się nagle na dane hasło do odwrotu z za Tybru. Zrazu szło to oporem, z powodu nowo przybyłych gości; wkrótce jednak i ich obecność nie stanowiła przeszkody, gdy senator zebrał w zwięzłym streszczeniu główny wątek popołudniowej pogadanki.

— Zgodziliśmy się na to — kończył — że dziś nie może być już mowy nietylko o możliwości, ale i o potrzebie odbudowania państwa Kościelnego w dawnych granicach, czy to z r. 1860 czy 1870, chociażby tylko z tej przyczyny, iż w obecnych stosunkach państwo takie byłoby dla Stolicy Apostolskiej ciężarem bez wartości; i na to również zgoda, że przekonanie to od dłuższego już czasu utwierdza się coraz silniej w kołach watykańskich; można je nawet stanowczo uważać dziś za panujące w tych kołach. Co innego Rzym; z Rzymu Papież nie ustąpi i nie może ustąpić, a również nie może na to się zgodzić, by nad rezydencją papieską rozciągała się jakakolwiek niezależna od niego władza.

— A zatem status quo — odezwał się na to radca — jeżeli nie bez końca, to przynajmniej do tego czasu, aż Watykan oswoi się na koniec zupełnie z obecną sytuacją. Państwo uważacie, że koła watykańskie przeszły już do porządku dziennego nad sprawą świeckiej władzy Papieża w właściwym tego słowa znaczeniu. Jeden krok tylko dalej, a pogodzą się także z panowaniem włoskiem w Rzymie i nad Rzymem, w miarę tego, jak z biegiem czasu przekonywać się będą coraz bardziej, że to panowanie zupełnie nie przeszkadza swobodnemu wykonywaniu duchownej władzy Głowy Kościoła; wszak jej siła stosunku do świata katolickiego i powaga na zewnątrz urosły niezmiernie właśnie po roku 1870, pomimo zaboru Rzymu i jego przeobrażenia na stolicę włoskiego królestwa. Sami państwo temu nie zaprzeczacie. To kwestya czasu...

— Pomimo zaboru Rzymu — przerwał profesor — tak; ja go-tów jestem nawet przyznać, że może upadek dawnego Państwa Ko-

ścielnego nie jest bez pewnego związku przyczynowego z tym niewątpliwym faktem; jako władca świecki, ani Pius IX w ostatnich latach, ani Leon XIII nie byłby miał tej swobody działania, krępowany względami politycznymi, które nie miałyby nic wspólnego ani z interesem Kościoła, ani z polityką Stolicy Apostolskiej...

— O cóż więc chodzi?

— O Rzym i oprócz panowania nad Rzymem, o to także, że zwierzchnik dwustu kilkudziesięciu milionów katolików nie może być niczym poddany; Rzym zatem, ta stolica jego biskupia, musi być niezależnym, jemu tylko podległym terytorjum; o nic więcej nie chodzi.

— W tem samym jest już nie mała trudność, choćby nawet przypuścić, że wszystkie inne dałyby się usunąć, że Włochy oswoiłyby się z potrzebą — ja tej potrzeby nie mogę się dopatrzeć — z potrzebą ustąpienia swej dzisiejszej stolicy, której utrzymanie, słusznie albo niesłusznie, przyzwyczajono się uważać za rzecz honoru narodowego. Przypuśćmy nawet — mnie osobiście trudno to przypuścić — że zdecydowano by się zrezygnować na korzyść Papieża ze wszystkiego, co państwo włoskie od r. 1870 wzięło w swoją nową stolicę; że mogłoby sobie na ten zbytek pozwolić, iżby *da capo* zabrać się do urządzania trzeciej z rzędu stolicy, we Florencyi znowu czy w Neapolu. Wolno nam wszystko to przypuścić, mimo wszelkiego nieprawdopodobieństwa; zdaje mi się bowiem, że są to praktyczne i techniczne trudności, o których rzadko się pamięta przy reklamowaniu choćby tylko samego Rzymu na wyłączną własność Papieża. Nic jednak nie usunie istotnej, zasadniczej trudności a raczej, według mnie, prostej nie m o ż l i w o ś c i rozwiązania kwestyi rzymskiej po myśli profesora. Reklamuje się sam Rzym tylko, nie więcej; *excusez du peu*; reklamuje się go jednak na w y ł ą c z n ą w ł a s n o ś ć Papieża. Tego ja, przyznam się, nie mogę zrozumieć; dziś już, jeżeli się nie mylę, i Pacanów przestał być chyba prywatną własnością...

Wywiązała się ożywiona dyskusya, jak wyobrazić sobie stosunek Papieża do miasta Rzymu, gdyby mu się nad nim dostało panowanie. Odezwał się i senator, tego wieczora wogóle nierównie więcej milczący niż popołudniu:

— Pozwólcie mi państwo przerwać dyskusję jednem osobistym wspomnieniem. Nic ono niema wspólnego z Rzymem, może jednak przyczyni się cokolwiek do wyjaśnienia kwestyi. W młodych latach moich byłem zagorzałym republikaninem; mało kto nie przeszedł tej ospy. Żem się z tego wyleczył, i nie od wczoraj — wiadomo. Doskonale jednak pamiętam ten moment, kiedy mój republikanizm naraz się zachwiał, nagle a tak gwałtownie, że właściwie od tej chwili byłem

już monarchistą. Na uniwersytecie to jeszcze było, w Gietyndze, w ostatnim już półroczu: byłem po doktoracie. Stary Waitz wykładał politykę, ciekawy wcale kurs teorii prawa publicznego — szedł w tem za wzorem swego mistrza Dahlmana — teorii wysnutej z obserwacyi historyka. Republika — mówił z tym swoim olimpijskim, niezachwianym nigdy spokojem — to forma rządu stosowna jedynie dla gmin miejskich; na tym gruncie zrodziła się i na nim jedynie, jako na swym rodzimym gruncie, może trwale utrzymać się nieskażona bez szkody dla bezpieczeństwa. Jak miasto rządzone monarchicznie, może być tylko tyranją, wytworem skażonej republiki, tak też i państwo, które przestało być miastem, będzie anarchią i upadnie, jeżeli go z anarchii nie dźwignie imperyalizm, t. j. nic innego jak tyrania rozciągnięta nie nad gminą miejską, ale nad znaczniejszym obszarem państwa.

— Bardzo ciekawy punkt widzenia — odezwała się pani Z.

— Otóż wracam do Rzymu. Przypuśćmy, że Papież obejmie panowanie nad Rzymem, nad samym tylko Rzymem, jak pragnie uasz profesor, bo w danym razie nawet jakiś podłużny skrawek ziemi nad Tybrem, aż do ujścia — to jeszcze nie państwo także, to przedłużone tylko terytoryum miejskie, skazane na to z natury rzeczy, żeby się nigdy dalej nie rozszerzyło. Wszak na to zgoda?

— Niezawodnie; o to chyba nie byłoby obawy, żeby Rzym papieski stał się kiedykolwiek Piemontem Państwa Kościelnego...

— Półmilionowe miasto — to nie Pacanów; Radca ma słusność. Panowanie Papieża nad tem miastem nie mogłoby być tyranją, w historycznym naturalnie, nie potocznym znaczeniu tego słowa. Nie mogłoby nią być choćby tylko z tej prostej racyi, że papieskiemu panowaniu nie dostawałoby głównego, zasadniczego warunku tyranii: braku prawowitości. Państwo papieskie zatem, zamknięte w granicach Rzymu z przyległym terytoryum, musiałyby być ostatecznie — tak mi się zdaje — republiką czyli wolnem miastem o komunalnej organizacyi, a z zwierzchniczą władzą Papieża. Nie wysilajmy wyobraźni na szczegóły tak pojętej organizacyi, bo nie mamy niestety mandatu do urządzania tego terytoryum. Nie trudno jednak wyobrazić ją sobie w jak najogólniejszych zarysach i z rozmaitemi odcieniami dających się łatwo pomyśleć możliwości. Rada miejska, wybieralna, rozumie się; census wyborczy wyższy lub niższy, w każdym razie zastosowany do tego, żeby ster był w ręku pewnej większości, pewnej ze względu na stosunek miasta do Papieża; Senat — przypuśćmy — mianowany przez Papieża, z dożywotnimi zresztą — mogłoby być — i dziedzicznymi członkami, przedstawicielami starej arystokracji rzymskiej; Sindaco, czy jakby się nazywał, albo miano-

wany przez Papieża albo wybrany z terna według wniosku Senatu; sankcyja papieska dla uchwał obu tych ciał, co najmniej w zakresie niektórych spraw, lub też i prawo veto względem każdej uchwały w obrębie pewnego przeciągu czasu etc. etc. etc. Cóżbyście państwo powiedzieli o takim rozwiązaniu?

— Jeżeli panowie — odrzekł hrabia — uważacie takie rozwiązanie za dostateczną rękojmię niezależności Stolicy Apostolskiej, to nie byłibyśmy już tak daleko od innego lepszego — zdaje mi się — a w każdym razie mniej trudnego pod względem praktycznym, jak powiedziano, czy technicznym; o niem zdarzało mi się nieraz słyszeć w kołach dyplomatycznych, jako o najprostszej formie *modus vivendi*, które dałoby się prawdopodobnie urzeczywistnić, gdyby tylko Watykan zechciał w niem widzieć istotne rozwiązanie. Czemżeby była ostatecznie władza Papieża nad takim wolnym miastem, nad tą rządzoną Rzeczpospolitą rzymską, której obszar równałby się, co najwięcej, jakiej dwudziestej części terytorium naszej dawnej miniaturowej Rzeczypospolitej krakowskiej? Nie mogłoby to być nic innego jak nominalne zwierzchnictwo, ciekawej fikcyjnej władzy dla salwowania honoru, dla utrzymania zasady, że rezydencyja papieska nikomu nie podlega oprócz Papieża a Papież rzeczywiście nie jest poddanym żadnego państwa i przebywa na własnym terytorium...

— O to też właśnie chodzi...

— Za pozwoleniem, niech mi wolno będzie dokończyć. Ten sam cel można — zdaje mi się — osiągnąć bez takiej przykrej wiwisekcji, jaką byłoby bądź co bądź wykrojenie włoskiej stolicy z żywego organizmu włoskiego państwa. Jeżeli chodzi jedynie o zasadę... mój Boże, znalazłoby się dosyć środków do salwowania zasady, byleby w praktycznym zastosowaniu nie było zmiany, byle Rzym, jak dotąd, pozostał stolicą państwa i rezydencyą króla. Warto sobie przypomnieć, co pisał Wiktor Emanuel, w ostatnim liście do Piusa IX, na dwa coś jeszcze tygodnie przed zajęciem Rzymu; wysyłając z tym listem hr. Ponza di San Martino, proponował układy, które według dosłownego brzmienia listu miały toczyć się na tej zasadniczej podstawie, iżby naczelnik katolicyzmu zachował nad brzegiem Tybru swoją stolicę od wszelkiej ludzkiej zwierzchności niezależną...¹⁾

1) „Niech mi Wasza Świątobliwość pozwoli mieć nadzieję, że chwila obecna, tak uroczysta dla Włoch jak dla Kościoła i Papiestwa, wprowadzi w czyn z jednej strony uczucia życzliwości, jakie w sereu Twojem, Ojczyźnie, nigdy nie wygasną dla tej ziemi, będącej również Twoją ojczyzną, z drugiej zaś to usposobienie pojednawcze, nad którego zniszczeniem wytrwale

— Na to Papież w r. 1870 bezwarunkowo nie mógł się zgodzić...

— Mniejsza o to; niech się zgodzi około r. 1900. W kołach, w których mam wiele znajomości, w kołach dyplomatycznych lub z dyplomacją mających bliską styczność, od dawna wyrobiono sobie jasne wyobrażenie o takim *modus vivendi*, na który Kwirynał mógłby się zgodzić bez ujmy dla honoru i interesu Włoch. Zgodziłby się nawet bez trudności, widząc w ostatecznem załatwieniu kwestyi rzymskiej istotny pożytek państwa pod każdym względem, zarówno na zewnątrz jak i w wewnętrznych stosunkach. Czuje to jednak Watykan i dlatego nie może przyjść do ugody, tam bowiem wyobrażają sobie, że jej niewątpliwe korzyści dla interesów państwa zniewolą je rychlej lub później do większych ustępstw...

— Jakież byłoby zatem położenie Ojca św. w razie zawarcia takiej ugody? — zapytała panna Jadwiga.

— Król mógłby uznać władzę świecką Papieża nad jego rezydencją, a sam, jako patrycyusz rzymski, mógłby, z upoważnienia Papieża, sprawować rządu w Rzymie. Papież zaś, uznając Wiktora Emanuela III za prawowitego króla zjednoczonej Italii, koronowałby go żelazną koroną i równocześnie udzieliłby mu inwestytury na sprawowanie rządów w Rzymie w swoim i następców swoich imieniu. Król umieściłby na pieczęci, obok herbu Królestwa, i herb papieski; pod tą pieczęcią wychodziłyby wszystkie akta dotyczące się spraw Rzymu i jego terytorium. Watykan mógłby nabyć na własność niewielki kawał ziemi między rezydencją papieską a nowym dworcem kolejowym San Pietro, skąd byłoby bezpośrednie połączenie z dworcem centralnym, a przezeń z całym światem. Papież miałby w ten sposób zupełną swobodę wyjazdu z Rzymu. Rzym nabrałby nowego blasku, a mocarstwa nie wahałyby się uznać jego neutralności ¹⁾.

— Tak zatem wyobrażają sobie dyplomaci *modus vivendi* — wtrącił senator. — Czy jednak Kwirynał byłby rzeczywiście tak skłon-

i bez znużenia pracowałem, iżby po zadośćuczynieniu aspiracyom narodowym, naczelnik katolicyzmu, otoczony przywiązaniem ludów włoskich, zachował nad brzegami Tybru chwalebna i od wszelkiej zwierzchności ludzkiej niezależną Stolicę". List Wiktora Emanuela do Piusa IX z 8-go września 1870, przytoczony w całości w tłumaczeniu w dziele ks. biskupa Pelczara: Pius IX i jego pontyfikat, II, 547.

¹⁾ Zupełnie podobny pomysł na temat rozwiązania kwestyi rzymskiej zamieścił paryski „Temps“ w korespondencyi z Rzymu na początku czerwca b. r. Autor korespondencyi twierdzi, że Watykan skłonnym jest do zgody,

nym do podobnej ugody... pozwoliłbym sobie powątpiewać, jakkolwiek mogę o tem sądzić jedynie ze stanowiska teoretycznego.

— Kwirynał? Bezwarunkowo — odparł hrabia — o tem jestem najmocniej przekonany, choć i przede mną — dodał z uśmiechem — nikt się z tą gotowością nie zwierzał. Nie brakłoby zaś z pewnością *des bons offices* ze strony dworów, z którymi nietylko Kwirynał, ale i każdy rząd włoski musi się liczyć. Dziś mamy już daleko za sobą ostatnie lata Piusa IX, kiedy nikomu na tem nie zależało, czy zdarzy mu się sposobność oddania jakiej ważnej usługi Stolicy Apostolskiej.

— Czy jednak znalazłby się łatwo taki rząd włoski — zapytał milczący dotąd artysta — któryby zechciał wziąć w ręce sprawę tak pomyslniej zgody? Czy pozwoliliby na to massoni, którzy albo rząd ten stanowią, albo nim przynajmniej kierują?

— Pozwoliliby — rzekł profesor — po-zwo-li-li-by — powtórzył z naciskiem; nie brak tam roztropnej miary, która zadowolui się mniejszem złem (w swoim rozumieniu), jeżeli przez to można uniknąć czegoś gorszego.

— *Cherchez la loqe, cherchez les Jésuites* — odezwał się znów hrabia. Co do mnie, nie jestem szczególnym amatorem tych poszukiwań, które rzadko doprowadzają do celu; ani jedne, ani też drugie. Choćby jednak rzeczywiście tak wielka była potęga Łoży, jak panowie sobie wyobrażają, nie trudnoby postarać się o taki rząd, ściśle konstytucyjny, na większości parlamentarnej oparty, któryby wbrew massonom całego świata dokonał bez przeszkód ugody, obiecującej państwu tyle niewątpliwych korzyści. Socjalizm i skrajne, radykalne żywioły rozrastają się w całych Włoszech i grożą państwu zalewem w sposób przefażający. Gdyby katolicy i stronnictwa umiarkowane połączyły się razem, mogłyby z tymi żywiołami podjąć skuteczną walkę, a tem samem stałyby się strażą i ostoją zagrożonej monarchii. Gdyby choć raz — z wszelkimi zastrzeżeniami, przypuścmy *pro hac vice* — zniesiono lub przynajmniej zawieszono czasowo fatalne *non expedit*...

— Fatalne? Śmiem zaprzeczyć...

— Dla Włoch w każdym razie fatalne. Gdyby raz katolicy stanęli do urny wyborczej, ci sami katolicy, co w tylu miastach mają większość w radach municypalnych, w samych północnych Włoszech

a pierwszym krokiem był udział kardynała Svampy w przyjęciu króla w Bononii: kardynał Svampa był — jak wiadomo — jednym z kandydatów na przeszłoročnem conclawe i należy do najwybitniejszych członków Kolegium kardynałskiego.

zdobyliby od razu 25 mandatów, co najmniej tyleż i w południowych; w środkowych może cokolwiek mniej. Stojąc w zwartym szeregu, połączeni w kwestyach praktycznych ze stronnictwem umiarkowanym, zdolaliby się oprzeć partynom przewrotu, i groźny ich wzrost zahamować.

— To inna kwestya — rzekł senator — w tem najzupełniej zgadzam się z panem hrabią; jeżeli rachunek hrabiego nie jest pesymistyczny — o optymizm bezwarukowo nie można go posądzać — to niezawodnie w następnych już wyborach liczba katolickich mandatów urosłaby, kto wie, czy nie w dwójnasób: niejeden z dzisiejszych wybitnych nawet „umiarkowanych“, wszedłby później do Izby jako członek stronnictwa katolickiego. Z tem wszystkiem nie mogę sobie wyobrazić — przyznam się szczerze — tego *modus vivendi*, którego zasady hrabia nam przed chwilą wyjaśnił; nie mogę, mimo jego powagi w tej materii...

— Raczej powagi źródeł, do których się odwołuję i z których pomysł ten zaczerpnąłem. *Relata refero*. W każdym razie patryotyzm włoski a tem samem każdy rząd włoski, który musi liczyć się z tym czynnikiem, łatwiej zgodzi się na ten *modus vivendi*, niżli na utworzenie osobnego państewka z Rzymu i przyległego doń terytoryum.

— Nie wiem, istotnie nie wiem. Zdaje mi się, co najmniej, że będąc Włochem, przystałbym chętniej na to drugie, niż na takie niejasne, połowiczne rozwiązanie kwestyi rzymskiej, które musiałoby pozostać niewyczerpanem źródłem scysyi i niejasności a stolicę państwa poddawałoby pod nominalną choćby władzę obcego suwerena, którego lennikiem byłby — król włoski...

— Wassalstwo nieuciążliwe...

— Tem gorzej, myślę nawet, dla jednej i drugiej strony. Dla jednej pewne, bądź co bądź, *deminutio capitis*: uznawać się za wassala i we własnej stolicy sprawować rządu z upoważnienia sąsiada, mającego rezydencyę w tejże samej stolicy; dla drugiej strony — czcza fikcja bez jakiegokolwiek realnej wartości. A wszystko - oderwane od rzeczywistości i na fikcyi oparte.

— Przyznasz pan jednak, że dzisiejsze prawo międzynarodowe nie gardzi podobnemi fikcyami, które doskonale się wysługują i dają wypróbowany środek na gojenie ran, inaczej groźących nieustannem jątrzeniem. A Bośnia i Hercegowina, a Cypr, a Kreta?

— Zostawmy porównanie Papieża z Sułtanem burszowskiej piosence: *Der Papst Lebt herrlich in der Welt*. To prawda, że Papież tyle korzyści miałby z tego nominalnego zwierzchnictwa nad Rzymem, co następca Kalifów z Bośni, albo też z Krety. Zresztą i prawo publiczne, a zwłaszcza międzynarodowe, zna tylko takie fikcye, które

bądź co bądź, są oparte na rzeczywistości. *Beati possidentes*; okupacya, to rzecz *par excellence* realna. Inwestytura natomiast — niezrozumiała przeżytek fatalizmu. Instytucye podobne mogą wegetować jako przeżytki, mniej czy więcej realne, lub fikcyjne. Rozwiązywać jednak kwestyę olbrzymiej doniosłości realnej — wprowadzeniem przeżytku, któryby nie był niczem innym, jak fikcją...

— Dla uratowania zasady, że Głowa Kościoła nie może być niczym poddanym, a musi w Rzymie rezydencję zachować ..

— Darujcie mi panowie, że przerwę — odezwała się pani Z. — Wezwijmy profesora, żeby zabrał głos w tym przedmiocie. Rzucił tylko intrygującą uwagę, że masonerya zgodziłaby się na ten *modus vivendi*, i oszańcował się w grobowem milczeniu. Pan profesor ma głos — dodała — a panowie wybaczą, że kobieta uzurpuje sobie prawa prezydium.

— Obie strony wybierają profesora mówcą generalnym — rzekł hrabia.

— Powszechnie głosowanie — dodał senator.

— Ja także — rzekł profesor — nie jestem zwolennikiem masy *Cherchez la Loge*. Może są w Łozach jakieś tajne najwyższe władze, ukryte i nieznane pospolitym masonom, które słuchają komendy jeszcze wyższej. Nie wiem; gdyby tak było, gdybym coś wiedział o komendantach, więcej wagi przywiązywałbym do szukania ich ręki w różnych sprawach politycznych, społecznych, a nawet kulturalnych. To chyba na zawsze pozostanie przedmiotem domysłów, i to dość jałowych domysłów. Że jednak *massoni* rządzą Włochami i Francją, to rzecz przecież wiadoma i nie trzeba ich wcale szukać, nie kryją się z tem przecież...

— Dlaczegoż jednak przypuszcza pan — spytał hrabia — że ten *modus vivendi*, o którym rozmawialiśmy, mógłby spotkać się z uznaniem Łoży?

— Dlatego samego, dlaczego nie przypuszczam, żeby Papież kiedykolwiek się nań zgodził. Fikcyje mogą być w guście Łoży; Stolica Apostolska nie potrzebuje dziś świeckiej władzy na terytorium dawnego Państwa Kościelnego, ale nie może zadowolnić się fikcją. Dlatego i ów Rzym, wyjęty z Włoch, wolne miasto pod nominalną jedynie władzą Papieża, nie wydałby mi się najmniej szczęśliwym rozwiązaniem kwestyi. Dwieście, choćby sto kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych, to dosyć, zupełnie dosyć; ale na tem miniaturowym terytorium: niezależność zupełna, władza prawdziwa, nie nominalne zwierzchnictwo, nie fikcyja. Niech na tym drobnym skrawku ziemi obywatelami państwa będą nasi tylko katolicy; akatolicy mogliby

w nim przebywać, jako przygodni, chwilowi mieszkańcy, bez praw obywatelstwa. To konieczne.

— *Cuius regio, eius religio* — wtrącił radca — cofnęlibyśmy się zatem daleko...

— *Cuius regio, eius religio*, monstrualna zasada, nie przeczę; ale monstrualna w państwie, obejmującym naród, z którego wyrzuca się jednostkę innej wiary, pozostawiając jej do wyboru: zmianę wyznania, albo wygnanie, z utratą obywatelskich praw. Zasada monstrualna i w każdym terytoryum, choćby rozmiarów jakiegokolwiek z owych niemieckich księstw XVI, czy też XVII wieku, w których obrębie bezwzględne jej stosowanie było źródłem tylu nieszczęść i klęsk, takiego gwałtu na sumieniach jednostek. Ale cała monstrualność zniknie, jeżeli się pomyśli o wyłączności wyznaniowej drobnego terytoryum, które pieszo się przebędzie od jednego do drugiego końca w godzinę. Kto nie jest obywatelem w granicach takiego terytoryum, mógłby używać w całej pełni obywatelskich praw o miedzę, na terytoryum włoskiem, w właściwej swojej ojczyźnie. Ta zaś wyznaniowa wyłączność papieskiego terytoryum miałaby wszelkie uzasadnienie w najrealniejszej rzeczywistości: w tem właśnie, że to terytoryum papieskie, siedziba Głowy Kościoła.

— A w każdym razie jednak — odezwał się senator — miasto Rzym jest ostatecznie związkiem społecznym, stanowiącym pewną całość, organiczną, że się tak wyrażę, całość. Ileż jednostek, związanych z tą całością pochodzeniem, tradycją, interesami, musiałyby iść na wygnanie, lub pozostawać w Rzymie bez prawa obywatelstwa w charakterze turystów, których przecież i tak daleko posunięta wyłączność nie usunęłaby z Rzymu.

— Któż mówi o Rzymie, jako o całości, o całym Rzymie? Ja wyobrażam sobie terytoryum papieskie na prawym brzegu Tybru, Watykan, Borgo, Trastevere, także Prati, a oprócz tego wazki pas ziemi nad Tybrem aż do ujścia rzeki, o szerokości 5—10, długości mało co nad 20 kilometrów; wszystko razem nie więcej, jak 200 kilometrów kwadratowych, nawet nie tyle. Raz, dla ciekawości, wykreśliłem sobie konfigurację tego terytoryum na mapie i obliczyłem obszar; wypadło mi coś 180 kilom. kwadr. To nie o wiele więcej od San Marino, które w samym sercu Włoch leży i stanowi także udzielne terytoryum. Po drugiej stronie Tybru pozostałby Rzym królewski, stolica Włoch.

Po mapę nie trzeba było daleko sięgać; na stole leżał czerwony Baedeker. Obecni patrzyli na mapę Kampanii rzymskiej, a profesor

wykreślił na niej wążki pas od Monte Mario do Fiumicino; delta Tybru objęta była tem zakreśleniem.

— A więc *partage de Rome* — rzekł hrabia — to bez wątpienia także kombinacya seryo. Nieraz i o niej zdarzało mi się słyszeć, dawniej zwłaszcza. Cóż, kiedy, jak w sądzie Salomona, Stolica Apostolska, prawdziwa matka, nie zgodzi się na podział i rozkrojenie dziecka. Lepiej niech całe zostanie w ręku przywłaszczycielki.

— Daruje pan profesor — wtrąciła żywo pani Z. — może to sentyment kobiecy, ale mnie trudno jakoś pogodzić się z tą myślą, żeby Papież ustąpił z Rzymu, a poprzestał na tym skrawku nad Tybrem. Rzym — to Rzym, to jakby coś żywego; czyż godzi się oddać żywą istotę pod zimne ostrze wyrachowanej polityki. Rzym, dla mnie, to właśnie lewy brzeg Tybru; tam serce chrześcijańskiego Rzymu: tyle świętych pamiątek, tam katakumby, wszystko tak uroczo zmieszane z ruinami pogańskiego Rzymu; tam wreszcie św. Paweł. Po prawej, prawda, św. Piotr i Watykan... i dobrze im w tem odosobnieniu, ale bez rozerwania odwiecznych węzłów, które siedzibę Papieża wiążą z prawdziwym Rzymem. Nie, Borgo, Trastevere — to jeszcze zaułki Rzymu; Prati — to już nawet nie Rzym. Nie wiem, ale milej mi myśleć, że Ojciec św. nigdy nie wyjdzie z zamknięcia w Watykanie, niż widzieć go panem nowej szachownicy przy zamku św. Anioła, a Rzym raz na zawsze odjęty Papieżowi, za jego zgodą i zezwoleniem.

— Mnieby to nie raziło — odparł profesor — gdyby św. Paweł pozostał w królewskim Rzymie. Apostoł pogan, niechby, jak i za życia, działał, tak działał wśród społeczeństwa, zmieszanego z wiernych chrześcijan i nowożytnych pogan. Za to niechby następca św. Piotra rządził Kościołem z miejsca, uświęconego męczeństwem księcia Apostołów, obwarowawszy je tak bezpiecznie, ile możności, iżby do niego nie miały przystępu antychrześcijańskie żywioły i wrogie Kościołowi prądy. Niechby był taki jeden, choć tak drobny skrawek ziemi nad Tybrem. O to stokroć łatwiej na 200 kilometrach po prawym brzegu Tybru, niż w półmilionowym, jak dziś, mieście, które do dziś jest stolicą państwa założonego i dotąd rządzonego przez nieprzyjaciół Kościoła.

— A więc ten Rzym papieski, *civitas Leonina* w większym formacie, byłby chyba jakimś murem chińskim odgradzony od królewskiego — rzekł radca. — Inaczej wcielałaby się do niego z za Tybru bez przeszkody ta atmosfera, od której miałyby być tak troskliwie strzeżony.

— Żaden mur nie przetnie atmosfery, moralnej atmosfery tembardziej. W każdym razie jednak tak drobne terytoryum, im mniejsze też, tem lepiej zamknięte w sobie, od Włoch oddzielone granicą polityczną i cłową, byłoby niejaką rękojmnią, pewniejszą, aniżeli dzisiejszy Rzym po obu stronach Tybru. Wyobrażam je sobie zresztą mniej więcej, jak olbrzymi Watykan, ze swobodnym do morza dostępem: centrum olbrzymiej administracyi Kościoła katolickiego. Im mniej mieszkańców, nie mających nic do czynienia w „papieskim Rzymie“, nie związanym z interesami centralnej administracyi kościelnej, tem lepiej i pomyślniej.

— Jeżeli jednak Prati di Castello wejdą w skład „papieskiego Rzymu“ — wtrącił hrabia — nie przydałoby to mu tego odrębnego charakteru, wyłącznie katolickiego, do którego profesor przywiązuje tyle znaczenia. Co innego Borgo, Trastevere; one do dziś dnia nie wiele się zmieniły od r. 1870, zewnątrz i wewnątrz, jak sądzę, mimo pomnika Garibaldiego. Ale Prati — to przecież najmłodsze dziecko del Venti Settembre. Mniejsza o nazwy ulic: Cezar, Wespazyan, Pompejusz, Scypionowie i *tutti quanti*, co tu, prawdziwie jak Pilat w Credo, wleźli w sąsiedztwo Watykanu, to ostatecznie kompania, nie rażąca bynajmniej katolickich uczuć; zresztą, możnaby ulice przechrzcic, jak nie mniej: *Piazza Cavour*, *Unità*, *Libertà*; ale mieszkańcy tych ulic i tych placów, właściciele tylu pięciopiętrowych domów? Chrzcic ich, co prawda, nie potrzeba; z małymi wyjątkami ochrzczeni; czy jednak ich metryka chrztu byłaby dostateczną rękojmnią katolickiego charakteru dzielnicy, o który panu tak chodzi .. bardzo wątpię.

Profesor uśmiechnął się i odpowiedział:

— Rzeczywiście, utrzymania ściśle katolickiej cechy papieskiego miasta, to sprawa pierwszorzędnego znaczenia, jeżeli przyjdzie kiedy do rozwiązania kwestyi rzymskiej. Błędem byłoby wielkim, jeśliby w danym razie nie dolożono wszelkich starań, aby, ile możności, charakter ten ubezpieczyć. Zastanawiałem się też nieraz nad tym szczegółem, o którym właśnie hrabia wspominał. I zdaje mi się, że ta kwestya dałaby się łatwo rozwiązać, z obustronną korzyścią. W ugodzie mógłby zawierać się warunek, że skarb włoski oddaje Stolicy Apostolskiej na własność wszystkie nieruchomości, położone między Watykanem, zamkiem św. Anioła, koszarami a Tybrem, z koszarami, rozumie się.

— Ależ to wszystko przecież własność prywatna, z wyjątkiem paru wielkich, publicznych gmachów...

— Za gmachy publiczne byłby ekwiwalent aż zanadto sowy w papieskich gmachach, które skonfiskowano po lewym brzegu Tybru; co do mnie zresztą, uważałbym to za interes jednej i drugiej strony, by administracja Kościoła skupiła się wyłącznie w papieskim Rzymie, a Propaganda, Cancelleria, dostały się rządowi włoskiemu, nawet Lateran, choćby ze wszystkimi zbiorami. Czem wobec tego Palazzo di Giustizia i koszary na prawym brzegu? Między braćmi trzeba by chyba grubo dopłacić. Własność prywatna mogłaby uleść expropriacji; wszak wymagałby tego interes publiczny pierwszorzędno bezwarunkowo znaczenia. Skarb włoski winien Stolicy Apostolskiej, według osnowy włoskiego prawa, rentę wieczystą 3,225,000 lir; renta tej wysokości, skapitalizowana na 3.5%, daje przeszło 90 milionów; użyta na oprocentowanie i amortyzację 4% pożyczki, umarza 70 milionów w 50 latach. W tych granicach możnaby bez żadnej dla skarbu włoskiego uciążliwości wywłaszczyć całą nową dzielnicę nad Tybrem i oddać ją na własność skarbowi papieskiemu. Ugoda wyrównałaby tym sposobem choć w części grabież, tkwiącą w zaborze Rzymu; własność tak znacznych nieruchomości miałyby wartość niezaprzeczoną dla materialnych interesów Stolicy Apostolskiej; bez porównania jednak większa byłaby zdobycz moralna: oczyszczenie papieskiego Rzymu z żywiołów, od których uwolnić go i według możliwości ubezpieczyć na zawsze: byłoby dla najżywotniejszych interesów Kościoła zdobyczą pierwszorzędno znaczenia...

— Szkoda — odezwał się znowu radca — że nie mamy rozjemczego mandatu do rozwiązania kwestyi rzymskiej. Ja sam głosowałbym bez wahania za wnioskiem profesora, choć położenie więźnia watykańskiego nigdy mi życia nie zatruwało. Ale żart na bok. W tem oświetleniu, przyznaję, nie nowy zresztą i wielokroć rozważany pomysł odstąpienia prawego brzegu Papieżowi, wydał mi się ciekawszym i więcej obiecującym, niż przypuszczałem.

— I ja nie przeczę — rzekł senator — że widzę w nim jedną zwłaszcza zaletę, której nie można lekceważyć. Czy nad tym skrawkiem ziemi będzie powiewać włoski sztandar, czy też tylko papieski: to już, ze stanowiska narodowego, nie może nie być zupełnie obojętnem najgorętszemu nawet włoskiemu szowiniście, jeśli nie jest obrany z rozumu. Rzym zaś, włoski bądź co bądź i drogi włoskiemu sercu, nie przestałby być sercem Włoch, jak chcą, żeby sercem pozostał; więcej powiem: dziś — to frazes; dziś Rzym jest la Capitale, centrum administracyjne, sztucznie, z wysiłkiem wytworzone, nie więcej; sercem Włoch mógłby Rzym stać się w istocie, gdyby nie

przestał być stolicą włoskiego państwa, gdyby zeń zmyto plamę r. 1870 i „włoski Rzym“ pojednano z Papieżem.

— Nie wiem jednak, czy panowie się nie mylicie co do wykonalności całego pomysłu — wtrącił hrabia. — Przepraszam, że psuję tę harmonię, do której nasz profesor dostroił nawet radcę... i żałuję, że niema między nami żadnego księdza. *La cité Leonine* — ileż razy bywałem świadkiem rozmów, w których tę kombinację zalecano podobnie, jako jedyne, najprostsze wyjście; Wiktor Emanuel II był wielkim jej zwolennikiem. Cóż, kiedy są podobno racje, nie tyle teologiczne, jak raczej kanoniczne, dla których Papież, jako biskup rzymski, nie może oddać swej dyccezyi, poprzestając tylko na drobnym skrawku za Tybrem. Tak mi zawsze mówiono...

— Mylmy bezwarunkowo punkt widzenia — odparł senator — albo proste nieporozumienie. Rządy Papieża, jako Głowy Kościoła, sięgają w granice wszystkich państw kuli ziemskiej; jeżeli część dyccezyi rzymskiego biskupa, choćby i część znaczniesza, będzie za granicami papieskiego Rzymu, niema w tem nic sprzecznego z zasadami prawa kanonicznego. Normalniejszy byłby stan rzeczy, bezwątpienia, gdyby cały Rzym do Papieża należał, z tem wszystkiem...

— Niezawodnie, byłby to powrót do zupełnie normalnych stosunków, czego nie da Rzym papieski na prawym brzegu. O to nie może być sporu — dodał profesor. Będąc panem prawego brzegu, nie będzie następcą św. Piotra u siebie, w tylu punktach własnej dyccezyi, które są tak drogie, tak święte dla każdego katolickiego serca. Któż się ośmielił twierdzić, że to tak, jak być powinno. Mimo to, gdybym miał się doczekać upragnionej ugody, pragnąłbym, i gorąco pragnąłbym nie innej, jak właśnie z papieskim Rzymem na prawym brzegu. Inaczej lękałbym się...

— Czego, mój profesorze? — zapytała żywo pani Z.

— To trudno wytłómaczyć w paru słowach; już późno...

— Ja nigdy nie mogę odżałować — odezwała się panna Jadwiga — że mama nie była onegdaj w *Villa Borghese*; pan profesor mówił nam o trzech Rzymach: pogańskim, szatańskim i chrześcijańskim...

— Szatańskim? — zapytał radca.

— Powiedzmy: antychrystycznym.

— Profesor ma zatem dwie nauki; dla nas tylko egzoteryczną...

— Mówię językiem, w którym nam łatwiej się porozumieć. Mówiłem o tem, że nie należy mieszać starego Rzymu Scypionów, Fabiu-

szów, Cyncynatów, z Rzymem Cezarów, i to zarówno „szalonych“, jak „cnotliwych“ Cezarów. Ten drugi przesładował chrześcijan i naukę Chrystusa nie tylko przez samą rację stanu. On był z gruntu inny, inni byli jego bogowie, którym służył, przyjąwszy gościnnie do swego Panteonu bóstwa całego świata; pierwsze miejsce zajęły tam, wiadomo dobrze, bóstwa wschodnie, Mithra, Isis, Astarte; demoniczne mysteria zajęły miejsca starych, niewinnych kultów. Na oba Rzymy przeszła bogata spuścizna Rzymu siedmiu pagórków; między jednym a drugim zawrzała walka, która trwa dotąd i nie ustanie, w historii, rozumie się, nie ustanie. Nigdy nie brakło potężniejszej, czy też słabiej odzywających się objawów tego prądu, wrogiego chrześcijaństwu, antychrystycznego — powiedzmy, którego najwierniejszym a pierwszym z kolei świadomym przedstawicielem był Rzym Cezarów. Nad Tybrem toczyły się zawsze bitwy rozstrzygające, na długo rozstrzygające o powodzeniu jednej i drugiej strony. Tak było i tak będzie, bo w Rzymie jest i będzie siedziba Głowy Kościoła.

— A więc to ma być podział Rzymu na Rzym Chrystusa i Antychrysta? Za cóż prawy brzeg ma się dostać Antychrystowi?

— Antychryst, jeżeli już o nim mowa, ani w Kwirynale nie mieszka, ani chyba nigdy nie zajmie tej rezydencji. A jeżeli przyjdzie do takiego podziału na Rzym papieski i królewski, już w tem samym będzie wielka wygrana, że taki *modus vivendi* ukróci rozpasanie antychrystycznych prądów, które podminowują całe Włochy i ich stolicę. Zyska na tem Rzym chrześcijański na lewym brzegu — królewski; papieski zaś, na prawym, mógłby stać się jedyną w świecie przystanią chrześcijaństwa, ile możności, ubezpieczoną przed działaniem tych wrogich mu dążeń. Tego pragnąłbym się doczekać.

Nikt na to się nie odezwał. Nastała chwila milczenia; panowie wstali, panie zatrzymywały gości, nie było jeszcze późno.

— Proszę nas jeszcze nie opuszczać — mówiła pani Z. — Jadwisiu, zagraj na fortepianie, panowie będą musieli zostać.

Żałowałam więcej może, niż kiedykolwiek, że jestem zupełnie niemuzyczny. Panna Jadwiga nie była wirtuozką; brakło jej czasu, czy cierpliwości do takiego opanowania techniki, jakiego domagał się niezaprzeczonej jej talent. Sgambatti nazywał ją dlatego największą grzesznicą, jaką zdarzyło mu się spotkać. Do kompozycji nawet myślała nie śmiała sięgać, choć dużo czasu poświęcała teorii, z ciekawości — mówiła — a nie bez ujmy nawet podobno dla samej techniki. Lubiła jednak czasami, sama dla siebie, albo w gronie bardzo bliskich znajomych, improwizować na fortepianie, snując różne reminiscencye, co

nader łatwo jej przychodziło, dzięki rzadkiej pamięci. Wiązała je w muzyczny komentarz jakiejś myśli, czytanej, lub słyszanej, która ją poruszyła. I tego wieczora długo improwizowała. Jedno tylko poznałem i zapamiętałem dokładnie: na samym końcu motywu z „Tannhäusera“: *Nach Rom, nach Rom...*

STANISŁAW SMOLKA.

Proces kryminalny Karola Szajnochy.

Lwowskie archiwum aktów grodzkich i ziemskich otrzymało przed kilku miesiącami za zezwoleniem austriackiego ministerstwa sprawiedliwości z lwowskiego archiwum kryminalnego olbrzymi stos aktów procesowych z tej ciężkiej dla Galicyi epoki spiskowej, która zaczęła się wkrótce po upadku powstania listopadowego i wyprawę Zaliwskiego za sprawą emisaryuszy emigracyjnych i od r. 1833 w ciągu lat 15 wypełniła ofiarami swojemi lochy Spielberga, Kufsteinu i innych historycznych więzień austriackich. Akta te obejmują także i procesy epigonów tej epoki, którzy jeszcze po r. 1848 prowadzili dalej dzieło spiskowe. Chociaż niemal wszystkie te sprawy są co do głównych bohaterów i zarysów znane a właśnie do tych spraw kryminalnych, które w szczegółach mogłyby rzucić światło na tajniki r. 1846 nie dostarczają materiału autentycznego, widocznie wraz ze sprawą Jakóba Szeli, dawno już do Wiednia przeniesionego, i bodaj czy tam jeszcze w całości przechowanego, mimo to i za ten dar należy się ministerstwu sprawiedliwości wdzięczność ze strony tych, którzy się oddają poszukiwaniom i badaniom źródeł z powyższej doby. Przy pomocy bowiem tego świeżo dla badań otwartego materiału da się pod niejednym względem rozszerzyć lub sprostować a w każdym razie uzupełnić obraz historyczny tej doby.

Mozolne wertowanie tych aktów oplaci się z pewnością nie tylko historykowi lecz także i prawnikowi. Znajdzie się on bowiem w świecie całkiem odmiennym i tak niepodobnym do dzisiejszego pod każdym względem, że wśród czytania ocknie się nieraz, jakby ze snu straszniemi zmorami wypełnionego, i zapytać musi, czy to ta sama Austria i ta sama Galicya, w której przed laty siedmdziesięciu podobne działy się rzeczy? Prawnikowi przerwie może lekturę jeszcze jedna refleksya; obudzi się w nim wątpliwość, czy naprawdę tortura zniesiona została w Austrii już w XVIII wieku za rządów cesarzowej Maryi Teresy? Tak było niezawodnie co do pospolitych zbrodniarzy, ale politycznych przestępców torturowano jeszcze i w pierwszej po-

łowie XIX stulecia nie średniowiecznemi, co prawda, narzędziami, lecz za to w wyrafinowany sposób moralnymi środkami.

W indeksie tego świeżo pozyskanego materiału historycznego przednie niezawodnie miejsce należy się sprawie Karola Szajnochy, w którego krótkim a tak wielką dla naszej historyografii spuścizną upamiętnionem życiu, ciężki, niemal dwuletni epizod kryminalny na samym wstępie do studyów uniwersyteckich, odegrał rolę rozstrzygającą o całym losie

W zbiorowem, ale niekompletnem warszawskiem wydaniu dzieł Karola Szajnochy, znajduje się przy końcu dziesiątego tomu, jego obszerny życiorys, opracowany starannie przez Klemensa Kanteckiego, a oparty na danych autentycznych. Także i w sprawie polityczno-kryminalnej Karola Szajnochy, zawiera praca K. Kanteckiego daty autentyczne, gdyż co do samego więzienia, autor czerpał szczegóły z autobiograficznych zapisków samego Karola Szajnochy, a o samej istocie czynu, tylko w ogólnym zarysie przedstawionego, posiadał także informacye pochodzące widocznie ze sfer rządowych, dla których już wtedy, przed 30 laty, dostępne były tajne akta lwowskiego archiwum kryminalnego. Mimo to jednak ogromny, około 500 arkuszy pisma obejmujący, stos aktów z procesu Karola Szajnochy i dziś jeszcze zasługuje na przejrzenie.

Z ponurego obrazu procesowego, w którym w roli prześladowczej występują figury z przekleństwem zapisane w historii tej doby i w bolesnej tradycyi wielu rodzin polskich, jak sędzia śledczy Wittmann i jego aktuaryusz Shelyey, obaj znani z późniejszego procesu Teofila Wiśniowskiego, jak osławiony ze swojego brutalstwa i za to niejednokrotnie wypoliczkowany i przetrzepany komisarz policyjny Kamienobrodzki, wreszcie również osławiony dyrektor policyi Sacher-Masoch z całym sztabem agentów, — wychylają się w roli bądź to wprost podejrzanych o uczestnictwo, bądź świadków, zagrożonych każdej chwili przejściem w stan oskarżenia, osobistości później chlubnie zapisane na kartach literatury i historii krajowej, jak Żegota Pauli, Lucyan Siemieński, Henryk Suchecki, późniejszy biskup krakowski kardynał ks. Albin Dunajewski i inni.

Z aktów procesowych, które tutaj omawiamy, z tej ponurej otchłani donosów, podsłuchiwań, podejrzeń i podstępnych pytań inkwizycyjnych, wychyla się okazałe pełen moralnego hartu i gotowej do ofiar abnegacyi koleżeńskiej, a przytem niezmiernie tkliwy w uczuciach rodzinnych, charakter Karola Szajnochy. Całe zachowanie się jego podczas procesu, wśród sytuacji nad wyraz przykrej i bardzo groźnej dla całej przyszłości 17-letniego więźnia, zaimponowało w swoim czasie jego dręczycielom śledczym. To też już sam pietyzm

dla pamięci wielkiego pisarza każe odświeżyć w pamięci dzisiejszego pokolenia, wybitniejsze a dotąd nieznanne szczegóły i sceny procesowe.

*

*

*

Wstępem do procesu kryminalnego, zakończonego kryminalną kondemnata Karola Szajnochy, było śledztwo policyjno-dyscyplinarne, w które on popadł r. 1834, jako 16 letni uczeń szóstej, a wówczas już najwyższej klasy gimnazjalnej. Po powrocie z wakacji, ze wsi, gdzie oglądał ruiny starego zamku, Karol Szajnocha czujący już od lat dziecięcych pociąg do historii, postanowił zawiązać w gronie kolegów „towarzystwo starożytności“, którego członkowie mieli zbierać i przedstawiać na wspólnych zebraniach szczegóły znane sobie o znajdujących się w kraju ruinach historycznych. Ułożył statut dla tego towarzystwa, przygotował dla pierwszych posiedzeń obfity materiał, spisawszy z dzieł przeczytanych miejscowości, w których za wskazówkami historycznymi powinnyby znajdować się jakie zabytki przeszłości. W gronie kolegów Karol Szajnocha wywierał urok, jaki wywierać musi na młodzieńczych umysłach serdeczne uczucie koleżeńskie w połączeniu z uznaną przez wszystkich rówieśników wyższością pod względem zdolności i wiedzy, zdobytej mozolnie po za sferą szkolnej nauki. To też chętnie zapisywali się koledzy Karola Szajnochy do zaprojektowanego towarzystwa, wybrawszy go oczywiście na prezesa. Rzecz godna uwagi, że w spisie członków znajdujemy większość nazwisk niemieckich lub takich, które dziś często przypominają się na wiecach separatystów ruskich w Galicyi. Byli to synowie urzędników austriackich i księży ruskich, jedni i drudzy podbici zupełnie duchową i moralną wyższością Karola Szajnochy, gotowi do każdej wspólnej pracy pod takim sympatycznym przewodnikiem.

Towarzystwo starożytności miało zbierać się peryodycznie na sekretne posiedzenia w porach wolnych od nauki szkolnej, mianowicie po przepisanej egzorcie. Jeszcze towarzystwo nie rozpoczęło swojej działalności na dobre, a już rzecz cała wyszła na jaw przez to, że jeden z profesorów pochwyił u ucznia do niego na stancję oddanego, odpis statutów i spis członków towarzystwa. Rzecz to charakterystyczna dla smutnych stosunków szkolnych tej doby, że dyrektor gimnazjum, oczywiście Niemiec, któremu ów profesor ze swojego od-

krycia zaraz zdał sprawę, nie wglądnąwszy bliżej w rzecz całą i nie przekonawszy się przedtem, czy nie chodzi tu tylko o sprawkę studencką, którą swoją naganą mógłby załatwić, pobiegł zaraz do prezydium gubernialnego, którego prezydent, tak smutnie zapisany w historii Galicyi, Franciszek br. Krieg, uznał za stosowne przekazać całą sprawę urzędownie dyrektorowi policyi Sacher-Masochowi do przeprowadzenia formalnego śledztwa policyjnego ze wszystkimi chłopakami na spisie członków wymienionymi, i to przy asystencji wydelegowanego w tym celu urzędnika z prezydium gubernialnego. Cytowano tedy wszystkich uczniów, jakby urwisów ulicznych, na policyę i spisywano z nimi długie protokoły z taką drobiazgową ścisłością, jakgdyby chodziło o spiszek z celami zbrodnie stanu stanowiącymi. Szajnocha z wszelką otwartością przyznał się do inicjatywy w związaniu towarzystwa starożytności i tem odrazu uniewinnił swoich kolegów. Pomimo podejrzliwości policyjnej, szczerze zeznania Szajnochy zrobiły tak korzystne wrażenie i nadały sprawie całej charakter tak daleki od kwalifikacji polityczno-kryminalnej, że nawet surowy dyrektor policyi Sacher-Masoch został rozbrojony. Jako człowiek inteligentny poznał odrazu w młodziutkim Szajnosze zdolność nadzwyczajną i niezwykle piękny charakter, ujawniający się w zeznaniach. Sacher-Masoch zamknąwszy indagację i przekładając o rezultacie relację prezydium gubernialnemu uniósł się, co pewnie stanowiło bardzo rzadki epizod w jego policyjnej działalności, taką szlachetnością, że przedstawił całą sprawę jako w motywach i echach swoich pozbawioną wszelkiej cechy zdrożności moralnej lub politycznej. Tylko tajny charakter towarzystwa nie mógł ujść płazem w porze, kiedy tajne związki i spiski polityczne zaprzętały policyę i sądy kryminalne. Zaproponował więc Sacher-Masoch dyscyplinarne tylko skarcenie Szajnochy i jego towarzyszy. Wniosek utrzymał się w prezydium gubernialnem, które wszystkie akta odesłało do dyrekcji gimnazjum, jako instancji kompetentnej do wydania orzeczenia dyscyplinarnego. Skończyło się zapewne wszystko na naganie lub karcerze, bo cała sprawa nie wywarła szkodliwego wpływu nawet na celującą promocyę Szajnochy przy najbliższej klasyfikacji semestralnej.

Ukończywszy studia gimnazyalne z celującym postępem w r. 1835 zapisał się Karol Szajnocha na wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego, gdzie na samym zaraz wstępie studia i wszystkie połączone z niemi plany i nadzieje miały być na zawsze przerwane.

*

*

*

Dnia 28 listopada 1835 r. rano służba uniwersytetu lwowskiego znalazła częścią rozrzucone, częścią nalepione, na korytarzach i na ścianach, kartki w kształcie druku zapisane z wierszem odświeżającym w pamięci rocznicę powstania listopadowego. Wiersz ten krótki, zaczynający się od słów: „Święćmy dzień ten przyjaciele, świętą pamięć tego dnia“ — w gorącej treści swojej i w formie dostrojonej do celu agitacyjnego, zdradzał młodzieńczy umysł autora, więc wskazywał na to, że szukać go należy w murach uniwersytetu. Nie było w treści nic takiego, coby podciągnąć się dało pod kryteria prawne zdrady stanu lub obrazy majestatu, ale zato aż nadto wiele takich wyrażań, które w połączeniu z faktem rozlepienia, więc rozpowszechniania, wobec postanowień ówczesnego kodeksu karnego uznane być musiały za wzbudzenie nienawiści do rządu, więc za zbrodnię zaburzenia spokoju wewnętrznego. Równocześnie z tym wierszem znaleziono na korytarzu uniwersyteckim kilka ćwiartek papieru, krótką charakterystykę pod względem politycznym 37 słuchaczy uniwersytetu i 15 osób z młodego świata urzędniczego, między którymi ówczesny młody praktykant Agenor hr. Gołuchowski figurował, jako przejęty patryotyzmem austriackim. W kilka dni później, kiedy jeszcze policja zajęta była wyśledzeniem autora owego wiersza i charakterystyk, znaleziono w ławkach kościoła bernardyńskiego, zajmowanych podczas mszy szkolnej przez uczniów najwyższej klasy gimnazjalnej, inny wiersz z napisem: „Wiwaty“, treści o wiele drażliwszej od wiersza uniwersyteckiego. Były bowiem w tych ostatnich wierszykach bardzo drastyczne wzmianki nie tylko o najwybitniejszych figurach ówczesnego lwowskiego świata urzędniczego, lecz także o kanclerzu Metternichu, o cesarzu Franciszku i monarchach z nim sprzymierzonych.

Podwojono wskutek tego zabiegi śledcze nie tylko w dyrekcyi policji, lecz także wprost w prezydyum gubernialnem, bardzo tą sprawą zaalarmowanem. Tam snać odrazu podejrzenie paść musiało na Karola Szajnochę, gdyż zaczęto wertować akta zeszłorocznej sprawy towarzystwa starożytności. Z porównania znalezionej w tych aktach własnoręcznego pisma Szajnochy z pismem ćwiartek papieru, wypełnionych charakterystykami młodzieży uniwersyteckiej, okazało się niewątpliwie, że oba pisma z jednej pochodziły ręki. Ale świstki te nie zawierały znamion zbrodni, a wiersz inkryminowany pisany był

w formie druku. Skoro jednak policja wprowadzona była na trop sprawy, odkrycie jego było już tylko kwestią krótkiego czasu. Zarządzono rewizję domową u Karola Szajnochy i jego kolegów, tak znanych już z zeszłorocznej sprawy towarzystwa starożytności, jak i świeżych z uniwersytetu. Połów był obfity. U Szajnochy znaleziono wiele książek niemieckich i polskich wówczas zakazanych, a już sam fakt, że między temi książkami znajdowały się rzeczy historyczne o powstaniu listopadowem, broszury i odezwy emigracyjne Komitetu lelewelowskiego, musiał utwierdzić w domyśle, że Szajnocha jest autorem podburzającego wiersza. Zabrano wtedy Szajnosze także papiery nie stanowiące właściwie *corpus delicti*. Między tymi papierami znajdowały się luźne zapiski o Jagiellie i o Jadwidze świadczące o tem, że już chłopięcy umysł Karola Szajnochy zostawał pod urokiem obu tych postaci, które w 20 lat później wypełnić miały jego arcydzieło historyczne.

Rewizya przeprowadzona u kolegów Szajnochy dostarczyła policji obfitego materiału na poparcie żywionych podejrzeń. U syna urzędnika J. Bolberitza znaleziono przepisana biografię Zana i różne zapiski po niemiecku pisane. Jedna zapiska tak opiewała: „Najcięższym dla rządu jest zarzut, że swoim poddanym największą okazuje nieufność. To najwięcej wzbudza we mnie oburzenie wobec ustroju rządu austriackiego“. Dalsza zapiska wyraźnie wskazywała na to, że Bolberitz pozostawał pod wpływem Karola Szajnochy. Tak bowiem mówi w niej Bolberitz: „Wyznać muszę, że po za Karolem Szajnochą nikt nie wywarł na mnie silniejszego wrażenia i nie wzbudził we mnie w takim stopniu serdecznego przywiązania.

Najfatalniej dla Szajnochy wypadła rewizya u jego najbliższego mu myślimi, uczuciami i aspiracyami przyjaciela Eustachego Rylskiego. Znaleziono bowiem u niego ręką Szajnochy pisany oryginał wiersza w uniwersytecie rozpowszechnionego, a nadto jeszcze dwa inne wiersze ręką Szajnochy pisane. Jeden z nich wyszydzał władze z powodu prześladowania lwowskich akademików („Przyjaciele, Bóg niecnocie jasny odjął wzrok itd.“), a drugi („Świętymy bracia ten dzień chwały itd.“) odświeżał tak samo jak główny wiersz inkryminowany, pamięć rocznicy listopadowej, ale w tonie bez porównania żywszym, ostrzejszym i dla władzy drażliwszym. W aktach śledczych powiedziano o tym drugim wierszu, że wieje z niego „duch najdzikszego jakobinizmu“. O wiele gorszą byłaby dola Szajnochy, gdyby policja zdołała była wykazać, że wiersz ten nie był pisany, jak autor twierdził, dla samego Rylskiego, lecz przeznaczony był także do rozpowszechnienia, bądź to w jakikolwiek sposób już dokonanego, bądź przynajmniej usiłowanego.

Policyi nie dość było ofiar, już z powodu jednej sprawy ujętych w jej sidła. W papierach Szajnochy znaleziono luźne zapiski, z których domyślano się, że koledzy pożyczali u niego książki zakazane. Chciano koniecznie wydobyć, kto i kiedy pożyczał. Całą indagację o to przerwał Szajnocha na samym wstępie takim stanowczo wypowiedzianem oświadczeniem: Nie chcę na nikogo nieprzyjemności ściągnąć i z tego powodu nie myślę wypowiadać moich domysłów co do owych zapisek.

*

*

*

Obszerny policyjny referat śledczy przesłało prezydium gubernialne lwowskiemu sądowi kryminalnemu a tam przydzielono sprawę najprzebieglejszemu referentowi, radcy Wittmannowi, który już przedtem w procesach politycznych złożył liczne próby swojej dzielności inkwizycyjnej a potem jeszcze więcej zasłynął, jako referent najważniejszych procesów o zdradę stanu, po których legion ofiar poszedł na Spielberg lub do Kufsteinu, a dwie na rusztowania (Kapuściński i Wiśniowski).

Wittmann zestawiał wyniki dochodzenia policyjnego i na radzie sądu kryminalnego z 12 stycznia 1836 r. przedstawił przyjęty oczywiście bez opozycji wniosek, aby Karola Szajnochę zakwalifikowano (jak opiewał owoczesny termin kryminalno-proceduralny) do postępowania kryminalnego o zbrodnię zaburzenia spokoju wewnętrznego, jego najbliższego przyjaciela Eustachego Ryłskiego o uczesnictwo w tej zbrodni, a co do czterech innych słuchaczy uniwersytetu, między tymi Henryka Sucheckiego i Żegoty Paulego, pozostawiono na razie decyzję w zawieszeniu. Zapadła przytem uchwała, że Szajnocha, jako „szczególnie niebezpieczny“, ma być osadzony w więzieniu śledczem, oczywiście w kajdanach.

Dnia 21 stycznia 1836 r. rano Komisya sądowo policyjna uwięziła Szajnochę i odstawiła go do więzienia śledczego. Relacya tej komisji wylicza przedmioty, które z ubożego pomieszkania studenckiego Szajnochy razem z nim do depozytu zabrano. Była to nad wyraz ubożuchna garderoba studencka, gdyż książki i papiery już przedtem policyja zabrała. Jako gotówkę znalezioną przy Szajnosze podaje relacya Komisji: dziewięć krajcarów waluty wiedeńskiej i jeden krajcar monety konwencyjnej, co na dzisiejszą monetę wynosi —

10 halerzy z ułamkiem! Urzędowy rysopis inkwizyta tak opiewa w relacji: Karol Szajnocha liczy lat 18, jest wzrostu średniego, dobrze zbudowany, jednakże z postawą naprzód pochyloną, ma twarz okrągłą, zdrową cerę, ciemne, głęboko osadzone oczy, nos średniej miary, usta proporcjonalne, ciemne włosy i cokolwiek jaśniejszy zarost na brodzie.

Na wstępie do więzienia śledczego odbyła się zwyczajna w tych czasach rewizya lekarska dla stwierdzenia, czy inkwizyt ewentualnie może być — chłóście poddany. Wittmann zapisał na akcie, że co do Szajnochy rewizya wypadła pomyślnie.

Jakie moralne i fizyczne katusze przebył Karol Szajnocha w swojej norze więziennej, w przygnębiającej ducha samotności i na zabójczym dla fizycznego zdrowia, wprost odrażającym wikcie więziennym, jak z rozpaczliwego nastroju pierwotnego ocaliła go refleksya religijna, jakby promień cudownego światła, to wszystko znane jest z autobiograficznych zapisek samego Karola Szajnochy. które Kl. Kantecki w swojej pracy biograficznej wyzyskał i w ważniejszych ustępach dosłownie przytoczył.

Ówczesna austriacka procedura karna, oparta na zasadzie inkwizycyjnej, zaostrzona co do przestępstw politycznych wielu dodatkowemi postanowieniami, otwierała bezwzględnemu sędziemu śledczemu taki rozległy zakres działania, że, jakto na wstępie zaznaczyliśmy, dobę ówczesną możnaby uważać za okres tortury, zmodyfikowanej co do narzędzi męki fizycznej, ale za to wyrafinowanej w moralnem dręczeniu inkwizytów. O takich środkach obrony, jakimi dziś najnikczemniejszy zbrodniarz walczyć może z oskarżeniem we wszystkich fazach procesu, a w końcu jeszcze wśród rozprawy głównej, wtedy nawet mowy nie było. Sędzia śledczy był wszechwładny od początku do końca procesu. Co wydobył z inkwizyta czy to perswazyą, czy groźbą, namową lub nawet podstępna obietnicą, to potem zestawiał, jako referent, i przedstawiał radzie. W referacie po formie przytaczał sędzia śledczy obok okoliczności obciążających, także i łagodzące winę i w ten sposób łączył w swojej osobie rolę oskarżyciela z rolą obrońcy, którego inkwizyt ani z wyboru swojego, ani z urzędu nie posiadał. Referaty Wittmanna w sprawie Karola Szajnochy stanowią klasyczny okaz takiego śledztwa, od początku do końca prowadzonego z myślą, że chodzi o kondemnatę dla odstrasżającego przykładu surową, ale formalnie upozorowaną.

Śledztwo wlokło się do 30 czerwca, więc sześć miesięcy z okładem, i w tym czasie ośm razy przywoływano Karola Szajnochę przed radcę Wittmanna do protokularnego przesłuchania. Sprawa stanęła odrazu tak, że można było sformułować wniosek karny, bo Szajnocha

nie wykrecal się, lecz owszem odrazu przyznal się do autorstwa dwóch wierszy znalezionych w jego rękopisie u Eustachego Ryłskiego i do rozpowszechnienia jednego wiersza w gmachu uniwersyteckim. Ale Wittmannowi chodziło widocznie nie tylko o wplątanie więcej ofiar w zastawione sieci kryminalne, lecz nadto o zaostrzenie kwalifikacji karnej. Widocznie mniemał, że powiedzie mu się wprowadzić postępek Szajnochy w jakikolwiek związek z całą spiskową robotą ówczesnej doby, może nawet uchwycić wątek odrębnego, między młodzieżą za sprawą emisaryuszy emigracyjnych rozgałęzionego sprzyśnięcia. Zmierzał w tym celu do wydobycia z Szajnochy wskazówek sięgających po za ramy samego faktu inkryminowanego i dlatego przesłuchując w ciągu tych sześciu miesięcy wszystkich akademików, którzy bądź to jako świadkowie, bądź jako zagrożeni oskarżeniem do protokołu wzywani byli, za każdym stawieniem się Szajnochy tak go indagował, jakgdyby z poprzedniego przesłuchania innych osób wyszły na jaw szczegóły, podające w wątpliwość jego pierwotne zeznania. W ten sposób manewrował Wittmann szczególnie zeznaniami uwięzionego również Eustachego Ryłskiego, który w pierwszej chwili, przejęty grozą położenia, okazał się wobec sędziego śledczego, umiającego w każdej chwili wyzyskać nastrój przesłuchiwanego inkwizytą, skruszonym do głębi i stąd skłonny do zeznań. Ryłski tą skruczą na wstępie okazaną pomocą sobie do późniejszego uwolnienia, a Szajnosze nie zaszkodził wiele tem, że przyznał się do ulegania jego wpływom i do wsłuchiwania się w jego wynurzenia demokratyczne. Szajnocha bowiem nie ukrywał się przed Wittmannem z zapatrywaniami swojemi.

Przy pierwszym zaraz przesłuchaniu Szajnocha przyznał się, że znalezione u Ryłskiego dwa wiersze są jego ręką pisane i że je sam Ryłskiemu wręczył. W śledczej podejrzliwości swojej Wittmann usiłował sprawę wierszy inkryminowanych wprowadzić w związek z dawną sprawą towarzystwa starożytności a tem samem rozszerzyć znacznie koło obwinionych. Szajnocha zaprzeczył temu domysłowi z całą stanowczością, chociaż Wittmann nalegał bardzo, przedstawiając inkwizytowi, że przemawia za tem wszelkie prawdopodobieństwo i że przyznając istnienie takiego związku może za prawdomówność, ulgi doznać w swoim położeniu.

Bedel uniwersytetu zeznał, że widział, jak w dniu znalezienia wierszy w uniwersytecie, dwaj nieznajomi o świcie szybkim krokiem oddalali się od bramy uniwersyteckiej ku bocznej ulicy. Wittmannowi zależało na tem, aby Szajnocha, który nie zapierał się bynajmniej rozrzucania wierszy w obrębie uniwersytetu, przyznał się także do nalepienia kartki z wierszem na bramie uniwersytetu. Wmawiał więc w niego że on i Ryłski byli owymi nieznajomymi, których

bedel uniwersytecki spostrzegł. Chodziło widocznie o podniesienie stopnia karygodności czynu, której główne kryterium polegało nie na samem autorstwie podburzającego wiersza, lecz na jego rozpowszechnieniu. Nalegał tedy Wittmann na Szajnochę w taki sposób, że możnaby tę scenę porównać z dawnym postępowaniem kryminalnem, kiedy najpierw widokiem tortury a potem samą torturą zmuszano inkwizyta do przyznania się, chociażby to przyznanie miało być nieprawdą. Oto pytanie inkwizytora i odpowiedź inkwizyta:

W i t t m a n n: Upomina się pana, abyś zaniechał kłamliwego twierdzenia i wyznał prawdę, a to tem pewniej, ile że wobec kłamliwego zeznania musiano by pana poddać chłóście, kiedy tymczasem przez wyznanie prawdy możesz dać sądowi dowód skruchy i w następstwie oczekiwać łagodniejszego losu.

S z a j n o c h a: Mimo to wszystko pozostaję przy mojem twierdzeniu, że oprócz mnie nikt inny nie przyczynił się do rozpowszechnienia wierszy.

Czy zapowiedź chłosty nie mogła ambitnego akademika przejąć większą grozą, aniżeli widok dawnej tortury prostego zbrodniarza? Z taką stanowczością wytrwał Szajnocha do końca indagacyi, że Wittmann nie posunął się do zapowiedzianej niegodziwości. A jednak mógł Szajnocha wymienieniem nazwisk pozyskać dla siebie względy Wittmanna. Sam o tem napomknął, ale tylko napomknął w autobiograficznych zapiskach, jakgdyby taki hart moralny był rzeczą zwyczajną.

Dalsze przesłuchania Szajnochy nie miały już właściwie celu, jeśliby było chodziło tylko o sam czyn inkryminowany. Ale Wittmannowi chodziło o to, aby w ponawianych z różnemi zmianami pytaniami wplątało się jaknajwięcej ofiar. Takie wrażenie sprawia szczególnie protokół z 6 lutego, który tutaj w części przytoczymy jako próbkę inkwizytorskiej zdolności Wittmanna i otwartej stanowczości Szajnochy.

W i t t m a n n: Jaki zamiar miałeś pan przy układaniu i rozpowszechnieniu paszkwilu: „Święty dzień ten przyjaciele“?

S z a j n o c h a: Chciałem zwrócić uwagę moich kolegów i wogóle akademików na rocznicę 29 listopada a przeto pobudzić ich przeciw rządowi.

W i t t m a n n: Co panu dało powód do tak nieprzyjaznego usposobienia wobec rządu i jakie cele miałeś pan przy wzbudzeniu w młodzieży akademickiej niechęci do rządu?

S z a j n o c h a: Pobudką do niechęci, która odnosiła się nie tylko do tutejszego, lecz wogóle do wszelkiego rządu monarchicznego, dała mi lektura. Czytałem różne dzieła rewolucyjne

i wchłonałem z nich zasady w ułożonych przezemnie wierszach. Te zasady starałem się także w innych wszczepić i dlatego rozpowszechniałem wiersze. O innym celu, mianowicie o jawnym powstaniu przeciw rządowi, nie myślałem. A muszę tutaj dodać, że z nikim nie pozostawałem w takich stosunkach, żebym ztąd mógł sobie te zasady przyswoić.

Gdy Szajnocha szczegółowo wymienił czytane książki rewolucyjne Wittmann zapytał, skąd je wziął podsuwając niejako w pytaniu odpowiedź, że pożyczył je w zakładzie Ossolińskich lub kupił w księgarni Wilda. Inkwizyt był na najlepszej drodze do skompromitowania instytucji publicznej i popularnej a zasłużonej księgarni, ale Szajnocha przypominając poprzednie zeznania, że książki te dał mu zmarły kolega Settmayer przed śmiercią, odpowiedział stanowczo, że „ani z zakładu Ossolińskich, ani z którejkolwiek księgarni lwowskiej nie otrzymał, ani nie pożyczał książek zakazanych“.

W i t t m a n n: Ależ Rylskiemu powiedziałeś Pan, że najlepiej można takie książki kupować w księgarni Wilda?

S z a j n o c h a: Tak wprawdzie mówiono, ja jednakże dzieł zakazanych ani u Wilda nie kupowałem, ani tam nigdy nie widziałem.

Po próbach wydobycia zeznań inne osoby lub zakłady kompromitujących, następowały kolejno próby wydobycia zeznań, na których potem możnaby oprzeć ostrzejszą kwalifikację kryminalną, obwinienie o spisek. Pozory spiskowych znaków miały mianowicie rozrzucone w uniwersytecie kartki z charakterystycznymi uwagami o wielu akademikach i innych osobach. Jak do wierszy inkryminowanych tak i do tych kartek przyznał się Szajnocha bez wahania, a na pytanie Wittmana, w jakim celu to czynił, odpowiedział:

„Chodziło mi o to, aby akademicy poznali patryotyczny charakter każdego i aby ci, którzy podzielali moje zasady, usunęli się od innych niepatryotycznych. W ten sposób chciałem zgodnych ze mną ostrzedz, ażeby nie wchodzili w rozmowę o zasady z tymi, którzyby ich potem skompromitować mogli“.

W i t t m a n n: Ze względu na pański wiek młody nasuwa się przypuszczenie, że niechęć do rządu nie mogła się jeszcze w panu głęboko zakorzenić, że zatem zostałeś pan przez kogo innego nakłoniony do napisania i rozpowszechnienia inkryminowanych wierszy. Upomina się pana, abyś w tej mierze prawdę zeznał.

S z a j n o c h a: Jak już zeznałem, pobudkę do napisania tych wierszy zaczerpnąłem z książek rewolucyjnych. Że to źle się stało, to dziś widzę, niestety, zapóźno. Nikt jednakże nie nakłaniał mnie do tego kroku.

Wittmann: W ostatnich czasach pojawili się w Galicyi emisaryusze z Francyi usiłujący utworzyć w kraju związki rewolucyjne. Czy nie miałeś pan stosunków z jednym z takich emisaryuszy i czy nie nakłonił on pana do tego czynu?

Szajnocha: Nie miałem żadnych stosunków z emisaryuszami, nie znałem wogóle żadnego emisaryusza, więc żaden emisaryusz nie nakłonił mnie do rozpowszechniania wierszy.

Wittmann: W rozpowszechnionym wierszu są wyrazy: „nasze cele“. Zdaje się więc, że należałeś pan do towarzystwa rewolucyjnego, gdyż słowa te wskazują na zamiar powzięty przez większą liczbę osób. Zdaje się, że w ten sposób chciałeś pan pobudzić uczącą się młodzież do kroku nierozważnego a spokoj wewnątrzny zakłócającego?

Pytanie to poparł Wittmann wydobytem od Rylskiego zeznaniem, że Szajnocha w pogadankach zapowiadał blizkie demokratyczne przekształcenie się obecnego ustroju społecznego, gdyż w miarę, jak oświata szerzy się w niższych warstwach, przywileje będą obalone. Wysunął tedy Wittmann słowa Rylskiego w ten sposób. żeby Szajnochę zastraszyć, a w każdym razie zmieszać obawą, że Rylski jeszcze więcej zeznał i obciążył kolegę swojego.

Szajnocha odpowiedział na pytanie spokojnie: „Rozpowszechniając wiersze nie zamierzałem pobudzić kolegów do kroku, zakłócającego spokoj wewnątrzny, gdyż dobrze wiedziałem, jak smutne ztąd wynikłyby następstwa. Nie należałem do żadnego związku z celami rewolucyjnymi a słowa: „nasze cele“ w wierszu moim wpływają z lektury książek, w których zawarte było wezwanie do niechęci wobec rządów. Zdanie wobec Rylskiego wypowiedziane nie jest bynajmniej wynikiem należenia do tajnego związku, lecz odgłosem idei, które z czytanych książek poznałem“.

Teraz dopiero, gdy już rzucone zostało podejrzenie, że Rylski za wiele zeznał i kolegę swojego obciążył, rzucił Wittmann pytanie czy Rylski brał udział w rozpowszechnianiu inkryminowanego wiersza.

Szajnocha: Jak poprzednio zeznałem, tak i obecnie oświadczam, że o moim zamiarze rozpowszechnienia wiersza Rylskiemu nic nie powiedziałem i że wiersz ten dałem mu dopiero wtedy, gdy już rozpowszechnienie nastąpiło.

Skończywszy przesłuchanie, powstał Wittmann i wy dobył z ukrycia sztylet, a okazując go Szajnosze, zapytał, czy mu ta broń jest znana? Oczekiwał Wittmann wrazenia, przygniatającego inkwizyta, a ten tymczasem oglądając sztylet, oświadczył najspokojniej, że nigdy go w rękę nie miał.

W przykrej, przygniatającej lekturze aktów procesowych Karola Szajnochy, ten epizod ze sztyletem stanowi przerwę zabawną. Pokazało się bowiem z dalszych dochodzeń i badań, że ojciec Karola Szajnochy, Wacław, będąc podczas procesu we Lwowie, szukał po sklepach noża myśliwskiego, i kupiwszy u nożownika ów wrzekomy sztylet, w chwili odjazdu z hotelu zapomniał go wziąć z sobą. Właściciel hotelu znalazł po odjeździe Wacława Szajnochy ów fatalny nóż myśliwski, a przestraszony rozgłosem procesu syna, dopatrzył się w niewinnym nożu strasznej broni spiskowej, pobiął do policyi, zaalarmował ją i Wittmann, w którego wyobraźni sprawa urosła do wielkich rozmiarów kryminalnych. Rzecz cała została tak dokładnie zbadana i wyjaśniona, że nawet podejrzliwość Wittmanna musiała zamiknąć.

Po ukończeniu przesłuchiwań i zamknięciu śledztwa, dano Karolowi Szajnosze, według przepisu owoczesnej procedury kryminalnej, trzy dni do namysłu, co miało znaczyć, że w tym czasie sam, bez do rady prawnego, miał się przygotować do przytoczenia wszystkich okoliczności na swoją obronę. W procesie inkwizycyjnym była to ostatnia próba skruszenia inkwizyta i pobudzenia go do nowych zeznań, ewentualnie do rewelacji, była to wtedy — zwłaszcza w procesach politycznych — niejako faza legalnej tortury w moralnem tego słowa znaczeniu. Inkwizyt bowiem w przededniu wydania wyroku, w braku otwartego i formalnego aktu oskarżenia nie wiedział, jaką kryminalną kwalifikację nadano jego czynowi i jak zestawiono zebrany przeciw niemu materiał śledczy. Nie znał nawet tego materiału w całości, lecz tylko o tyle, o ile służył on za wątek pytań śledczych. O poradzie, o pomocy i obronie prawnej, chociażby takiej, narzuconej z urzędu, jaką dzisiejsze prawo karne w Austrii najnikczemniejszemu zbrodniarzowi zapewnia — nie było mowy. Krótko mówiąc, owa trzydniowa pauza zakrawała raczej na pułapkę, zastawioną na inkwizyta. Stając bowiem po pauzie, oplątany i omotany siecią poszlak, podejrzeń i uprzedzeń wobec sędziego śledczego, już w ciągu dochodzeń zdeterminowanego co do winy i stopnia karygodności, inkwizyt dodatkiem do spisanych protokołów częściej mógł pogorszyć, niż poprawić swoją sytuację.

Dla Karola Szajnochy szczególnie ciężką musiała być ta trzydniowa pauza. Z całego sposobu prowadzenia śledztwa widział to dobrze, że czynu jego jest surowo traktowany i że nie może liczyć na wyrozumiałość sędziego śledczego. O doniosłości nagromadzonego przeciw niemu materiału śledczego mógł co najgorszego przypuszczać, zwłaszcza po ostatnich przesłuchaniach, w których sędzia śledczy, powołując się na zeznania jego kolegów, dopytywał się

o szczegóły wrzekomej akcji spiskowej. Nawet ów epizod ze sztyltem mógł tylko powiększyć obawy, bo sędzia śledczy nieawiadomił go o wyświeceniu tej sprawy.

A do tego w stosunkach rodzinnych Karola Szajnochy zaszły zmiany, które położenie jego czyniły już wprost tragicznem. Wiadomość dobra była wtedy przed więźniami politycznymi dobrze ukrywana, wiadomości złej pozwalano natomiast przeciskać się przez grube mury więzienia. Szajnocha, który po wyjściu z więzienia zastał już matkę wdową, obarczoną trojgiem młodszego odeń a niezaopatrzonego rodzeństwa, w więzieniu śledczem dowiedział się o utracie posady przez ojca i wynikłej stąd ruiny materialnej. Był to dla niego cios okropny. W całym późniejszym życiu Karola Szajnochy tkliwe przywiązanie do dalszej nawet rodziny stanowiło wybitny, w oczy bijący rys jego charakteru. Miłość synowska i braterska łączyła się w młodzieńczem sercu więźnia z bezgraniczną gotowością do ofiar dla swoich. Posada urzędowa, los zapewniająca, nie miała pewnie uroku dla młodzieńca, już siłą wielkiego talentu popychanego na drogę tak ciężkiej wówczas naukowej i literackiej kariery, a do tego zapewne i wzdygającego się na myśl służenia w jakiegokolwiek, chociażby naj-niewinniejszej roli, ówczesnemu prześladowczemu systemowi rządowemu. A jednak Szajnocha myślał tylko o tem, żeby jak najprędzej po ukończeniu studyów mógł się stać podporą rodziny. W więzieniu śledczem, zwłaszcza podczas fatalnej pauzy końcowej, musiał się już rozstać z tą nadzieją, bo, przewidując surową kryminalną kwalifikację czynu, wiedział, że ta droga do zdobycia chleba dla siebie i dla rodziny, zostanie dlań niezawodnie i na zawsze zamknięta.

To też gdy po upływie trzydniowej pauzy, d. 11 czerwca 1836 r., Karol Szajnocha stanął przed sędzią śledczym, Wittmannem, na pytanie jego, co ma jeszcze przytoczyć na swoje usprawiedliwienie i na obronę, nie mógł już zapanować nad sobą, wybuchnął długo tłumionym, rzewnym płaczem, i mówiąc o tych zniszczonych planach swoich, wniósł prośbę, aby rząd, uwzględniając okoliczność, że młodzieńcza krewkość popchnęła go do czynu, za który dostał się do więzienia, pozwolił mu, po przebyciu nałożonej kary, ukończyć studia i tem umożliwić przyjsie w pomoc biednej rodzinie.

„Na tem — tak zapisał, może w tej bodaj chwili wzruszony Wittmann, całą tę scenę w protokóle — skończono posłuchanie z tą uwagą, że inkwizyt głośnem łkaniem okazał skruchę, że dalej przydawaniu odpowiedzi objawił bystre pojnowanie stawianych mu pytań, a tem samem wykazał zdolności swoje, które także w świadectwach szkolnych uznano znakomitemi, że wreszcie podczas śledztwa zachowywał się w więzieniu śledczem tak spokojnie i przyzwoicie, iż

nigdy na niego skarga nie wpłynęła. Wreszcie posiada Karol Szajnocha zdrowy organizm“.

Ostatnia uwaga, w połączeniu z dalszą, w końcowym referacie wypowiedzianą, że „oskarżony jest według poświadczenia lekarskiego zdolny do chłosty różgami“, wygląda jakby żalosne spojrzenie tygrysa na wymykającą mu się ofiarę!

*

*

*

Rozstrzygający wywód Wittmanna, obejmujący 37 arkuszy bitego pisma, kończy się wnioskiem kondemnaty co do samego tylko Szajnochy. Co do Ryłskiego, wniósł Wittmann uwolnienie go dla braku dostatecznych dowodów, a co do reszty akademików (między nimi Henryka Suheckiego i Żegoty Paulego) zaniechanie dalszego kryminalnego dochodzenia. Ten ostatni wniosek nie był aktem łagodności Wittmanna. Byłby on pewnie wszystkich objął wnioskiem kondemnaty, ale w r. 1834 wyszło cesarskie postanowienie, aby w przestępstwach politycznych na razie ograniczono się do „przewodzców i uczestników szczególnie skompromitowanych“.

Według ówczesnego prawa karnego austriackiego, za zbrodnię, zarzuconą Karolowi Szajnosze (zaburzenie pokoju wewnętrznego), nałożona była kara ciężkiego więzienia od jednego roku do pięciu lat. Wittmann nie mógł nie przyznać, że za Szajnochę przemawiają okoliczności łagodzące: jak młodzieńczy wiek, nienaganne zachowanie się, celujący postęp w szkołach i t. p., ale za to zakwalifikował jego wiersze, jako tchnące duchem karbonaryzmu i „zaprawione wściekłym jadem jakobinizmu“, a zawierające wyrazy „krwiożerczej“ tendencji. Wniósł tedy Wittmann karę dwuletniego ciężkiego więzienia, jako „dostateczną, tem więcej, że Szajnocha już pięć miesięcy przesiedział w więzieniu śledczem“.

D. 13 czerwca 1836 r. weszła sprawa Karola Szajnochy na posiedzenie gremialne lwowskiego sądu kryminalnego. Przewodniczył prezydent Pressen, referował Wittmann, wotowali radcy: Kulicki, Kuryłowicz Wojtowicz, Sembratowicz, Czaderski, Tinz i Dąbczański. Wittmann został o tyle przegłosowany, że sąd wymierzył karę jednorocznego więzienia ciężkiego.

O wyroku Szajnocha nie zaraz się dowiedział, gdyż według ówczesnej procedury kryminalnej, uzupełnionej co do przestępstw poli-

tycznych osobnymi dodatkami, sprawa z urzędu musiała w drodze rewizji przejść wyższe instancje. Siedział tedy Szajnocha jeszcze dalej w więzieniu śledczym, aż do stycznia 1837 r. W najwyższym trybunale: wyrokiem z 21 stycznia 1837 r. niżono karę na sześć miesięcy ciężkiego więzienia, licząc dopiero od 27 grudnia 1836 r. Aby więc doczekać się niżenia kary o sześć miesięcy, musiał Szajnocha przebywać o sześć miesięcy dłużej w więzieniu śledczym, które sam w autobiograficznych zapiskach swoich nazwał daleko dotkliwszem, niż późniejsze więzienie w domu kary. A właśnie w ciągu tych ostatnich sześciu miesięcy więzienia śledczego, srogi dozorca, Streit, dał mu uczuć całą niedolę; jako już osądzonego, czujnie śledził na każdym kroku, w każdym ruchu i o wszystkim donosił. W celi Szajnochy był wydrążony już dawniej w murze, zlekka zaklejony i dlatego niepostrzeżony dotąd otwór, przez który można było porozumiewać się z celą sąsiednią. Streit, spostrzegłszy, że Szajnocha korzysta z tego otworu, a znalazłszy nadto w jego celi gęsie pióro i deszczułkę z figurami szachowemi, z chleba ulepionemi, wniósł do Wittmanna denuncjację. Zabrano pióro i szachy, zalepiono otwór i zagrożono Szajnosze karę dyscyplinarną. W kilkanaście dni później, Streit, zdając Wittmannowi raport o wykonaniu zadekretowanej przezeń kary chłosty na dwóch innych więźniach, w których celi znaleziono przedmioty przemycone, dołączył do raportu gwoźdź, w celi Szajnochy znaleziony, dodając, że gwoźdź ten musiał być używany do pisania. Wittmann zadekretował Szajnosze post. jednorazowy, jako karę dyscyplinarną, z dodatkiem, że „za drugim razem za podobne postępowanie będzie chłostą ukarany”. Ze szponów Wittmanna i Streita wydobył się Szajnocha dopiero w styczniu 1837 r., gdy po ogłoszeniu wyroku odwieziono go do domu kary.

Gdy po upływie dalszych sześciu miesięcy Szajnocha opuszczał mury więzienne już jako wolny, wręczono mu 39 złr. 34 kr., „jako kwotę, złożoną dla niego podczas śledztwa na lepsze żywienie, a na ten cel nieużyta”. Więc Szajnochę karmiono wstrętnym wiktem więziennym, o którym odrażające szczegóły przytoczył w swoich zapiskach autobiograficznych, a w kancelaryi trzymano w depozycie pieniądze, które biedna matka, od ust sobie odejmując, na lepsze żywienie dla syna wysyłała.

*

*

*

Proces kryminalny Karola Szajnochy zasługiwałby na omówienie, jako wypadek, charakteryzujący tę smutną dobę nawet w takim razie, gdyby jego bohater nie był urósł na wielkiego pisarza, na chlubę naszej historyografii. Zważmy tylko szczegóły wibitniejsze tej sprawy. W więzieniu dwuletniem trzymano początkowo nawet w kajdanach, chłopaka, który zdolnościami i celującym postępowaniem w naukach nad rówieśnikami górował, wzorowem moralnem zachowaniem się zdobył sobie sympatyę nauczycieli, a współuczniów formalnie podbił wiedzą i podniosłymi aspiracyami, za czyn, posiadający, co prawda, znamiona ciężkiej zbrodni, według paragrafowo-kryminalnej kwalifikacyi, ale w ludzkim pojmowaniu rzeczy stanowiący właściwie tylko wybryk młodzieńczej porywczosci, godny kary, nawet kary surowej, lecz — dyscyplinarnej, nie zamykającej drogi do dalszego kształcenia szkolnego. W tem więzieniu dręczono ofiarę fizycznie i moralnie, a w końcu puszczone ją z nabytym w wilgotnej norze zarodem nieuleczalnej choroby, poddano ją potem pod ścisły dozór policyjny i zatarasowano jej drogę do jakiegokolwiek zawodu, chleb zabezpieczającego. Dlaczegoż tak wyjątkowo srogi wymiar kary spadł na Karola Szajnochę, dlaczego Wittmann nazwał go „szczególnie niebezpiecznym“ i ta charakterystyka krótka przeważała wszystkie okoliczności łagodzące, których przemilczeć sam surowy sędzia nie śmiał?

Na pytanie odpowiedź najlepszą stanowi szczegół, znany w rodzinie Karola Szajnochy z opowiadań osób, które o tem wprost od jego matki słyszały. Kiedy ta nieszczęśliwa kobieta, pragnąc wyblagać ulgę dla więzionego syna, dotarła wreszcie do wszechwładnego wówczas prezydenta gubernialnego, bar. Kriega, usłyszała z ust jego brutalne słowo: *Solche Köpfe muss man drücken!* (Takie głowy trzeba zgniatać!).

To też zgniatano w tych smutnych czasach młode głowy, w których badawczy wzrok policyi widział blask geniuszu, a chociażby tylko iskrę wyższego talentu, rwącego się do idealnych celów i porywającego za sobą młode otoczenie. Ileż takich głów padło ofiarą systemu, który spokojność publiczną identyfikował z cmentarną ciszą i jako jej zaburzenie kryminalnie piętnował już każdy śmielszy poryw ku ideałom i wiedzy! Ocalały w tej najsmutniejszej dobie historii Galicyi XIX wieku tylko głowy, których nadzwyczajnej war-

tości duchowej strzegły, jak w Karolu Szajnosze, heroiczny hart moralny i ofiarna abnegacja dla idealnych celów.

Mówiliśmy o systemie, bo faktycznie był system w tem „ugniataniu głów“ niezwykłych. Bar. Krieg nie z własnej inicjatywy ujął ten system w powyższą, tak krótką a wyrazistą formułkę. Inicjatywa wychodziła ze szczytu państwowego. Mamy na to dowód autentyczny, pochodzący od inteligentnego biurokraty; któremu cudem tylko wtedy powiodło się z nieznamiętną w młodości głową dostąpić wysokiej rangi w morawskim sądownictwie. Dr Ignacy Beidtel, radca sądu apelacyjnego w Bernie, przytoczył w swoich autobiograficznych zapiskach, na których osnuty został wstęp do jego znakomitego dzieła, następujące zdanie, wypowiedziane w r. 1836 do prezydenta Buby, przez cesarza Franciszka: „Tak zwani geniusze i uczeni są do niczego. Zawsze tylko chcą wszystko lepiej znać i zatrzymują sprawy, albo się one im niepodobają. Najlepszy jest zdrowy rozum ludzki i wytrwałość w siedzeniu“ (*Sitzfleisch*)!). Wprawdzie, zdanie to było wypowiedziane pod adresem biurokracyi, ale biurokracya uchodziła w tych czasach za kwiat inteligencji, a głównem zadaniem szkolnictwa od dołu aż do szczytu uniwersyteckiego, było zasilanie biurokracyi — należycie ugniecionemi głowami i *Sitzfleisch*em! Karol Szajnocha posiadał jeden przymiot, kwalifikujący na tego biurokrate, nawet na hofrata, posiadał fenomenalny *Sitzfleisch*, jak tego dowiódł w późniejszej działalności naukowej. Cóż z tego, kiedy głowa genialna nie dała się ugnieść na hofratowską miazgę!

Wielkość Karola Szajnochy, jako pisarza i człowieka, sprawiedliwie zmierzona być może tylko na tle ówczesnych stosunków, których rysy znamienne dobitnie występują w przypominanym tutaj procesie.

DR BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

1) Obacz przedmowę do dzieła Ignacego Beidtla: „Geschichte des oesterreichischen Staatsverwaltung“ (t. I, str. XXIX, w przypisku).

Stanisław Witkiewicz

jako budowniczy polski.

„Dziś, czytając słowa Cypryana Norwida widzę, że to naprzykład, o co ja się biłem i za co dotychczas jestem napastowany, ten dziwny człowiek dawno wiedział i wypowiedział.

Posłuchajmy.

O! gdybym jedną kaplicę zobaczył,
Choćby jak pokój ten, wielkości takiej —
Gdzieby się polski duch raz wytłomaczył,
Usymbolicznił rozkwitłymi znaki,
Gdzieby, kamieniarz, cieśla, murarz, snycerz
Poeta — wreszcie męczennik i rycerz
Odpoczął w pracy, czynie i modlitwie,
Gdzieby czerwony marmur, cios, żelazo
Miedź, bronz i modrzew Polski się zjednały
Pod postaciami, co nie jedną skażą
Poryte leżą w nas, jak w sereu skały —
O! tobym w *liściach rzeźbionych paproci*,
I w koniecznyń treflach, i w stokroci,
I w kos zacięcia łukiem — i we freskach...
.....
O! tobym nawet w drobnych arabeskach,
Z naturą rzeczy polskiej w pokrewieństwie
Nierozplątanem będących — doślepił,
Że to miłości balsam bronz ten lepił.

Nie wiedzieliśmy o poecie, który tak wołał, i tworzyliśmy kaplicę w której „liście paproci“ nie z bronzu wprawdzie ani z marmuru, lecz z lipy i brzoštu, lub z promienia bar-

wy, splecione pierwiastkami sztuki ludowej, wybujały tak, jak bujały w ciemnych glebach lasów, zalegających tatrzańskie regle...

„Podnoszenie ludowych natchnień do potęgi, przenikającej i ogarniającej ludzkość całą, podnoszenie ludowego do ludzkości—nie przez stosowanie zewnętrznej i koncesyj formalnej, ale przez wewnętrzny rozwój dojrzałości,“ oto co jest, co wysłuchać się daje z muzy Fryderyka (Chopina) jako zaśpiew na sztukę narodową“ — mówi Cypryan Norwid, kreśląc całkowity program rozwoju sztuki, który się miał urzeczywistnić. „Powiązanie słowa ludu, mówi dalej, ze słowem społeczeństwa i ujęcie w harmonję sztuki, rękodzieł, rzemiosł i rolnictwa, stanowi zdrowie narodowe, stanowi przytomność, obecność, byt.

A dalej: „A zaś przede wszystkim z myśleniem ludowym w prawowitej harmonii się kojarzyć, oczyszczać głos opinii tak, iżby przeczysto dał się słyszeć... uwagi te, jako nierozdzielne z powodzeniem sztuki w Polsce—kreślę.“

Wkońcu wypowiada Cypryan Norwid takie zdanie, dotyczące najistotniejszych zagadnień sztuki wogóle.

„Rozdzielenie ekspozycji publicznych, na wystawy sztuk pięknych i rzemiosł albo przemysłu, jest najdoskonalszym dowodem, o ile sztuka dziś swej powinności nie spełnia.

„Wystawa przeciwnie powinna być tak urządzona, ażeby od statuy pięknej, do urny grobowej, do talerza, do szklanki, do kosza uplecionego pięknie, cała cyrkulacja idei piękna w czasie danym uwidoczniłą była. Wtedy wystawy będą użyteczne. Dziś jest to rozdział duszy z ciałem—czyli śmierć.“¹⁾

Oto tak przez wiersze powyższe snuje nić przewodnią stosunku swego do sztuki polskiej, Stanisław Witkiewicz.

W twórczości tego artysty ucieleśniła się wizya przyszłości, jasnowidzenie Cypryana Norwida.

I to przetopienie, wniknięcie wzajemne dwóch tych dusz różnych czasów z których jedna na kilkadziesiąt lat przedtem dała Polsce filozofię własnej sztuki, a druga porwała się na urzeczywistnienie jej w teraźniejszości, nie wiedząc nawet o swoim poprzedniku, stanowi, jedną z najdziwniejszych kart w dziejach odtworzenia samodzielnej kultury polskiej. Nawet los poglądów tych dwóch ludzi był przez pewien czas zbliżony do siebie.

Pan Stanisław Melczart, autor artykułu pod tytułem: „Cypryana Norwida poglądy na sztukę narodową“, tak pisze: „W swoim czasie

1) Stanisław Witkiewicz: Dziwny człowiek, str: 96, 97 i 98.

przez chłodną krytykę naszą—która wstręt jakiś czuła do Prometeuszów—wyszędzony i oplwany, a potem zapomniany, Prometheus (tytuł poematu), byłby może w epoce Michałów i Rafaelów świętą pieśnią artystów—u nas nie był. Dziś jednak może i winien być dla naszych apostołów sztuki narodowej drogiem wspomnieniem ich prometejskich bojów, może być narodową ewangelią“. (tamże str 98).

Wystarczy znów wziąć do ręki, inną książkę Stanisława Witkiewicza o Aleksandrze Gierymskim, gorzką książkę, ażeby widzieć w kilkadziesiąt lat później bezpłodne szamotanie się garstki twórców nowych, bijących dla sztuki polskiej nowe drogi, malarzy żyjących w Warszawie „po psiemu“ i służących sprawie wśród szuderstw i plwania ówczesnej miejscowej krytyki. A wszak najwybitniejszym Prometeidą tej garstki był autor „Sztuki i Krytyki“ Stanisław Witkiewicz.

I tak służba dla jednej i tej samej sprawy prometejskiej, jako też i los zapoznania przez własne społeczeństwo, zespoliły pod pewnym kątem Cypryana Norwida ze Stanisławem Witkiewiczem w dziejach walki o odrodzenie polskiej sztuki.

Nie dziwię się temu przejściu, z jakim Witkiewicz zbierał i uprawiał myśli Norwida, i tej rozkoszy bezmiernej, jaką ma twórca, kiedy po latach gorzkiej walki z własnym społeczeństwem o dobro i siłę tego samego społeczeństwa, poczuje się żołnierzem sprawy przez przeszłość naznaczonym i przewidzianym.

Z prawdziwą trwogą biorę się ja, jednostronny człowiek, do tej bogatej duszy, wielkiego rozumu i uczucia, jakie się mieści w drobnej i wątlej postaci Witkiewicza. Kiedy jednak widzę przed sobą owe mądre i dobre oczy jego i ten uśmiech pełen zrozumienia i pobłażania, wówczas nabieram otuchy, próbuję odtworzyć społeczeństwu jak umiem, i jak mogę, obraz duszy i twórczości tego najniezwykłego w Polsce człowieka.

Dziś człowiek ten może patrzeć już niby siewca, jak pszenica, sztuki narodowej kwitnie i złocić się wkrótce zacznie. Dziś oczy całej lepszej części społeczeństwa polskiego spoglądają z przywiązaniami i miłością do najciudniejszego kąta Polski, do Zakopanego, tam, gdzie mieści się gniazdo twórczości Witkiewicza.

Ale to, co wielu ludzi już obecnie czuje i myśli, trzeba głośno wypowiedzieć, ubrać w szatę słów i ucieleśnić w dzisiejszem pokoleniu, aby nie spadło na nas kiedyś w przyszłości oskarżenie, żeśmy współczesnych sobie mistrzów ocenić nie potrafili czy nie chcieli.

A trzeba to zrobić tembardziej, im głośniej naszczekują w jego stronę zawiści i urazy drobnych ludzi dzisiejszych, pospolitych zja-

dadczy chleba, gniewających się o to, że ich na „aniołów“ próbował przerobić...

Stanisław Witkiewicz, syn świętej Żmudzi, widział jako cudne chłopie, krwawą chwilę. Potem kilka lat bawił na dalekiej północy wraz z rodzicami.

Wrócił do kraju w okresie, kiedy społeczeństwo czyniło straszny obrachunek czynów i następstw, kiedy najsilniejszym rak wątpliwności zaczął toczyć duszę...

Przy sterze spraw dotyczących kultury społecznej nie stali najlepsi i najgorętsi i najwięcej czujący. Czasy przesiały ludzi, pozostawiając u widocznego czoła narodu po pismach politycznych nauce i sztuce poświęconych, poczciwe ale mierne i strwożone dusze, bojące się zmian w poglądach i w zadaniach, tem więcej im więcej wielkiego trudu i gromów waliło się na społeczeństwo.

W takiej chwili być kowalem kującym w ogniu swojego uczucia, rozumu i twórczości przyszłość społeczną, bić się z własnym społeczeństwem, o prawo odrodzenia się i nie wątpić, kiedy narodowi rzucano hasło „bogacić się“; pracować z uporem w biedzie i nędzy dla — „złudzeń“, na które najrozumnijsi ramionami ruszali, na to trzeba mieć żelazny charakter rycerza najlepszych naszych czasów; na to trzeba mieć widnokrąg duszy, jak morze rozległej i jak toń morza głęboki rozum, przenikający przyszłość na wskrós i wesołą wiarę tych naiwnych maluczkich a Galileuszową jednocześnie.

Czy takim był Stanisław Witkiewicz?

Chyba że był, bo jest nim po dziś dzień, bo czar jego duszy mieści w sobie wszystkie horyzonty, w jakich się pławi myśl współczesnego człowieka, a jednocześnie aż do białości żarzy się miłość do własnego społeczeństwa, która jest tak wielką, że czyni zupełnie zbytecznym nienawidzenie jakiegokolwiek, bodaj najbardziej wrogiego narodu.

A jeśli patrzeć się na jego tyloletnią działalność, artysty malarza, rysownika życia współczesnego, krytyka i pisarza świetnego a głębokiego, a nadewszystko przodownika i twórcy w dziejach odrodzenia sztuki polskiej codziennej, stosowanej do wszystkich objawów życia, to zaprawdę raduje się serce z takiej bujności, i z takiego człowieka.

Kto nie zna Witkiewicza, jako działacza społecznego, walczącego ze złem i skarlłowaceniem w społeczeństwie, kładącego na szalę bojową świetne swoje pióro i natężone, gorące przekonaniem słowo, nie wahającego się dać dla sprawy naszego odrodzenia moralnego najdelikatniejszych swoich uczuć na pastwę „obrońców“ różnych „bagien“, ten go jeszcze niepoznał do głębi.

Nie sposób mi jest dać w tych szczupłych ramach, w których się z umysłu zamknąłem, obraz tej iście renesansowej wszechstronności, jaka się staje cechą wielu współczesnych twórców w narodzie polskim, i jaką się szczególnie odznacza bogata dusza Witkiewicza.

Celem niniejszego artykułu jest tylko określić te znamienne rysy jego postaci duchowej, które dotyczą sprawy odrodzenia budownictwa polskiego i sztuki stosowanej; chcę o nim pisać, jako o pierwszym budowniczym polskim.

Jest cudowny w Polsce zakątek, klejnot w skarbcu narodowym najczystszej wody — Tatr.

Za borami lesistemi Podhala, gdzie w dolinach i na uboczach przez zielone okiście jesionów przeświecają ogniste, czerwienią syte, płazy koleb górskich, idą zleby ciemnych borów, reglami się w górę wspinających. Za reglami świat coraz dziksz, coraz wspanialszy, wymoszczony kosodrzewiną i jałowcem, które ścielą kilimy zieleni swoich do stóp limby, wyniosłe czoło kąpiącej w słońcu polskiem.

Tu u stóp jezior szmaragdowo szafirowych u tych „ócz morskich“, króluje to drzewo dziwne, postacią w pamięć się wrażające.

Jeszcze wyżej krają błękit tatrzańskie turnie śmiałością i dzikością porywów i zębami wgryzają się w przestrzeń, szturmując niebo i nieskończoność.

Tylko powietrze górskie kładzie na poszarpaną suknię granitową Tatr swoje błękitne i fioletowe dłonie zacierając ostrość i łagodząc cienie.

Do tego świata przepięknego ciągną od szeregu lat dusze polskich artystów po natchnienie i rozkosz twórczą.

Z nazwą Tatr łączą się takie imiona, jak Asnyk, Franciszek Nowicki, Kazimierz Tetmajer i Kasproicz, z których każdy czerpał dłoń u przezystego źródła gór wodę letejską zapomnienia codziennych cierpień i brał moc napiętego jak cięciwa łuku uczucia polskiego i siłę tworzenia.

„Odkrywca“ Tatr dr. Tytus Chałubiński, który już od początku 8 dziesiątka lat zjeżdżał do Zakopanego, wielbił znowu ów zakątek dla prześlicznej przyrody, balsamicznego, zdrowie sercu i płucm przynoszącego powietrza i owej bujności natury człowieczej, rozkwitłej w postaciach górali ówczesnych, której najpyszniejszym niezapomnianym okazem był stary „Sablík“, Sabala-Krzeptowski.

Natomiast, mało zwróciła uwagę genialnego lekarza i niezwykłego człowieka, owa kultura góralsko-polska ludowa, zawarta w chacie podhalskiej, wnętrzu pisanymi sosrębami, dzwirzami i półkami i skrzyniami zdobnym, słowem, tej atmosferze artystycznej, przenikającej niegdyś na wskroś życie polskiego górala.

Dopiero kiedy tatrzańskie echo, po załamach całej Polski się odbijające, sprowadziło garść chorych a wrażliwych na piękno ludzi na perć do Zakopanego wiodącą, wtedy odkrytą została polska sztuka ludowa.

Zamieszkał w Zakopanem Witkiewicz, usiłując zachować resztkę zdrowia, jaka mu pozostała po zapasach z obojętnością na sztukę ówczesnej publiczności warszawskiej. Osiedli też państwo Dembowscy z Ukrainy, p. Zygmunt Gnatowski z Wołynia.

Zajechał do Zakopanego, aby podtrzymać gasnące życie znakomity lekarz, a jeszcze dzielniejszy człowiek, ś. p. Władysław Matlakowski z Warszawy.

Około roku 1886 zebrała się więc ta garstka ludzi, z których każdy na swój sposób zapisał się na nieśmiertelność w księdze poświęconej sprawie odrodzenia sztuki stosowanej polskiej.

Idealny choć samodzielny podział pracy, cechował ten zaczątek społeczeństwa zakopiańskiego. W r. 1886 kiedy znalazła pani Dembowska z panem Witkiewiczem pierwszy łyżnik, poczęły rość owe ciekawe i bogate dziś zbiory pp. Dembowski i p. Zygmunta Gnatowskiego, odnoszące się do starej kultury polskiej artystycznej Podhala.

Był wielki czas, bo polor fałszywej i kramarskiej cywilizacji wkraczał już do Zakopanego, przynosząc do duszy górali wzgardę dla „Starych dziadów“ jak nazywać lud począł nieme świadki dawnego życia.

Już na Krupówkach powstały domy budowane w niemieckim „Förster stylu“ chciwie przez górali naśladowanym. W takim domu zamieszkał dr. Chałubiński. Nieinaczej też zabudował się słynny niegdyś przewodnik i mądry a dobry człowiek Wojtek Roj.

Wojtek Roj tak się wstydził tych gratów starych góralskich, że na oczy nie chciał widzieć pokoju, gdzie one były zebrane i ustawione.

Również proboszcz ks. Stolarczyk uważał cześć oddawaną zażytkom ludowej kultury, za zgorzenie i nierozum.

Tylko Sabala, choć wiekiem najstarszy, ale czy więcej zamilowany w dawności, czy też lepiej rozumiejący cel zbiorowej roboty, z ukontentowaniem patrzył na rosnące zbiory.

A zbiory pp. Dembowski i p. Zygmunta Gnatowskiego rosły.

Półki, łyżniki, skrzynie malowane, czerpaki, pazdury, sosręby, obrazy zbójników dziwnie malowane, gęślicki, łyże potężne do czer-

pania sera, parzenice, stołki i stoły, spinki i pasy i torby dziwaczne, naczynia stare — poczęto gromadzić w jedno, działając już swoją masowością objawów.

Jak jednak społeczeństwo nie tylko góralskie nie rozumiało (a częściowo dalej jeszcze nie rozumie) tej roboty, niech nam na dowód tego posłuży fakt następujący:

W r. 1894 posłano te wszystkie rzeczy na wystawę lwowską, gdzie ich prócz ś. p. Włodzimierza Dzieduszyckiego nikt nie zobaczył i nikt nie ocenił.

Sapienti sat.

Trzeba było dalszej usilnej roboty w zaznajomieniu społeczeństwa ze skarbami motywów artystycznych, jakie odkryto na Podhalu.

Aby jednak usunąć wiele z wątpliwości i fałszywych poglądów, należy kilkoma słowy dotknąć sprawy sztuki „zakopiańskiej“, jaka się ona w tytule samym obecnie w Polsce przyjęła.

Dziś kiedy rozejrzeliśmy się po ziemiach Rzeczypospolitej polskiej, wiele z tych ludowych form budowniczych i zdobniczych spotykamy w najrozmaitszych miejscowościach, zakłete w bożnice, kościoły, domy podcieniowe, niemniej i w chaty włościańskie.

Tylko cała ta kultura ludowa, na dołach rozkładająca się widocznie, w szczątkach rzadziej rozsianych istniejąca, nie zwracała na się uwagi badaczy i artystów. Jeszcze pisanki, stroje lub wyroby wyszywkowe i tkackie, pociągały oko swoją bajeczną kolorowością i dziwnymi formami.

Tymczasem na Podhalu działała i działa po dziś dzień masowością zjawienia i żywotnością tak do niedawna silną, że mimowoli cofała się wyobraźnia ludzka, widząca te dziwy, wstecz do cudownej bajki polskiej historycznej — do Piastów i Ziemowitów.

„Zasnąć nie mogłem, pisze p. K. Łapczyński w „Tygodniku ilustrowanym“ z r. 1862, bo zdziwiony oglądałem szczegóły mego pomieszkania. Wyobraźcie sobie, zajmowałem królewską komnatę Ziemowita... Była to duża izba o dwóch oknach, o heblowanych ścianach i z takimże sufitem. Belki i podpierający je gruby siostrzan heblowane były podobnie, a prócz tego wyrzynane w bardzo pracowite desenie jakiegoś przedchrześcijańskiego stylu, którego u nas na płaszczyznach już tylko ostatnie zabytki na chłopskich skrzynkach pozostały. W tych deseniach przemagały wpółśrodkowe koła, łodygi systematycznie w kielichowate liście ubrane i ząbkowane pasy. Drzwi niskie, ale szerokie, z porządnym zamkiem, z półtora łokciowe-

mi odrzwiami i potężnym progiem, również jak siostrzan starannie były rzeźbione. Ławy obiegające izbę do koła, czteropiętrowe półki, obciążone gromadą nigdy nie używanych mis, fłasz i polerowanych garanków, szeroki gzymś uwieńczony galeryjką, z dwoma tuzinami kwiecistych talerzy, wieszadła do sukni, zajmujące całą ścianę naprzeciw okien, trzy skrzynie, stołki i nareszcie ogromne łoże, wszystko to najstaranniej było wykończzone i wyheblowane. Delikatnością rzeźby celowało nad wszystkimi sprzętami lipowe wieszadelko, na którym, jakby na przezroczystej koronce, zawieszonych było kilkanaście okrągłych z długimi trzonkami, zgrabnych, drewnianych łyżek. Ale i ta koronka gasła przy jaworowym stole... Górale nie lubią udawać muru, więc ściany wiązane były w węgły z pięknie ociosanych dwunastucalowych bierwion. Do szczegółów należały: oryginalne podhalskie odrzwia, nabijane starannie wyrzuwanymi kółkami, potężny dach, szczyty w gustowne desenie wążkami deseczkami naklejane¹⁾.

Jednak istota tego, co na Podhalu widzimy, jest jak najściślej zespolona z tem, co jednostkowo spotykamy gdzieindziej.

Wiązanie węglowe „na zamek“, choć może najdosłowniejsze u stóp Tatr, jest mimo to zasadniczo pokrewnem z tem, co w całej Polsce spotykamy.

Czoła dymnikowe, ozdobne sosręby, skrzynie, rozkład chaty i wnętrza izb powtarzają się w wielu miejscach, tylko mniej ozdobnie i wytwornie.

Dziś ta kultura ludowa, chłopska w pojęciu zwyrodniałem współczesnej mieszczańsko-kapitalistycznej cywilizacji, była jednak niegdyś dorobkiem całości plemienia polskiego, i od króla do chłopu każdy szlachcic czy pan mieścił się w takim drewnianem dworzyszczu, póki XV i XVI wiek inaczej mieszkać i żyć panujące warstwy u nas nie nauczyły.

Jeszcze w XV wieku, jak pisze w swej doskonałej pracy p. Puszeta, powtarzając tę wiadomość za prof. Potkańskim, znajdujemy w naszych aktach sądowych przykłady, że bracia dzielą się domem i jeden szlachcic bierze „stubam albam“ a drugi „stubam nigram“.

A w popisie zamków wołyńskich wydanych przez profesora Al. Jabłonowskiego jest również wiadomość wskazująca na jednolitość dzisiejszej, polskiej kultury chłopskiej, a dawniejszej szlacheckiej.

¹⁾ Cyt. u Ludwika Puszeta: „Chata“, str. 7.

„I zbudowali sobie p. Stanisław Falczewski w środku dom drewniany, świetlicę, sien i komorę“¹⁾).

Ta zaś świetlica, sien i komora, lub świetlica i izba czarna, powtarza się nieustannie w słownictwie i pojęciu ludowem, odnoszącem się do rozkładu chałupy.

Wysokie dachy odnajdziemy u Górnickiego, jako typ budownictwa szlacheckiego drewnianego XVI stulecia. Sosręb istnieje długo w dworach szlacheckich, w zabytkach aż po XIX stulecie. Pisane, i malowane dzbany, z których pije góral wschodnio-galicyjski, odnajdziemy u Kochanowskiego („Dzbanie pisane, Dzbanie malowane“). Piece z kafli ozdobnych, zaniesli polscy garncarze aż na Pokucie.

Tak więc zagubiona w pamięci i ledwo w podaniach i w nielicznych szczątkowych zabytkach przechowana kultura dawna plemienna Polski, żyła w chłopskiej chacie Podhala, jak iskra pod warstwą popiołu i zabłysła zdumionemu oku współczesnego inteligenta, pełnego wątpliwności w odniesieniu do osobowości kultury polskiej.

I pod tym kątem należy rozumieć rozmiłowanie się prawie religijne w zabytkach w „dziadach podhalskich“, ze strony tych, którzy w twórczy sposób zetknęli się ze starą, artystyczną kulturą Polski, przechowaną na Podhalu.

Ludzie ci czuli, że po za tymi zabytkami ginącymi, rośnie w wyobraźni ta strona przeszłości Piastowskiej i Jagiellońskiej, której śladu niema ani w pisanych, ani w drukowanych archiwach, której nie szukać po murowanych zabytkach miejskich i kościelnych.

A jednocześnie rozsuwał się horyzont dziwnie chwytający za serce na przyszłość. Myśl posiadania własnej sztuki, wyrosłej kość z kości, krew ze krwi narodu od niepamiętnych czasów, zakreślała coraz szersze kręgi, aż i przywiązała dusze na zawsze do tej świętej sprawy. W r. 1886 znaleźli pp. Dembowscy z panem Witkiewiczem pierwszy łyżnik, dziś relikwię sztuki ludowo-narodowej, od której wzięły początek bogate zbiory pp. Dembowskich i p. Zygmunta Gnatowskiego.

Niedługo później zjeżdża dr. Władysław Matlakowski. Mazowiecka, twarda, chłopską nieugiętością opatrzona dusza, na swój sposób pojęła służbę dla sprawy.

Śmiertelnie chory, mając za współpracownicę, żonę, zdołał zgromadzić tyle rysunkowego materiału, że powstały z tego dwa potężne podstawowe dzieła: „Budownictwo i zdobnictwo ludowe na Podhalu“. Lecz największą zasługę ma Stanisław Witkiewicz.

¹⁾ Rewizya zamków ziemi wołyńskiej z r. 1545, str. 97.

Bez niego zabytki podhalskie stałyby się może osobliwością antropologiczno-etniczną (wszak pierwsze dzieło Matlakowskiego zostało wydane kosztem komisji antropologicznej Akad. Umiejętności), ale nie zapłodniłyby współczesnej sztuki polskiej swojemi formami. Z motywów podhalskich w r. 1888 powstają pierwsze meble „zakopiańskie“ dla p. Potkańskiego.

W r. 1892 zjawia się „Koliba“, pierwsza willa polska zbudowana dla p. Gnatowskiego. Równocześnie buduje się wedle planów Witkiewicza dom p. dr. Chrostowskiego. W r. 1892 powstaje willa „Oksza“ dla p. Kossakowskiego, dla pp. Dolińskich „Zofiówka“, Sanatorium dr. Howranka.

Lecz najcudniejszą perłą w tym sznurze dzieł ludowych, jest dom „pod Jedlami“ pp. Janowstwa Pawlikowskich.

Położony na szczycie „Kozinca“ piętrzy się szczytami, z pajłą otwartą na góry, z kądem otwierającym się przecudowny widok na sfalowane, zastygłe morze reglów i Tatr, sprawia widokiem swoim niezapomniane wrażenie.

Dom „pod Jedlami“ wyrosły, wybujały z tych chat tułących się u jego stóp, związany jednak z niemi wnętrzem i wnętrzem zupełnie, stał się w ten sposób jakoby symbolem budownictwa polskiego współczesnego.

Kiedy na projektach profesora Odrzywolskiego „zakopiańskich will“ widnieje wpływ wiązania wzięty z ryglówki niemieckiej, wskazującej na to, że profesor krakowski nie zdążył się oduczyć tego, czego się za młodu od Niemców nauczył, to wille Witkiewicza są jak najczystsze we wiązaniu i w zdobieniu polskie.

Witkiewicza uchroniło od błędów ogromne przywiązanie do kultury budowniczej podhalskiej.

Dając tylko podstawę projektu, drobny szkic ołówkowy, tworzył swoje dzieła na wprost z cieślami góralskimi, wprost na miejscu budowy, nieświadomie w ten sposób postępując drogami, na jakich powstawały wszystkie arcydzieła starożytnej i średniowiecznej sztuki.

Skromność twórcy, skromność tak rzadka wobec zarozumiałości wielu współczesnych artystów, chcących uważać siebie za początek i koniec w autorstwie i niepozwalających żadnemu rzemieślnikowi być sobą w tworzeniu—stała się w tym wypadku olbrzymiem źródłem oryginalności i odrębności idącej aż do najdalszych źródeł. Pamiętać zaś trzeba, że urzeczywistnienie tych marzeń pierwszego twórcy-budowniczego polskiego dokonywało się wśród największych trudności. Kaplica „jak pokój ten, wielkości takiej“ z liśćmi paproci rzeźbionemi, powstała tylko dzięki ofiarności Zygmunta Gnatowskiego.

Zakłęte w brzości i lipę łyżnikowe motywy żyją, wywalczone i okupione ciężko przez Witkiewicza. Pozbawienie wykonania wielkiego ołtarza i ubieżenie przez Kowatsa w sprawie dwóch bocznych ołtarzy, przyprawiło go o wybuch krwi...

Nie chodziło Witkiewiczowi o swój bezpośredni udział, bezinteresowność jego posuwała się i posuwa tak daleko, że prawie wszystkie projekty robione zostały darmo, bo tego wymagało apostołstwo sprawy.

Ale artystyczna i rozmiłowana w sztuce polskiej dusza nie mogła strawić bezkarnie tego cierpienia jakie sprawił jej widok samowarowych złocen i kogutkowych motywów, branych przez Kowatsa, Bóg wie skąd i Bóg wie na co. Dziś ten kościół w Zakopanem zapełniony też został i malowidłami banalnymi i obcymi duchowi narodowemu, bo tak postanowili ludzie, którzy kształtu i prawdy swoich motywów nie odczuli.

Mimo tych cierni i głogów na drodze, którą stąpa sprawa odrodzenia sztuki polskiej, liczba miłośników arcyzmu, z ludu poczętego, rośnie z dnia nadziei, a co najdziwniejsze nawet u ludu smak się zmienił i kiedy jeszcze niedawnymi czasy góral się wstydził swoich chat, to obecnie nowe mieszkania górali w Zakopanem, a nawet w Czarnym Dunajcu i Chochołowie, budują coraz to inaczej i ozdobniej w góralskim sposobie.

Tym zaś, który to koło rozwojowe, rozgniatające do niedawna w imię kapitalizmu stare formy, zawrócił i nowy, twórczy dla narodowej sztuki pęd mu nadał — jest nie kto inny, tylko Stanisław Witkiewicz.

Klasy pracujące wzorują wiele rzeczy w swojej kulturze na życiu i upodobaniach stanów wyższych... używających.

Przekonanie śmietanki kulturalnej w Zakopanem, że chata górala, będąc dziś skończonym wyrazem dworu dawnego szlacheckiego, zdolna jest do najwyższego rozwoju, podziałała i na odnowienie zamiłowania u ludu widzącego, że się „panowie nie wstydzą chłopskiego sposobu“ i że nawet korona królewska może się zdobniczo między kołkami na odrzwiach pomieścić.

Powstała jeszcze sprawa odtworzenia stylu polskiego ludowego w murowaniu.

Ze względów w dzisiejszych czasach decydujących, mur kamienny czy ceglany stał się panującym, w wielu okolicach wyłącznym tworzywem budowlanym.

Tymczasem formy ludowe w drzewie poczęte i w drzewie w dużej części wyrosłe, pozornie łamią się w chwili przenoszenia na kamień lub cegłę.

Tak myślano do niedawna. Wprawdzie zbijał ten sposób myślenia fakt powstania form w kamiennych świątyniach Grecyi z konstrukcyi drewnianej dawnych chat helleńskich, wprawdzie wskazał w ostatnich czasach Francuz Curajod na ogromny wpływ miejscowego ludowego budownictwa, na powstanie gotyku francuskiego, ale mimo to trudności zdawały się niezwalczone. Zbudowanie najodrobniejszej i najwytworniejszej willi drewnianej, nie przedstawia najmniejszej trudności. Istnieją motywy wiązań drzewnych, okien, drzwi, odrzwi, dachów, przyczółków, pazdurów, rysiów, pował sosrębowych wzorzystych, pieców kaflowych malowanych; artyście wystarczy umiejętnie je tylko zestawiać i stosować, a dzieło sztuki rośnie w oczach.

Już rzecz z murowaniem. Tam formy w drzewie wyrobione musi się przenosić na kamień i wyprawę, i w tym celu powinny one ulegz przetworzeniu, wywołanemu przez zmianę materiału.

Witkiewicz zrozumiał doskonale ważność tego zagadnienia. Nie przesądzając roli, jaką może odegrać w sztuce polskiej odrodzenie dawnego narodowego gotyku, renesansu i baroku, chciał mimo to popchnąć twórczość polskich artystów w kierunku przeniesienia form polskiego stylu ludowego na kamień lub wyprawę.

Sam w r. 1892 zaprojektował dom murowany w stylu „Zakopiańskim“ dla p. Reja, również w ostatnich czasach kurhauz w Połędze został w tym sposobie zaprojektowany.

Sprawa ta, będąc dziś bliską rozwiązania, jeśli chodzi o dwory szlacheckie, „kurhauzy“, słowem budowle na poły wiejskiego charakteru—natrafia w tworzeniu budowli czysto miejskich na wiele trudności, tkwiących głównie w uprzedzeniach i nieznajomości wewnętrznych organicznych cech stylu budowniczego ludowego u wielu polskich architektów.

Ani więc walka o dalszy rozwój i pogłębienie stylu ludowego w społeczeństwie nie jest ukończona, ani sama działalność płodna Witkiewicza nie jest i da Bóg nie tak prędko jeszcze będzie zamknięta.

Należało się jednak dziś, kiedy sprawa dojrzeła i coraz szersze kręgi w społeczeństwie zatacza, ocenić i uporządkować źródła twórczości i samą twórczość tego niezwykłego człowieka, przepatrzeć obywatelską pełną szlachetnych dążeń duszę, bodaj w jednym jej życiu rozgałęzieniu.

Po za tem jest w Witkiewiczu wielki myśliciel, artysta malarz, krytyk, publicysta takiej miary, że lepiej jeśli inne, wprawniejsze pióro, na tych dalszych dla piszącego polach, „pana Stanisława“ oceni.

Ja chciałem o Witkiewiczu napisać tylko, jako o pierwszym współczesnym polskim budowniczym.

KAZIMIERZ MOKŁOWSKI.

Dramat i opera.

I.

Trzy miesiące letnie można by w tym roku nazwać sezonem aktorskim. Do literatury nie wnieśli one nic, albo prawie nic; bo przecież nie mają z nią nic wspólnego takie utwory, jak „Bogaty wujaszek” Karlweissa, a zaledwie zdaleka sąsiaduje z literaturą „Capstrzyk” Beyerleina. Panował więc niepodzielnie na naszej scenie w ciągu ubiegłego kwartału lwowski gość, p. Kazimierz Kamiński, do którego pod koniec przyłączyła się p. Irena Solska; a tymczasem stały personel dramatu i komedyi zażywał dobrze zasłużonych wczasów; w repertuarze zaś iśćciły się ideały „reżysera głównego”: widzieliśmy przeniesione z teatru Nowości do teatru Letniego, w obsadzie poważnych artystów, takie arcydzieła, jak: „Kłusownicy” Hertzla, „Pan Dyrektor” Bissona—i ta transpozycya udawała się w większej części wypadków, dzięki dziwnie wszechstronnemu talentowi jednego aktora. Były chwile, kiedy naprawdę chciało się uwierzyć w paradoks Hermana Bahra, który niegdyś, pod wpływem gry Zacconi’ego, machnął bez ceremonii ręką na wszelką literaturę i jedyną rację bytu teatru znalazł we wrażeniach, dostarczanych przez aktorów.

Mniejsza o paradoks, gdyby chciał nim zostać w stosunku do literatury i sceny; ale nie można go lekceważyć, kiedy od czasu do czasu występuje w szacie kompletnej artystycznej teorii. Spotkaliśmy się już z podobną teorią, rozsuwającą tak daleko granice „indywidualizmu” aktorskiego, że mu pozwalała przy odtwarzaniu cudzych pomysłów, dowolnie parafrazować motywy, znalezione u twórcy. Zgadzano się prawie na grę pod hasłem Altenberga: „jak *ja* to widzę” — zapominając, że sztuka dramatyczna jest nierównie więcej niż inne sztuki zależną od materiału, z którego urabia dzieło. Wobec barw, światła i cieniów, wobec plastyki kształtów, malarz i rzeźbiarz, nawet walcząc technicznie z materialnym oporem farb, gliny, marmuru, sta-

ją bądź co bądź samodzielni, niezależni: tworzą to, co sami mają w wyobraźni, w uczuciu. Aktor dostaje materyał gotowy; między nim a prawdą życia, czy jego poezją, staje dramaturg, poeta, z którym aktor liczyć się musi, i dobać się winien przede wszystkim, „jak to widzi *tanten*“. Badania indywidualne mogą się u rozmaitych aktorów różnić co do środków odtwarzania, mogą się zagłębiać w kierunku syntetycznym, ale wynikiem ich zawsze będzie „reprodukcya“, a jeżeli nią nie jest, cierpi na tem pierwszy twórca, który dał autorowi materyał, w rzeczy, najprzód przez siebie stworzonej. Już muzyka pokutuje często za ten indywidualizm wykonawczy, interpretujący największych mistrzów, „jak *on* ich słyszy“, i szukający w Beethovenie, w Schumannie, w Chopinie sugestyi jedynie do własnych fantasmagoryj. Ale dźwięk ze swoją naturą nieuchwytną, rozplywającą się w nastrojach, łatwiej nagina się do samowoli wykonawcy, niż słowo, stojące na straży myśli poety i strzegące go wiernej od zdrady tłumacza; jest więc ta zdrada dotkliwszą, jeżeli dopuści się jej aktor.

Trzeba przyznać, że ją pod pewnym względem ułatwia najnowsza literatura dramatyczna. Nigdy może tyle, co dzisiaj, nie pozostawiano aktorom do „dotwarzania“, choć komentarze psychologiczne autora w dramacie współczesnym więcej prawie wypełniają miejsca, aniżeli to, co ze słów i czynów bohatera powinnyby duszę jego ujawnić. Poeta zajmuje się drobiazgowo nie tylko materyalną charakterystyką wprowadzanych na scenę postaci, ale kreśli starannie duchową ich fizyognomię. Mówi za nich gdy milczą; odsłania tajemnice kropek, wykrzykników i znaków zapytania, rozsianych wśród dyalogu; manipuluje sprężynami, wywołującami odruchy nieświadomości; daje uzewnętrznionemu życiu podkład życia utajonego. Zdawałoby się, że tem wszystkim autor kępuje aktora, że mu narzuca rysy, kształty, psychologię... Tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie. W atmosferze niedopowiedzeń, domyslników, zagadek, aktor czuje się panem wszechwładnym; wie, że nikt nie czyta, nie słyszy glossy autorskiej, ale każdy widzi plastyczny komentarz aktorski, w którym indywidualizm bujać może z niczem niepoohamowaną swobodą. Buja też bez przeszkody, i tem fantastyczniej, że protestu poety nie bardzo potrzebuje się obawiać; — owszem, poeta z ciekawością niekiedy przygląda się niespodziewanej fizygnomii swego dzieła. Zapewne — to nie to, czego *on* chciał. Ale ponieważ wydarza się czasem, że sam nie wie dobrze, czego chciał, więc go zajmuje to, co inni za niego chcieli. Zresztą, jest w nim dzisiaj kawałek aktora, pozującego przed zwierciadłem własnej indywidualności, i na gruncie tego aktorstwa przychodzi często do kompromisu między twórcą i wykonawcą.

Przyjrzyjmy się naprzykład Wedekindowi, jeżeli wogóle przyrzyć się można tej postaci młodego, rozpieszczonego kochanka, który z urągliwą *grandezzą* próbuje roli „komicznego starca“; posłuchajmy tych fragmentów ironicznej spowiedzi, wśród których drga zawsze jakaś zerwana, zgrzytliwie dźwięcząca struna. Nad stronicami książki, nad deskami teatru rosną w naszych oczach bańki mydlane, lekkie, wytwornie, barwne, bogate różnaitością mieniających się świetnie kolorów. Rosną... i wtedy właśnie, gdy rozegrały się najpiękniejszą tęczę... pękają. Prysnęły rozsądzone myślą poety. Wedekind wydyma je, wydyma intelektualnie, sam się bawi migotliwością farb, ale nie daje swoim kreacyom ani chwili czasu, żeby mogły stać się żywymi, zwłaszcza gdy bańki wypełnia tchnieniem negacyi, zniszczenia. Bezcielesne prawie, rozkołysane w jakichś ciągłych, przejściowych rytmach, mają, oczywiście, mało realnej miazgi. Poruszając się poza potrójnym wymiarem rzeczywistości, nie są może abstrakcyami, ale są naprawdę rozedrganiami w słowach odcieniami, a ruch ich na scenie wygląda, jak gdyby ktoś nieważniki łapać chciał siatką na motyle. Weźmy cykl dramatyczny: „Duch ziemi“ i „Puszka Pandory“. Co jest w tych strasznych epizodach z ziemskiej egzystencyi kobiety-demonia: aktualność, moment życia, w przelocie pochwycony, wizye czy też szamotanie się maryonetek? Jakieś echa i refleksy stoją, chodzą, siedzą, leżą i mają pozór swoich własnych ciał astralnych. Snują się kolo siebie, przenikają się wzajemnie, roztopiają jedne w drugich, i wśród smutnych swoich losów, oplakanych wydarzeń, grozą przejmujących sytuacji, cisną się ku nam ze sceny, jak ogromne cienie z latarni czarnoksięskiej, to znów drobniejac, gdzieś w dal pierzchają, zupełnie jak gdybyśmy patrzyli na to na przemian przez duże i małe szkła lornetki teatralnej. A teraz wystawmy sobie aktora, próbującego uchwycić życie pomiędzy temi drgnieniami kinematografu. Każą mu falujące rytmy uzmysłować w dykeyi, która więzi, w gestach, które krzepną; przekształcić sztukę aktorską na jakąś niestworzoną jeszcze muzykę dramatyczną. Takiej muzyki dotąd niema—więc aktor gra co i jak mu się podoba.

Albo Bernard Shaw..., który psychologię swoich bohaterów formalnie reżyseruje i w wielomównych uwagach psychologa-inscenizatora miewa prawdziwie epickie rozpędy. Ta reżyserska epika ma być dla aktora narzędziem do stopniowania; do wysubtelniania, do uprzytomnienia widzowi wlotu pyłków, atomów nieświadomej duszy ku jaśni świadomości; cóż, kiedy dwudziestej części tych wlotów grubemi środkami aktorskiemi wyrazić nie można! Tołstoj, Halbe, wysyłają niekiedy przed swemi figurami analityczne rysopisy; Shaw robi to przy każdym niemal ruchu swego bohatera i samocharakterystykę je-

go redukuje czasami do wyrafinowanej pantominy, przedstawiając duszę w migawkowych niejako zdjęciach. Sceptyk skończony wobec logiki charakterowej, doprowadza Bernard Shaw Balzakowski aksyomat: „wszyscy umieramy niepoznani“ do paradoksów psychologicznych, usprawiedliwiających wszelkie niespodzianki. A w tych niespodziankach, w tej, rzecby można, namiętności do odsłaniania w każdym charakterze odwrotnej strony medalu, do rozdrabniania ludzi „z jednej sztuki“ na molekuly popolitości, lub do odnajdywania złotego piasku w błotnistych kałużach — jaka znów gratka dla aktora, jaka okazała się do indywidualnych wycieczek!

Nie pominiemy wreszcie modnego Oskara Wildego, który w „Wizerunku Doriana Graya“ siebie samego aż w trzech przedstawia postaciach, dzieląc własne ja między rozgłośnego malarza, dowcipnego lorda i pięknego młodzieńca. Duszę Doryana symbolizuje wymalowany genialnie przez artystę portret, na którym występują stopniowo odbite z życia oryginału piętna brzydoty moralnej, gdy żywy wzór zachowuje cielesną młodość i piękność nieskalaną, dopóki zrozwyczajony młodzian nie pchnął sztyletem obrazu i nie padł sam pod tym ciosem. „Wizerunek Doriana Graya“ jest powieścią; wspominam jednak o nim dlatego, że się stamtąd Oskar Wilde zapożyczył do dramatu: „Kobieta bez znaczenia“, kreśląc bohatera, w którym ta trójca objawia się w osobliwszej syntezie, czarodziejsko oświetlonej fajerwerkami paradoksów, wydobywających ze sztucznej na wskroś figury złudne, lecz nadzwyczajne efekty plastyki. Można sobie wystawić jak chętnie aktor rozpała takie bengalskie ognie i jak się sam z lubością rysuje w barwnych ich odblaskach.

Bywało już tak przed laty. Zapisaly się czasy Scribego i jego szkoły w historii teatru, jako doba repertuaru aktorskiego. Literatura przedstawiała wtedy świat pod kątem teatralnym; po scenie, zamiast ludzi, chodziły role; uczucia, namiętności przemawiały do słuchaczy „efektami“; dusza miała widomą, dotykalmą prawie plastykę w zewnętrznej fizygnomii człowieka, którą aktor brał z powierzchni życia. Gra była wszystkim, więc pisarz zdawał się na łaskę i niełaskę aktora. Ale jakim sposobem dzisiejszy subiektywizm literacki godzi się na taki stosunek twórcy do wykonawcy, czem się dzieje, że poeta zdaje się niekiedy brać aktora na spowiednika swej duszy — to trudniej nierównie zrozumieć. Chyba że to jeden z momentów fermentowania zaczynów twórczych, z których wynurzyć się ma nowa poezja, nowa sztuka; chyba że to może ostatnie potracenie ku reakcji, przewidywanej nawet przez takiego w teatrze rewolucjonistę, jak Maurycy Maeterlinck.

Śledząc ewolucję współczesnego dramatu, autor „Monny Vanny“ wróży nowy w niej zwrot, któremu poświęcił jeden z rozdziałów swojej najnowszej książki: „Le double jardin“. Cechę, znamionującą dzisiejszy dramat, widzi Maeterlinck w „paraliżu postępowym“ akcji zewnętrznej, z występującą jednocześnie skłonnością, bardzo wyraźną do wnikania głębiej w sumienie ludzkie, do ogarnięcia, w szerszej niż dotąd mierze, zadań moralnych. Na scenach dzisiejszych mniej się wydarza nadzwyczajnych przygód, krew rzadziej się leje, namiętności nie tak gwałtownie, jak dotąd, wybuchają, bohaterstwo spokojniej przemawia, odwaga mniej jest dziką i materyalną; nie słychać krzyków, nie widać prawie łez; szczęście i nieszczęście istot ludzkich rozstrzyga się nie na dekoracyjnym tle minionych dawno czasów, lecz w ciasnym, dzisiejszym pokoju przy okrągłym stole, w odbłyśkach płonącego na kominku ognia. Człowiek kocha, cierpi, zadaje cierpienia, umiera w jakimś zakątku swojej siedziby i chyba tylko przypadkowo uchylą się na chwilę drzwi, lub otworzy się okno pod telnieniem nadzwyczajnej rozpaczki, albo nadmiernej szczęśliwości. Nie czuć też Opatrzności, panującej nad akcją ani Przeznaczenia nieubłaganego, które każdemu gestowi człowieka nadawało tragiczne znaczenie i rozpościerało naokoło posępną atmosferę. A choć występuje i teraz straszna zawsze tajemnica Nieznanego, jest w swej zmiennej, problematycznej postaci Dziedziczności, lub Determinizmu, tak niepewną, tak arbitralną, że owa, wczoraj narodzona potęga wydaje się starszą i mniej jeszcze prawdopodobną od tych, których miejsce w przystępie dumy zajęła. Gdzież więc szukać wielkości, piękna, skoro niema ich ani w akcji widomej, ani w słowach, pozbawionych obrazowego uroku; gdzie szukać tej poezji, tego widukręgu, którego niepodobna odnaleźć w tajemnicy, istniejącej wprawdzie, ale ulatniającej się z chwilą, gdy jej nazwę dać próbujemy?

Dramat nowoczesny zaczyna widocznie zdawać sobie z tego wszystkiego sprawę. Nie mogąc już rozpościerać się na zewnątrz, ani odwołać się na seryo do bóstwa, do Fatalności, wszedł w siebie i usiłuje w krainie psychologii, w sferze życia moralnego odkryć równoważnik tego, co był utracił w dawniejszej dziedzinie życia zewnętrznego; zagłębia się więc w sumienie ludzkie, ale tam znów napotyka niespodziane i osobliwsze trudności. Zstąpić w głąb sumienia ludzkiego — to nie tylko wolno, ale to nawet obowiązek myśliciela, moralisty, powieściopisarza, historyka, bodaj nawet liryka. Inaczej z poetą dramatycznym; ten nie może za żadną cenę być filozofem bezczynnym, kontemplacyjnym, nikt bowiem nie potrafi obalić prawa, rządzącego wszechwładnie teatrem i domagającego się zawsze na scenie *akcji*. Z chwilą podniesienia zasłony, wszelkie wysokie pragnienia

intelektualne, które przynieśliśmy z sobą do widowni, przekształcają się odrazu i tkwiący w nas myśliciel, moralista, mistyk, czy psycholog, ustępuje miejsca *widzowi instynktowemu*, człowiekowi, naelektryzowanemu ujemnie przez tłum, który chce, *żeby się coś na scenie działo*. Dziwnem być może takie przeobrażenie, ale jest niezaprzeczalnem; wywołuje je widocznie wpływ ciżby ludzkiej, jakaś właściwość naszej duszy, wyposażonej organem specjalnym, nie podlegającym doskonaleniu, a przeznaczonym do myślenia, odczuwania i wzruszania się *massowo*. Od chwili, kiedy ten organ zaczyna działać, niema słów tak cudownych, tak głębokich, któreby się nam nie uprzykrzyły, jeżeli nic nie zmieniają w sytuacji, jeżeli nie zmierzają do czynu, nie wytwarzają decydującego starcia, nie przyśpieszają ostatecznego rozwiązania.

Skądże tedy wyniknąć ma akcja w sumieniu człowieka? Na najniższym szczeblu wytworzy ją walka między sprzecznymi namiętnościami; wyżej — walka między namiętnością i prawem moralnem, między obowiązkiem i żądzą. Ale i takie zapasy przestają już wystarczać i na krańcowym biegunie sumienia ludzkiego, w dramatach Björnsena, Hauptmana, a zwłaszcza w sztukach Ibsena, kończą się zasoby nowej dramaturgii. Istotnie, im głębiej zstępujemy do sumienia ludzkiego, tem mniej znajdujemy w niem kollizyj; można bowiem zejść w głąb tylko do rozjaśnionego sumienia, a tam żądze są nierównie spokojniejsze, mniej wymagające, cierpliwsze, bardziej oderwane, niż w zwykłym sumieniu. Z drugiej strony, to rozjaśnione sumienie nieskończenie mniej praw nad sobą uzna, nieskończenie mniej usankcyonuje wątpliwych, lub zgoła fałszywych obowiązków, pod których powagę podszywają się różne przesady, błędy, rozmaite półprawdy i całe kłamstwa. Z chwilą bowiem, gdy słońce weszło do sumienia, panuje tam jeden tylko obowiązek: czynić jak najmniej złego i kochać innych jak siebie samego, a z takiego obowiązku dramat powstać nie może. Zanim jednak w sumieniu ludzkim przybędzie namiętności użytecznych, a ubędzie oplakanych powinności; zanim na scenie świata zobaczymy więcej szczęścia, a mniej tragedyj, wielki obowiązek miłości, sprawiedliwości, przyćmiewający wszystkie inne, gości przecież we wszystkich ludziach dobrej woli. I może z walki tej powinności przeciwko naszemu samolubstwu narodzi się dramat bieżącego stulecia. Po przebyciu tego etapu w życiu rzeczywistem i na scenie, będzie może wolno mówić o teatrze Pokoju i Piękna, o teatrze bez łez.

Zatrzymaliśmy się dłużej na tem oryginalnem *credo* Maeterlincka, bo zdaje się ono nietylko zapowiadać nową fazę w jego własnej twórczości, ale próbuje odsłonić dalekie dla przyszłego teatru hory-

zonty. Widnokręgi to mgliste, rozsnute, jak dotąd, z niewyraźnych przeczuć, z literackich więcej, niż życiowych horoskopów. Widzimy tam w odległej perspektywie to, czego poeta pragnął; warto w końcu rzucić okiem na to, czego zdaje się nie chcieć.

„W sztukach Ibsena — zaznacza Maeterlinck — zstępuje się również bardzo głęboko do sumienia ludzkiego; ale dramat jest tam tylko dlatego możliwy, że się w te głębie zstępuje z osobliwszem światłem, z jakimś płomykiem czerwonym, posępnym, kapryśnym i, jeżeli tak rzecz można, przekętym, który oświetla jedynie dziwaczne widziadła. Obowiązki zaś, stanowiące czynnik akcji w tragediach Ibsena, leżą nie z tej, lecz z tamtej strony rozjaśnionego sumienia; stykają się więc często z niesprawiedliwą dumą, z rodzajem waryactwa zgorzkniałego i chorobliwego“. Spostrzeżenie pod piórem modernisty znamienne, a jakie prawdziwe, i jak tę prawdziwość plastycznie w grze uwydatnił p. Kamiński, przedstawiając „Gabryela Borkmana“!

II.

Powracamy do p. Kamińskiego zrobiwszy małą wycieczkę do Europy. Ekskursya akademicka i czysto platoniczna, — ale i taka przynosi pewną ulgę między przedstawieniami „Kłusowników“ i „Bogatego wujaszka“. Nie wiele po niej mamy do powiedzenia o „Kłusownikach“ — chyba to, że autor tego fabrykatu umarł, nie zdążywszy założyć państwa Syonistycznego. Zdawałoby się, że śmierć Haertzla niema nic wspólnego z literaturą; reżyseryja jednak wyczuła widocznie związek jej z kassą, skoro wkrótce po pogrzebie autora zarządziła ekshumacyę jego dzieła i przeniesienie zwłok na inną scenę. Odbył się więc drugi pogrzeb w Ogrodzie Saskim — i tym razem, zdaje się pochowano „Kłusowników“ na dobre. Opłakiwać ich niema powodu; był to jeden z tysiąca banalnych wyrobów, sporządzanych wedle zużytego już wszędzie szablonu. Zwierzyną podkradaną przez kłusowników są kobiety, a miejscem łowów — stacya kąpielowa, z kosmopolitycznemi stosunkami, ułatwiającemi polowanie. Rzemiosło przyjemne; ale miewa swoje niespodzianki. Taka siurpryza spotkała jednego z trzech „kłusowników“, sprowadziwszy go trafem do hotelu, gdzie mieszka jego porzucona żona i córka, urocze dziewczę, wykwitłe z dawno niewidzianego dziecka. Sytuacyę łatwo odgadnąć; mąż —

lekkoduch nietylko sam czuje się zaskoczonym tem spotkaniem, któremu dość długa rozłąka dodała specjalnej podniety, ale musi jeszcze bronić obie kobiety od przedsięwziętości towarzyszków, operujących pod hasłem: „co na placu to nieprzyjaciół“. Pokazuje się w końcu że najlepszą ochroną dla ściganej zwierzyny jest miłość prawdziwa; ta bowiem popycha w objęcia żony nawróconego i powtórnie zakochanego małżonka, a w najmłodszym kłusowniku przygotowuje materiał na wzorowego oblubieńca. Niccoś sztuki jest tak rozpaczliwa, że nawet dla aktorów nie nastęcza wdzięcznego pola; nikt tam właściwie niema nic do grania i jedno chyba pragnienie, po za osobliwszym holdem dla pamięci syonisty, mogło skłonić „reżyserkę główną“ do zmartwychwskrzeszenia tej nicości — chęć zaświadczenia o pomysłowości reżyserskiej. Jest tam powtórzony kilka razy, jak na komendę, przez artystów teatru Rozmaitości efekt zakładania nogi na nogę i przekładania prawej na lewą a potem lewej na prawą z zastosowaniem w ruchach mechanicznej jednoczesności. Czyż ten pomysł nie przypomina ulicy Danielewiczowskiej, Królewskiej lub Długiej, a rezygnacya z jaką poddali się takiej operetkowej komendzie pp. Nowicki, Wojdałowicz i Wostrowski, czy nie dowodzi jasno, że bronione niegdyś w Komisji teatralnej przez przyszłego „reżysera głównego“ dążenie do „zrównania poziomu naszych scen dramatycznych“ zaczyna już wchodzić w życie?

„Bogaty wujaszek“ usprawiedliwia może najdowodniej postawioną na początku tezę o pewnem niebezpieczeństwie, na jakie narażić może literaturę dramatyczną wirtuozostwo aktorskie, święcące tryumfy w fabrycznych wyrobach. Każdy kto śledził grę p. Kamińskiego w komedii Karlweissa, mógł się o tem przekonać. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej od tej sztuki konwencyjonalnego, ale trudniej jeszcze zdać sobie z tego sprawę, dopóki artysta lwowski znajduje się na scenie — a p. Kamiński prawie z niej nie schodzi, wypełnia ją całkowicie charakterystyką jednej figury, martwe naokoło siebie sylwetki wprawia w ruch nieustanny i podtrzymuje od pierwszej do ostatniej sceny tętno akcji, dzięki jemu jedynie łudzącej pozorami życia. Stary zbankrutowany arystokratyczny utracysz o rozmiękczonego mózgu, w którym zresztą nigdy nie skonsolidowanego tkwić nie mogło, staje się po prostu interesującym w rozmaitych formach tego rozmięczenia, odtwarzanych nietylko z doskonałą plastyką cech zewnętrznych ale z głębszem wniknięciem w umysłowe i moralne symptomy procesu rozkładowego. P. Kamiński daje odrazu fizyologię i psychologię swego bohatera; fizylogia zaobserwowana jest znakomicie, a w psychologii ileż ciekawych rysów! Jakie wyborne skojarzenie starczego dzieciństwa z zupełnym zanikiem

zmysłu moralnego! Ten ojciec, przynoszący córce za pożyczone pieniądze najdroższe róże w październiku i popychający ją pod grozą ruiny do ołtarza z synem podejrzanego spekulanta; ten dumny potomek wielkiego rodu, sprzedający swoje nazwisko za dobrą pensję prezesa rady nadzorczej, do pokrycia szachrajstw giełdowych, ma w swojej fizygnomii rozbijającą naiwność, w której niewiadomo kiedy występuje *marasmus senilis* a kiedy objawia się znieprawienie duszy; i właśnie ta niepewność, wyzyskana jest w sensie komicznym z takim artyzmem, że typ, nie nowy zresztą w literaturze dramatycznej (mieliśmy i my naszego „Słomianego człowieka“ z niezapomnianym Żółkowskim w roli tytułowej), jest niezaprzeczenie oryginalną kreacją p. Kamińskiego.

Z powodu „Pana Dyrektora“ Bisson'a stawiano p. Kamińskiemu w krytyce podwójny zarzut: najprzód, że podjął się roli, grywanej niedługo przez p. Śliwińskiego, powtóre, że chciał wogóle wystąpić w krotchwili. Na żaden z tych zarzutów nie mógłbym się zgodzić. Fakt, że p. Śliwiński porwał się onego czasu na rolę tytułową w „Panu Dyrektorze“ nie obniża jeszcze tej roli, grywanej wszędzie przez pierwszorzędných aktorów; dowodzi tylko, że panu Śliwińskiemu zdawało się przez pewien czas, iż jest aktorem, podobnie jak mu się teraz zdaje, że jest kierownikiem dramatu i komedyi; może więc „Pan Dyrektor“ źle grany apelować do „Pana Dyrektora“ dobrze granego. Co do krotchwili w repertuarze znakomitego artysty, ci co mu ją wymawiają zapomnieli, że Żółkowski grał margrabiego de la Seiglière i „Pafnucego i Narcyza“, że Królikowski potrafił być Franciszkiem Moorem i „Chłopcem okrętowym“; że Rapacki przybierał na siebie postać Jana Kazimierza w „Mazepie“ i Wicherkowskiego w „Domu otwartym“, że Frenklowi „Boubouroche“ nie przeszkodził grać „Cyrana de Bergerac“. To zaś co jest istotną tych zarzutów treścią: przeniesienie „Pana Dyrektora“ z jednej sceny na drugą, to tyczy się właściwie innego zgoła pana dyrektora i innych jego przenosin, należących już do „polityki teatralnej“, której, na szczęście, p. Kamiński uprawiać nie potrzebuje i której my też nie myślimy dotykać na tem miejscu, skąd krytyka nie zagląda za kulisy. Nie o to więc chodzi dla czego p. Kamiński grał „Pana Dyrektora“, tylko jak go grał; a odpowiedź na to pytanie była dla nas jasną jeszcze wtedy gdy artysta przedstawił się publiczności w epizodycznych rolach literata Heliodora w „Kawalerze Marcowym“ i Fujarkiewicza w „Domu otwartym“. Wówczas już stało się widocznem, że komizm działa w talencie p. Kamińskiego podobnem skupieniem, jak dramatyczność i pierwiastki charakterystyki rodzajowej; wtedy już zadziwił artysta siłą wyrazu, jaki umiał nadać fizygnomiom przedstawianych postaci, a to co

się objawiało takim skoncentrowanem życiem w drugoplanowych figurach, wystąpiło w szerzej rozwiniętej postaci „Pana Dyrektora“ z całym nateżeniem wydobywającej się od wewnątrz plastyki. Drugi raz grał p. Kamiński na naszej scenie urzędującego Francuza; ale jakże różnił się ten przedstawiciel administracyi, pewnej siebie, czujący pod stopami spokojny grunt, na którym rad pielęgnuje piękne kwiaty życia, od owego inkwidenta trybunalskiego, reprezentującego w „Czerwonej todze“ nerwowy, ruchliwy temperament sądownictwa! De la Mare i Mouson — to dwa typy, wyodrębnione z charakteru francuskiego z intuicyą psychologiczną, wiele mówiącą o inteligencyi artysty.

Gdy jednak przychodzi ocenić grę p. Kamińskiego w „Śniegu“ Przybyszewskiego, rodzi się pytanie: czy ta inteligencya nie nadużywa swej przewagi w procesie odtwórczym? czy w nim zbyt ucucia nie krępuje? Wrażenie takiej przemocy, wtłaczającej wszystko do wnętrza duszy, odnieśliśmy, patrząc na Kazimierza w interpretacyi lwowskiego artysty. Najbardziej może ludzka postać ze wszystkich, jakie stworzył Przybyszewski, interesowała dopóty, dopóki artysta charakteryzował w niej utajony sentyment, dopóki psychologia tego trawionego apatycznym smutkiem melancholika snuła się z samych zapowiedzi czegoś, co dopiero ma się objawić. Ale kiedy w trzecim akcie nadszedł ów oczekiwany moment objawienia się duszy kochającej, śliczna scena wyznania miłości Bronce zawiodła oczekiwania widzów i słuchaczów; dyskretya i powściągliwość w liryzmie stała się chłodem; urok całej sytuacji prysnął.

I tu tkwi może rdzeń charakterystyki całej indywidualności artystycznej p. Kamińskiego. Talent to przeważnie spostrzegawczo-refleksyjny; myśl pracuje w nim nad syntezą takich przedewszystkiem rysów obserwacyjnych, z których dałaby się wytworzyć najplastyczniejsza fizyognomia człowieka; stąd bardzo wydatna skłonność do akcentowania szczegółów, wydobywanych bądź z nadzwyczajnej precyzyi każdego wypowiedzianego słowa, bądź z rozmyślnych niedomówień, które mają też swoje odpowiedniki w odruchach gestykulacyi, charakteryzujących wewnętrzne stany duszy. Słowem p. Kamiński działa więcej rysunkiem, barwą, kształtem, aniżeli nastrojowym dźwiękiem; realizm wyziera u niego nawet z symbolu, jak np. w rozkołysanym chodzie więzionego zwierzęcia w „Borkmanie“.

Inaczej zgoła traktuje symbol koleżanka p. Kamińskiego, pani Solska, z którą zapoznaliśmy się również w sztuce Przybyszewskiego. Nareszcie oczom naszym przedstawiła się na scenie taka właśnie postać, jaką w swojej Ewie chciał mieć poeta. Od pierwszego ukazania się najprzód secesyjnie zarysowanej głowy, ujętej między

fałdy kotary, potem całej postaci o zagadkowym wyrazie w spojrzeniu, w uśmiechu w wyginających się węzowo liniach kibici, powlóczyło przystrojonej, widz znalazł się wobec niezwykłego zjawiska. Stała przed nim „kobieta nowa“, nie w bieżącym, krzykliwym, feministycznym wcieleniu, ale, w ideowym znaczeniu „żeńskiego pierwiastku natury“, siły kosmicznej, życie i śmierć niosącej; stała istota, streszczająca swoje aspiracje społeczne w parafrazie aforyzmu Sièyes'a „czem jest dziś kobieta? — niczem; czem chce być jutro — wszystkim“. Wygląda to niby abstrakcja, zupełnie oderwana od realnego gruntu; a jednak czuć w tym symbolu pulsowanie rzeczywistości; tylko jest to rzeczywistość, która nie z życia przeszła do literatury, lecz z literatury wciska się do życia. Rodziły się już nieraz w przełomowych chwilach podobne literackie typy i wypełniały przez pewien czas świat rozleglejszy lub ciaśniejszy swemi literackimi namiętnościami. Przebywamy właśnie taki moment i poznajemy w fizyognomii Ewy pierwowzór różnych, rozproszonych tu i owdzie, żywych portretów i portrecików, którym książka dała kontury a teatr użyczył plastyki światła, cieniów i kolorytu. W tym charakterystycznie odwróconym stosunku sztuki do życia tkwi jednak realny pierwiastek postaci, przedstawionej przez pania Solską z nadzwyczajnym artystycznym zmysłem, z doskonałym odczuciem filozoficznej intencji Przybyszewskiego i życiowych jej odgłosów.

III.

Literaturę mogły w ciągu tej wakacyjnej doby reprezentować w teatrze dwa utwory: „Capstrzyk“ Franciszka Adama Beyerleina i „Kopciuszek“ p. Walewskiego. Mogły — ale nie dorosły do tego zaszczytu, każdy z innych oczywiście przyczyn. Dramatowi głośnego autora książki „Jena czy Sedan“, odłamano z niewiadomych nam powodów ostrze publicystyczne, a jakkolwiek teza na scenie nie zawsze chodzi w parze z literaturą, to przecież w tym razie, eskamotując tendencję sztuki i redukując ją do melodramatycznie inscenizowanej anegdoty o schadzce dwojga kochanków, podpatrzonej przez zazdrośnego rywala, wyrządzono krzywdę utalentowanemu pisarzowi, który miał coś więcej do powiedzenia szerokiej publiczności. Treść „Capstrzyka“ znana jest już czytelnikom „Biblioteki“ z interesującego szkicu o literaturze niemieckiej w 1903 r., pióra współpracownika naszego, p. Józefa Flacha. Wiemy, że ów tragicznie kończący sztukę

strzał, wymierzony przez starego Wachmistrza Volkhardta, do córki, wyznającej przed sądem swój stosunek miłosny z porucznikiem Lauffenem, dalej jeszcze sięga i godzi w etyczną stronę militarizmu. Ojciec zabija własne dziecko, bo według jego pojęć o honorze, jakiejś krwi potrzeba do zmycia plamy, do okupienia winy, a nie może dostać jedynej, jaka mu się za hańbę córki należy, krwi uwodziciela, zasłoniętego hierarchią wojskową. Pan porucznik Lauffen nie ożeni się z Klarcią — wstrzymują go od tego względy na stosunki światowe, perspektywa nieprzyjemnych kolligacyj; pan porucznik Lauffen nie przyjmie wyzwania ojca — nie może być mowy o pojedynku między podwładnym a zwierzchnikiem; więc niech padnie pokrzywdzona ofiara, byleby militarizm pozostał nietykalnym, niepodległym prawom moralnym, rządzącym resztą społeczeństwa. To wszystko mieści się w akcie czwartym — a ten właśnie akt został na warszawskiej scenie usunięty, z wyjątkiem końcowej katastrofy, która brutalnie zamyka dramat, nie uchylwszy zasłony z zaplątanych w jego tragizm dusz ludzkich.

W tych warunkach, artyści, grający sztukę Beyerleina, mają pod pewnym względem ułatwione zadanie. Sytuacje, sprowadzone do najprostszycch kolizyj, grają same za siebie i chwytają widza czysto teatralnem napięciem. Nie mniej jednak pochlebna wzmianka należy się pani Tekli Trapszo-Krywultowej, przedstawiającej z wdziękiem, prostotą i szczerością Klarę Volkhardt; panu Wostrowskiemu, który, jako porucznik Lauffen, nie tylko umiał być *schneidig*, ale zdobył się w sam na sam z kochanką na uczuciowe tony; panu Rapackiemu, za dzielnie uplastycznioną postać wachmistrza i p. Nowickiemu, który był bardzo sympatycznym rywalem „lejtanta“.

„Kopciuszka“ powinna odtworzyć na scenie fantazya albo utalentowanego pisarza, albo pomyslowego dekoratora; w obu razach musi go za rękę prowadzić poezya; w obu razach poeta i malarz nie łatwe mają zadanie. Trzeba z nieśmiertelnego wzoru powiastek Józefa Perraulta zakląć na deskach teatralnych świat, który już u francuskiego autora jest syntezą dwóch światów: Wschodu i Zachodu; trzeba, przeprowadziwszy bajki francuskiej Szeherezady z nad Eufratu przez germańskie lasy, połączyć Bagdad z Wersalem, sprzymierzyć Haruna-Al-Raszyda z Ludwikiem XIV; trzeba to tło czarodziejskie, migocące jeszcze odblaskami arabskiego przepychu, budzące dotąd lęk mroczną oddalą północnych mateczników, zabarwić kolorytem XVII wieku, który nie tylko nie jest dziś anachronizmem, lecz sprawia wrażenie harmonii, jak harmonijnie rozwija się historia rycerstwa na kobiercach fiamandzkich; trzeba żeby wróżki, pochylone na czarnoksiężskich laseczkach, podobne były do prababek z St. Cyr, opar-

tych na zakrzywionych kijkach, a królewicze, polujący po kniejach — do delfinów Francji; trzeba, żeby licom sióstr Kopciuszka muszki wdzięku dodawały. Bo wszystko to jest w bajkach Perrault'a, które w swoim stroju *rococo* przechowały cechy zamierzonych pra-legend. Wróżki jego przychodzą prosto z celtyckich borów; wilkołaki mają przodków w indyjskich Rakszach i w homerycznym Cyklopie; Paluszek jest galskiem wcieleniem karlików, wypełniających baśnie niemieckie psotami, płatanami olbrzymom; pałac Śpiącej Królowej komunikuje się tajemnymi korytarzami z ową górą w Turyngii, gdzie, otoczony dworem, śpi cesarz Fryderyk Rudobrody; a szklany pantofelek Kopciuszka ma tę samą miarę, co sandał Rodopy, porwany przez orła i rzucony przez królewskiego ptaka na piersi króla egipskiego, Psametyka, który po całej ziemi kazał szukać właścicielki trzewika, a znalazłszy, pojął za żonę. To wszystko wiąże się jedną, nieprzerwaną nicią poetycznej tradycji, snującej się od kolebki ludzkości; i dla tego ma czarodziejską moc budzenia w człowieku dziecka. Wiktor Hugo pokazuje nam w „Kontemplacyach“ Iwa Nemejskiego, hydrę Lerneńską, Geryona o trzech kadłubach, odyńca Erymenteskiego, wszystkie, pokonane przez Herkulesa potwory, spoglądające w komnacie Omfalii upokorzonym okiem na jej kołowrotek. Podobnie w maleńkiej książeczce Perrault'a, geniusze, wilkołaki, wróżki, olbrzymy potworne, istoty, wyłonione z mitycznego chaosu, a obłaskawione przez tego czarodzieja, wędrują sobie około kołyski, przy której obraca swój kołowrotek piastunka, snująca dla pokoleń przedzę cudownych legend. Spróbowano u nas z tej przedzi utkać barwny obraz; ale wzięli się do tego tkacze, zdolni w najlepszym razie do urządzenia szopki dla dzieci, lub widowiska dla teatru Ludowego. Pan Walewski traktował tę rzecz po aktorsku, i na tym jednak gruncie nie podniósł się nad poziom, na którym stoi jego przeróbka „Krzyżaków“ Sienkiewicza. Ludzie, rzeczy i wypadki, przeniesione *in crudo* na scenę, nie mają tam spójni utworu, artystycznie skomponowanego; te same sytuacje powracają niepotrzebnie, że wspomnę tu dwukrotne zaproszenie na bal do króla Ówieczka i powtórzony z podobnymi szczegółami bal, który mógł odrazu zakończyć się poszukiwaniem zgubionego przez Kopciuszka trzewiczka i oszczędzić widzowi jednego przekopionego obrazu, a zwłaszcza jednego zabójczego międzyaktu. Pierwiastek nadprzyrodzony tej naiwnej baśni powinien był natchnąć „reżyserję główną“; ale widzieliśmy już w „Ananke“, jak się to natchnienie objawia. I tym razem w grubej, rzemieślniczej robocie rozpraszało się wszelkie złudzenie; dotknięcie niezgrabnej ręki starło pył ze skrzydeł trudno uchwytnego motyla poezji, szukającego napróżno w słowie — kwiatów myśli i uczucia; w linii, barwie,

—rozwiwnych kształtów czarodziejskiego świata. I szkoda było starannej gry artystów, przystosowujących się z abnegacją do poziomu teatru maryonetek; i jedno westchnienie z wielu wyrывało się piersi: „jeżeli biednemu Kopciuszkowi brakowało Chronegka, czemu nie miał swego Humperdincka, czemu nie towarzyszyła mu, jak „Jasiowi i Małgosi“, poezya dźwięku, tak przedziwnie suggestyjonująca nie tylko słuchaczowi, ale i widzowi widzialne i niewidzialne światy!“.

IV.

„Jaś i Małgosia“ przypominają pierwsze kroki zreorganizowanej opery polskiej — i doprowadzają nas do przedstawienia nowego, oryginalnego dzieła, świadczącego, że ta reorganizacya nie ustaje i że dyrekcya, nie zraziwszy się naganną apatyą publiczności w stosunku do opery polskiej, usiłuje złamać tę niepojętą obojętność, którą naprawdę raz tylko pokonał — rzecz charakterystyczna — Włoch, twórca „Szopena“. Jaką postawę przyjmie publiczność w rozpoczynającym się sezonie, trudno przesądzać; to jednak godzi się zauważyć, że zrobiono dużo, żeby frekwencyę zwiększyć i że odmiennym zupełnie trybem, niż w dramacie i komedyi, postępuje sobie kierownictwo opery, starając się przedewszystkiem, przy pomocy dobrze zorganizowanego zespołu, wytworzyć i utrzymać dobry repertuar; słowem, że pracuje pod jedynie racjonalnem hasłem, któreby się i w teatrze Rozmaitości przydało: „opera — to nie śpiewacy, to muzyka“. Tej dewizie zawdzięczamy wzbogacenie repertuaru opery polskiej takimi dziełami, jak: „Livia“ Z. Noskowskiego, „Manru“ Paderewskiego, „Marya“ Melcera, dzięki niej również usłyszeliśmy „Filenis“ p. Statkowskiego.

Nazwisko p. Romana Statkowskiego nie jest obcem dla publiczności warszawskiej, która miała już sposobność zapoznać się na koncertach w Teatrze Wielkim i w Filharmonii z utworami instrumentalnymi młodego kompozytora. Wrażenia, odniesione wówczas, były bardzo dodatnie: słuchacze odczuli samorzutny, świeży talent, który, pozostawiwszy poza sobą szablony, nie wysiłał się jednak na wynaturzanie muzyki w gonitwie za Niewyraźalnem i szukał w wymowie dźwięku tego tylko, co dźwięk wypowiedzieć potrafi. Pan Statkowski wie czego chce, dokąd dąży, i dla tego tłumaczy się jasno, spokojnym o to będąc, że ta jasność pełna wyrazu, nie zniży się nigdy

do banalności. Artysta prawdziwy, ma odwagę, nie tę łatwą, dla której rozkoszą jest *épater le bourgeois*, ale tę szlachetniejszą, zdolną bronić od uposłedzenia duszę muzyki—melodyę. Pan Statkowski nie wstydzi się melodyi, — może dla tego, że melodia jego się nie wstydzi — i w niej odnajduje najistotniejszą ekspresję, potracającą o wszystkie struny uczucia. Jeżeli taki melodyjny wyraz budził wewnętrzną swoją treścią żywe zajęcie w muzyce instrumentalnej, to w tak zwanym dzisiaj „dramacie lirycznym“ większego jeszcze nabrać musiał znaczenia, zwłaszcza, że w twórczości p. Statkowskiego, jako kompozytora opery, wyraźnie określił i na naturalnym postawił gruncie stosunek symfonisty do liryka, systematycznie odwracany przez sekiarską doktrynę wagnerowskich epigonów. Psychologia dramatu rozsnuwa się oczywiście i w dziele młodego muzyka między orkiestrą a śpiewem, ale głos ludzki odzyskuje w niej swoje nieprzedawnione prawo ujawniania duszy człowieka, orkiestra zaś jest jakby temperamentowem podłożem, z którego czerpią utajoną energię wydobywające się na zewnątrz uczucia i namiętności. Melodia więc powróciła tam, skąd nigdy nie powinna była ustępować: do piersi ludzkiej, gdzie gra w takt uderzeń serca niemilknącą nigdy muzykę życia, a symfoniczne fale niosą ją po przez głębie harmonijne i dysonansowe odmęty. Pan Statkowski nie poddał się pod despotyzm orkiestry i wyswobodził z pod niego śpiewaka, który przestał być wśród masy instrumentalnej jednym tylko więcej instrumentem, podnoszącym efekty symfonii. Dramat stworzony jest dla człowieka, człowiek zachował w nim należną mu rolę i patosem swoich radości i cierpień, rozkoszy i męczarni, panuje nad żywiołowemi potęgami otaczającego go świata, który burzy się w orkiestrze.

Ażeby dojść do takiej równowagi między czynnikami artystycznymi dzieła, trzeba było przedewszystkiem zgłębić naturę tych czynników, a to właśnie charakteryzuje talent autora „Filenisy“. Pan Statkowski poznał widocznie do gruntu psychologiczną dziedzinę śpiewu, i zdaje sobie sprawę z tego ogromu skarbów lirycznych i dramatycznych, jakie z niej wydobyć można; nie waha się więc charakteryzować uczuć w melodyjnych frazesach, których treść wewnętrzną, nawet w oderwaniu od orkiestry, sama przez się może już do tej charakterystyki wystarczyć. Rysunek melodyjny, pewne w nim zwroty, pewne akcenty, zespalając dźwięk ze słowem, malują stan duszy bohaterów.

Rodzaj bohaterów ma tu niewątpliwie swoje znaczenie.

Jesteśmy w świecie starożytnym. Gdzie i kiedy odgrywa się dramat — nie powiedziano nam. I mniejsza o to. Taka niepewność czasu i miejsca, to właśnie świat dla muzyki, najswobodniej falującej

w przestworach nieokreślonych, nienjętych w ściśle zarysowane kontury; świat niedość egzotyczny, aby zniewalał kompozytora do wyszukanych efektów „kolorytu miejscowego“; świat dość jeszcze żywy w swych klasycznych kształtach, ażeby z oddali wieków oddziaływał na wyobraźnię artysty.

Oddziaływa prostotą swego posągowego spokoju. Muzykowi uśmiechać się musi zapewne ta posągowość, nadająca ludziom i duszy ich jakąś typowo uogólnioną fizyognomię, bez indywidualnego wyrazu, który w plastyce tonów jest może wymarzoną, ale niedoścignioną idealną. Mają taką fizyognomię bohaterowie dramatu p. Statkowskiego i poruszają się wśród wypadków, sytuacji, równie prostych w swojej powadze, jak te posągowe postacie. Uczucia i namiętności z jednej sztuki ścierają się z sobą żywiołowo, nie napotykając na drodze żadnych psychologicznych powikłań: muzyka ma właśnie do rozporządzenia taką elementarną ekspresję i cechuje nią zarówno akcję samą, jak i działaczy dramatu.

Na pierwszy plan występuje tytułowa heroina o majestatycznej postawie i surowym obliczu, na którym zastygł, zda się, wyraz zemsty od chwili, gdy padł, prawie u jej stóp, ukochany małżonek, zdradliwie zamordowany z poduszczenia zazdrosnego rywala. Menander oddawna pałał żądzą posiadania Filenisy, żony Kreona, a nie mogąc zdobyć strzegącej wiernie domowego ogniska, oskarża nienawidzonego męża o zdradę kraju, i wywoławszy zaburzenie podczas nabożeństwa, z potwarzy staje się zabójcą. Powalony śmiertelnym ciosem, leży Kreon bez życia; schylona nad nim Filenis krótką tylko chwilę oddaje się rozpacz, pilno jej pomścić zbrodnię, więc suche oczy kieruje w stronę, skąd zakłęte w marmurze trzy Parki, kamiennem wejrzeniem patrzyły na skrytobójstwo. Niech straszne córki Nocy zaopiekują się chłopiędziem sierotą po zamordowanym; niech Hermiasowi Klotosnuje krwawą przędzę życia; niech mu Lachesis zgotuje los mściciela; niech Atropos dopóty nie przecina nici jego żywota, dopóki ręka syna nie dosięgnie mordercy ojca. Na tragiczne wezwanie matki, życie wstępuje w posągi; ale boginie losu nie wyrokują po myśli wdowy; Filenis ma zaniechać ścigania Menandra i wychowując syna, strzedz pilnie ognia, który zapłonął tajemniczo na trójnogu u stóp posągu. Przez piętnaście lat była Filenis posłuszną niezbadanemu wyrokowi, ale po upływie tego czasu, kiedy Hermias wyrósł już na młodzieńca, los wystawia ją na ciężkie próby. Syn pokochał Myrtis, córkę mordercy Kreona, a Menander, stęskniony za ziemią ojczystą, wrócił. Spotkanie wdowy z zabójcą męża odnowiło wszystkie rany w jej sercu, a w głowie zrodziło pomysł zemsty, której niewinnem narzędziem ma się stać córka Menandra. Owładnięta szalem, strąca Filenis

święty ogień z trójnoga i zawiesza niebaczna nad głową syna gniew tragicznych sióstr, które, ukazawszy się w złowrogich ciemnościach, przypominają przestrożę. Przypomnienie jest już groźbą. Hermias bowiem, gnany obudzoną przez matkę zazdrością o nieznanego, biegnie do domostwa Mirtysy i zastawszy ją w objęciach Menandra, rzuca się na mniemanego rywala; ale zamiast go zgładzić, sam pada ofiarą nieszczęsnej omyłki. Filenisie, ukaranej przez obrażone Mojry, pozostaje tylko śmierć—i tę znalazła w falach morskich.

Ludzi, uczuć, wypadków, sytuacji nie wiele; zazdrość, zemsta, miłość, upostaciowane ryczałtowo, bez jakichbądź komplikacyj, bez jakichkolwiek w fizyognomii pogłębień; figury kute w psychologicznych monolitach według klasycznego kanonu; a nad tem wszystkim *fatum*, a wskroś tego wszystkiego „tragedya powagi i ciszy greckiej“ — jakież to wdzięczne zadanie dla muzyka widocznie w tej powadze rozmiłowanego!

I spełnił je p. Statkowski z niepospolitym artyzmem. Namiętny patos bohaterki, w którym drga wyłączone uczucie, działa silnie na słuchacza niesłabnącem ani na chwilę natężeniem energii dramatycznej, dźwigającej całą postać na wyżyny tragizmu; kochankowie nie potrzebują indywidualności; we dwoje jedno mają serce, z którego płynie spokojną falą czysty, miłosny liryzm; Menander nie wiele ma czasu do rozlewnego zwierzenia się ze swej żądz, dłużej natomiast i goręcej wita odzyskaną ojczyznę, jak przystało zresztą na obywatela w klasycznym stylu.

A *fatum*? I to ma jakiś spokojny majestat, wypowiadający się trójspiewem nieubłaganych bogiń; w świetlanej atmosferze, jaka je otacza, nawet *ananke* nie miota się w kontorsjach romantycznego demonizmu, i ten jego kamienny spokój najwymowniej odbija się w orkiestrze: wystarcza mu jeden akord, rozdarły brzękiem żeli, a potem dźwięczące wyrocznie głosy cór Zeusowych, splecione w pośpiechu uroczystej harmonii—i słuchacz czuje że losy są rzucone.

Orkiestra zresztą wszędzie spełnia swe zadanie świetnie. Jest przedewszystkiem tłem dramatu, tłem malowniczym a nie przeładowanem jaskrawymi barwami. Motywy kontrapunktowe jasno rysują dekoracyjne tego tła szczegóły, utrzymując w niem ciągle życie; łagodny koloryt obrazu szczęśliwie oddaje przezroczystość atmosfery i rozedrganą w niej słoneczność, wśród której błędną kolory a linie wyraziście występują; częste użycie harf, podtrzymuje te powietrzne wibracje, obfitość skrzypcowych motywów rozprowadza te delikatne kontury; malowidło kąpie się w świetle, otaczającym nawet tragiczną groźbę jakąś aureolą spokoju.

W śpiewie chóralnym zachował p. Statkowski podobną powściągliwość. Obrzęd religijny w akcie pierwszym byłby nęcił niejednego kompozytora pokusą łatwego egzotyzmu; autor „Filenisy“ uniknął tej pokusy; ceremoniał przerwany morderstwem Kreona obfituje w motywy niezwykle, oryginalne, interesująco na głosy prowadzone, ale nie czuć w nim wysiłków archaicznych, na czem tylko zyskuje charakterystyka całej sceny.

„Filenis“ jest, zdaje się, pierwszą próbą dramatyczną młodego kompozytora. Próba powiodła się niewątpliwie, przedstawiając szczerzy talent p. Statkowskiego z nowej, wielce zajmującej strony. Talent ten obudził odrazu sympatyę w wykonawcach opery; szkoda, że tego o publiczności powiedzieć nie można. Artyści dołożyli wszelkich sił żeby uwydatnić wszystkie piękności utworu. Pani Zboińska jako „Filenis“ w śpiewie pełnym dramatycznego wyrazu i w grze wymownej stworzyła postać imponującą; wdzięczną parę zakochanych interpretują bardzo ładnie pani Bogucka i pan Drzewiecki; Menandrem jest p. Grąbczewski, który artystycznie śpiewa powitanie ziemi.

A publiczność? — nie przyszła i nie przychodzi, dostarczając znów niebezpiecznego argumentu przeciwko istnieniu opery polskiej. Chcemy wierzyć, że ten godny potępienia absenteeizm ustępować będzie w miarę ustalania się niedawno rozpoczętego sezonu. W przeciwnym razie cóżby o tej publiczności wypało powiedzieć?

W. BOGUSŁAWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

DR. WACŁAW SOBIESKI: Szkice historyczne. Warszawa. 1904.

Garść skreślonych w tym tomie szkiców, jak nas autor w przedmowie objaśnia, ma dorzucić kilka promyków światła na czasy pierwszego Wazy, czasy za mało zbadane, jak na dobę, w której zadzierzgnęły się węzły wielu następnych epokowych przeobrażeń, jak rokosz, pogrom reformacyi, unia Brzeska. Jednym z głównych bohaterów powyższej wiązanki szkiców jest Jan Zamoyski. W trzech szkicach zrywa się do zapasów z trzema możliwymi rodami, raz, kiedy jeszcze, jako młody sekretarz królewski, w imię hasła przelomowego wówczas ruchu egzekucyi dóbr, mocije się z potężną rodziną Starzechowskich, drugi raz, kiedy już piastując wielką buławę, ściiera się z rodem Zborowskich, trzeci raz wreszcie, kiedy pod koniec sędziwego już żywota opiera się prośbom kresowych panów Wiśniowieckich i zakłada protest przeciwko wspomaganiu Dymitra Samozwańca. Pierwsze kroki owego zagadkowego czerńca-carzyka udało się autorowi oświetlić na podstawie nieznanych dotąd archiwaliów. W końcu autor podjął takie pytanie: jaki jest cel gromadzenia stosów rozpraw z materiałów historycznych? czyż historia to nauka? czyż to nie raczej sztucznie ułożona mozaika, lub nawet jakiś bezładny skład antykwarski? Odpowiedzi szukał autor, badając świeże pomysły syntezy historycznej w Niemczech i stąd urósł szkic z dziedziny historyzofii.

Pierwsze studium w „Zbiorze studyów“ nosi tytuł: „Żałobny hetman“, i przedstawia czasy elekeji po śmierci króla Stefana. Żal po przedwcześnie zgasłym monarsze był istotnie wielkim, lecz byli i tacy, których śmierć królewska nietylko nie okryła żalobą, ale przeciwnie, natchnęła szaloną radością i weselem zazdrosnego. Dla nich kończyła się prawie ośmioletnia niewola egipska i zdawało się zbliżać wyzwolenie. Dla Zamoyskiego przeciwnie, śmierć Stefana była strasznym i niespodziewanym ciosem. Batory wyniósł go wysoko, zro-

bił podkanclerzym, potem hetmanem, potem się z nim „zbracił“, dając mu swą bratanekę za żonę. Zaraz po śmierci króla zaczęły przylatywać do Zamościa złowróżbne wieści, a „dyabeł“ Stadnicki, siostrzeniec Zborowskich, napadał na dworzan Zamoyskiego. Hetman czuł dobrze, że nadchodzi straszna burza i że trzeba będzie stoczyć walkę na śmierć i życie. Do Warszawy, wraz z tłumami wyborców, przybiegł czaus turecki. Przypędził nawet wysłaniec od chana tatarskiego z listami, w których ośmielał polecać się na tron. W listach swych które wywołały homeryczny śmiech wśród senatu, wskazywał władca Krymu, że przez jego wybór skarb Rzeczypospolitej zaoszczędzi wydatków na wojska, bo stanowiąc je będą sami Tatarzy, którzy skromne mają potrzeby. Prócz tego, wraźcie wyboru, chan przyrzeka zmienić wiarę, tak, aby był „twój Papież. mój Papież“.

Szaraków mazowieckich stanęło na polu elekcyjnym około 2,000. Szydzono z nich, że są o kijach, że niektórzy z nich mają szyszaki z drzewa świerkowego, a gęsie pióra na wierzchu dla swojej ważności. Szaraki mazowieckie, nie zwracając uwagi na drwiny, obścapiłi okop senatorski i wołali głośno, że królem chcą mieć cara moskiewskiego, a gdy niejaki Podoski rzekł im: „przystojniej wam grabarka patrzy z oczu, niżli elekcyja“, stał się huk i omal, że Podoski na miejscu nie ostał. Na polu elekcyjnym okazał się zaraz antagonizm Zborowskich z Zamoyskim, i gdy hetman okrył się żałobą, Zborowscy świecili jaskrawym kolorem odzieży. Obóz Zamoyskiego rozłożony był blisko Powązek, na tle pobliskiego lasu, a dla zabezpieczenia się przed atakiem, otoczono go wałem i rowem. Wśród jego czarnego obozu jeden tylko oddział Jordana Spytka (200 ludzi), przyodziały był w strój błękitny i, jak się później okazało, oddział ów zdradzał hetmana, a Jordan był krewniakiem Zborowskich. Obóz Zborowskich w dniu oznaczonym wystąpił z okopów i ruszył na Zamoyskiego. Zdawało się, że bój będzie nieuchronnym, ale na szczęście skoczyło między szeregi kilku senatorów, aby zgodę zapośredniczyć. Zamoyski, jakkolwiek gotów do starcia, pierwszy kazał ustąpić z pola, a to dla dobra ojczyzny i Rzeczypospolitej.

Senat cały przeraził się jednak rokoszańskich zapędów Zborowszczyzny, i z obawy, „że pany chcą pobić“, przeszedł na stronę hetmana. Zamoyski, wiedząc o uprzedzeniach szlachty przeciw Niemcowi kandydatowi, rozgłosił z początku, że chce Piasta wynieść na tron polski. Nie przeszkadzało to jednak, że łudził partycję austryacką i dopiero pod sam koniec elekcyi zrzucił przyłbicę. Anna Jagiellonka była jedyną osobą w Polsce, która myślała o jednym tylko kandydacie, i od zarania elekcyi pracowała na rzecz swego ukochanego siostrzeńca, Zygmunta. Zborowscy, choć w mniejszości, nie dali za wygraną,

i wybrali arcyksięcia Maksymiliana, ciesząc się, że ten potrafi być srogi na Zamoyskiego. Było więc dwóch królów wybranych i chodziło o to, które stronnictwo zdoła swego elekta szybciej wprowadzić na Wawel i ukoronować. Zaraz po elekcji pośpieszył Zamoyski do Krakowa i zdołał go zająć przed Maksymilianem. Wprawdzie garbarze przed bramą szewską sympatyzowali z Maksymilianem, ale ostatecznie Zamoyski odparł wszelkie napaści austriackie, a garbarze odpokutowali swą zdradę, gdyż 23 z ich szeregów kazał ściąć Zamoyski. Na tle trofeów, zdobytych na Maksymiliana, przyjmował Zamoyski Zygmunta III w Krakowie. Król, w odpowiedzi na przemowę, bąknął zaledwie słów kilka. Hetman, dotknięty tem do żywego, miał szepnąć do ucha kasztelanowi Leśniowolskiemu: a cóżeście to za niemą marę ze Szwecyi przywieźli? Pokazało się, że w otoczeniu Zygmunta III-go znalazł się rywal Opaliński, który już w drodze potrafił zniechęcić króla do Zamoyskiego. Jeszcze się nie skończyły uroczystości koronacyjne, kiedy się rozeszły wieści, że zamek Lubowlę zdobył rakuski oddział. Hetman bezwłocznie ruszył na Maksymiliana ku Byczynie. Wkrótce nadbiegł do Krakowa zwiastun, że nieprzyjaciel porażon, a arcyksiążę żyw jest pojman, a Spiż z Lubowlą wśród warunków kapitulacyi zwrócony. Zamoyski podejmował u siebie arcyksięcia-jeńca, który mu w dodatku trzymał syna do chrztu.

Drugie studyum nosi tytuł: „Pierwszy protektor samozwańca”. Autor zauważył w niem, że rzadko która z postaci historycznych przykuwała tak uwagę do siebie, jak Dymitr Samozwaniec. Przez trzy wieki ten wyborny aktor ciągle wabi i nęci ciekawych widzów, nie tracąc nic ze swego powabu i czaru. Upadły w historyografii wszelkie dawne podejrzenia, jakoby państwu moskiewskiemu narzuciły samozwańca polskie intrygi, czy jezuickie knowania. Myśl Samozwańca urodziła się w Moskwie, wywołana nagłem wygaśnięciem panującego rodu Rurykowiczów. Prawdą jest tylko to, że Dymitr miał w Adamie ks. Wiśniowieckim znaleźć swego protektora. Starostwo czerkawskie, w którym była straż królewska nad Dnieprem, powierzał król Wiśniowieckim. Do księcia Adama, posiadającego nieszczególną reputację, zwrócił się o protekcję Samozwaniec, ale myliłby się, ktoby sądził, że temu poparciu zawdzięczał on jedynie swoje powodzenie. Był jeszcze inny powód, który Samozwańcowi zapewnił chwilowe zwycięstwo, a mianowicie wzburzenie społeczne, jakie współcześnie wybuchło w państwie moskiewskiem. Kiedy gaśnie ród Rurykowiczów, następuje przytwierdzenie do gleby chłopu moskiewskiego, który uchodzi na Południe, zasilając watahy kozackie potężnymi falami zbiegów. Właśnie na czele takiej fali kroczy Samozwaniec

i to nie z innej strony, jak od Południa, od strony burzliwego kozactwa.

W gronie owych szukających hazardu, nie bojących się nikogo awanturników, mógł śmiało zabłysnąć zawadyacki pomysł Samozwańca. Musiał on mieć wielkie zaufanie do sił kozaków, kiedy w początkach nie myślał o żadnej innej pomocy, i chciał ruszyć na Moskwę jedynie z kozakami i Tatarami. Oprócz kozaków, garnęła się ku Samozwańcowi czerń buntownicza. Nim jeszcze przekroczył Dniepr, już za granicą tała się dlań wielka miłość w pospólstwie. A kiedy wojsko Godunowa zadaje Samozwańcowi klęskę zupełną, któż wtedy otuchymu dodaje, jeżeli nie jedni chłopci gospodarscy?.. Dymitr bawiłby się dłużej łotrowstwem wśród kozaków, gdyby mu nie przeszkodziła interwencya władz w Kijowie. Podjął się jej z urzędu Konstanty Ostrogski, ale rodzina Wiśniowieckich, mszcząc się za zniszczone przez Godunowa Przyłuki i Śniatyn, postanowiła ująć się za Samozwańcem. Wiśniowieccy wystąpili nawet do Zamoyskiego o poparcie dla Samozwańca, ale hetman odpowiedział chłodno i nieobiecująco, a w dodatku wyszydził wobec całej Rzeczypospolitej całą fałszywą legendę Dymitra. Dzięki też Zamoyskiemu, trzymała się Rzeczpospolita, oficjalnie przynajmniej, zdala od tej całej awanturniczej wyprawy. Jak wiadomo, Dymitr przyrzekł Mniszechowi za pomoc i rękę Maryny, Księstwo Siewierskie i Smoleńskie. Na to ostatnie miał ochotę ks. Adam, której sam i jego rodzina przywieśli odsiecz do Putywła w bardzo niebezpiecznej chwili. Książę Adam przybył też do Moskwy upomnieć się o swoją nagrodę, ale, niezadowolony, zebrawszy kupy żołnierzy polskich, rzucił się na pograniczne ziemie, plondrując i burząc wszystko dokoła.

Trzeci artykuł, p. t.: „Rola Jezuitów w dziejach Rzeczypospolitej polskiej“, jest właściwie krytyką dzieła ks. Załęskiego. Mało jest zjawisk w naszych dziejach, o których sąd historyków byłby tak chwiejny, a nawet do dziś dnia tak niejasno wyrażony, jak rola Towarzystwa Jezusowego w naszej przeszłości politycznej. Ks. Załęski, sam członek tegoż Zakonu, pracował nad swoim dziełem przez lat trzydzieści, mając zamiar stworzyć rzecz naukową, któraby się dała czytać, jak powieść. Przytem ks. Załęski zapewnia, że pisze ściśle przedmiotową historję, że w badaniach był zawsze bezstronnym i dążył do ścisłości historycznej. Krytyk wykazuje ks. Załęskiemu, że nie zawsze dotrzymywał przyrzeczenia. Utrzymując bowiem, że protestant Rej, wraz z grupą posłów różnowierczych, choć przekładał wniosek elekcyi nie *viritim*, ale spowodował właśnie przeprowadzenie tej niebezpiecznej reformy, albowiem reformacya wywołała swem zuchwaltwem wotum większości katolickiej wybierania króla *viritim*.

Taką logiką ks. Załęski chce koniecznie ukreślić bicz na reformację, a czyni to nietylko w tym jednym wypadku. Nawet myli się wprost ks. Załęski, oświadczając, że nikt, prócz biskupów, nie podniósł głosu protestu przeciw niewoli chłopów, i że wogóle herezye przyczyniały się do pogarszania doli poddanych. Przecież synody ewangelickie biorą w obronę kmiecia, i już w r. 1558 synod protestancki występuje w Polsce przeciw ciemżeniu poddanych. Przesadnym też wysoce wobec pism Modrzewskiego jest twierdzenie ks. Załęskiego, jakoby Skarga pierwszy podniósł głos w obronie ludu.

Ks. Załęski dużo poświęcił miejsca na udowodnienie, że Jezuiti nie bawili się nigdy w politykę. Krytyk wykazał szczegółowo, że powyższe mniemanie jest niepodobnem do udowodnienia, i że świadczy ono jedynie, że ks. Załęski pozostawał pod wpływem z góry powziętej tendencji. Krytyk zgadza się nawet na to, że każdy autor powinien mieć jakąś tezę, z góry przyjętą, i do niej wszystko kierować. Ale w tem żąda przynajmniej zgrabnej ręki, której ks. Załęskiemu nie może przyznać. Mimo to wszystko, jest w tem dziele jedna strona powabna i pociągająca: bije z niej tętno życia, bucha żar przekonania, strzela iskra bezwzględnej wiary w zasady, śmiało głoszone przez autora. I stąd rozpatrywane dzieło przedstawia dla nas interesujące zjawisko. Przysparza ono nam nowy dowód, jak to niezmiernie trudno pisać historję bezstronnie. Wszak autor miał chęć najlepszą, aby pisać „sine ira ac studio“, a jednak, ledwo zaczął pisać, zaraz niespostrzeżenie wślizga się pod jego lotne pióro jakieś gorętsze wyrażenie, świadczące wyraźnie ku której stronie rwie się jego serce, a przeciw komu idzie w zapasy. I tu tkwi bodaj najwalmiejsze usprawiedliwienie najważniejszych usterek, napotkanych w „Historji Jezuitów“, skreślonej przez Jezuitę.

Następne studyum nosi tytuł: „Upadek rodziny Starzechowskich. Przyczynek do historyi egzekucyi i dóbr“. I w niem podejmuje autor bardzo ważną i dotychczas niewyczerpaną kwestyę z prawa administracyjnego polskiego. W sprawie egzekucyi dóbr tkwił ruch szerszych warstw szlachty przeciw senatorom, którego postulatem było odzyskać z rąk magnaterji przedawnione królewsczyzny, i na tej podstawie oprzeć militarną i finansową siłę państwa. Aby wyjść z poza ogólników i wytworzyć sobie jasne wyobrażenie o postulatach szlachty, autor uważał za najstosowniejsze obrać sobie za model pewien specjalny kompleks królewsczyzny, i na tem tle śledzić przebieg całego przeobrażenia. Historia egzekucyi pewnego obszaru domenów królewskich i pewnej, związanej z nim rodziny, będzie, zdaniem autora, niezłą ilustracyą tego ruchu. W tym celu wybrał autor kompleks dóbr, mogący posłużyć za klasyczny w danej kwestyi przy-

kład, bo najrentowniejsze w Koronie starostwo Samborskie, jedno z tłustych, które, dzięki swemu pogranicznemu położeniu, oddawna już skłaniało swych dzierżawców do swobodniejszego postępowania z mieniem królewskim.

Egzekucya w powyższym wypadku miała dotknąć magnata Starzechowskiego. W lustracyi, dokonanej 1565/6 r. w obu starostwach, dzierżawionych przez niego (Samborskie i Drohobyckie), znaleziono bardzo wiele dóbr, bezprawnie przywłaszczonych. Nieporządki mogły się łatwo zakraść do starostwa Drohobyckiego, bo Starzechowski dostał je jakby dziedzicznie po ojcu swoim. To dziedziczenie, czyli przechodzenie starostwa z ojca na syna, pozwoliło Starzechowskiemu zagnieżdzić się tu na dobre, a nawet pod tą osłoną oderwać pewne wsie od kompleksu czasowo tylko dzierżawionych królewsczyzu i na zawsze już wcielić do swych prywatnych majątków. Tak np. Starzechowski posiadał w Drohobyczu tylko $\frac{1}{3}$ wójtowstwa, ale pod tym pozorem zagarnął na swój rachunek prywatny wszystkie stawy w mieście, przywłaszczył bezprawnie warzelnie soli, wreszcie rozpostarł swą władzę sądowniczą nad wszystkimi ludźmi, warzącymi sól. Prócz tego, wszystkie czynsze z domów miejskich i przedmiejskich pobierał do własnej kasy, a wszystkiego tego dokonał, powołując się na swe prawo wójtowskie. Ważną rolę odgrywały jeszcze zastawione dobra królewskie, Starzechowski dostał w zastaw klucz Medenicki za sumę zł. 10,000, pożyczoną królowi. Zastaw ten, jako dany po r. 1504, był bezprawny i na sejmie w r. 1563 podniesiono też nieważność tego zapisu. Król jednak w łaskowości swej pozostawił dożywocie w rękach Starzechowskich, przelewając je z ojca na syna, aż do czasu zwrotu pożyczonej przez króla sumy. Dożywocie to miało być gołe, połączone z obowiązkiem płacenia nieco kwarty na obronę potoczną.

W starostwie Samborskiem pozyskał Starzechowski potężnego rywala, który, opierając się na nadaniach królewskich, postanowił go z trzymanyh dzierżaw i zastawów wyrugować. Wysłannikiem królewskim, w celach egzekucyi, został Jan Zamoyski, kuzyn Herburta. Starzechowscy oświadczyli Zamoyskiemu, że wbrew listom i zleceniom królewskim, starostwa nie ustąpią, bo mają prawa do umarzania na niem sum, pożyczonych królowi. Takisam opór, jak w Samborze, stawiano Janowi Zamoyskiemu w Drohobyczu, tylko że w tem mieście mieszczaństwo stanęło odrazu po stronie królewskiej. W Samborze zastał jednak Zamoyski zamknięte bramy miasta, a w odpowiedzi na jego oświadczenia wystrzelono z samopału. Mimo to, Zamoyski przesłał mieszczanom wezwanie, aby się nie wazyli oddawać czynszu Starzechowskiemu, ale je oddawali jemu do rąk. Mieszczanie znaleźli się

między młotem a kowadłem, ale w końcu zdecydowali się zanosić skargi na podstarościach do Zamoyńskiego. Sprawa skończyła się w r. 1589 tem, że Starzechowscy swą $\frac{1}{3}$ wójtostwa odprzedali za 1,000 grzywnien staroście nowemu Herburtowi, a dobra roztrwonione powróciły do stołu królewskiego. Po ucieczce Walezego, jeszcze raz siłą zdobyli Starzechowscy starostwo Drohobyckie, głosząc, że jakaś część ich sum nie została im zwróconą. Był to awanturniczy krok, którym jednak Herburtowi starostwa z rąk nie wyrwali, a sami nie zdołali się zatrzymać na pochyłości, po której się zwolna staczali.

Następny szkic nosi tytuł: „Zapomniany bohater śląski“. Szkic ten poświęcony został pamięci Konrada, syna Henryka Brodatego i jego małżonki, Jadwigi. Konrad, najstarszy syn najstarszej linii Piastowskiej, wśród ruin Polski dzielnicowej poczuł w sobie tętno krwi Bolesławów, swoich w najprostszej linii antenatów. Tymczasem, zwyciężony przez Niemców, tulał się po borach i w nich zginął. Nie przed trybunał dziejów iść takim marzycielom — oświadcza autor — takiej postaci stanąć raczej przed jakim wieszczem i natchnąć go do pieśni, a ona może ludzi dopiero rozgrzeje.

Ostatnia praca w tym zbiorze szkiców nosi tytuł: „Z historii zofii niemieckiej. Uwagi o pojmowaniu dziejów K. Lamprechta“. Autor zwrócił w niej uwagę na ten fakt znamieny, iż Lorenz w 1892 r. wyraźnie oświadczył, że naukowo i metodycznie, historia od czasów św. Augustyna prawie na krok nie postąpiła, a cały postęp tkwi tylko w rozwoju nauk pomocniczych i pomnożeniu Bibliotek. We Francji oświadczył także niedawno Bourdeau, że dotychczasowa historia, jako nauka, to zero, że dopiero trzeba ją na nowo budować. Owoce rosnącego dziś sceptycyzmu historycznego widoczne. Wszystkie podwaliny dziejopisarstwa wstrząśnięte. Wszystko przekopane, wywrócone. Najwięcej zaś tych zuchwalców wydał świat uczony francuski. Niemcy zaś, naród filozofów, zostały pod tym względem bardzo w tyle, a pomysły Comte'a pozostały w Niemczech prawie nieznanymi. Lamprecht nawet zauważył, że o ile historyczno-polityczna szkoła niemiecka (Sybel) położyła niepospolite zasługi około dobra państwa i cesarza, o tyle cofnęła w tył naukę historyczną i zaniedbała metodę porównawczą. Lamprecht zarzucił zwolennikom Sybla, że oni pojmują dzieje teleologicznie, indywidualistycznie, gdy tymczasem trzeba badać stany (Zustände) i przyczyny faktów genetycznych, bezcelowych, co spełnić może historia statystyczna, ewolucjonistyczna. Przeciwno Lamprechtowi wystąpił Rachfahl, który zwrócił uwagę na psychologiczne podstawy w historii, a Below nazwał Lamprechta Don Quixotem, który tworzy komiczne produkty. Szermierka polemiczna doszła do szczytu, gdy Oncken nazwał Lamprechta plagiatorem.

Przyznać jednak trzeba, że w czasie tej walki poruszono i oświecono mnóstwo ciekawych zagadnień i przetrząsnięto nie jeden dawny systemat historyozoficzny.

Dziś spór zeszedł na grunt psychologiczny. W przeciwieństwie do indywidualistycznego, zjawia się nowe, socjalno-psychiczne pojmowanie dziejów. Socjalno-psychiczne zjawisko jest czemś nowem, czemś oddzielnem od poszczególnych składników: jest to nowy twór, niby akord, który przecież różnym jest od pojedynczych tonów. Lamprecht dowodził, że te socjalno-psychiczne prądy są ustawicznie przetwarzającemi się, nieustannie zmieniającemi się przyczynami rozwoju. Działanie sił w historii jest tylko psychiczne, i wszystko, co historyczne, ma psychiczny charakter. Przez ciąg dziejów snują się dwa szlaki dziejów: jedne faktów dowolnie spełnionych, indywidualnych, drugie socjalno-psychicznych, z konieczności na arenie dziejów występujących. Pierwsze są dziełem wybranej garstki ludzi, zaś drugie znamięciem ciemnej, szarej masy. Każdy z tych szlaków wymaga odmiennej metody badania. Hintze zaprzeczył Lamprechtowi, aby istniał podobny rozdział i przepaść między szeregami faktów. Zdaniem jego, życie ludzkie to mieszanina w różnym stopniu indywidualnych i gromadnych motywów. Nie masz objawu czysto indywidualnego, lub czysto masowego. Lamprecht uznał słuszność powyższego twierdzenia i zgodził się na to, że obie metody: indywidualistyczna i kolektywistyczna, są zupełnie równouprawnione i wzajemnie się uzupełniające, i nazwę swą metody kolektywistycznej zmienił na więcej wszechstronną, uniwersalistyczną. Ów spór Lamprechta ze wszystkimi szkołami historycznymi niemieckimi, przedstawiony został przez autora dokładnie i pouczająco. Przez cały wiek XIX socyologia i historia żyły w odosobnieniu. Pierwsza lekceważyła fakty i rozprawiała o rzeczach, których się nie dotykała, druga drwiła sobie z fantastów. Aż oto na schyłku XIX wieku, pierwszy zawodowy historyk, zaczawszy od badań specjalno-historycznych, czuje konieczną potrzebę przejścia do historyozofii i spotyka się nagle w jednym szeregu z socyologami.

Wszystkie studia, objęte pierwszym tomem „Szkiców historycznych“, zapowiadają w autorze poważnego i sumiennego pracownika. W rozprawach, odnoszących się do dziejów Polski, autor zebrał pracowicie dużo źródeł archiwalnych i dorzucił sporo światła, zwłaszcza na sprawę egzekucyjną. W krytyce naukowej autor zdobył się na spokój i wyrozumiałość, przyczem gruntownie motywował wszystkie zarzuty. Wreszcie, jako uczeń Lamprechta, odtworzył jasno i zrozu-

miale spór, jaki się w Niemczech toczy o najważniejsze zadania i cele historyi. Wogóle „Szkice historyczne“ przedstawiają bogatą treść naukową, która została ujęta w piękną i jasną formę opowieściową.

A. R.

FERDYNAND HOESICK: Julian Klaczko. Rys życia i prac (1825—1904).

Dotychczas nie posiadaliśmy pracy, któraby dała pełny obraz piśmienniczej i obywatelskiej działalności Juliana Klaczki. Dopiero w tym roku podjął powyższe zadanie Hoesick, i przyznać należy, że je wykonał w sposób zadawalający, a przedewszystkiem pożyteczny dla naszego społeczeństwa. Hoesick sięgnął do samego zarania działalności Klaczki i przedstawił nam 13-letniego poetę, który już w 1839 r. wydrukował wiersz p. t.: „Moja pierwsza ofiara“, który w zdumienie wprawił całe towarzystwo wileńskie. Hipolit Skimborowicz wydrukował jednak niechętną wzmiankę o owym wierszu „cudownego dziecka“ i tem zraził go do dalszych poetycznych produkcji. W 1842 r. udał się siedemnastoletni Klaczko na uniwersytet do Królewca i to na wydział filozoficzny, gdzie pracował głównie pod kierunkiem profesorów: Rosenkrantza, jednego z najtęższych uczniów Hegla, i Lobecka, słynnego helenisty. Podczas studyów królewieckich uprawiał ze szczególnem zamiłowaniem historię powszechną, ze specjalnem zainteresowaniem dla historyi Francyi. Po dziewięciu semestrach sumiennej pracy i na podstawie dwóch rozpraw seminaryjnych: niemieckiej i łacińskiej, otrzymał dyplom doktora filozofii, zostawiając po sobie w uniwersytecie pamięć na długie lata, jako jeden z jego najlepszych uczniów.

Z Królewca udał się Klaczko do Heidelberga, nęciła go tam bowiem sława Gervinusa, jako jednego z najszlachetniejszych Niemców. Uczęszczając na wykłady słynnego komentatora Szekspira, zwrócił Klaczko na siebie jego uwagę swą rozległą wiedzą i wykształceniem i ogromnym talentem pisarskim. Gervinus użył go do współpracownictwa w „Deutsche Zeitung“, w której jego artykuły drukowane były obok artykułów Gervinusa, Häussera i Mittermeyera. Klaczko nie podpisywał ich wprawdzie, ale poznać je łatwo po wyjątkowej świetności języka i po tem, że zamieszczane były pod rubryką: „Russland und Polen“. Hoesick przytoczył wszystkie prace Klaczki, zamieszczone w „Deutsche Zeitung“, przypominając, że nie-

które z nich po dziś dzień nie straciły nic na wartości. W 1848 r. udał się Klaczko do Poznania i został zaraz wprowadzony na posiedzenia Komitetu, w którym zastał między innymi arcybiskupa Przyłuskiego. Gdy Libelt przedstawiał sprawę podniesionym głosem, zawołał Juliusz Słowacki: Cóż wy myślicie? Wam się zdaje, że dzisiaj potrzeba jeszcze, jak dawniej, armat, pułków, oficerów? A ja wam powiadam, że dzisiaj przyszła epoka świętej anarchii! Jeden z obecnych przerwał mu tym sposobem, że rzucił mu się do nóg, wołając: Mistrzu! wielkie słowo rzekłeś! W takich okolicznościach poznał Klaczko Słowackiego, i był to jedyny raz, kiedy go widział.

W 1849 r. napisał Klaczko broszurę w Berlinie, p. t.: „Die deutschen Hegemonen. Ein offenes Sendschreiben an Herrn Georg Gervinus. Takiej świetności pióra — powiada o tej broszurze Tarnowski — takiego temperamentu, takiej siły namiętnej w oburzeniu i wzgardzie, takiej siły druzgocącej w inwektywie, a jak stał przezywającej w ironii, nie miał dotąd nigdy żaden Polak, piszący o rzeczach politycznych. Z Berlina przeniósł się Klaczko do Paryża, gdzie jako entuzyastyczny wielbiciel twórcy „Pana Tadeusza“ zbliżył się do Mickiewicza. Właśnie w Paryżu oddał się Klaczko wytężonej pracy nad literaturą powszechną, zwłaszcza nad Dantem, i literaturą włoską, a także i nad Szekspirem, tudzież głębokim studjom nad poezją polską, której historię zwolna opracowywał. W r. 1853 wydrukował Klaczko w leszczyńskim Pokłosiu „Paralełę literacko-krytyczną“, w której porównał „Lenorę“ Bürgera z mickiewiczowską „Ucieczką“. Była to pierwsza polska praca krytyczna Klaczki, ale tak już świetna, że zapowiadała późniejsze. Wkrótce po przybyciu do Paryża powziął Klaczko zamiar pisania po francusku, i zamiar swój, jak się zdawało, zuchwały, doprowadził do skutku w r. 1854 i 1855, zyskawszy stałe miejsce w „Revue Contemporaine“ i w „Revue de Paris“. Pod rubryką: „Publications allemandes et slaves“ zamieszczał Klaczko interesujące i pełne głębokiego znawstwa sprawozdanie o najpoważniejszych wydawnictwach uczonych, bądź to niemieckich, bądź to polskich. Obok Mommsena znajdowały się Tomiciana Działyńskiego a obok Buch der Lieder, lub Atta Trol Heinego, rozbiory Sonetów krymskich Mickiewicza, podobnych poematów Puszkina, lub wreszcie rozbiory komentarzy Komedyi Boskiej Dantego. W „Revue Contemporaine“ wydrukował Klaczko swe studjum: „Dante et la critique moderne“, które może być śmiało nazwane zawiązkiem wieczorów florenckich, a na które już wówczas zwrócił pilną uwagę Witte, najlepszy niemiecki znawca Dantego.

Przez czas wojny wschodniej wychodził w Paryżu mały dziennik p. t.: „Wiadomości Polskie“, wydawane przez Feliksa Wrotnowskiego.

Pierwszy numer wyszedł w styczniu 1857 r., a ostatni w lutym 1862 r. Ze wszystkich pism polskich, jakie wychodziły kiedykolwiek, „Wiadomości polskie” były najlepszym organem politycznym i literackim. Wyróżniał się w nim dział krytyki literackiej, a było to głównie zasługą Klaczki. Jednym z najświetniejszych jego artykułów w „Wiadomościach” wydrukowanych, była krytyka „Krewnych” Korzeniewskiego. Przedewszystkiem zaś Klaczko tak pisał po polsku, jak nikt od czasów Skargi. Miał on z natury dar stylu niepospolity, ale także świadomie zabiegał o najpiękniejsze jego wyrobienie. Styl swój kształcił wytrwale na wielkich poetach: Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim, Malczewskim. Stąd dykcya jego ma zawsze cechy wielkości, wspaniałości, artystycznego wykończenia i stoi on wciąż jeszcze, jako mistrz prozy polskiej, odosobniony zupełnie.

W Paryżu odwiedził Klaczkę pewnego razu autor „Nieboskiej Komedyi”, zgadało się o mesyanizmie w ogóle, a o jego mesyanizmie w szczególności. Klaczko oświadczył mu otwarcie, że jest przeciwny jego przedświtom, i utopiom. Co tu wmawiać w ludzi nieszczęśliwych (słowa Klaczki), skołatanych, zdemoralizowanych, tracących grunt pod nogami, osaczonych ze wszystkich stron, że są narodem wybranym, że są Chrystusem narodów, że w nich jest zbawienie ludzkości. Tylko się tem ich bałamuci, bo zamiast pracować, zamiast myśleć o poprawie swego losu, będą stali z założonemi rękoma i pysznić się swą „nadeuropejską cnotą”. Tym ludziom należy wskazywać na wady, powinno się przedstawiać prawdę nagą, rzetelną, bo tylko znając swe ułomności, można im przeciwdziałać. Krasińskiego nie przekonały powyższe słowa, odpowiedział on na to: „że jeżeli się kobiecie upadłej powie prawdę, to się ją zdemoralizuje do reszty, a zamiast ją ratować, zepchnie się ją na dno przepaści. Jeżeli jednak wmawiać się w nią będzie, że jest aniołem, tylko z zabłoconemi skrzydły, to uwierzy w swą cnotę, że może być jeszcze uczciwą kobietą. Jednem słowem, rozmowa powyższa, z której tylko streszczenie podaję, należy do najciekawszych i najbardziej charakterystycznych. Klaczko zapatruje się na ów fatalny dla nas mesyanizm ze stanowiska polityki, z uwzględnieniem psychologii narodów. Krasiński rozstrzyga absolutnie ową kwestyę, psychologią indywidualną, przyczem zapomina, że myśliciele zwykli byli porównywać państwo, czy naród z mężczyzną, ale nie z kobietą, a więc w tym wypadku mogła być tylko mowa o upadłym mężu i o konsekwencyach nieco odmiennych, jego upadku.

Ostatnim artykułem Klaczki (przygotowanym do „Wiadomości Polskich”, 1861) był szkic do psychologicznego wizerunku Mickiewicza. Nikomu nie udało się kilku rysami odmalować duszy poety, jak to on

uczynił w tej niewielkiej broszurze. Dusza Mickiewicza, wielka prostota w drobiazgach życia, potężna w unlesieniu twórczem, wychyla się z książki Klaczki taka prawdziwa, taka realna, jakbyśmy w czasie lektury tego studium z samym poetą obcowali. Pod koniec 1861 r. przesłał Klaczko Bulozowi, redaktorowi *Revue des deux Mondes* studium o jakimś bezimiennym poecie polskim. Wkrótce zjawił się sam Klaczko u niego i już w styczniowym zeszytzie r. 1862 pojawił się jego artykuł o Krasińskim p. t. *Le poete anonyme de la Pologne et son influence sur le mouvement des esprits en 1861*. O pracy tej, najpiękniejszej jaka była i jest o Krasińskim, słusznie powiada Tarnowski, że od niej dopiero i z niej poczęło się prawdziwe i zupełne rozumienie poety. Studium powyższe, to był wielki posag postawiony Krasińskiemu i jego wierny wizerunek. Prace Klaczki pojawiały się od czasu do czasu w „*Journal des Debats*“ oprócz artykułów podpisanych przez Prevosta - Paradola bądź przez St. Marc Girardina; większa część tych artykułów, przeważnie świetnych, była napisana również za wskazówkami Klaczki. Ale zdarzały się i takie, które pisał sam Klaczko. Takim był np. artykuł o margrabim Wielopolskim. W „*Revue des deux Mondes*“ studia Klaczki czytowane były przez cały świat ucywilizowany, a przedewszystkiem przez Napoleona III i Franciszka Józefa, co nie na rękę było Bismarckowi. W 1860 r. Klaczko odsłaniał w swych artykułach najtajniejsze sprężyny polityki Bismarckowskiej wobec Austrii i wskazał na niebezpieczeństwo, jakie grozi monarchii Habsburgów od strony Prus i jej pierwszego ministra. Przewidywania Klaczki sprawdziły się jeszcze w r. 1866, artykuł jego bowiem ukazał się w przeddzień wypowiedzenia przez Prusy wojny Austrii. Hoesick przechodzi wszystkie artykuły Klaczki pisywane do *Revue des deux Mondes* i przypomina ważniejsze okoliczności, które pobudzały autora do podjęcia pióra.

W r. 1870 przybył Klaczko do Wiednia wezwany przez Beusta a gdy go zapytał jaką mu przeznacza pracę, otrzymał wymowną odpowiedź: czuję potrzebę rozmawiania z panem. Rozmowy owe niepodobały się Bismarckowi, a nawet obawiał się ich, jak o tem przekonują dziennik Buscha. W przeddzień bitwy pod Sedanem wypowiedział Klaczko w Sejmie Krajowym świetną mowę, jako poseł tarnowski. W mowie powyższej doradzał, aby w adresie do cesarza dać wyraz sympatjom dla narodu francuskiego, sympatjom, które sejmowi jest wolno wypowiedzieć. Oponentem Klaczki był Adam Sapiaha. Zdaniem jego, sejm nie powinien się brać do dyskusowania zagranicznej polityki, a Polakom nie wolno być championami cudzych spraw. Klaczko replikował jeszcze świetniej, zaznaczając, że oponent nie zrozumiał jego

słów, ale swoją drogą mowa Klaczki spowodowała wielką wrzawę w Wiedniu, że aż Klaczko uważał za stosowne podać się do dymisyi. Żegnając się z Beustem radził mu uczynić to samo, słowami: to, po co tu przybyłeś, po co mię wezwalesz, nie powiodło się. Nie już znamiennego działać nie możesz. Ustąp. Obecna chwila jest po temu najsposobniejsza. Beust był odmiennego zdania, twierdząc, że dopiero teraz jest potrzebny. Tymczasem nie upłynęło kilka miesięcy, a już podać się musiał do dymisyi. W r. 1874 Klaczko zjawił się znowu w Paryżu, gdzie przebywał aż do r. 1881, w którym przeniósł się do Wiednia. W Paryżu rozwinęła się znów świetnie działalność jego piśmiennicza i Hoesick notuje pilnie i sumiennie każde jego studyum w *Revue de deux Mondes* i każdy ważniejszy fakt w jego życiu.

Książka Hoesicka, życiu i działalności piśmienniczej Klaczki poświęcona, posiada przedewszystkiem tę zasługę, że nam dała pełny obraz tak rozległej a drogocennej działalności piśmienniczej Klaczki. Hoesick nie ubiegał się za samodzielnością sądu krytycznego, ale podawszy w krótkim i jasnym zestawieniu, genezę i treść studyów, przytaczał najczęściej zdanie Tarnowskiego, a w dziedzinie polityki Stanisława Koźmiana. Z książki Hoesicka uprzytomniamy sobie należyte, ile to lat reprezentował Klaczko imię polskie w literaturze niemieckiej i francuskiej, i że reprezentował to imię zawsze zaszczycenie i z wielkim dla nas pożytkiem. W końcu zaznaczyć należy, że książka Hoesicka napisana jasno i potoczyscie, czyta się z niezwykłym interesem.

A. R.

Mémoires militaires du Maréchal Jourdan (Guerre d'Espagne), écrits par lui-même, publiées d'après le manuscrit original par le vicomte de Grouchy.

Karyera wojskowa Jourdana nie należała do rzędu najświetniejszych, ale w każdym razie zapewniała mu poważne stanowisko wśród wojowników Napoleona. Jourdan mając lat 16 służył wojsko w Stanach Zjednoczonych Ameryki i dosłużył się stopnia dowódcy batalionu ochotników. Następnie towarzyszył Dumouriez'owi w Belgii i został w 1793 generałem dywizyi. W dwa dni po bitwie pod Hondschoote został mianowany generałem głównodowodzącym i w 1794 r. wygrał bitwę pod Fleurus. Następnie jako członek rady pięciuset, Jourdan wniósł projekt do prawa o proskrypcyi. Jako

szczerzy republikanin pozostawał on w opozycji z planami generała Bonaparte w następstwie czego po 18 Brumaira został wykluczony z ciała prawodawczego. Pierwszy konsul wysłał Jourdana jako posła nadzwyczajnego do Piemontu i tam uczynił go prezydentem narodowej „konsulty“. W 1804 r. Napoleon mianował Jourdana marszałkiem, ale nie powierzył mu żadnej ważniejszej komendy. W r. 1808 Jourdan towarzyszył królowi Józefowi do Hiszpanii w charakterze szefa sztabu głównego; w roku 1814 komenderował 7 dywizją armii, a po upadku cesarstwa został parem Francji.

Pamiętniki Jourdana doręczone wydawcy w manuskrypcie przez wnuka marszałka, obejmują wypadki w Hiszpanii począwszy od 1808 r. Wydawca Grouchy uważa je za bardzo doniosłe, utrzymując zarazem, że zarówno Thiers jak i baron Ducasse w swej biografii królowi Józefowi poświęconej, czerpali obficie z pamiętników Jourdana, godząc się przeważnie na jego zdanie. Jourdan, zdaniem Grouchy'ego, jest surowym dla Napoleona, ale pobłażliwym dla króla Józefa. W pamiętnikach swych poddaje on szczegółowej krytyce postępowanie Napoleona i objaśnia powody niełaski cesarza, jaka się stała jego udziałem. Jakkolwiek wcześniej, bo w 1804 roku mianowany marszałkiem, Jourdan nie doczekał się żadnego honorowego tytułu i był jedynym marszałkiem, który nie został księciem (duc). W almanachu urzędowym opuszczono raz jego nazwisko w spisie marszałków a cesarz poskąpił mu nie tylko dotacji, ale przez długi czas zmniejszył mu pensję (Z 46.000 fr. na 20.000). Te wszystkie oznaki niełaski cesarskiej nie wpłynęły bynajmniej ujemnie na przywiązanie Jourdana do cesarza. Przez kilka lat przebywał Jourdan w swym majątku Condray, w charakterze wygnanego, czy usuniętego od życia wojskowego. W r. 1814 gdy okoliczności polityczne niesprzyjały cesarzowi, Jourdan zaznaczając, iż nigdy nieprzestał być dobrym francuzem i wiernym poddanym, ofiarował swe usługi Napoleonowi. Cesarz przyjął go przychylnie, przywrócił mu pierwotną pensję i powierzył mu komendę dywizji.

Pamiętniki Jourdana kampaniom hiszpańskim poświęcone posiadają istotnie, jako źródło historyczne, nieposlednią wartość. Przedewszystkiem zachował w nich Jourdan poczucie sprawiedliwości i niezależności osobistej. Króla Józefa broni on od zarzutu nieudolności militarnej i utrzymuje, że nie był on pozbawiony zdolności strategicznych i taktycznych, tylko, że zdolnościom tym niepozwalał się rozwinąć Napoleon. Prócz tego w pamiętnikach Jourdana przebiega się od czasu do czasu pewne współczucie dla narodu hiszpańskiego i postępowanie Napoleona nie budzi w nim zawsze bezwzględного uwielbienia. Jako szef sztabu głównego i powiernik króla Józefa, mógł

Jourdan niewątpliwie poznać dokładnie cały przebieg kampanij hiszpańskich, a pamiętnikami swemi objaśnić historyka owej doby.

Czytelnika polskiego obchodzić będzie przedewszystkiem to co Jourdan pisze o polskich wojskach, które w Hiszpanii walczyć były zmuszone i dla tego przytoczę wszystkie wzmianki o Polakach w pamiętnikach zamieszczone. Jest ich nie wiele i mniej aniżeli w pamiętnikach króla Józefa lub marszałka Sucheta, ale przynajmniej wszystkie są sympatyczne i świadczą, że żołnierz polski zawsze zasługiwał na wysokie uznanie francuzkich zwierzchników. Pierwsza wzmianka poświęconą została szarzy ułanów polskich z d. 17 sierpnia 1808 r. Oddział polski, należący do kolumny generała Lefebvre Desnouettes, przechodząc przez Ebro pod Alfaro, w celu obrony mostu, musiał wykonać rozpaczliwy atak na oddział hiszpański, liczący do 16.000 ludzi. Zadanie ułanów zostało w zupełności osiągnięte; hiszpanów odparto i ścigano aż o milę od Tudeli, przyczem utracili dwie armaty i nieco jeńców. Następnie opisuje Jourdan szarżę pod Somo-Sierą temi słowy: Cesarz widząc chwianie się piechoty wobec gradu kartaży, rozkazał szwadronowi szwoleżerów polskich, który się znajdował na służbie przy jego osobie, szarżować na baterye nieprzyjacielskie. Ci waleczni puścili się niezwłocznie galopem, ale zostali odparci. Skupili się jednak wkrótce, powrócili do szarży, i zabrali wszystkie armaty rozproszywszy batalion piechoty, który ich bronił. Sześćdziesiątka tych nieustraszonych Polaków pozostała na placu boju. Czyn powyższy był niewątpliwie najświetniejszym i najdzielniejszym z całej kampanii. Szwoleżerowie łącznie z strzelcami gwardyi ścigali następnie hiszpanów aż do Buitrago.

Kreśląc przebieg oblężenia Saragossy, Jourdan prawie zupełnie zapomniał o Polakach, i zaledwie w opisie wzięcia szturmem Sancta-Engrazia, wspomniany został pułk nadwiślański, między innymi. W opisie bitwy pod Almonacid nadmieniono, że generał Leval, otrzymawszy rozkaz zaatakowania lewego skrzydła hiszpańskiego, zdobył wzgórze, będące podstawą operacji Hiszpanów, za pośrednictwem wojsk polskich. Generał hiszpański Venegas, pragnąc odzyskać tak ważne stanowisko, użył w tym celu część swoich rezerw, ale wszystkie jego wysiłki były daremne. Owszem, wojska hiszpańskie zostały odparte i pozycye ich zajęło wojsko francuskie. Pomiedzy zabitymi wyższymi oficerami francuzkimi znajdował się hrabia Sobolewski, pułkownik 7 pułku piechoty. W bitwie pod Ocana generał Leval, który dowodził dywizyami Księstwa Warszawskiego i Konfederacji reńskiej, skierował swe siły przeciwko prawemu skrzydłu nieprzyjaciela i, okalając wąwóz, odepchnął silnie jego oddziały. Hiszpanie jednakże, skoncentrowawszy swe siły, wystąpili zaczepnie, oswobo-

dzili wąż i zaatakowali bataliony generała Leval. W tej chwili zaczepnej generał Leval został raniony, jeden z jego adjutantów zabity i dwa działa zdemontowane. O bitwie pod Albuera Jourdan opowiada, że gdy hiszpańskie wojska spędzono ze stanowisk, marszałek Beresford wysłał dywizję Stewarda, ażeby je napowrót zdobyła. Wtedy to pierwsza brygada tej piechoty została rozbita, dzięki szarży ułanów legii nadwiślańskiej.

Na tem się kończą wzmianki Jourdana o polskim posiłkowym żołnierzu. W porównaniu nie tylko z polskimi pamiętnikarzami, ale i ze wspomnieniami wyższych francuskich oficerów, jest ich niewiele, ale przynajmniej wszystkie świadczą chlubnie o sile bojowej i poczuciu honoru wojsk polskich. Atak pod Somo-Sierra został opisany przez Jourdana zgodniej z prawdą, aniżeli to generał Marbot uczynił. Dość, że czytelnik polski po przeczytaniu wspomnień marszałka Jourdana może nie być zupełnie zadowolonym, ale przynajmniej nie uczuje się obrażonym, ani pokrzywdzonym.

A. R.

ANTONI GUSTAW BEM: Studya i szkice literackie. Wydanie pośmiertne, ze słowem wstępnem Ign. Chrzanowskiego. Warszawa, 1904, Nakładem Księgarni Naukowej i przedpłaćcieli, 8-o, str. 316 + II.

Studya literackie ś. p. A. G. Bema, rozrzucone po czasopismach częstokroć mało poczytnych, nie były znane naszemu inteligentnemu ogółowi w takiej mierze, na jaką zasługiwały.

Po śmierci zasłużonego pisarza i pedagoga, grono jego przyjaciół i wielbicieli (Stefan Żeromski, Ignacy Chrzanowski i inni) zajęło się sprawą zbiorowego wydawnictwa jego prac. I oto mamy teraz przed sobą okazały, niezwykle pięknie, jak na prace naukowo-literackie wydany tom p. t. „Studya i szkice literackie“. Dług zmarłemu został w ten sposób spłacony.

Zawartość tomu, formatu dużej ósemki o 300 przeszło stronicach, jest bardzo pokaźna.

Na czele czytamy „Słowo wstępne“, skreślone przez p. Ignacego Chrzanowskiego, zawierające jędrną i zwięzłą charakterystykę Bema, szczegółowy spis danych biograficznych i bibliograficznych, wreszcie — dzieje powstania niniejszego wydawnictwa. Z tej ostatniej części „Słowa wstępnego“ dowiadujemy się, że spuścizna literacka ś. p. Bema została powierzona p. Chrzanowskiemu przez rodzinę zmarłe-

go celem dokonania wyboru. Z pomiędzy artykułów, recenzyj, szkiców i studyów zmarłego, p. Ch. wybrał najlepsze, pominąwszy przytem dzieła znaczniejszych rozmiarów, dawniej już oddzielnie wydane.

Na czele więc czytamy rzecz o „Grzegorz z Sanoka“, w której Bem rozwiewa nimb tajemniczości, otaczający postać tego pierwszego jakoby humanisty polskiego z XV stulecia. Dodać należy, że najnowsze poszukiwania historyczne, np. ks. Fijałka, stwierdziły najzupełniej hypotezę Bema co do rzekomych zasług cywilizacyjnych Grzegorza z Sanoka.

Dalej czytamy piękny artykuł p. t. „Śmielsze błyski humoru satyrycznego“. Bem, który był zawsze pionierem i rzecznikiem zdrowego postępu, podkreśla tu zasługi tych pisarzy, którzy śmiało występowali przeciw zastarzłym wadom społecznym, jak: Kochanowski we „Fraszkach“, Rej, Węgierski, takich zaś, jak Naruszewicz, Krasicki zalicza do kategorii chwiejnych.

Z tego samego punktu widzenia rozpatruje Bem „Wizerunek“ Reja, jako utwór sztuki i zdrowej myśli“, podkreślając w nim dążności postępowe.

„Stanisław Trembecki“ natomiast uległ surowej i sprawiedliwej zresztą krytyce, niepozabawionej nawet pewnej dozy złośliwości.

Ciekawe bardzo jest studyum p. t. „Obywatel polski z doby romantyzmu“; autor charakteryzuje tu postać idealnego obywatela na podstawie dzieł literackich XVI, XVIII w., a wreszcie poezyi romantycznej, jak np. „Oda do młodości“ i „Konrad Wallenrod“ Mickiewicza „Król zamczyska“ Goszczyńskiego i inne.

Rzecz o „Józefie Bohdanie Zaleskim“ należy do najgłębiej pojętych i najbardziej klasycznych w całym zbiorze; nigdzie Bem nie jest tak, jak tu powściągliwy w sądach; umie odróżnić „rymowane blaszki“ od szczerej poezyi, w dumkach pomimo braku kolorytu dziejowego dostrzega urok poezyi; słuszne też są zapatrywania autora na poemat „Duch od stepu“.

Następne dwie prace: „Echa mesyanistyczne w literaturze polskiej“ i „Andrzej Towiański“ dopełniają się nawzajem. W pierwszej Bem rozbiera prace pisarzy, których można uważać za poprzedników mesyanizmu polskiego pierwszej połowy XIX stulecia, jak: Długosz, Ostroróg, Kochanowski, Skarga, Woronicz (jako autor „Sybilli“ i „Hymnu do Boga“), wreszcie zaś przechodzi do właściwych twórców mesyanizmu romantycznego: Brodzińskiego (w „Mowie o narodowości Polaków“ i „Posłanie do braci“) i Mickiewicza, jako twórcy „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego“ — rzecz to nie dość może pełna, prawdopodobnie niezależnie od autora (niema nic o „Anhellim“, o Krasieńskim), ale bardzo cenna i ciekawa.

Wspomnienie o Towiańskim zostało napisane z powodu śmierci mistrza Andrzeja († 13 maja 1878 r.) i jest dobrym zarysem dziejów towianizmu; charakterystyka ruchu i jego twórcy jest bardzo trafna i zgadza się najzupełniej z najnowszymi wynikami wiedzy (por. studjum dr. Mazurkiewicza o Towiańskim).

Rzecz p. t. „Adam Bełcikowski, jako krytyk literatury“ jest surową, ale słuszną oceną licznych prac historyczno-literackich b. profesora Szkoły Głównej, zamkniętych w tomie „Ze studyów nad literaturą polską“ (Warszawa, 1886). „Jest on chylącym się ku pozytywizmowi — tak pisze Bem o Bełcikowskim — t. z. postępowcem umiarkowanym z przeszłego lat dziesiątka: wiara w Opatrzność nie przeszkadza mu uznawać do pewnego stopnia teorii Darwina; na ideały romantyków patrzy obiektywnie i ceni nadewszystko trzeźwym rozumem stwierdzoną prawdę; daleki od klerykalizmu i stańczykowstwa, rzadko ulega wszechwładnemu w Krakowie prądowi, a w swoich poglądach na zasługę obywatelską tego lub owego pisarza stara się wogóle być sprawiedliwym i niezależnym“ (str. 259). Oto wzór wysłowienia Bema, a zarazem zwierciadło jego poglądów i dążeń.

Pozostałe studia dotyczą rzeczy mniej więcej współczesnych: „Adam Asnyk“ jest wspomnieniem pośmiertnem treściwem, ubogiem w szczegóły, ale charakteryzującym pieśniarza „Snu grobów“. W szkicu p. t. „Adam Pług“ autor poddaje rozbiorowi utwory powieściowe zasłużonego pisarza, jak „Marcin futornik“, „Duch i krew“, a zwłaszcza „Ofycjalista“ podkreślając w nich dążenia szlachetne i postępowe. Wreszcie zamyka tom rzecz o „Elizie Orzeszkowej“, oparta na najwcześniejszych tylko jej powieściach, jak: „Pamiętnik Wacławy“, „Pan Graba“, „Cnotliwi“, „Ostatnia miłość“, „Na dnie sumienia“, „W klatce“.

Jak więc widzimy, treść niniejszego tomu jest bardzo obszerna i urozmaicona. Wiele tu rzeczy ciekawych, choć nie dzisiaj pisanych, wiele poglądów, rzuconych śmiało, wiele postrzeżeń trafnych i zdrowych myśli. I po raz pierwszy staje przed nami sympatyczna postać ś. p. Bema w pełnym świetle swoich własnych utworów.

Człowiek to z pokolenia bojowników pozytywizmu i t. zw. postępu z przed 30 lat, bojownik jeden z najszlachetniejszych, choć rzadko zabierał głos w sprawach społecznych. Z tego też punktu widzenia zapatruje się on na utwory literatury, podnosząc w nich entuzjastycznie znamiona postępu, namiętnie natomiast zwalczając wszelkie objawy wstecznictwa, obłudy moralnej, sobkowstwa, nietolerancyi, ciemnoty. A że cechuje go temperament żywy i wrażliwy, nie umie więc ukryć swego oburzenia i utrzymać się w granicach obiektywizmu historycznego. Kiedy karci np. Skargę za nietolerancyę, zapomina

o tem, że wielki autor „Kazań Sejmowych“ nie mógł być innym, że wreszcie w Polsce w. XVII, a nawet XVI, nie było miejsca na tolerancję itp. Stąd studia Bema nabierają publicystycznego charakteru i zacięcia.

Ale ta ideowa strona prac ś. p. Bema, nie doprowadza go nigdy do mijania się z prawdą. Temperament postępowca jest tu trzymany na wodzy przez gorące umiłowanie prawdy, a przede wszystkim przez subtelne poczucie artystyczne. Bem widzi piękno wszędzie, gdzie ono jest, nie zamyka nań oczu, choćby znalazł je u pisarzy przeciwnego obozu, jak np. w utworach religijnych i dumkach Zaleskiego.

Bem godzien był ze wszech miar tej pamiątki, którą postawili mu wielbicieli, wydając ten wybór „Studyów i szkiców literackich“. Dla uczniów nieodżałowanego profesora będzie on stanowił miłe wspomnienie, dla historyków literatury cenny nabytek.

HENRYK GALLE.

JÓZEF ZAGRZEJEWSKI: „Jedność sił w przyrodzie“. Piotrków, 1904; 8-o, str. 125.

Nie jest to pierwsza praca p. Zagrzejewskiego, gdyż w r. 1900 wydał on w Warszawie obszerniejsze dzieło p. t. „Pogląd na ustrój przyrody“ oraz dodatek do tegoż: „Suplement“.

Wszystkie prace tego autora są owocem długich i rozległych studyów, napisane jasno, samodzielnie i z zupełną świadomością wytkniętego celu. Wszędzie pragnie autor obudzić chęć i zapał do gruntownego i krytycznego badania dostrzeganych zjawisk i do szukania przyczyn, od których one pochodzić mogą. Zasadniczą ideę, którą autor przeprowadza i dowodami popiera, przytoczę tutaj jego własnymi słowami:

„Cały wszechświat jest na wskroś wypełniony materią elektryczną, jako niezbędnym łącznikiem wszystkich światów planetarnych i gwiazdowych, a zarazem czynnikiem i motorem wszelkich odnośnych objawów, dotąd albo niedających się wytłómaczyć przyczynowo, albo przypisywanych domyślnie mechanicznemu działaniu substancji nie istniejącej w naturze, nazwanej „eterem“¹⁾.

¹⁾ „Pogląd na ustrój przyrody“, str. 160.

Na podstawie elektryczności tłumaczy autor zjawiska przyrody, a czyni to nie dorywczo i nie na domysł, ale naukowo, logicznie i przekonująco.

W niniejszym artykule podam w krótkości treść ostatecznych wyników, do których doszedł autor w swej pracy w tytule wymienionej; są one następujące: Elektryczność jest materią pozytywną, ona też, jako materia, jest najdzielniejszym motorem mechanicznym. Szczególnym przymiotem elektryczności jest jej podzielność na dwie połowy zasadnicze: dodatnią i odjemną, a każda z tych połów ma również swoją podzielność, tak zwaną promienistą, lecz w granicach niedość jeszcze poznanych. Światło wogóle jest wibracją fal elektrycznych. Elektryczność wypełniającą wszechświat i złożoną z dwóch połów, dodatniej i odjemnej, nazywa autor normozą, albo elektrycznością normalną. Normoza wywiera swoją masą wszechświatową, ciśnienie na wszelkie ciała, przyciąga i zbliża do siebie elektryczność statyczną ciał, rozszczepiając ją, na dodatnią i odjemną tak na przewodnikach, jak na atomach i molekułach, ale z żadną, z nich nie zlewa się i żadnej do siebie nie przyjmuje, gdyż posiada już w sobie te części składowe w równych ilościach, czyli w stanie zupełnego, normalnego nasycenia. Normoza przestrzeni tłumaczy zagadki dotąd nierozwiązane, np. dlaczego woda paruje, dlaczego marznie, ścina się w lód, jak tworzą się chmury, deszcz, pioruny i t. d? Ona też odgrywa główną rolę w energii promieniotwórczej i w telegrafii bez drutu.

Powstawanie związków chemicznych, drogą suchą i moką, jest skutkiem działania elektryczności, która również reguluje w związkach, stosunki proporcjonalne i wielokrotne.

Wibracja, dwuimiennej elektryczności na atomach, lub molekułach, jest przyczyną ruchu cząsteczkowego, zatem i wszelkich skutków fizycznych lub chemicznych tegoż ruchu. Przyczyną ciepła, według autora, jest drganie elektryczności na powierzchni ciał stałych, ciekłych i gazowych; w pustej przestrzeni, zatem wypełnionej czystą normozą, mianowicie pod dzwonem pneumatycznym, gdzie prawie wcale niema cząsteczek materialnych, mogących powodować wibrację, temperatura powinna być stanowczo niższa, aniżeli temperatura powietrza, otaczającego aparat pneumatyczny. Jakoż na tej podstawie, autor wykonał i bliżej opisał doświadczenie, stwierdzające wniosek jego, że bezpośrednią przyczyną ciepła jest drganie dwuimiennej elektryczności ¹⁾.

¹⁾ Str. 95 i nast.

W dalszym ciągu swojej pracy, mówi autor o przyciąganiu i odpychaniu, tłumaczy ich przyczynę, zbija błędność mniemania o przyciąganiu mas, tłumaczy prawo Newtona na podstawie elektryczności, która rządząc wszechświatem materialnym stanowi zasadę jedności sił w przyrodzie.

Skoro elektryczność normalna (normoza) jest wszędzie w ilości niewyczerpanej, przeto są widoki zdobywania jej z atmosfery w nieograniczonej obfitości.

W krótkim artykule, trudno pomieścić mnóstwo ważnych myśli i dowodów, za pomocą których, przedmiotowo i przyczynowo autor rozwija zasadę przyrodoznawstwa. Pomysł autora jest już z tego względu nader ważnym czynnikiem naukowym, że sprowadza wszystkie zjawiska przyrody do jednej, wspólnej siły. Taki nowy pomysł, może nie od razu trafi do przekonania czytelników, kierujących się społecznymi zasadami wiedzy, ale po bliższym poznaniu zasadniczej myśli autora i krytycznym rozbiorze dowodów, oraz objaśnień, doprowadzi do nieuprzedzonego i zdrowego sądu o samej zasadzie, która jako oparta na materialnej, wszechświatowej podstawie, jest zdolna do tłumaczenia zjawisk przyrody.

Jeżeli uwzględnimy tę okoliczność, że matematycznie biorąc, nie tylko Newtona prawo grawitacji opiera się na odwrotnym stosunku z kwadratem odległości, ale przyciąganie i odpychanie magnetyczne i elektryczne, natężenie światła, promieniowanie ciepła zależą również od pomienionego stosunku, znajdziemy w pomysle p. Zagrzejewskiego wszystkie te prawa zogniskowane w elektryczności.

Ja ze swej strony wieszczę autorowi takiego pomysłu, który oby wydał jak najplodniejsze owoce dla nauki!

J. KOWALCZYK,

Starszy Astronom Obs.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

A więc już po sezonie.

Warszawa, która w ciągu letnich miesięcy zawsze przymiera, zaczyna obecnie na nowo uderzać pełnią życia. „Wędrownie ptaki“ powróciły do niej. Zdrojowiska krajowe i zagraniczne opustoszały. Na gościńcach europejskich ruch się zmniejszył. Jesteśmy w domu.

W takiej chwili właściwą rzeczą jest zastanowić się nad tem, czy powtarzające się od lat kilku nawoływanie prasy do spędzania wakacyj letnich w kraju odniosły skutek pożądaný?

Na pozór mogłoby się zdawać, że skutek ten jest niewielki, na ogół bowiem ruch wyjezdnych za granicę był znaczny, a ze wszystkich miejsc kąpielowych nadchodziły wiadomości, że i tam i tam i jeszcze gdzieindziej są Polacy. Byli. A przecież, pomimo to, daje się stwierdzić fakt pocieszający — było ich mniej, niż lat poprzednich.

W jakim stopniu? Na to odpowiada nam wyczerpująco Dr J. Tchórznicki, który przedmiotowi temu poświęcił w „Lekarzu“ dwa ciekawe artykuły. Z zebranych przez niego pracowicie cyfr dowiadujemy się, że w Busku, Ciechocinku, Czarnieckiej Górze, Grodzisku, Nałęczowie, Ojcowie, Otwocku, Solcu i Sławucie było w r. 1899 kuracyszów 13,643, w roku zaś 1903 — 19941, to znaczy, że liczba kuracyszów w zdrojowiskach krajowych wzrosła o 6298.

Ogółem w przytoczonych powyżej 9 miejscowościach było w ciągu 5 lat kuracyszów 83.346 osób, czyli średnio rocznie odwiedzało te miejscowości 16 688 chorych.

Znamiennym jest przedewszystkiem wzrost frekwencji zdrojów Ciechocińskich. Lekarz tamtejszy, dr. Dębicki, przypisuje to umiejętnemu zarządowi zdrojowiska, dostarczaniu wygodnych mieszkań dobrze urządzonych kąpeli itp. ulepszeń.

Ciechocinek — pisze dr. Tchórznicki — nadto zawdzięcza swój szybki rozwój rzeczywistej wartości leczniczej swych źródeł, oraz umiejętnej agitacji warszawskiego Towarzystwa higienicznego, które przekonało publiczność, że Ciechocinek pod względem wartości

leczniczej o wiele przewyższa Homburg, Ischl i Kreutznach, a jakkolwiek nie dorównywa im pod względem komfortu oraz systematyczności i porządku — to już nie jego wina, lecz samej publiczności, która dotąd nie umie być jeszcze tak akurata, jak akuratnymi są Niemcy. Skoro jednak zdrojowisko niesłychanie szybko rośnie, jest zupełna nadzieja, że braki te wkrótce usunięte będą, zwłaszcza, że świadomość naszego społeczeństwa o swych wadach i potrzebie ich wykorzenienia robi z każdym rokiem większe postępy.

O innych „letniskach“ krajowych dowiadujemy się następujących szczegółów:

Z Czarnieckiej Góry dr. Karniewski pisze: Nieklań i Czarniecka Góra jest to miejscowość przepyszna, jedno z najpiękniejszych uzdrowisk w kraju, nie ma jednak, jak dotychczas, szczęścia. Lekarze dokładają starań, lecz, jak widać, starania tam nie wystarczą — potrzeba kapitału. Stacya leśna jest utrzymana źle, domki się wala, coś się tam projektuje, lecz dotąd nie wybiła godzina pożądanego rozwoju. Bolesne to i tylko polską niezaradnością podobny stan rzeczy wyjaśnić można. Gdy ktoś, obcy, przyjdzie, rzuci kilkadziesiąt tysięcy, urządzi wszystko, jak należy i — śmietankę spijając będzie, wtedy rozpocznie się larum: „mądry polak po szkodzi“, „trzeba było wcześniej“, „jak tego można było nie widzieć“ itp.

Z Grodziska dr. Tokarski wykazuje cyfry za lat 8. Kiedy w r. 1895 leczyło się tam zaledwie 87 osób, to w roku 1902 już około 200. Świadczy to zatem o stopniowym, ale ciągłym rozwoju tego zakładu.

Z Nałęczowa dr. Puławski podał tylko ścisłe dane co do chorych leczących się, a więc zapisanych w księgach lekarskich. Liczba bawiących przejezdnych i towarzyszy jest zawsze o wiele wyższa. Liczba leczących zwykle waha się pomiędzy 1700 i 2000. W latach 1902 i 1903 frekwencya była nieco mniejsza, na co wpłynęły zimna i niepogody.

Z Ojcowia dr. Niedzielski zaznacza również, że posiada ścisłe cyfry tylko co do osób leczących się w zakładzie ojcowskim i dodaje: nie mogę oznaczyć szczegółowej liczby letników przebywających w Ojcowie, ponieważ ani administracya doliny, ani policya nie prowadzi żadnego wykazu owych osób. Liczba ta wynosi jednak w przecięciu około 1000 osób rocznie.

Z Otwocka dr. Geisler zaznacza, że może dać tylko cyfry z sanatorium, gdyż o chorych z oddzielnych will, wiadomości nie posiada. A szkoda, Otwock bowiem przestał być letniskiem,

a jest już dziś specjalnem u z d r o w i s k i e m i rejestracya obowiązująca go winna.

Z Solca dr. Daniewski podaje cyfry z ostatnich lat 12-tu. W roku 1890 było chorych 437, a w r. 1903 było ich 1480. Widoczne więc jest, że zdrojowisko cieszy się coraz większem uznaniem.

Ze Sławinka dr. Ant. Zapasiewicz pisze obszerny list, w którym uwydatnia znakomite skutki lecznicze wody żelazistej Sławinka. Prace d-rów Olechnowskiego i Orłowskiego wykazały, że wodę tę należy gazować.

Dr. Z. mówi: „Z bólem serca patrzę na wodę leczniczą, odpływającą tysiącami wiader na sąsiednie łąki, wtedy, gdy dziesiątki tysięcy rubli naszych płynie do zagranicznych badów“.

Szczery ton listu dowodzi, że inteligentnego człowieka boli, oburza i gniewa nasza niezaradność i niedołęstwo wobec skarbów natury, tryskających z ziemi tak blisko centrów cywilizacyjnych, a tak bezmyślnie deptanych. Rzeczywiście, Sławinek powinien stać się wkrótce miejscowością uczęszczaną, jak na to zasługuje.

Z K r a s n o b r o d u p. Niedzielski pisze: „Okolica wspaniała, przepyszne lasy sosnowe, obszerny lokal stoi pustką, komunikacya fatalna. Na kolej Tomaszowską, hr. Zamoyski posiada chroniczną koncesyę. Jeżeli stacya kolejowa będzie, Krasnobród musi zakwitnąć.“

Z tego wszystkiego okazuje się, że w Królestwie Polskiem liczba kuracuszów stale wzrasta, pomimo że w latach 1902 i 1903 przez cały sezon panowały deszcze! To też dużo ciekawego światła na tę sprawę rzucą cyfry z pogodnego roku bieżącego.

W guberniach: Wileńskiej, Kowieńskiej i Wołyńskiej istnieją cztery zakłady lecznicze.

Co do Sławuty — wiadomo, że miejscowość ta rozwija się nadzwyczaj pomyślnie. Frekwencya ogólna wynosi do 1500 osób, z czego przypada na leczących się $\frac{2}{3}$ tej cyfry. Rozwój Sławuty jest niewątpliwy wobec tego faktu, że nie tak daleko od Sławuty, mianowicie pod Brześciem litewskim, pod Żytomierzem i w wielu innych miejscach powstały zakłady kumysowe, które odciągają dużo leczących się, a pomimo tego frekwencya w Sławucie nie zmniejsza się.

Z kraju zachodniego posiada dr. Tchórznicki cyfry za lat 5. Z cyfr tych wypada, że we wszystkich czterech miejscowościach leczniczych tego kraju, a mianowicie: w Birsztanach, Druskienikach, Pohulance i Sławucie było w r. 1899 kuracuszów 7662, w r. zaś 1903 — 8598 czyli liczba kuracuszów wzrosła o 936. W czterech

tych miejscowościach razem w ciągu lat 5-ciu było kuracuszów 40628, czyli średnio rocznie odwiedzało te miejscowości chorych 7606.

Dr. Czerkawski z Birsztan zaznacza, że w r. 1902 wydano wani 13.430.

Z Pohulanki są tylko gołe cyfry.

Niewątpliwie w guberniach tych — pisze dr. Tchórznicki — znalazłyby się prześliczne miejsca kuracyjne i uzdrowiska leśne, lecz, niestety, kultura kraju nie stoi na wysokości zadania.

Zobaczmy teraz, jak się przedstawia wzrost frekwencji wód galicyjskich. Obfitość i różnorodność zdrojowisk w Galicyi sprawia, że kuracuszki z najróżnorodniejszymi chorobami dążą do tej „ziemi obiecanej“.

Z cyfr, zebranych przez dra Tchórznickiego wypada, że we wszystkich 10 miejscowościach Galicyi, a mianowicie w Bystrej, w Drohobyczu, Iwoniczu, Jastrzębiu, Krynicy, Lubieńcu, Rabce, Szczawnicy, Truskawcu i Zakopanem było w r. 1899, kuracuszów 27945, w roku zaś 1903 — 32105 tj. liczba kuracuszów wzrosła o 4160. Razem w 10 miejscowościach było w ciągu 5-ciu lat kuracuszów 150.628, czyli średnio odwiedzało rocznie te miejscowości 30126 chorych.

Największy skok naprzód uczyniło Zakopane, gdy bowiem w roku 1899 odwiedziło je 5018 osób, to w r. 1902 było już 9000 osób.

Nie wątpimy ani na chwilę — mówi dr. Tchórznicki — że frekwencja Zakopanego wkrótce przewyższy oczekiwania. W r. 1902 powstało tam wspaniałe sanatorium dla chorych piersiowych, pozostające pod kierownictwem dr. Dłuskiego, a kto je widział, ten z łatwością oceni, że jest to dzielna placówka, kierująca swoich do siebie, ma ono bowiem wielką przed sobą przyszłość.

Tak się przedstawia sprawa odwiedzania zdrojowisk krajowych w oświetleniu cyfr, które aczkolwiek nie są zupełne, to jednak pozwalają już sądzić bez zastrzeżeń o tem, że istotnie wchodzimy na dobrą drogę. I pójdziemy po niej z pewnością, jeżeli tylko właściciele i zarządy tych zdrojowisk potrafią we własnym i całego społeczeństwa interesie należycie dbać o to, aby gościom „krajowym“ zapewnić na miejscu te urządzenia i wygody kulturalne, które najbardziej wabią ich zagranicę. Pod tym względem dr. Dębicki z Ciecuchocinka ma zupełną rację. Komfort i wygoda są najlepszymi sprzymierzeńcami zdrojowiska w jego rozwoju. Dobre mieszkania, dobra restauracja, urządzone wykwiłnie kąpiele, powoli przekonają wszystkich, najoporniejszych nawet, że lato można spędzić w kraju z równym, a może nawet i większym pożytkiem dla zdrowia, ale —

trzeba dać to wszystko publiczności, która decydując się na kurację i placąc za nią drogo, ma prawo żądać, aby wymagania jej były zaspokojone.

*

*

*

Dużo mówiono i mówią u nas o wyższych kursach wakacyjnych w Zakopanem. Jedni chwalać je bardzo, inni zarzucają im partyjność, obie strony godzą się wszakże na to, że idea tych kursów jest piękna, i że należy dbać o ich utrzymanie nadal.

Powstały one z inicjatywy młodych sił naukowych polskich, które wogóle w Galicyi uczyniły już wiele dla ważnej sprawy popularyzowania nauki. Wypływa ona tam powoli z murów uniwersyteckich, wydostaje się z ciasnych sal wykładowych, do których ma prawo wstępu tylko student immatrykulowany, przesącza się do szerokich warstw społeczeństwa i rozbija nawet swoje namioty u podnóża Tatr, aby tam skupiać przy swoich „ołtarzach połowych“, żądnych wiedzy profanów.

Popularyzatorom nie wystarczyły „powszechnie wykłady uniwersyteckie“, odbywające się we Lwowie i w Krakowie, nie wystarczył im również uniwersytet ludowy im. Adama Mickiewicza, rozgałęziony już dziś po wszystkich miastach prowincjonalnych Galicyi — zapragnęli oni zdobyć jeszcze jedną placówkę i zdobyli ją. Zjechali na lato do Zakopanego, odbyli szereg wykładów i konwersatoryów, poruszyli umysły i, bądź co bądź, zjednali sobie powszechną sympatyę.

Naturalnie — zamiarem ich było jedynie dać podniecie swoim słuchaczom do studyów naukowych specjalnych, umożliwić im zorientowanie się w dorobku tych gałęzi wiedzy, które objęte były programem, zachęcić do rozejrzenia się w świecie myśli i zaznajomić z najnowszymi jej zdobyczami.

W tych granicach — właściwie mówiąc — niema miejsca na tendencję. A przecież, jak zapewniają słuchacze wykładów i jak piszą korespondenci niektórych dzienników, w wykładach tych „ciągle dźwięczała nuta walki partyjnej.“

Szkoda! W ten sposób bowiem rzecz, w założeniu swoim pożyteczna i potrzebna, bardzo łatwo może się wypaczyć i zniechęcić ku sobie nawet tych, którzy powitali ją z nieklamana radością.

Należy na to zwrócić baczną uwagę i zarząd kursów powinien dołożyć wszelkich starań, aby, korzystając z przychylnego nastroju opinii publicznej, dać wykładom możliwość spokojnego spełnienia tej roli, do jakiej są one powołane.

A rola ta jest bardzo poważna.

Jesteśmy społeczeństwem, które stoi daleko poza innymi. Nauka walczy u nas z niezwykle trudnościami, a przede wszystkim z obojętnością ogółu. Nawet wśród t. zw. inteligencji naszej, wśród ludzi, wykształconych zawodowo, jak prawnicy, lekarze, inżynierowie, zaledwie pewien nieznaczny odsetek jest takich, którzy rozumieją potrzebę ciągłego uzupełniania swych wiadomości, i idąc za głosem tej potrzeby, śledzą postęp naukowy w swoich dziedzinach. Cała ogromna większość społeczeństwa poprzestaje w tym względzie na informacjach, udzielanych jej przez Kuryerki i Tygodniki społeczno-naukowe. *Risum teneatis!*

Smutny to fakt, ale dowiedziony i znany powszechnie, a stwierdza go wymownie każda nowa książka naukowa, wydana po polsku, Kto ją kupuje? Kto ją czyta? Kilku specjalistów i nikt więcej. Butwieje ona w pyle i kurzu na półkach księgarskich i po upływie kilku lat idzie na makulaturę. lub dostaje się do antykwarni za dziesiątą część swojej wartości.

W tej atmosferze zupełnej obojętności na rzeczy nauki, w atmosferze zupełnego obchodzenia się bez niej w życiu, w rozwiązywaniu jego zagadnień i w ocenie jego zjawisk — wyrasta młode pokolenie. I pójdzie ono tą samą drogą, jeżeli nie obudzimy w niem wyższych i szlachetniejszych dążeń, jeżeli nie przyzwyczaimy go do tego, że nauka nie tylko jest po to, aby chleb dawać prawnikom, lekarzom i inżynierom, ale i po to, aby prowadzić społeczeństwo drogą ciągłego rozwoju, polepszać jego moralne i materialne stosunki, ułatwiać im zwyciężanie napotykanym przeszkód i zbliżać je do prawdy. Z tego względu każda instytucja naukowa, a zwłaszcza taka, jak „kursy wakacyjne“, ma dla nas niepospolite znaczenie i prawdziwa byłaby szkoda, gdyby tej dobrej, pożytecznej pracy musiano zaniechać, lub skrzywić ją ze względu na niesnaski partyjne i wycieczki tendencyjne. Zresztą — brzmi to nawet dziwnie wobec tego, że nauka prawdziwa zna tylko jedną tendencję — prawdę. Miejmy więc nadzieję, że organizatorowie kursów nadal, tylko tej prawdzie będą służyli i w ten sposób spełnią to, do czego są powołani: obudzą zapał do nauki, w szerokich kołach społeczeństwa.

Od kilku lat ciągle słyszymy o kasach posagowych. Taki już wiatr powiał. Rzucono się w tym kierunku skwapliwie i w krótkim przeciągu Kasy zaczęły powstawać, jak grzyby po deszczu. Co raz to jakiś dziennik donosił, że tam, lub gdzieindziej, w Warszawie, czy na prowincyi, zawiązuje się nowa Kasa. Kandydatów nie brakowało, wróźono więc sobie byt trwałe i długie. Powoli jednak zaczęły wychodzić na jaw rozmaite braki w organizacyi tych dziwnie szybko krzewiących się instytucyj, a głosy niezadowolenia zaczęły się zwracać przeciw nim.

— Jakto? — mówił sobie niejeden. — Ożeniłem się. Jestem członkiem Kasy posagowej, a posagu mi nie wypłacają, co to znaczy?

A znaczyło to tylko tyle, że kasy wobec nadmiernej ilości małżeństw, zawieranych wśród ich członków, nie mogły podolać ciężarom, musiały wypłaty odraczać, ustanowić ich kolej, co znów wywoływało wśród członków zniechęcenie, narzekania na nieporządek i głośnie sarkanie.

Zarządy Kas, widząc, że zaczyna dziać się źle, postanowiły wspólnie zastanowić się nad tą sprawą i szukać środków do zażegnania tej przykłej sytuacji, która wytworzyła się w ciągu kilkuletniej ich działalności. W tym celu zwołany został Zjazd przedstawicieli Kas posagowych. Zjazd ten odbył się w Warszawie w d. 1 września r. b. Wzięło w nim udział sześćdziesięciu przedstawicieli 24 Kas posagowych. Cyfry te dowodzą, że sprawa budzi zainteresowanie.

W obradach, które toczyły się pod przewodnictwem organizatora Zjazdu, p. Torzewskiego, wysunęła się na czoło kwestya zmiany dotychczasowych ustaw i przyjęcia jednej u s t a w y n o r m a l n e j dla wszystkich Kas, rozszerzającej znaczenie dotychczasowy zakres ich działania.

Między innemi, za cel Kas posagowych wskazano, oprócz wydawania zapomóg poślubnych, także udzielanie członkom pożyczek terminowych na dogodnych warunkach. Do grona członków mają być przyjmowane osoby bez ograniczenia wieku, a więc nawet i dzieci, których obowiązki względem Kasy spełniają rodzice, lub opiekunowie. Każdy z członków odpowiada za zobowiązania Kasy do wysokości dwukrotnego wpisowego, które podniesiono do 123 rubli.

Liczba członków, według projektowanej ustawy normalnej, ma być nieograniczona, za normę przyjęto wszakże 251, przy której to ilości mogą być wydawane po cztery zapomogi posagowe miesięcznie. Przy większej liczbie członków, ilość wypłaconych miesięcznie posagów ma wzrastać w stosunku jednego posagu na każdych 50 członków. Kasy posiadać będą dwa kapitały: obrotowy, oraz zapasowy, którego dotychczas nie było, a który tworzyć się będzie z wpisowego, z kar, z procentów od kapitałów, z ofiar dobrowolnych i t. d.

Wpisowe wplacane będzie w ratach miesięcznych po 10 rb. + 3 rb. jednorazowo przy pierwszej racie. Po wplaceniu ostatniej raty członek otrzyma polisę, która nada mu prawo do otrzymania zapomogi posagowej w sumie, zależnej od wysokości składek wplaconych — od 250 rb. do 1,500 rb. Po opłacie 75 składek, członek uwolniony jest od dalszego ich płacenia.

Takie zmiany projektuje nowa ustawa ku dobru Kas i utrwaleniu ich bytu.

Większość jednakże przedstawicieli, obecnych na Zjeździe, oświadczyła się przeciw rozszerzaniu w ten sposób ustawy Kas. Silnie powstawano zwłaszcza przeciw pożyczkom. W dyskusji wyszły też na jaw rozmaite szczegóły, malujące dosadnie to ciężkie położenie, w jakim znalazły się Kasy, nie mogące pokryć swych zobowiązań względem członków skutkiem tego, że wypłata zapomóg oparta została na obliczeniach, zgola fałszywych. W przedstawionym projekcie nie widziano lekarstwa na doraźne cierpienia, trapiące Kasy, nie próbowano więc nawet zastanowić się nad niem, wołano natomiast o jakiś środek, ułatwiający wydobyć się z trudnej sytuacji obecnej, np. ograniczenie przymusowe liczby małżeństw zawieranych przez członków (!), obniżenie o 40% wskazanej przez ustawę wysokości zapomóg posagowych i t. p.

To wszystko nie doprowadziło wszakże do żadnych pozytywnych wyników. Zjazd okazał się w skutkach swoich zupełnie jałowym, a chociaż wybrano na nim komisję, która ma rzecz całą raz jeszcze zbadać i odpowiednie wnioski do koniecznych reform opracować, to wszakże jest rzeczą wątpliwą, czy komisja ta potrafi kwestyę tę rozwiązać i zapewnić Kasom dalszy rozwój. Natomiast zjawia się pytanie, czy Kasy posagowe wogóle mają ekonomiczną rację istnienia i czy wypadkiem nie zachodzi tu to samo, co z Kasami pogrzebowymi, które również nie wytrzymują rachunku i nie rokują długiego istnienia. Kto wie, czy nie lepiej zastąpić je ubezpieczeniami, lub prostą oszczędnością. Jest to droga daleko pewniejsza i nie narażająca nikogo na zawody i rozczerowania. Naturalnie je-

dnak trzeba u mieć o s z c z ę d z a ć, a to podobno nie leży w naszym charakterze narodowym. Próbujmy jednak uczyć się powoli tej kardynalnej ze stanowiska ekonomicznego cnoty, zamiast łudzić się obietnicami Kas posagowych.

*

*

*

W sprawie „cechów“, które w ostatnich czasach zainteresowała się opinia publiczna, zadając sobie pytanie, czy są one potrzebne dla rozwoju rzemiosła, czy też przeżyły się już całkowicie, otrzymaliśmy następujące wyjaśnienie od przedstawicieli zgromadzeń rzemieślniczych:

„Wszystkie pisma codzienne — czytamy tam — zamieściły wzmiankę o tem, że grono rzemieślników i osób postronnych wniosło do ministerjum podanie z prośbą o s k a s o w a n i e zgromadzeń rzemieślniczych, jako instytucyj, nie odpowiadających swemu przeznaczeniu, a będących rozsądnikami demoralizacyi i źródłem synekur dla niektórych członków.

Jakkolwiek zarzuty te nie zostały poparte żadnymi zgoda dowodami, jednakże nie przestały być oskarżeniem szerokiej warstwy społeczeństwa, złożonej z rzemieślników.

Oskarżenia tego nie można pozostawić bez odpowiedzi z tego względu, że może ono powstrzymać inteligentniejsze jednostki od zapisywania się do szeregu rzemieślników, co znowu wpłynęłoby ujemnie na rozwój rzemiosł w naszym kraju.

Że cechy niezbędne są dla ogółu, tego dowodzi sam fakt ich powstania i wielowiekowego istnienia, jako instytucyi, gwarantującej ogółowi nabywców, że towar, kupiony u członka zgromadzenia rzemieślniczego, wykonany jest sumiennie. Jak chory udaje się do lekarza z wiarą, że otrzyma radę odpowiednią od człowieka, którego znajomość medycyny potwierdza wydany mu patent, tak też i do majstra cechowego przychodzi nabywca po towar, na którym może się nie znać wcale, a którego dobroć gwarantuje mu otrzymany przez rzemieślnika patent cechowy.

Że cechy nie rozsiewały demoralizacyi — dowodem są liczne rzesze rzemieślników wykwalifikowanych, godnie pełniących obowiązki obywatelskie w ciągu całego szeregu wieków.

Wreszcie, cechy są pożyteczne dla swoich członków, niosąc im pomoc w najcięższych chwilach życia. Niechaj dowiodą tego poniżej zamieszczone cyfry, z uwagą, że instytucje te były do niedawna niemal jedynymi stowarzyszeniami, które za pobieraną kopiejkową opłatę od członków, zapewniały im pomoc materyalną, stosunkowo w znacznej sumie.

Zobaczmy, jak te cyfry wyglądają:

Zgromadzenie ślusarzy warszawskich wypłaciło w r. 1903 członkom swoim, lub pozostałym po nich rodzinom, wsparć jednorazowych w ogólnej sumie rb. 242 kp. 10, zasiłków stałych rb. 1,205 zwrotu kosztów kuracyi rb. 297 kp. 40, wydało na pogrzeby rb. 248 i na nabożeństwa rb. 134 kp. 50, czyli ogółem **rb. 2,127**.

Zgromadzenie szewców w tymże roku 1903 wydało: na kurację i na pogrzeby rb. 2,235 kp. 30, na przytułek dla rzemieślników rb. 161 kp. 25, na wsparcia rb. 1,772, na kościół ofiarowano rb. 171 kp. 80, czyli razem **rb. 4,340 kp. 35**.

Zgromadzenie rzeźników wydało w r. 1903 z kasy majstrów: na nabożeństwa za zmarłych rb. 83 kp. 50, na utrzymanie szkoły rb. 388 kp. 85, na wsparcia stałe i jednorazowe rb. 1,042, na kurację i pogrzeby rb. 381 kp. 88, na zapomogi wędrownym czeladnikom rb. 28, na przytułek rb. 20, czyli razem **rb. 1,900 kp. 56**, a nadto z kasy czeladników na także cele ogółem **rb. 336 kp. 07**. Nadto wypłaca rocznie z górą **rb. 300** na rzecz budowy kościoła Zbawiciela.

Zgromadzenie malarzy pokojowych w r. b. wydało dotychczas rb. 95 na zapomogi, a nadto corocznie wydaje **rb. 726** na utrzymanie szkoły rysunkowej.

Zgromadzenie rękawiczników w ciągu ostatnich lat trzech wydało na wsparcia, koszta leczenia i pogrzeby ogółem **rb. 720**, nie licząc składek doraźnych, zbieranych i wręczanych potrzebującym w każdym poszczególnym wypadku.

Zgromadzenie krawców od 1 stycznia r. 1901 do 1 lipca wypłaciło z kasy majstrów na wsparcia, leczenia i pogrzeby **rb. 6,618 kp. 80**, a z kasy towarzyszków **rb. 560 kp. 80**.

Zgromadzenie cieśli utrzymuje z własnych funduszków kursa rysunków i modelowania dla swych uczniów, z ofiar dobrowolnych stale wspiera wdowy i dzieci po zmarłych członkach, dając nadto po **rb. 50** na koszty pogrzebowe.

Zgromadzenie drukarzy w r. 1903 wypłaciło na koszty kuracyjne towarzyszków rb. 3,301, na pogrzeby rb. 630, na wsparcia rb. 1,344, na nabożeństwo żałobne rb. 12, na kształcenie sierot po towarzyszach rb. 513 kp. 50, czyli ogółem **rb. 6,105 kp. 50**.

Zgromadzenie mularzy wydało w r. 1902 na zapomogi dla członków swoich rb 1,900, a w r. 1903 — rb. 900. Prócz tego przy zgromadzeniu istnieje stowarzyszenie p. n.: „Wzajemna asekuracja majstrów cechu mularskiego”, zaprojektowano też założenie Kasy pogrzebowej i rozpoczęto wydawać „Podręcznik do obliczania robót”. Wydawnictwo to będzie kosztowało około rb, 300. Kosztem zaś rb. 5,000 wydano dzieło w dwóch tomach p. t.: „Nauka mularstwa”.

W końcu, odpierając zarzut, jakoby urząd starszego zgromadzenia miał być synekurą, odezwa zaznacza, że starsi pobierają pensję od 50 do 200 rb. rocznie, zależnie od zamożności cechu, a w wielu cechach pełnią obowiązki honorowo. „Zdaje się, że pensya ta nie może dać powodu do nazwania tej posady synekurą, jeżeli zważymy na wydatki starszego, związane z jego obowiązkami służbowymi i czas stracony na obrady”.

Obszerny w tej sprawie memoriał, oparty na szeregu cyfr z lat ubiegłych, opracowany będzie wkrótce i podany do druku.

Tak bronią się starsi zgromadzenia cechów warszawskich.

To, że zabrali oni w tej sprawie głos, że starali się odeprzeć zarzuty, skierowane przeciwko cechom, jest niewątpliwie objawem bardzo pomyślnym i świadczy, że apatya i bezczynność nie zapanowały jeszcze niepodzielnie w zgromadzeniach rzemieślniczych. Z ciekawością też czekać będziemy na zapowiedzianą obronę motywowaną, która nas o istotnem życiu, panującym w cechach, pouczy lepiej może, niż przytoczone powyżej cyfry.

Cokolwiekby jednak nie da się zaprzeczyć, że w organizacyi cechów naszych rzemiosł nie wszystko jest takie, jakim być powinno, że panuje tam atmosfera trochę przytęchła, że brak tam inicjatywy, czynu i ducha nowoczesnego.

Cechy w pewnym stopniu są, a mogą być nawet, niezależnie od zmienionych warunków produkcyi i od jej formy kapitalistycznej — bardzo jeszcze pożyteczne, należy tylko tchnąć w nie nową formę i nowego ducha, wyzwolić się „z przeżytych kształtów” i naprzód „iść z żywymi”. Nie wątpimy, że przyczyni się do tego obecna „mała burza”, wywołana wzmiankami dzienników, a jak się okazuje, budząca pp. majstrów z długiego, spokojnego snu. Owszem, niech się bronią jak najenergiczniej i niech dowiodą, że cechy nie utraciły dawnej żywotności.

*

*

*

Od 1-go października r. b. wychodzić zaczął w Warszawie pod kierunkiem pedagogicznym p. Edmunda Bogdanowicza (Bożydara) nowy tygodnik dla rodzin: „Dobra matka“, wraz z dodatkiem dla dzieci, stanowiącym osobną całość p. t. „Mój przyjaciel“.

Zadaniem tego czasopisma będzie wypełnić dotkliwą lukę w naszej literaturze pedagogicznej, to znaczy pozyskać dla ważnej idei racjonalnego chowania dzieci tę sferę czytelników, która stoi dziś po za obrębem wpływów Przeglądu pedagogicznego. To ostatnie pismo, aczkolwiek prowadzone bardzo dobrze i stojące zupełnie na wysokości swoich zadań, a może właśnie dla tego — jest nieprzystępne dla kół szerszych, jest nawet zupełnie wśród nich nieznanne. Grono jego czytelników stanowią przeważnie pedagogowie-wychowawcy, nauczyciele domowi i nauczycielki, z pośród rodziców zaś tylko bardzo nieliczni szukają w Przeglądzie wskazówek co do tego, jak dzieci prowadzić. Wszyscy inni nie interesują się wcale tem światłem, które nauka rzuca coraz obficiej na duszę dziecka i dzięki któremu można lepiej się oryentować w tem, jak i z jakim dzieckiem należy postępować, jak dbać o jego rozwój fizyczny, i jak jego umysł wzbogacać i rozwijać bez szkody dla wątłych sił organizmu. Nieświadomość w tym względzie wyrządza liczne i niepowetowane szkody społeczeństwu, to też kształcić „dobre matki“ stanowi jedną z najpierwszych trosk chwili obecnej.

Pojmuje to redaktor nowego tygodnika i tak mówi:

„Dobrych matek nam niebrak, a imię matki otoczone jest głęboką czcią w naszym społeczeństwie. Jednakże matek dobrych, a jednocześnie rozważnych i uświadomionych — jest bardzo niewiele. Społeczeństwo zaś coraz częściej, zwłaszcza w ostatnich czasach, odzywa się pod adresem matek: „Matki, chowajcie pokolenia zdrowe fizycznie i moralnie: jednostki energiczne, sprawne do pracy, jednostki samodzielne. Spełnienie tego obowiązku chcemy właśnie ułatwić naszym matkom, chcemy dać im w rękę materyał, któryby je uświadomił i prace ich w zakresie rodziny na prawidłowe wprowadził tory. Nie unikając bezwzględnie „szarej teorii“ bez której obyć się niepodobna, dostarczać będziemy matkom wskazówek praktycznych z dziedziny pedagogiki, higieny domu i gospodarstwa i ekonomii domowej. Każda więc matka znajdzie u nas wskazówki i rady:

jak wychowywać dzieci, jak dbać o ich zdrowie i pielęgnować je, jak je ubrać, nakarmić, zająć i z a b a w i ć. Jako uzupełnienie wydawać będziemy pismo dla dzieci p. t. „Mój przyjaciel“.

Z tej zapowiedzi widać, że pismo stać będzie na gruncie praktycznym i zajmie się nietyle teorią wychowania, ile wcieleniem zasad nowożytniej pedagogiki w życie, popularyzowaniem jej wśród matek, jednaniem ich serc i umysłów dla sprawy rozumnego i pieczołowitego, mającego na względzie przyszłe dobro społeczne, chowania dzieci.

A pole to do działania szerokie, pole, zarosłe chwastami, w postaci najróżnorodniejszych przesądów i fałszywych zapatrywań, które się bardzo głęboko zakorzeniły i które stopniową, ale ciągłą i usilną pracą wykorzenić trzeba.

Faktem stwierdzonym jest, że rodzice dzisiejsi kochają bardzo dzieci, ale kochają je przeczuloną, chorobliwą, nawskroś egoistyczną miłością, której nawet niektórzy nie wahają się nadać obraźliwej nazwy, wynalezionej przez Niemców... *Affenliebe*. Ztąd w wychowaniu dzieci każda matka popełnia niezliczone błędy, w następstwie przyprowadzające nieraz i samych rodziców i ich dzieci o ciężkie strapienia i kłopoty. Słabość fizyczna, brak samodzielności, niedołęstwo życiowe, nieumiejętność obracania się między ludźmi, choroby woli w tysiącznych jej odmianach — to wszystko są najczęściej skutki wychowania.

Dzieci są u nas pieszczone, nie odmawia im się niczego, dba się do przesady o ich ładny wygląd, ubiera się je kosztownie i elegancko, uczy się przy pomocy drogo opłacanych nauczycieli, męczy się je muzyką, obcemi językami, ale — nie chowa ich się prawie nigdy, a zwłaszcza nie chowa ich się na przyszłych obywateli. Rodzice zapominają, że tylko do czasu dzieci są ich własnością, że przychodzi czas, kiedy dorastają one i kiedy społeczeństwo zapytuje ich: co przyniosicie z sobą? i odrazu obarcza je obowiązkami, których dźwiganie jest udziałem każdego.

To wszystko trzeba mieć na widoku wcześniej i każda dobra matka i każdy ojciec rozumny muszą sobie zdawać sprawę z przyszłości dziecka wówczas, kiedy ono poczyna kształcić swój charakter, swoją wolę, swój umysł. Później — może to być już za późno, bo rzeczy spaczne prostują się trudniej, zwichnięte — nastawiają z bólem, złamane — zrastają krzywo. Z tego względu — im więcej matki będą posiadały wiedzy pedagogicznej i świadomości swoich zadań — tem lepiej i dlatego nowe, popularne pismo, o ile zdobędzie sobie rzeczywiście szerokie koło czytelników, może oddać prawdziwe i znaczne usługi ważnej sprawie wychowywania dzieci.

Na opróżnioną przez śmierć ś. p. Piotra Chmielowskiego katedrę języka i literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim świeżo powołany został były profesor uniwersytetu we Fryburgu, w Szwajcaryi, ostatnio bibliotekarz Ordynacji hr. Krasińskich w Warszawie, Dr. Józef Kallenbach.

Wiadomość o tej nominacji przyjęta została z ogólnem uznaniem, prof. Kallenbach posiada bowiem wszystkie warunki, ażeby odpowiedzieć trudnym obowiązkom, na oczekujące go stanowisko. Posiadając głęboką wiedzę, niezwykle umiłowanie przedmiotu i świetne pióro, które czytelnicy „Biblioteki Warszawskiej” kilkakrotnie mieli sposobność ocenić na jej łamach, należy on, mimo młodego jeszcze wieku, do badaczy dobrze już zasłużonych sprawom literatury ojczyźnej. Jego dwutomowa monografia o Adamie Mickiewiczu i ostatnie prace o Zygmuncie Krasińskim są niewątpliwie bardzo wybitnymi nabytkami naszego piśmiennictwa doby ostatniej w kierunku historyczno-literackim. Obok tego prof. Kallenbach posiada wielkie zdolności pedagogiczne i niezwykle dar jednania sobie ludzi, co w stosunku profesora do młodzieży odgrywa rolę pierwszorzędą.

Dotychczasowa karyera naukowa prof. Kallenbacha jest następująca:

Urodził się on w Kamieńcu Podolskim dn. 24 listopada 1861 r. Nauki początkowe i gimnazjalne pobierał w Stanisławowie, Tarnopolu i Lwowie, gdzie otrzymał świadectwo dojrzałości w r. 1880. Wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie ukończył w r. 1884 ze stopniem doktora filozofii. W jesieni tegoż roku, jako stypendysta, wyjechał na studia do Lipska, Monachium i Paryża. Po latach dwóch powrócił do kraju i wziął udział w ekspedycji naukowej, urządzonej staraniem prof. Stanisława Smolki do Rzymu, gdzie pracował w Archiwum Watykańskiem nad materiałami do czasów Stefana Batorego. W r. 1887 został bibliotekarzem Akademii Umiejętności w Krakowie i docentem prywatnym literatury polskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim, a w r. 1889 profesorem literatury i języków słowiańskich w nowozałożonym podówczas Uniwersytecie Międzynarodowym we Fryburgu. W r. 1893 Akademia Umiejętności w Krakowie mianowała go członkiem-korespondentem wydziału filologicznego. Przed trzema laty prof. Kallenbach prze-

niósł się do Warszawy, aby zaopiekować się powierzoną mu przez Adama hr. Krasieńskiego biblioteką ordynacyi. Na tem stanowisku pracował z dużym pożytkiem dla instytucyi, zjednawszy sobie w naukowym i towarzyskim świecie Warszawy licznych a szczerych przyjaciół.

Dziś, powołany do Lwowa, opuszcza nas prof. Kallenbach na długo, może na zawsze. Żegnamy go z żalem, ale i z radością, że zajmuje on ważny posterunek naukowy, na którym będzie mógł owocnie dla nauki polskiej pracować.

*

*

*

Od prof. Romana Plenkiewicza otrzymujemy następujące ciekawe wyjaśnienie w sprawie przechowania się u nas turów. Rzecz ta zajmie niewątpliwie wszystkich, interesujących się zaginioną fauną krajową.

Szanowny profesor pisze:

„W zajmującym wielce artykule p. Stanisława Kramsztyka: „O okresie lodowym w dziejach ziemi“, a pomieszczonym w zeszytcie sierpniowym „Biblioteki Warszawskiej“, natrafiłem na szczegół, który tu, w imię prawdy historycznej, chciałbym sprostować. P. Kramsztyk, mówiąc o zwierzętach zaginionych, twierdzi, iż tury na Mazowszu znane były do wieku XV (str. 273). Otóż w udzielonych mi łaskawie przez ks. Jana Tadeusza Lubomirskiego wyciągach z Archiwów b. Komisji Skarbu, znajdują się dwa listy króla Zygmunta Augusta, z których okazuje się, iż tury jeszcze w drugiej połowie wieku XVI przechowywały się w puszczech sochaczewskich i wiskickich.

Pierwszy list, datowany z Kowala, pod d. 8 czerwca 1552 r., zaleca Stanisławowi Borkowi, wojskiemu i staroście sochaczewskiemu, by, jadącej z synem Januszem, królowej węgierskiej, siostrze swej, Izabelli, okazał w lasach sochaczewskich tury, a nawet dla ich uciechy jednego z nich upolował. Drugi list, datowany z Warszawy pod d. 14 marca 1564 r., poleca Mikołajowi Radziejowskiemu, kasztelanowi gostyńskiemu i staroście sochaczewskiemu, by przejeżdżającemu Janowi ks. meklemburskiemu owe tury w puszczy wiskickiej pokazał.

Oto dosłowny tekst owych listów:

I.

Sigismundus Augustus Dei gratia rex Poloniae, magnus Dux Lithuaniae etc.

Generose fidelis nobis, dilecte. Serenissima Princeps, domina Isabella, soror nostra, cum Illustrissimo filio suo constituit adire Sochaczewiam boum silvestrum videndorum gratia. Quare cum eo pervenerint com meatum illis fidelitas tuas praebeat, quod, si venationem sese oblectare voverint, unicum tantummodo boum occidere liberum illis esto. Pro gratia nostra aliter non facturum est.

Dat Covalie, feria 4 ante SS. Trinitatem proximam. A. D. 1552, regni nostri XXII.

(Do St. Borka).

II.

Sig. Augustus etc.

Odiezdiąc (*sic*) stąd od nasz JE-o Mcz. Kxiąze Janusz(s), Melemburskie, umislił sthopicz (wstąpić) ogliądacz Thuri w puszczei Wiskithskiej, czegoszmi my iemu na zadanie (żądanie) iego dozwolili. I tak wam roskazuemy, poiedzie thi Thuri ogliadać, dozwolili y roskazali ie z liasza dlia ogladania wignacz. A przethim zebiszcie go potrzebami wsielakiemi opatrzeli, gdi tamthendi poiedzie. A inaczei pod łaską naszą, abiście uczinili.

Dat Warschoviae d. XIII mens. Marcii A. D. 1564. regno nostri XXXV, Sig. Augustus.

(Do M. Radziejewskiego).

Okazuje się z powyższego, że jeżeli tur w wieku XVI nie był już w Polsce zwierzęciem pospolitem, skoro go tak pilnie w lasach królewskich strzeżono, w każdym razie istniał: był tylko naówczas taką samą osobliwością, jak dziś żubry w Puszczy Białowiejskiej*.

*

*

*

W bitwie pod Saolincy na wzgórzach Landiansiańskich pod Laojanem, śmiertelnie został raniony kulą w głowę ś. p. Wacław Taczanowski, zmarły dnia 6 września r. b. w szpitalu polowym w Charbinie.

Filolog, nauczyciel języka polskiego w IV gimnazjum męskiem w Warszawie, współpracownik „Słownika języka polskiego“ i „Słownika gwar polskich“, którego ukończenie miał sobie powierzone po śmierci ś. p. Jana Karłowicza, cichy, sumienny pracownik, poświęcony wyłącznie sprawom swojej wiedzy, należał Taczanowski do najwybitniejszych sił naukowych młodszych.

Urodzony w r. 1868 na wsi, w gub. Płockiej, z ojca Franciszka i matki Wiktoryi z Jankowskich, kształcił się w Warszawie w gimnazjum V, które ukończył w r. 1889. Zapisawszy się następnie na wydział lekarski, do roku 1902 studyował medycynę. Wątpli i słabowity nie mógł jednak wytrwać w tych studiach i dla poratowania zdrowia musiał uniwersytet opuścić. Po dwuletnim wypoczynku powrócił do przerwanych nauk, ale już nie na medycynę. Rozpoczął studia historyczno-filologiczne, do których ciągnęły go wrodzone zdolności i upodobania. Wydział ten ukończył w r. 1897 ze stopniem kandydata. Poświęciwszy się językoznawstwu, rozpoczął pracę naukową wśród dobranego grona współpracowników „Słownika języka polskiego“ i w krótkim czasie zdobył sobie uznanie, jako zdolny i dobrze przygotowany lingwista. Dowodem tego uznania służyć może fakt, że po śmierci Jana Karłowicza, powierzono Taczanowskiemu materiały rękopiśmienne, pozostałe po zmarłym uczonym, a dotyczące „Słownika gwar polskich“, z tem, aby materiały te uporządkował, dopełnił na własną rękę, o ile tego zajdzie potrzeba i wydawnictwo doprowadził do końca. Okazało się, że Taczanowski był właśnie stworzony do takiej pracy. Rozmłówał się w niej, poświęcał jej całkowity swój czas poza zajęciami obowiązkowymi na stanowisku pomocnika bibliotekarza Biblioteki Uniwersyteckiej, a potem — nauczyciela języka polskiego, kładł w nią cały zasób swoich wiadomości i gorącą chęć przysłużenia się nauce. Niestety, śmierć przedwczesna nie pozwoliła mu rozpoczętego pod dobrą wróżbą dzieła ukończyć. Powołany, jako oficer rezerwy, na pole działań wojennych na Dalekim Wschodzie, padł w jednej z pierwszych utarczek pod Lao-

janem, pozostawiając po sobie szczery i głęboki żal wśród tych, którzy go mieli sposobność znać bliżej.

Z grona prawników warszawskich śmierć zabrała znów jednego z najwybitniejszych przedstawicieli tego zawodu.

D. 4 września r. b., w majątku swoim Komorowie, pod Pruszkowem, zmarł ś. p. Michał Józefowicz, rejent przy sądzie hipotecznym w Warszawie, osobistość, dobrze znana w szerokich kołach towarzyskich naszego miasta.

Zmarły należał do tych nielicznych u nas jednostek, które poza zajęciami obowiązkowymi, umieją jeszcze skupiać dokoła siebie innych, budzić życie i pracować na szerszej arenie obywatelskiej. We wszystkich stowarzyszeniach naszych, a zwłaszcza w tych, które postawiły sobie za cel popieranie nauki i sztuki, ś. p. Michał Józefowicz brał udział gorliwy i nie szczędził zabiegów i starań, ażeby je podźwignąć, byt ich utrwalić, działalność rozszerzyć. Między innymi był on skarbnikiem Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem i, jako prezes, stał na czele Kasy dla wdów i sierot po artystach-muzykach.

Ze światem literackim łączyły go również bliższe stosunki. Za czasów redakcyi Bolesława Prusa, podpisywał on, jako wydawca, dziennik „Nowiny“, wydał również zbiór prac przyjaciela swojego, ś. p. Płaskowskiego, którego grób ozdobił pięknym pomnikiem.

Rozległa wiedza fachowa, szerokie poglądy ogólne i wytworny smak artystyczny stanowiły cechę umysłowości zmarłego. Jako miłośnik sztuk pięknych, pozostawił on po sobie cenne zbiory, gromadzone ze znanstwem. Tak np. w jego galerji domowej znajdował się słynny „Stańczyk“ Matejki.

Umarł, strawiony długotrwałą chorobą, przeżywszy lat 59.

*

*

*

Jednocześnie, w sędziwym wieku, licząc 83 lata, zmarł w Warszawie ś. p. Włodzimierz Biesiekiński, właściciel majątku ziemskie-

go na Kujawach, b. radca Komitetu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Zmarły cieszył się wielkim poważaniem w sferach ziemiaństwa naszego, należał bowiem do najstarszych jego przedstawicieli.

Zwłoki jego przewiezione zostały do Witowic w pow. Niezawskim, gdzie spoczęły w grobach rodzinnych na cmentarzu miejscowym.

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

— Na czerwcowem posiedzeniu Komisyi do badania historii sztuki w Polsce, odbytem pod przewodnictwem prof. Maryana Sokółowskiego, — Prof. Jan Bołoz - Antoniewicz odczytał referat o wizerzy Leonarda da Vinci. Jak wiadomo, obraz ten znajduje się w refektarzu kościoła S-ta Maria della Grazie w Medyolanie. Dwojako tłumaczono ten obraz. Goethe dowodził w swoich listach z Włoch, że Leonardo przedstawił tu chwilę, kiedy Chrystus zebrany na uczcie uczniom swoim wypowiada słowa: „Unus vestrum me traditurus est“. W ruchu wszystkich postaci dopatrywał Goethe wzruszenie, jakie wywołać musiały słowa Chrystusa. Druga hipoteza, wyrażona po raz pierwszy w XV w. przez D-ra Luca Paciolos (w jego Divina Propositione), kazała w tym obrazie dopatrywać chwili przed wypowiedzeniem prorocstwa. Uczniowie są zajęci rozmową, a Chrystus myśli nad wypowiedzeniem smutnej przepowiedni. Obecnie prof. Antoniewicz uzasadnia tę drugą mniej znaną hipotezę przybiegając do sumiennego zbadania wszystkich szczegółów obrazu. W dowodzeniu swoim prof. Antoniewicz posiłkuje się także linearnemi wykreśleniami, któremi, jak przypuszczają, kierował się zawsze Leonardo w swoich kreacyach.

— Na posiedzeniu tejże Komisyi Akademii Umiejętności, odbytem 6 lipca b. r. hr. Mycielski miał odczyt o galerji Stanisława Augusta. Na podstawie dwóch rękopiśmiennych katalogów dowodził on całokształt zbiorów królewskich, które jak wiadomo były najbogatsze w całym kraju. Według wyliczenia hr. Mycielskiego, galerja obejmowała 2,223 numery. Dzięki bardzo dokładnym katalogom, z których jeden znajduje się dziś w Suchej (wyzyskany przez Rastawieckiego), drugi w Archiwum Głównem w Warszawie, można najdokładniej określić wartość artystyczną zbiorów. Znajdujemy tu obok Tyceyanów i kilku innych obrazów włoskich XVI w., w wielkiej ilości arcydzieła mistrzów niderlandzkich, flamandzkich i holenderskich. Samego Rembrandta spotykamy kilkanaście płócien (z tych niektóre do dziś przechowały

się w polskich zbiorach). Z holenderskich malarzy oprócz Rembrandta napotykamy: Flineka, Bol'a, Echhout'a, a z pejzażystów Ruysdael'a, A. van der Noer'a, van der Velda, i wielu innych. Większy jeszcze jest zasób płóciennych XVIII w. Tu przeważają Francuzi: Watteau, Lanerete, Lebrun, Rigaude, Ver-net. Nie mniej licznie są reprezentowani: Bacciarelli, Lampi, Grassi, Nor-blin i Canaletto.

Wobec znacznej wartości naukowej wspomnianych katalogów, hr. My-cielski nosi się z zamiarem wydania ich w oryginalnym, francuskim tekście. Dla badaczy starożytności warszawskich będzie to bardzo pożądane, gdyż ka-talogi najdokładniej określają szczegóły, dotyczące obrazów, i miejsca, gdzie były zawieszane.

Na temże posiedzeniu dr. Ignacy Be t t streścił swą pracę o fabrykach porcelany w Koreu i Baranówce.

MOWE KSIĄŻKI:

— Z zakresu wydawnictw historycznych, które się ukazały w ostatnich czasach, przedewszystkiem zaznaczyć trzeba: „Szkice historyczne z jedynastego wieku“ przez prof. Tadeusza Wojechiechowskiego. (Kraków, nakładem Akademii Umiejętności, Gebethner i Wolff, Warszawa, 1904). Znajdujemy tu zbiór rozpraw naukowych, pisanych bardzo pożytnie i wyjaśniających nie jedną zagadkę z tych odległych wieków. Tytuły rozpraw są następujące: 1) Eremici reguły św. Romualda czyli Benedyktyni włoscy w Polsce XI w. 2) Astryk-Anastazy, opat Trzemeszyński. 3) Piastowicz eremita i biskup krakowski Lambert I. 4) Arcybiskup Bogumił. 5) Królestwo polskie i koronacja Bolesława II (1076). 6) Arcybiskup Henryk. 7) Strącenie i wygnanie króla Bolesława. 8) Factum biskupa Stanisława poprzedza: kto był Gallus? 9) Władysław Herman: Zatrata korony i pierwszy kult Stanisława.

Cały tom, o 346 stronach, czyta się z nieustającym zainteresowaniem. Nie ulega wątpliwości, że cenne dzieło prof. Wojechiechowskiego wywoła obszerną wymianę zdań osób, specjalnie się zajmujących tą epoką.

— Na mający się odbyć w 1906 r. jubileusz prof. Stanisława Tarnowskiego, przygotowano już pierwszą „Pamiętkową księgę“ (Warszawa, 1904, 8-o, str. 358). Jest to obszerny tom, zawierający prace uczniów zasłużonego profesora, którzy, idąc za jego przykładem, poświęcili się badaniom nad literaturą ojezystą. Po liście ks. Arcybiskupa Bilezewskiego, który, jako uczeń Tarnowskiego, rozpoczyna to wydawnictwo, idą następujące prace: dra Stanisława Zathey'a: „Literatura jako przedmiot naukowych badań“; — d-ra Franciszka Grabowskiego: „Monografia Aleksandra Tyszyńskiego“; — dra Ferdynanda Hoescicka: „Juliana Klaczki początki działalności literackiej francuskiej (1854 — 1855)“; — dra A. M. Kurpiela: Zdanie sprawy z dwóch nieznanych powieści J. U. Niemcewicza, z których jedna zatytułowana: „Władysław Bojomir“.

druga bez tytułu; — Jana Bystrzyckiego: Kwestya religijna na emigracyi po r. 1831; — J. O. Sędzimir: Wstęp Pana Tadeusza (z podobizną autografu); — Adama hr. Krasińskiego: „Zygmunta Krasińskiego nieznaną pomysł Trylogii“; — prof. Józefa Kallenbacha: Nieznane listy Mickiewicza i Zygmunta Krasińskiego; — Stanisława Dobrzyckiego: Tragiczny wiek literatury polskiej; — dra Kazimierza Krotoskiego: O łacińskim panegiryku na cześć Bolesława Śmiałego z pierwszej połowy XII wieku“. Wreszcie Jana Czubka: Przekład Iliady (Pieśń V).

— Z zakresu wydawnictw prawnych zaznaczyć należy książkę dra Jerzego Michalskiego, docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, p. t.: „Prawo ubogich“ (Kraków, 1904, 8-o, str. VII + 156).—Praca bardzo ważna w znaczeniu ekonomiczno-społecznem. Pierwsza część zatytułowana: „Kierujące zasady zarządu sprawami ubogich“, traktuje o obowiązku wspierania ubogich, o stosunku opieki prywatnej do publicznej wogóle, o całej organizacyi spraw ubóstwa. Część druga: „Prawo ubogich w austryackiem ustawodawstwie państwowem“ przedstawia literaturę i zarys austryackiego ustawodawstwa państwowego prawa ubogich z historycznego stanowiska i obecnie obowiązujących ustaw. Część trzecia: „Ustawodawstwo krajowe“, wykazuje cechy charakterystyczne ustaw krajowych w pojedynczych krajach Przedlitawii. Osobne ustępy omawiają kwestyę ustawodawstwa ubogich Galicyi.

— Ks. Jan Sygański T. J. wydał dzieło p. t.: „Arendy klasztoru staro-sandeckiego w XVI i XVII wieku“ (Lwów, 1904, Druk Wł. Łozińskiego, 8-o, str. 225). Autor zebrał tu materiał archiwalny, odnoszący się do posiadłości klasztornych ziemskich i ich administracyi, słowem do całego życia gospodarczego od roku 1560 do 1629. W rozdziale pierwszym znajdujemy streszczenie dokumentów, odnoszących się do arend klasztornych od r. 1450 — 1627, inwentarz dóbr klasztornych z r. 1614 i 1698. W rozdziale trzecim, zatytułowanym: „Rozmaitości starodawnego klasztoru starosandeckiego“ — kronikę najważniejszych zdarzeń od czasów fundacyi. Obok tego ogłasza autor Pamiętnik klasztoru z lat 1761 — 1784 i opis wizyty klasztoru przez biskupa Kajetana Sołtyka w 1763 r. Zamyka dzieło szereg dokumentów, pomieszczonych w tekście oryginalnym.

— Ważną publikacją dla sfer rolniczych jest: „Rocznik Akademii rolniczej w Dublanach za rok 1903/1904“ (Lwów, 1904, Z drukarni Pillera i Sp., 8-o, str. 81). Rocznik ten jest pierwszym z szeregu sprawozdań, które odtąd rok rocznie kolegium profesorów tejże akademii będzie wydawać z końcem każdego roku szkolnego. Roczniki te obejmować będą sprawozdanie administracyjne dyrekeji, kronikę ostatniego roku, sprawozdanie z poszczególnych katedr, oraz publikacye, mające związek z działalnością naukową Akademii.

— „Macierz polska“ w 24-tym zeszyście swojej biblioteki wydała powieść p. J. Stablewskiej, p. t.: „W obronie matki ziemi“. Utalentowana autorka (krewna arcybiskupa Stablewskiego) jest doskonale obznajomiona z anormalnymi stosunkami w Poznańskim. W powieści swojej charakteryzuje chłopą poznańskiego, a posługując się umiejętnie językiem ludowym, nadaje odpowiedni koloryt powieści. Treść odpowiada w zupełności tytułowi.

— „Biblioteka naukowa“. Zeszyt 18-ty zawiera następujące prace: Jakóba Lewkowieza: „Jak należy filozofię studyować“; — „Starcia Płci“ przez W. S. — „Ruch współdzielezy“ według książki Karola Gide'a opracował Wojciech Szukiewicz; — „Wykształcenie artystyczne“ przez Ludwika Volkmana; — „Pojęcia i teorye chemii“ dra Ludwika Brunera.

— „Encyklopedyi Wychowawczej“ wyszedł zeszyt VII i zawiera niedokończony jeszcze artykuł: „Literatura powszechna“ pióra prof. R. Plenkiewicza.

— Dziesiąty zeszyt wydawnictwa: „Sztuka Polska“, pod redakcją pp. Feliksa Jasińskiego i Adama Cybulskiego, góruje jeszcze nad poprzedzającymi, zwłaszcza pod względem jakości reprodukcji. Zeszyt ten zawiera: 1) „Jeźdźca“ Piotra Michałowskiego. 2) „Wjazd Fredry do Stambułu“ — Juliusza Kossaka. 3) „Derwida“ — Jaka Malezewskiego i 4) „Klasztor Beginek w Brugii“ — Józefa Pankiewicza. Teksty do Michałowskiego i Pankiewicza wyszły z pod pióra p. Feliksa Jasińskiego; o Kossaku pisze Witkiewicz, o Malezewskim p. St. Lack.

Wydawnictwo otrzymało od Dyrekcji muzeów cesarskich w Berlinie i tamtejszego „Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych“, zezwolenie na reprodukcję dzieł J. Fałata i M. Gierymskiego.

— „Słownik języka polskiego“, ułożony pod redakcją ś. p. Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego i Władysława Niedzwieckiego (Warszawa, 1904, 8-o, str. 657 — 816) posunął się znowu wielkim krokiem naprzód. Obecnie wyszedł zeszyt 18-ty tego monumentalnego dzieła od słów „Odrzykoń“ do „Oprzykrzenie“. Słownik ten, który stanie się niezbędnym dla każdego pracującego w zakresie naszej literatury, cieszy się zasłużonym uznaniem. Został on nagrodzony przez Akademię Umiejętności w Krakowie na konkursie imienia Lindego. Galicyjska rada szkolna krajowa poleciła go do użytku szkół. Te dwa momenty mówią więcej, niż wszelkie pochwały.

— „Homiletyka“, pismo miesięczne, poświęcone kaznodziejstwu i życiu duchownemu, pod kierunkiem ks. Maryana Nasalskiego. Zeszyt sierpniowy, 8-o, str. 117 — 214.

— „Wisła“, miesięcznik ilustrowany, poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu, pod redakcją E. Majewskiego. Tom XVIII, r. 1904. Zeszyt: Lipiec i Sierpień (№ 4) zawiera: Aleksandra Freimana: Z Szachname; — Stanisławy Dąbrowskiej: Wieś Żabno; — Wacł. Józ. Jaskłowskiego: Wieś Mnichów i Nakonecznego: Pojęcie prawne ludu.

BIBLIOGRAFIA.

Arcet M.: Słowniczek wyrazów i przysłów angielskich, francuskich, łacińskich, niemieckich i włoskich. Wyciąg ze słownika 20,000 wyrazów obcych. Wydawnictwo „Książki dla wszystkich“. Warszawa, 1904, 8-o, str. 126.

Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej Polskiej z archiwum, tak zwanego bernardyńskiego, we Lwowie, w skutek fundacyi ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydane staraniem galicyjskiego Wydziału krajowego. T. XVIII, in 4-o, str. XLIII + 701, Lwów, 1903, Seyfarth i Czajkowski, druk E. Winiarza. Treść: Najdawniejsze zapiski sądu ziemskiego przemyskiego 1460 — 1506 z przedmową Antoniego Prochaski.

Atlasik botaniczny „kieszonkowy. Wyd. „Książki dla wszystkich“. Warszawa, 1904. Tablice.

Bandurski Wł. ks. dr: Biskup-zakonnik, błogosławiony Wincenty Kadłubek. 8-o, str. 85 i 4 ryc. w tekście. Kraków, 1904.

Baudouin de Courtenay J.: Próba uzasadnienia samotności zjawisk psychicznych na podstawie faktów językowych, 8-o, str. 28. Kraków, 1904. Nakładem Akademii.

Bölsche W. O pochodzeniu człowieka. Przełożył Zygmunt Szymonowski. 8-o, str. 123. Warszawa, 1904.

Ks. Brykezyński St.: Pamiątka pięćdziesięciolecia ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny, czyli czytanie majowe o Matce Boskiej z Lourd. Przerobił, uzupełnił i na rzecz katedry Płockiej wydał... Płock, 1904, 16-o, str. 273.

Brzozowski Stanisław: Jan Sniadecki, życie i dzieła. Wyd. „Książki dla wszystkich“, 8-o, str. 147. Warszawa, 1904.

Cathrein S. J.: Filozofia moralna. Wykład naukowy porządku moralnego i prawnego. Przekład... W. Gostomskiego. Część II-ga. Filozofia moralna, poszczególna i stosowana. T. III. Warszawa, 1904 („Biblioteka dzieł chrześcijańskich“, zeszyt 45). 8-o, str. 144.

Feldman Wilhelm: Ananke. Kartki miłości. Wydanie drugie, 8-o, str. 225. Kraków, 1904. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. Warszawa. Wende i Sp.

Finkel Ludwik, dr i Głabiński Stanisław dr: Historia i statystyka monarchii austro-węgierskiej. Wydanie drugie przejrzane. 8-o, str. 92 i 82. Lwów, 1904. Nakł. Tow. naucz. szkół wyższ.

Folkierski Wł.: Zasady rachunku różniczkowego i całkowego, wyłożył w sposób przystępny dla początkujących... Wydanie drugie, znacznie zmienione. T. I z 55-ma figurami w tekście. 8-o, str. 571. Warszawa, 1904. Dzieła i rozprawy matematyczno-fizyczne przez A. Czajewicza i S. Dieksteina. Wyd. Kasy Mianowskiego.

Freeman Edward: Dzieje Europy. Przekład polski J. Rodziewicza, 8-o, str. 170 + IV. Warszawa, 1904.

Froń J.: O hodowli drzew i krzewów owocowych w ogródkach małych gospodarstw z 61 rycinami K. Łady.

Galle Henryk: Teorya prozy i poezyi w zarysie. Z wyd. „Książki dla wszystkich“. Warszawa, 1904, 8-o, str. 132 + II.

Tegoż: Krótka stylistyka wraz z teorią wierszowania. Wydawnictwo „Książki dla wszystkich“, 8-o, str. 78. Warszawa, 1904.

Gargas Zygmunt dr: Obowiązek wybierania, 8-o, str. 19, Lwów, 1904. Księgarnia Polska.

Gliński Kazimierz: Boruta. Powieść z lat dawnych. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa, 1904, 8-o, str. 555.

Gruszecki Artur: Pruski huzar. Powieść współczesna. 8-o, str. 315. Warszawa, 1904. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Hoesek Ferdynand: Julian Klaczko. Rys życia i prac. 1825—1904. Z portretem Juliana Klaczki. Kraków. Skład w księgarni Spółki wydawniczej, 1904, 8-o, str. 246. Praca dedykowana prof. Stanisławowi Tarnowskiemu.

Homér: Odyseja, skreślił A. Wrzesień. Wyd. „Książki dla wszystkich“. Warszawa, 1904, 8-o, str. 178 + 1.

Kłośnik Z.: Japonia. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie, 1904, 8-o, str. 278.

Konopnicka M.: Poezye w nowym układzie. VI. Przekłady. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1904, 8-o, str. 276.

Tejże: Na normandzkim brzegu. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1904, 8-o, str. 205.

Koszuński Stanisław: Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego w ostatniem trzydziestoleciu: 1870 — 1900. Praca, nagrodzona na konkursie. Warszawa, 1905, 8-o, str. 384 + V.

Kozłowski W. M.: Historia filozofii. Podstawy wykształcenia współczesnego. T. IV, 8-o, str. 174 + II. Warszawa, 1904. Nakładem Michała Areta.

Krotowski Kazimierz dr: O łacińskim panegiryku na cześć Bolesława Śmiałego z pierwszej połowy XII wieku. Kraków, 1904, str. 19. (Odbicie z „Pamiętkowej księgi“, t. I).

Krzyżanowski Stanisław: Przywileje szczyrzeckie. Lwów, 1904, 8-o, str. 19.

Księga pamiątkowa 1866 — 1906. Prace byłych uczniów prof. Stanisława hr. Tarnowskiego ku uczczeniu XXXV-lecia jego nauczycielskiej pracy. Kraków, 1904.

Lemański Jan: Proza ironiczna. Bajki i bajeczki. Przypowiadki dla dzieci. Sielanki. Warszawa, Kraków. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1904, str. 282.

Listy które go nie doszły. Z 55-go wydania niemieckiego tłumaczył A. Powojczyk. 8-o, str. 171. Warszawa, 1904.

Ks. Londzin Józef: Bibliografia druków polskich w Księstwie Cieszyńskim od r. 1716 do r. 1904. Cieszyn, 1904. Nakładem autora.

Maeterlinck Maurycy: Joyzella. Sztuka w pięciu aktach. Przełożył A. L. Wydawnictwo „Książki dla wszystkich“. Warszawa, 1904, 8-o, str. 104.

Mortkowiczowa Janina: O wychowaniu estetycznym. 8-o, str. 74. Warszawa, 1903. G. Centnerszwer i Sp.

Materyały i prace komisji językowej Akademii Umiejętności. Tom I, zeszyt 3. Kraków, 1904, 8-o, str. 314 — 569.

Miecznik A.: Macedonia i Macedończycy. Wydawnictwo „Książki dla wszystkich“. Warszawa, 1904, 8-o, str. 116.

Nawrocki Józef: Strofy. 8-o, str. 42. Lwów, 1904. Księgarnia Polska.

Niedzielski Kazimierz dr: Słowo w sprawie feminizmu.

Nowicki Franciszek H.: Pieśni czasu. Poezye. Tarnów 1904. 8-o, str. 126.

Nusbaum Józef prof.: Szlakami wiedzy. Odczyty dla wykształconego ogółu o zagadnieniach biologii współczesnej. 8-o, str. 334. Lwów. 1904. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego.

Orwicz Jerzy: Gołębie. Szkic powieściowy z początku IV wieku po Nar. Chr., 8-o, str. 74. Warszawa, 1904.

Orzeszkowa Eliza i Juliusz Romski: Ad astra. Dwugłos. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1904, 8-o, str. 324.

Piątkowski Henryk i Dobrzycki Henryk: Andriolli w sztuce i życiu społecznym. 278 rysunków w tekście, 25 poza tekstem, w tem 28 utworów, dotąd nie reprodukowanych. 4-o, str. 200. Warszawa, 1904. Nakładem Dobrzyckiego.

Płażek Feliks: Święta wiosna. Dwa dramaty. 8-o, str. 82. Lwów, 1904. Nakładem Księgarni Polskiej.

Posner S.: Japonia, państwo i prawo podług źródeł europejskich opracował... Warszawa, 1905, 8-o, str. II + 122.

Prawidła pisowni polskiej ze słowniczkiem, przyjęte przez Akademię Umiejętności w Krakowie, 8-o, str. 56, Warszawa, 1904.

Radziszewski L. ks. dr: Układ dziesiątymy w bibliografii filozoficznej. Odbitka z „Przeglądu Filozoficznego“, 8-o, str. 17, Warszawa, 1904, Jan Fiszer.

Radziszewski St. dr: Wiedza tajemna. Z 10-ma ilustracyami w tekście. 8-o, str. 242. Warszawa, 1904.

Schneider Stanisław: Lukrecyusz i Horacy, a treny Kochanowskiego. Lwów, 8-o, odb. z „Eosa“.

Schreiber Witold: Twórcy bogów. Z tajemnic wierzeń ludów pierwotnych. 8-o, str. 355 i 78 ilustracyj. Lwów, 1904. Nakładem Księgarni Polskiej.

S i e r o s z e w s k i Wacław: Powrót. Powieść z życia wschodniej Syberyi. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1904, 8-o, str. 175.

S i e r z p u t o w s k i Tadeusz: Pierwsza próba reformy politycznej w Polsce. Warszawa, Jan Fiszer, 1905, 8-o, str. 95.

S o f o k l e s: Antygona. Tragedya. Przekład K. Morawskiego, z przedmową Adolfa Strzeleckiego. Wydawnictwo „Książki dla wszystkich“, Warszawa, 1904, 8-o, str. 77.

Ks. S z y d e l s k i S.: Z walki o nadprzyrodzony charakter Biblii. Lwów, 1904.

T a r d e E.: Opinia tłum. Przekład Kazimiery Skrzyńskiej. Warszawa. 1904, 8-o, str. 155 (dodatek „Tygodnika Ilustrowanego“).

T r e t i a k Józef: Najświętsza Panna w poezyi polskiej, z 13-ma ilustracyami. Spółka Wydawnicza w Krakowie, 1904, 8-o większe, str. 119.

T u r z a ń s k i Aleksander: Podręcznik do ustawy o ubezpieczeniu robotników na wypadek choroby. Na podstawie źródeł urzędowych po dzień 1 kwietnia 1904, 8-o, str. XVII + 3 nl + 598. Lwów, 1904. Gubrynowicz i Schmidt.

U r l o m o w s k i Klemens: Rzecz o Salomonie Majnonie, filozofie polskim. Z druku współczesnego wydał S. Posner, 8-o, str. 63, Warszawa, 1904.

W e l l s H. S.: Wizye przyszłości, czyli o wpływie rozwoju wiedzy i mechaniki na życie i myśl ludzką. Spolszczył Jan Kleczyński. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1904, 8-o, str. 156.

W i t k o w s k a Helena: Komisya edukacyi narodowej, Warszawa 1905, 8-o, str. 57 + 1.

W o j c i e c h o w s k i Konstanty: Werter w Polsce, 8-o, str. 176. Lwów, B. Połoniecki, 1904.

W r o c z y ń s k i Kazimierz: Circenses. Warszawa, Centnerszwer, 1904. 24-o, str. 81 + 2.

Ż e r o m s k i Stefan: Promień. Wydanie trzecie, 8-o, str. 214. Warszawa, 1904. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Ż u k o w s k i Władysław i dr M. C h r u s z c z y ń s k i: Bilans handlowy gubernij Królestwa Polskiego. Zeszyt trzeci. Warszawa, 1904, 8-o, str. 100.

KONKURS.

Akademia Umiejętności w Krakowie

ogłasza niniejszem konkurs

imienia CZERWIŃSKIEGO

na napisanie „Historji sztuki w Polsce“.

Warunki konkursu następujące:

1) Historia sztuki w Polsce ma uwzględnić wszystkie ziemie dawnej Polski, łącznie z Litwą i Rusią.

2) Powinna objąć czas od przyjęcia chrześcijaństwa przez Polskę, aż pod koniec stylu *empire*.

3) Ma być syntezą dotychczasowych badań na tem polu; samodzielnych rezultatów się nie wymaga, są jednak pożądane.

4) Układ i rozmiary dzieła pozostawia się autorowi.

5) Fotografij ani rysunków autor nie jest obowiązany dołączyć do rękopisu.

6) Do konkursu dopuszczone mogą być prace zbiorowe, ewentualnie przez kilku autorów wykonane, jednakże jednolitej redakcyi.

7) Termin konkursu upływa z dniem 31 grudnia 1906 r.

Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Umiejętności w Krakowie bezimien nie, pod godłem, obranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adres, a opatrzonej tem samym godłem.

Według § 18 Regulaminu Akademii, wypłata wszelkich nagród konkursowych następnje dopiero po ogłoszeniu drukiem pracy, uwieńczonej nagrodą.

Nagroda konkursu im. Czerwińskiego wynosi rb. tysiąc (1,000).

„Biblioteka Warszawska”

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym,

ROZPOCZYNA Z ROKIEM 1904-ym

sześćdziesiąty czwarty rok swojej działalności naukowo-literackiej

i wychodzi

w zeszytach najmniej dwunasto-arkuszowych.

PROGRAM „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“

zawiera następujące działy:

- I. **Filozofia.** Rozbiór systemów i kierunków badań filozoficznych.
- II. **Historya.** Dzieje powszechne i własne.
- III. **Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.**
- IV. **Studia z nauk przyrodniczych.**
- V. **Studia pedagogiczne i lingwistyczne.**
- VI. **Literatura.** Utwory oryginalne wierszem i prozą.
- VII. **Studia literackie.**
- VIII. **Krytyka utworów piśmiennictwa polskiego i zagranicznego.**—
Przegląd literatury beletrystycznej i rozbiory dzieł naukowych.
- IX. **Studia artystyczne, oceny dzieł sztuki.**
- X. **Kronika zagraniczna** o ruchu umysłowym (artystycznym, społecznym i ekonomicznym).
- XI. **Kronika miesięczna.**
- XII. **Wiadomości bibliograficzne.**

Warunki prenumeraty

„BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“:

W guberniach całego Państwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie rs. 10 kop. —

Półrocznie „ 5 „ —

W Warszawie zaś:

Rocznie rs. 9 kop. —

Półrocznie „ 4 „ 50

Kwartalnie „ 2 „ 25

Cena pojedynczego zeszytu rb. 1.

Prenumeratorów zamiejscowych upraszamy o przesyłanie prenumeraty wprost do **ADMINISTRACJI „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“**, ulica **Krakowskie Przedmieście Nr 5**, gdyż to zapewnia najlepiej akuratają ekspedycję pisma.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w Państwie.

Oplata za ogłoszenia w „**Bibliotece Warszawskiej**“ wynosi:

Za ogłoszenie, zapełniające jedną stronę formatu „**BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ**“ rubli **5**. Za ogłoszenie, zapełniające pół strony, rubli **3**, i za ogłoszenie, zapełniające $\frac{1}{4}$ formatu, rubli **2**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Сентября 1904 г.

W Drukarni Józefa Sikorskiego, Warecka 14.